

KATARZYNA GACEK



INTRYGA GODNA
AGATHY
CHRISTIE!

GRA  POZORÓW



Agencja Detektywistyczna Czajka

znak

KATARZYNA GACEK

GRA POZORÓW

Wydawnictwo Znak
Kraków 2023

Czytelniczki o *Psie ogrodnika*, pierwszej części serii o Agencji Detektywistycznej Czajka

Gorąco polecam wszystkim miłośnikom Agathy Christie! (Notabene główna bohaterka ma całą kolekcję powieści brytyjskiej królowej kryminału). Gdybym miała opisać *Psa ogrodnika* jednym słowem, to powiedziałabym – SZTOS!

Agnieszka Kownatka-Ruszkowska, Instagram: @Biblioteka306

Polot i dar opowiadania plus wspierające się nawzajem, pomimo rozlicznych różnic, kobiece bohaterki, a wszystko to w obyczajowo-kryminalnym sosie (ale takim, którego nie trzeba się bać). Chętnie biorę i chcę więcej.

Aga Szynal, Instagram: @kobiecasilawsparcia

Już pierwszy rozdział sprawił, że totalnie osłupiałam, bo spodziewałam się lekkiej historii, a tu od razu zaczęło się z przytutpem. Książkę czyta się szybko, przyjemnie, a poczucie humoru i lekki styl autorki sprawiają, że rozdział za rozdziałem napędza ciekawość.

Magdalena Sobol, Instagram: @takiemojeoderwanie

Niech się Joanna Chmielewska schowa (a mówię to jako jej zagorzała fanka). Gacek stworzyła mistrzowską komedię kryminalną (bo z wyjątkiem ofiary i mordercy inni przeżywają) z szekspirowskim rozmachem, lecz pełną empatii, czułości i jej specyficznego humoru. (...) Tak, zarwałam dla tej książki trzy noce.

Gacek szanuje czytelnika, nie tłumaczy po trzy razy tego samego. Daje przestrzeń, aby zadziałała wyobraźnia. A dialogi są palce lizać!

Polecam gorąco! Najlepsza komedia kryminalna 2022 roku!

Adrianna Ewa Stawska, Instagram: @adrianna.ewa.stawska.autorka

Duży urok powieści kryje się w trzech – jakże różnych od siebie – bohaterkach i prócz opisu śledztwa przedstawiania ich w sytuacjach codziennych. Intryga kryminalna jest dobrze zbudowana, mamy tu kilka poważnych twistów fabularnych, a rozwiązanie nie byłam w stanie odgadnąć.

Martyna Chmiel, Instagram: @kryminalnaterzu

Zdarzają się takie książki, że już po kilku zdaniach wiecie, że to jest właśnie to. (...) Siła kobiet na każdej stronie, a do tego całe morze humoru sprawiło, że bawiłam się przednio.

Magda Kasperczyk, Instagram: @magdaandbooks

Jeśli szukacie lekkiej lektury, która zadziała jak serotonina w pigułce, to *Pies ogrodnika* jest dla was, a przy okazji to naprawdę niezły kryminał. Napisany z bigłem, polotem i tym „czymś”, co powoduje, że od razu po odłożeniu książki chcemy czytać kolejną część – z dobrych, a nawet bardzo dobrych źródeł wiem, że taka powstaje;). Serdecznie wam polecam tę książkę i daję słowo – na pewno się przy niej uśmiechniecie.

Karolina Trembicka, Lubimy czytać: @Na_polce_z_książkami

Dziewczynom, które nie lubią dekolców

PROLOG

Mężczyzna wsiadł do pociągu w Skierniewicach. Wybrał miejsce przy oknie, przodem do kierunku jazdy, i zbliżył twarz do szyby. Na dworze świeciło słońce, niebo osiągnęło błękit jak z wakacyjnej pocztówki, a drzewa i krzewy zaczynały się zielenić. Nie mógł się napatrzeć. Nie przypuszczał, że zwykła podróż koleją podmiejską może mu sprawić tyle radości.

Choć przecież ta podróż nie była zwykłą. Z wielu względów.

Kiedy pociąg minął Grodzisk Mazowiecki, mężczyzna podniósł się z siedzenia i podszedł do drzwi. Wyczekiwał niecierpliwie momentu, kiedy zobaczy napis „Milanówek” i postawi stopy na betonowym peronie. Ostatni raz był tutaj wiele lat temu, z Klaudyną. Wyciągnęła go którejś niedzieli na lody, ale wcale nie smakowały aż tak, żeby było warto wydawać dodatkową kasę na bilety.

Pociąg zaczął hamować i mężczyzna musiał się przytrzymać uchwytu. Jakaś kobieta na widok jego dłoni, zaciśniętej na metalowym pręcie, obrzuciła go zaniepokojonym spojrzeniem i na wszelki wypadek cofnęła się o pół kroku. Zabawne, jak te pięć niepozornych kropek wytatuowanych między kciukiem a palcem wskazującym działało na ludzi.

Pomimo słońca na dworze było dość chłodno. Kiedy rześkie wiosenne powietrze wypełniło jego płuca, poczuł ekstazę. Marzył o tej chwili przez tak długi czas, że teraz, kiedy nareszcie nadeszła, wydawała mu się nierealna.

Zbiegł po schodach w ciemną czeluść podziemnego przejścia i po chwili wynurzył się po drugiej stronie torów. Trasę do celu sprawdzał w internecie tyle razy, że mógłby ją pokonać z zamkniętymi oczami. Ruszył w lewo, minął spożywczy i restaurację, a kiedy za papierniczym skrzyżnięciem w prawo, jego oczom ukazała się wieża kościoła. Uznał to za dobry znak. Potem jeszcze dziesięć minut szybkiego marszu i znalazł się przed dużą, nowoczesną willą o wielkich oknach, jakby stworzonych do śledzenia tego, co dzieje się w środku. Ale mężczyzna nie zamierzał podglądać. Przynajmniej nie dziś. Chciał tylko nacieszyć oczy tym widokiem i ocenić, jak bardzo bezbronne jest to miejsce.

Zbliżył się do płotu i chwycił za pręt. Były dość cienkie, zakończone ozdobnymi elementami – nic, czego nie dałoby się przeciąć przy użyciu odpowiednich narzędzi. Albo po prostu przeskoczyć.

Na koniec obrzucił spojrzeniem trawnik. Jak się nazywają te liliowe kwiatki, których tu pełno? Przez chwilę nie mógł sobie przypomnieć, aż w końcu w jego głowie pojawiło się odległe skojarzenie ze szkolną wycieczką w Tatry i łąką porośniętą właśnie tymi, no... krokusami!

– Krokusy, krokusy – powtórzył kilka razy półgłosem. Ta nazwa bardzo mu się za chwilę przyda.

Mógłby stać tutaj naprawdę długo, ale wiedział, że mieszkańcy takich miejscowości jak Milanówek uważnie przyglądają się obcym. Zwłaszcza tym kręcącym się pod bramami wypasionych willi. Zawrócił więc i niespiesznym krokiem ruszył z powrotem w kierunku centrum.

Było jeszcze jedno miejsce, które chciał odwiedzić.

Poczta.

Kobieta, która stała przed nim w kolejce, pachniała jak jego babka. Zapach jej perfum: ciężki, słodkawy, egzotyczny, był jedyną miłą rzeczą z dzieciństwa, jaką pamiętał. Kilka razy wciągnął głęboko powietrze, żeby poczuć tę samą błogość, co kiedyś, ale gdy sobie przypomniał, z jakiego powodu babka zerwała z nim kontakt, aż zacisnął pięści ze złości.

Dobrze zrobił, że tu przyjechał. Bez dwóch zdań.

Kiedy nadeszła jego kolej, podał siedzącej w okienku kasjerce kartkę pocztową, którą wziął ze stojaka obok – podzielona na dziewięć pól, każde ze zdjęciem innej willi, i z kolorowym napisem „Pozdrowienia z Milanówka” najbardziej pasowała do jego planu.

– Cztery pięćdziesiąt – usłyszał.

– I znaczek do tego.

– To będzie osiem złotych dziesięć groszy.

Wyłowił z kieszeni drobne. Potrzebował portfela i jeszcze kilku przedmiotów codziennego użytku, ułatwiających życie, ale wszystko w swoim czasie.

Odszedł od okienka. Pod ścianą stał stolik dla interesantów, z którego na plastikowej sprężynce smętnie zwisał długopis, tak jakby z nudów próbował popełnić samobójstwo. Mężczyzna chwycił go, położył kartkę na blacie i zaczął pisać. Tekst nie był długi: „Serdeczne pozdrowienia dla wielbicielki krokusów”. W podpisie: „Lech Głowacki”.

Zaadresował: Monika Banach, ul. Cicha 5, przykleił znaczek, podszedł do stojącej w kącie skrzynki pocztowej i wsunął kartkę w szparę do połowy. Stał tak, delektując się chwilą, po czym popchnął kartkę.

Wpadła do środka z cichym szelestem. Uśmiechnął się. To była bardzo udana wyprawa.

ROZDZIAŁ 1

Dziś w cyklu „Sąsiedzi znani – nieznanzi” odwiedzimy mieszkankę naszego miasta, panią Monikę Banach, jedną z najpopularniejszych autorek kryminalów. Pani Monika ma na koncie wiele prestiżowych nagród, a jej książki okupują listy bestsellerów, nie tylko w Polsce.

REDAKCJA: Pani Moniko, przede wszystkim bardzo dziękuję, że zgodziła się pani udzielić wywiadu naszemu skromnemu biuletynowi. Pierwsze pytanie, jakie chciałem zadać, brzmi następująco: czy już jako dziecko marzyła pani o tym, żeby zostać pisarką?

MONIKA BANACH: Nie, zdecydowanie nie. W dzieciństwie chciałam zostać mistrzynią olimpijską, wszystko jedno w jakiej dyscyplinie. Kochałam sport, pisanie było ostatnie na mojej liście zainteresowań. W liceum trafiła mi się bardzo kiepska nauczycielka polskiego, która w dodatku mnie nie lubiła i z uporem powtarzała, że nie zdam matury. Mam przekorną naturę, dlatego postanowiłam, że zrobię jej na złość i zdam na piątkę. Zaczęłam więcej czytać i więcej pisać, żeby wyrobić sobie styl. I choć nie do końca mi się udało, bo z polskiego dostałam na maturze dwie czwórki, przy okazji odkryłam, że pisanie nieźle mi wychodzi. Potem skończyłam socjologię i poszłam na podyplomowe studia dziennikarskie. Zaczęłam pisać najpierw w lokalnej prasie, później w ogólnopolskiej. Szukałam ciekawych, trudnych tematów. To był wyjątkowy okres w moim życiu. Dynamiczny, pełen energii, ideałów.

Nie brakuje pani dzisiaj tej dziennikarskiej dynamiki?

Czasami bardzo. Zresztą pewne nawyki, rytuały weszły mi w krew. Przede wszystkim do każdej książki robię bardzo staranną dokumentację. I nie mam tu na myśli tylko internetu. Jeżdżę w miejsca ważne dla akcji, przeprowadzam wywiady. Lubię zaczepiać ludzi, zadawać im pytania, słuchać ich. No i wszystko nagrywam. Właściwie każdą ważniejszą rozmowę, nie tylko te zawodowe.

Potwierdzam! Kiedy tu weszłam, spytała mnie pani, czy może nagrać nasz wywiad, i teraz przed nami leżą dwa dyktafony, mój i pani.

Niektórzy uważają to za dziwactwo, ale pracując jako dziennikarka, przekonałam się, jak wiele rzeczy nawet w zwykłej rozmowie nam umyka, ile znaczeń się zaciera. Bardzo lubię do takich nagrań wracać, przesłuchiwać je, czasami po kilka razy, znajdować ukryte znaczenia. Ale też nie ukrywam, że często korzystam z nich przy pisaniu dialogów w książkach. W ogóle moje życie składa się z rytuałów. Mam swoje bardzo silne przyzwyczajenia, swój rytm. Bez tego nie napisałabym nawet linijki.

A to by była dla nas, czytelników, niepowetowana strata. Nie ma chyba w Polsce miłośnika kryminalów, który by nie słyszał o serii z komisarz Polą Berg. Ukazało się już dziewięć tomów, i właśnie skończyła pani pisać kolejny. Czego możemy się spodziewać w dziesiątej części?

W tym momencie muszę sprostować. To nie będzie kolejny tom serii o Poli. To będzie pierwszy tom zupełnie nowego cyklu.

Jestem w szoku... Czyli żegnamy komisarz Berg?

No cóż, chyba tak... Po prostu poczułam, że już między mną a Polą nie iskrzy, że potrzebuję nowego wyzwania, nowego otwarcia. Dlatego wymyśliłam zupełnie nowy cykl z nową bohaterką. Oryginalną, ciekawą, magnetyczną. No i nie będzie policjantką, ale profilerką. Właściwie to wszystko, co mogę na tym etapie zdradzić. Poszczególne karty będziemy odkrywać stopniowo, aż do premiery.

Której możemy się spodziewać...

Latem. Prawdopodobnie w połowie czerwca.

I jest pani zadowolona z efektu?

O tak, bardzo. Uważam nieskromnie, że to najlepsza ze wszystkich książek, które do tej pory napisałam. Zresztą nie tylko ja jestem z niej zadowolona. Wszystko wskazuje na to, że z książki powstanie serial. Właśnie zaczynamy prace scenariuszowe.

Fantastyczne wieści! Pani Moniko, gratuluję! Ekranizacja to wielki sukces!

Tak, myślę, że będzie wspaniale zobaczyć na żywo bohaterów, którzy do tej pory mieszkali tylko w mojej wyobraźni. I oczywiście mam nadzieję, że ekranizacja przełoży się na popularność tytułu.

No właśnie, tytuł! Czy już wiadomo, jaki będzie?

Gra pozorów. Bo właśnie o tym jest ta książka. O pozorach, które staramy się zachować na nasz własny użytek i na użytek innych. Z wygodnictwa, z tchórzostwa. O uczciwości i zdradzie, o wierności i zemście. I zadośćuczynieniu.

A kilka słów o bohaterce?

Powiem tak: nowa bohaterka jest zaskakująco podobna do mnie. Wcześniej bardzo się starałam, żeby Pola Berg miała ze mną jak najmniej wspólnego. Ale ponieważ tę nową serię postanowiłam pisać w pierwszej osobie, w naturalny sposób zaczęłam obdarzać bohaterkę swoimi własnymi cechami. Jest pewna siebie, waleczna i – tak jak ja – uparta. Jeżeli weźmie na siebie jakieś zadanie, to z całą pewnością je zrealizuje. I, tak jak ja, łatwo nie wybacza.

Zabrzmiało to odrobinę... złowieszco. Rozumiem, że lepiej mieć w pani przyjaciela, nie wroga?

Zdecydowanie. (*śmiech*)

Aż mi ciarki przeszły po plecach. A czy pani, pisząc o zbrodni, też czasami odczuwa lęk?

Nie boję się świata, który stwarzam w książkach fabularnych, bo doskonale wiem, że jest owocem mojej wyobraźni. Natomiast pracując jako dziennikarka, wiele razy zbliżałam się do prawdziwego zła, dotykałam go, czułam, jaki ma na mnie wpływ. I to rzeczywiście pozostawiło pewne lęki. I jakąś taką głęboko ukrytą obawę, że ono cały czas krąży gdzieś dookoła i kiedyś w jakiś sposób powróci... Bardzo nie lubię tego uczucia.

A co panią odpręża? Książka? Film? Spacer?

Najbardziej chyba książki. Bardzo dużo czytam. Głównie kryminały i reportaże. Czasami zdarza mi się sięgnąć po jakiś ciekawy obyczaj. Natomiast od romansów i od miłości staram się trzymać z daleka. Nie lubię cukru. Cukier powoduje próchnicę.

Ma pani jakiegoś ulubionego autora? Autorkę?

Może panią zaskoczę, ale moja ulubiona autorka to Agatha Christie.

Dlaczego ten wybór miałby zaskakiwać?

Wiele razy słyszałam opinię, że Christie trąci myszką. Oczywiście, jest odrobinę staroświecka. Opowiada o odległych czasach, używa momentami archaicznego języka. A jednak uważam, że intrygi, które wymyślała, do dziś nie mają sobie równych. Była nie tylko geniuszem pióra, ale i intelektu. Lubię się bawić myślą, że gdyby okoliczności ułożyły się odpowiednio, mogłaby zostać geniuszem zbrodni. Podziwiam ją również za to, że była silną, pomysłową kobietą. Staram się brać z niej przykład.

Odniosła pani niebywały sukces w bardzo krótkim czasie. Jakieś rady dla początkujących pisarzy?

Ufajcie tylko sobie. Swojej pracy, swojemu wysiłkowi, swojemu wyczuciu. Branża wydawnicza to dżungla. Sukces potrafi omamić, a jego brak frustruje. Jeżeli nie będziecie trzymać przed sobą kompasu swoich pragnień, umiejętności i co najważniejsze – uczciwości – zgubicie się natychmiast.

Jeszcze ostatnie pytanie. Czego powinnam pani życzyć?

Mam pewien plan, na którym wyjątkowo mi zależy. Proszę trzymać kciuki, żeby udało mi się go zrealizować.

Bardzo pani dziękuję za rozmowę, a państwa zapraszam do naszej milanowskiej księgarni, w której są dostępne wszystkie tomy serii z Polą Berg i w której już niedługo pojawi się najnowsza książka Moniki Banach – *Gra pozorów*. Z autorką, mieszkanką Milanówka, rozmawiała dla państwa Matylda Żukowska.

ROZDZIAŁ 2

Matylda zamknęła biuletyn. „Świetny ten wywiad”, pomyślała, szczerze zaskoczona. A wcale nie łatwo było go przeprowadzić. Monika Banach, choć w mediach społecznościowych sprawiała wrażenie sympatycznej i otwartej, na żywo okazała się osobą oficjalną, spiętą i niezbyt chętną do współpracy. Zwłaszcza z kimś, kto reprezentował skromną, lokalną gazetkę. Matylda była pewna, że gdyby pojawiła się w domu autorki jako dziennikarka jakiegoś uznanego miesięcznika lub portalu internetowego, zostałaby potraktowana inaczej. Ale wywiadu dla biuletynu wydawanego przez urząd miasta nikt nie traktował poważnie. Nawet Matylda, zadając pytania, czuła wyrzuty sumienia, że zajmuje czas słynnej autorce. A to z pewnością w przełamaniu lodów nie pomagało. Tym bardziej była zdziwiona, że na papierze ich rozmowa wyszła tak dobrze, tak ciekawie, tak dynamicznie.

Podeszła do okna, żeby sprawdzić, czy w stojącym na parapecie czajniku jest woda. Może zdąży jeszcze wypić kawę przed wyjściem na spotkanie z Banach? Niestety, czajnik okazał się pusty, a na wyprawę do łazienki, żeby go napełnić, nie miała już czasu.

Przysunęła twarz do szyby i wyjrzała przez okno. Pokój, w którym urzędowała, znajdował się na pierwszym piętrze budynku ratusza i miała stąd doskonały widok na niewielki plac, rozciągający się między urzędem a ogrodzeniem pobliskiego kościoła.

Choć początek kwietnia był w tym roku chłodny i ciągle zdarzały się przymrozki, wiosna zaczęła na dobre dopominać się o swoje. Trawniki zdążyły się zazielenić, na precyzyjnie wytyczonych klombach zakwitły pierwsze tulipany, z betonowych donic wylewały się błękitno-żółte bratki, a paki zajmującej środek placu magnolii tak nabrzmiały, że lada dzień można się było spodziewać różowej eksplozji.

Matylda uwielbiała ten czas jaskrawych i czystych kolorów, kiedy energia przyrody udziela się również ludziom, wprawiając ich w lepszy nastrój i mobilizując do działania. Wywiad z Banach był właśnie wynikiem takiej mobilizacji. Odkąd kilka tygodni temu dyrektorka miejscowej biblioteki przekazała jej informację, że autorka kończy pisać nową książkę, Matylda poczuła, że tej okazji nie wolno przegapić. Jednak dopiero pojawienie się w powietrzu ciepłego powiewu optymizmu sprawiło, że odważyła się doprowadzić sprawę do końca.

Jako kierowniczką i jedyną pracownicą Zespołu do spraw Komunikacji Społecznej Matylda miała sporo obowiązków, ale lokalna gazetka była jej oczkiem w głowie. Kiedy zaczynała się zajmować pisemkiem, liczyło ono zaledwie cztery strony i zawierało wyłącznie suche sprawozdania, zestawienia budżetowe i ogłoszenia lokalne. Dziś objętość gazety wzrosła dwukrotnie, nakład również. Stało się tak, ponieważ Matylda do nudnej, urzędowej zawartości biuletynu zaczęła dorzucać elementy mniej oficjalne, takie jak przepisy kulinarne czy przegląd policyjnych interwencji na terenie miasta, zwany kryminałkami. A ostatnio dodatkową atrakcją stały się wywiady. Pierwszy z nich, bolesna i poruszająca rozmowa z matką zamordowanej w Milanówku nastolatki, spotkał się z tak ogromnym zainteresowaniem czytelników, że trzeba było zamówić dodruk. Matylda liczyła, że wywiad z Banach, jedną z najpopularniejszych pisarek kryminałów w Polsce, wzbudzi zainteresowanie jeszcze większe.

Atmosfera, w jakiej przeprowadzała rozmowę, nie była najlepsza. No ale jaka mogła być, skoro Monika Banach już na początku oświadczyła, że gdyby nie osobista interwencja burmistrza, nie znalazłaby dla Matyldy czasu. Na pytania odpowiadała niechętnie, co chwila sprawdzała godzinę na telefonie, no i ten jej dyktafon... Matylda jeszcze nigdy z taką sytuacją się nie spotkała. To, że sama nagrywała ich rozmowę, było oczywiste – musiała ją potem spisać. Ale kiedy Banach wyjęła własny dyktafon i położyła go na stole, Matylda poczuła się zdezorientowana. Nawet tłumaczenie, że to nawyk, który pozostał autorce po pracy reporterki, niewiele zmieniło.

Biorąc pod uwagę wszystkie te niesprzyjające okoliczności, wywiad wyszedł zaskakująco dobrze. Matyldzie podczas redagowania udało się tak podkręcić tekst, że uzyskała efekt lekkiej, inteligentnej konwersacji, i była z tego naprawdę dumna.

A teraz nadszedł czas, żeby się tą dumą podzielić z czytelnikami.

Oraz z Moniką Banach.

Matylda sprawdziła godzinę i nagle zaczęło jej się spieszyć. Chwyliła ze stosu gazetkę, a po chwili namysłu dobrała jeszcze dwie. Nie sądziła, że pisarka będzie się chciała chwalić ich wywiadem na prawo i lewo, ale biuletyn był tak cienki i skromny, że wręczanie jednego egzemplarza zakrawało na żart. Następnie narzuciła kurtkę i wybiegła z pokoju, czując, jak stres w charakterystyczny sposób ścisną jej żołądek. „Co będzie, jeśli Banach coś się nie spodoba?”, myślała, zbiegając po wyłożonych czerwonym chodnikiem schodach ratusza. Sam wywiad pisarka oczywiście wcześniej dostała do autoryzacji, ale pozostało jeszcze tyle elementów, do których mogła się przyczepić... Łamanie tekstu, jakość zdjęć, nawet papier. A Matyldzie dawno na niczym tak nie zależało, jak na tym, żeby Monika Banach ją pochwaliła.

– No „Twój Styl” to to nie jest... – Banach wzięła biuletyn do ręki i przyglądała mu się, wyraźnie rozczarowana. – Jaki macie nakład?

– Wydrukowaliśmy tysiąc egzemplarzy – odpowiedziała cicho Matylda.

Wchodząc tutaj, miała nadzieję, że ta liczba zrobi na pisarce wrażenie. Teraz, wypowiadając słowo „tysiąc”, poczuła się jak idiotka.

– Liczba zer bardzo... lokalna – zauważyła z przekąsem pisarka.

Matylda przełknęła nerwowo ślinę.

– Z reguły nasza gazetka rozchodzi się mniej więcej w pięciuset egzemplarzach, ale założyłam, że wywiad z panią przyciągnie więcej czytelników. A gdyby cały nakład się rozszedł, dodrukujemy.

– No dobrze. Zobaczmy, jak to wygląda w środku...

Matylda, z minuty na minutę coraz bardziej zestresowana, przygryzła wargi. Najchętniej by się stąd ulotniła. Zwłaszcza że stały w holu, więc do drzwi nie miałyby daleko.

Podczas gdy Banach przeglądała artykuł, Matylda dyskretnie się jej przyglądała. Według Wikipedii pisarka miała czterdzieści dwa lata, ale wyglądała zdecydowanie młodziej. Między innymi z powodu niskiego wzrostu i drobnej, dziecięcej budowy. Miała szczupłe, umięśnione ciało, za co odpowiedzialne były albo dobre geny, albo sport. Ciemne, półdługie włosy zebrane w kucyk odsłaniały ładną, wyrazistą twarz o wystających kościach policzkowych. Gdyby nie odrobinę zbyt wąskie i sprawiające wrażenie zaciętych usta, Monika Banach byłaby piękną.

– Proszę pani, pies drapie od tarasu. Wpuścić?

Nie wiadomo skąd w holu pojawiła się wysoka, postawna kobieta w czarnych legginsach i luźnym T-shirtcie, z mopem w ręku. Od jej ciemnych, zebranych w ciasny kok włosów odcinało się jedno

charakterystyczne, siwe pasmo. Matylda odniosła wrażenie, że gdzieś już tę kobietę widziała.

Banach milczała, najwyraźniej nie wiedząc, co odpowiedzieć.

– Futrynę zniszczy – ponagliła ją kobieta.

– Trudno, niech go pani wpuści w takim razie – westchnęła pisarka. – Co to był za idiotyczny pomysł z tym psem...

Minutę później do holu wpadł beżowy szczeniak i zaczął obskakiwać Banach.

– Idź sobie! – odgoniła go.

Psiak natychmiast przeniósł swoją uwagę na Matyldę, więc nachyliła się i podrapała go za uchem. W odpowiedzi na tę czułość szczeniak przewrócił się na plecy, pokazując różowy brzuch.

– Przesłodka! – zachwyciła się. – Jaka to rasa?

– Labrador.

– A jak ma na imię?

Pisarka sięgnęła po leżącą na półce pod lustrem książeczkę zdrowia.

– Bruno – przeczytała. – Ale jakoś nie reaguje. – A widząc zdziwioną minę Matyldy, wyjaśniła: – Dopiero co go przywiozłam. Jeszcze... nie nawiązaliśmy więzi.

Ciszę, która zapadła, przerwało popiskiwanie szczeniaka.

– Wygląda, jakby... – zaczęła Matylda, i w tym momencie piesek przykucał na środku pomieszczenia i wyprodukował imponującą kałużę.

– Nie rozumiem – jęknęła Banach. – Przecież przed chwilą był na dworze... Pani Nino! – krzyknęła w kierunku salonu. – Pani tu pozwoli z tym mopem!

Matylda poczuła się jeszcze bardziej niezręcznie.

– To ja już pójdę – oznajmiła.

Pisarka jej oświadczenie powitała z ulgą.

– Nie będę pani zatrzymywać.

Podeszły do drzwi. Matylda położyła rękę na klamce.

– Dziękuję, że się pani pofatygowała z tym biuletynem – powiedziała Banach zaskakująco życzliwym tonem. – Abstrahując od medium, to bardzo się pani ten wywiad udał. Przekażę egzemplarz mojej agentce, może wykorzystamy ten tekst promocyjnie.

Matylda poczuła, że na policzki wypełza jej rumieniec.

– Będę zaszczycona – odpowiedziała.

Otworzyła drzwi, a szczeniak przemknął jej między nogami i wypadł na zewnątrz.

– Bruno! Wracaj – krzyknęła za nim, ale nie zareagował.

Banach lekceważąco machnęła ręką.

– Niech pani zostawi. Tylko proszę uważać, żeby nie uciekł na ulicę, bo wtedy byłby kłopot.

Matylda ruszyła w stronę furtki. Pas trawnika ciągnący się wzdłuż ścieżki był aż fioletowy od krokusów. „Długo nie pociągną”, pomyślała sceptycznie. Mały labrador i kwiaty w ogrodzie to nie było fortunne połączenie.

Monika Banach patrzyła przez chwilę z ulgą za odchodzącą dziennikarką. Czy może raczej urzędniczką? Nie przepadała za obcymi, a dzisiaj miały się u niej pojawić jeszcze dwie takie osoby. Do których wizyty powinna się w dodatku przygotować.

– Pani Nino, idę do siebie! – krzyknęła w kierunku salonu.

Architekt, projektując dom, zaproponował, żeby gabinet ulokować na piętrze, blisko sypialni, jednak Monika zdecydowała, że powinien się znajdować jak najdalej od niej. Oddzielenie życia prywatnego od pracy, przestrzeni do wypoczynku od miejsca, w którym pisze, z każdym upływającym rokiem i z każdą kolejną napisaną książką okazywało się coraz bardziej potrzebne.

Kiedy usiadła do komputera, żeby przygotować dla swoich dzisiejszych gości streszczenie książki, jej wzrok padł na kartkę pocztową przypiętą do tablicy korkowej wiszącej nad biurkiem. Kartka przysła kilka dni temu i sprawiła, że lęk, o którym wspominała w wywiadzie dla biuletynu, nasilił się i zageścił.

Już od jakiegoś czasu kalendarz uświadamiał jej, że beztrioski okres niedługo się skończy, a kartka pocztowa była dowodem na to, że się nie mylił. Przeszło jej nawet przez głowę, żeby pójść na policję, ale przestraszyła się, że zbagatelizują sprawę, a ją samą uznają za przewrażliwioną histeryczkę. A na to, jako pisarka kryminałów, nie mogła sobie pozwolić.

Więc postanowiła, że sama sobie poradzi.

Ale pojawienie się w skrzynce na listy niepozornej kartki pocztowej miało jeszcze jeden skutek: przypomniało jej o wydarzeniach sprzed lat i uświadomiło, że trzeba wyrównywać rachunki. Zawsze.

I teraz właśnie to zamierzała zrobić.

Gra pozorów skończona.

Gra pozorów rozpoczęta.

ROZDZIAŁ 3

Kot był szczupły i zwinny. I rudy, więc kiedy posuwał się w górę po pniu brzozy, wyglądał z daleka jak wiewiórka. Nagle tuż obok niego przeleciała sroka i wylądowała na gałęzi pół metra nad czworonogiem. Gaja, która od kwadransa tkwiła w samochodzie przed hotelem Hetman i zaczynała się już nudzić, sięgnęła po lornetkę. Jej podstawowe narzędzie pracy znowu przez chwilę posłużyło temu, do czego przeznaczone było pierwotnie – obserwacji ptaków.

Kot zatrzymał się mniej więcej w połowie pnia.

Sroka wychyliła się, spojrzała w dół i zaskrzeczała mu prosto w nos, głośno i irytująco. Kot zamachał gwałtownie ogonem, co oznaczało, że musi być naprawdę wściekły. Czemu trudno się było dziwić – dźwięki, które wydawała z siebie sroka, brzmiały jak wyjątkowo złośliwy rechot. W dodatku znajdowała się tak blisko, że gdyby chciała, mogłaby pociągnąć kota za wąsy.

Kocur przesunął się kilka centymetrów w górę. Gaja pomyślała, że jeszcze chwila, a że sroki zostaną biało-czarne strzępy, kiedy nagle ptak jakby się zreflektował i przefrunął na gałąź pół metra wyżej.

Gdyby kot potrafił mówić, puściłby w tym momencie jakąś soczystą wiązkę. Zamiast tego machnął tylko ogonem z jeszcze większą złością i zaczął się wspinać, nie spuszczając wzroku z ptaka. Sytuacja się powtórzyła: sroka odczekała, aż kot się zbliży, następnie nachyliła się do niego, zaskrzeczała i... przeleciała na wyższą gałąź. Kot oczywiście ruszył za nią, a Gaja zrozumiała, że to, co się właśnie dzieje na jej oczach, nie jest przypadkowe.

Nic, kompletnie nic nie stało na przeszkodzie, żeby sroka odleciała na inne drzewo; rośło ich kilka w pobliżu. Zamiast tego specjalnie wabiła kota coraz wyżej i wyżej, aż na wątyły i chwiejny czubek brzozy. Gaja patrzyła, zafascynowana, jak czworonóg bez żadnej refleksji pcha się tam, skąd za chwilę nie będzie już miał odwrotu.

„Co za spryciula z tej sroki”, pomyślała, kręcąc głową z uznaniem.

Choć zajmowała się obserwowaniem ptaków już od wielu lat i miała na koncie kilkaset gatunków, pospolite sroki darzyła szczególną sympatią. Były zadziorne i hałaśliwe, przyłgnęła też do nich opinia wszędobylskich złodziejek, jednak Gaja ceniła je za inteligencję, odwagę i charakter oraz – co ujmowało ją najbardziej – zdolność do przeżywania żałoby. Nigdy jeszcze nie była świadkiem takiej ceremonii, ale czytała, że sroki swoim martwym towarzyszom wyprawiają coś w rodzaju pogrzebu. Gaja, która swoją wielką żałobę w jakimś sensie przeżywała do dzisiaj, umiała to docenić.

Tymczasem sytuacja na drzewie uległa zmianie. Ptak widocznie uznał, że zwił już kota wystarczająco wysoko, bo wbił się w powietrze i opadł, a mijając zwierzę, dziobnął je w ogon. W tym momencie, nie wiadomo skąd, pojawiła się druga sroka i teraz we dwie, głośno skrzecząc, zaczęły atakować biednego, zdezorientowanego czworonoga, który w starciu na tej wysokości nie miał z nimi żadnych szans. Szorując korę pazurami, zaczął się zsuwać z drzewa, a sroki zintensyfikowały atak. Mniej więcej pięć metrów nad ziemią kot oderwał się od pnia i poszybował w dół. Gaja,

zafascynowana, patrzyła, jak leci, koziołkując w powietrzu, i w ostatniej chwili, tuż nad ziemią, obraca się i bezpiecznie ląduje na czterech łapach.

W tym momencie drzwiczki samochodu od strony pasażera otworzyły się gwałtownie i na przednim siedzeniu obok Gai wylądowała śliczna ruda dziewczyna, z kręconymi włosami upiętymi w kok i ze skórzanym plecakiem na ramieniu. Ani najzwyczajniejsze, luźne dżinsy, ani czarna, zbyt obszerna kurtka nie potrafiły ukryć tego, jak bardzo jest atrakcyjna.

– Jedź! – krzyknęła do Gai, zsuwając się z fotela na podłogę. – Zwiewamy!

Zadanie, które Klara otrzymała od szefowej, wydawało się banalne: miała ustalić, czy pewna młoda kobieta bierze udział w dwudniowym szkoleniu, prowadzonym przez niejakiego Jarosława Nowocienia, szefa pionu zarządzania ryzykiem jednego z większych polskich banków. Jeśli tak, powinna wynająć pokój w hotelu i sprawdzić, czy tych dwoje spędzi noc razem, czy osobno.

Nowocien, mąż i ojciec dwójki dzieci, ostatnio coraz rzadziej bywał w domu. Prawie każdy weekend spędzał w podwarszawskim hotelu Hetman, a to na szkoleniach, a to na spotkaniach integracyjnych, przynajmniej takie oficjalne powody podawał. Kiedy w dodatku zaczął pilnować swojego telefonu komórkowego niczym oka w głowie, żona postanowiła skorzystać z usług agencji detektywistycznej. Nie miała żadnych dowodów, a jedynie intuicję oraz wiedzę, że zmiana zachowania jej męża zbiegła się w czasie z zatrudnieniem w jego dziale nowej, atrakcyjnej pracownicy. I właśnie sprawdzenie relacji łączącej tych dwoje zleciła agencji Czajka.

Po tygodniu obserwacji (na koncie agencji pojawi się dzięki temu całkiem konkretna sumka) mogły z prawie stuprocentową pewnością stwierdzić, że Nowocienia z nową pracownicą nic nie łączy. Nigdy nie wychodzili z pracy razem, nie spotykali się na mieście, a na terenie banku prawie się ze sobą nie kontaktowali. Klara, która w interpretacji mowy ciała była naprawdę dobra i której kilka razy udało się ich podejrzeć idących obok siebie przez bankowy hol albo rozmawiających ze sobą na korytarzu, orzekła autorytatywnie, że Nowocien traktuje kobietę wyłącznie jak koleżankę, nic więcej.

Dzisiaj, ostatniego dnia pracy nad sprawą, zamierzały postawić kropkę nad i, czyli przypilnować mężczyzny na szkoleniu wyjazdowym, które miało się odbyć w tym samym hotelu co zwykle.

Jedną z zalet Klary, którą wykorzystywała w tej pracy beztrudnie i szczerze, była jej niebywała pewność siebie, dzięki której każde kłamstwo przychodziło jej w tak naturalny sposób, że nikomu nawet by przez myśl nie przeszło, że to, co słyszy, z prawdą ma niewiele wspólnego.

Tym razem zamierzała swoje umiejętności przetestować na recepcjonistce.

Żeby jak najmniej rzucać się w oczy, Klara ubrała się dzisiaj skromnie i przeciętnie – nic obcisłego, nic jaskrawego – a rude włosy zebrała w ciasny, belferski koczek. W takim wydaniu od biedy mogła odgrywać rolę, jaką sobie zaplanowała.

Najpierw przez kilka minut ostentacyjnie kręciła się po holu z telefonem przy uchu, udając, że próbuje się do kogoś dodzwonić. W końcu, po kilku „nieudanych próbach” podeszła do lady recepcji.

– Dzień dobry... – odchrząknęła. – Czy może mi pani pomóc?

Recepcjonistka – bardzo ładna i bardzo zgrabna młoda osoba, ze złotą plaketką „RECEPCJA Jola” przypiętą do białej bluzki – obrzuciła Klarę uważnym spojrzeniem.

– Postaram się, oczywiście – uśmiechnęła się z profesjonalną wprawą.

Klara oparła się łokciami o ladę i nachyliła do dziewczyny.

– No więc, pani Jolu... – zaczęła. – Umówiłam się tutaj z moją znajomą, miała być u was na szkoleniu. Przyjechałam specjalnie, żeby coś od niej odebrać, tylko że ona nie odbiera komórki.

Recepcjonistka zrobiła współczującą minę.

– Bardzo mi przykro – powiedziała. – Może po prostu siedzi w sali konferencyjnej i ma wyłączony telefon? – Rzuciła okiem na monitor. – Wykład kończy się za pół godziny.

Klara pokiwała głową.

– To jest oczywiście jakaś opcja – przyznała. – Ale czy byłaby pani taka miła i sprawdziła, czy ona tu w ogóle jest? Żeby nie czekała bez sensu.

Recepcjonistka zawahała się.

– Bardzo proszę... – Klara uśmiechnęła się błagalnie. – Na pewno bank podał pani listę uczestników...

– Dobrze – zgodziła się Jola. – Poproszę nazwisko tej pani.

I przysunęła sobie klawiaturę komputera.

– Dorota Wysocka – powiedziała szybko Klara.

Recepcjonistka wpisała nazwisko do systemu.

– Nie, nie ma jej – stwierdziła. – Bardzo mi przykro.

Prawdę mówiąc, właśnie takiej odpowiedzi Klara się spodziewała. Banalna robota. Jeżeli Wysocka nie bierze udziału w szkoleniu, to znaczy, że Nowocien nie ma z nią romansu. Kochankę ściągnąłby tutaj na sto procent.

Podziękowała grzecznie recepcjonistce i już miała odejść, kiedy nagle poczuła intensywny zapach męskich perfum. Dziwnie znajomy. W tym momencie tuż obok niej przy ladzie pojawił się Nowocien we własnej, świetnie ubranej i bardzo przystojnej osobie. Oparł się łokciami o czarny, błyszczący blat i nachylił do recepcjonistki.

– Dzień dobry, pani Jolu – powiedział, a Klara zamarła.

Bo w głosie mężczyzny wyczuła coś, co była w stanie rozpoznać na pięć kilometrów pod wiatr – pożądanie.

„O ja piernicę...”, pomyślała, przenosząc wzrok na dziewczynę. I jeżeli mogła mieć wcześniej jakieś wątpliwości co do poziomu zażyłości tych dwojga, natychmiast się ich pozbyła – policzki recepcjonistki, jej szyja, a nawet dekolt pokryły się rumieńcem tak intensywnym, jakby ktoś polał ją koncentratem czerwonego barszczu.

– Dzień dobry, panie Jarku – odpowiedziała dziewczyna. – Miło znów pana u nas widzieć.

Wydawałoby się, że zapadła cisza, jednak Klara, oglądająca z ogromnym zainteresowaniem ulotki reklamowe wyłożone na blacie, dałaby głowę, że w powietrzu między tymi dwojgiem zachodzą gwałtowne wyładowania elektryczne.

– Jaki pokój ma pani dla mnie tym razem? – odezwał się po dłuższej chwili Nowocien.

Recepcjonistka z uśmiechem podała mu kartę.

– Numer siedem. Tu obok, na parterze.

– Nie wiem, czy trafię.

Dziewczyna zarumieniła się, o ile to możliwe, jeszcze bardziej.

– W takim razie pokażę panu.

Wyszła zza lady i skierowała się w stronę hotelowego lobby. Nowocien szedł za nią, nie spuszczać wzroku z jej bioder. Klara wyciągnęła z kieszeni telefon, włączyła aparat i zachowując bezpieczny dystans, ruszyła za nimi.

Minęli wejście do restauracji i na siłownię, po czym recepcjonistka skrzyła w prawo, w korytarz. Klara zatrzymała się, przygotowała komórkę, a potem wychyliła się ostrożnie zza rogu...

Tak jak się spodziewała, Nowocień nie wytrzymał i zabrał się do całowania, jeszcze zanim weszli do pokoju. „No jednak idiota”, pomyślała Klara, pstrykając zdjęcia, jedno za drugim.

Właśnie robiła zbliżenie na jego dłoń, przesuając się po udzie kobiety, kiedy w kieszeni marynarki mężczyzny zadzwonił telefon. Nowocień niechętnie oderwał się od kochanki i sięgnął po aparat. Niestety, podnosząc go do ucha, spojrzął w kierunku wylotu korytarza i stojącej tam z komórką w dłoni Klary...

ROZDZIAŁ 4

Gaja nacisnęła gaz i potężny czerwony land rover wyskoczył do przodu jak dźgnięty ostrogą koń.

Kiedy mijaly wejście do hotelu, ze środka wypadł wyraźnie wkurzony Nowocień i zaczął się nerwowo rozglądać. Omiótł wściekłym wzrokiem przejeżdżające auto, ale skulonej na podłodze Klary nie zauważył.

– Już – oznajmiła Gaja, skręcając z hotelowego podjazdu na szosę.

Klara wciągnęła się z powrotem na miejsce i umościła na fotelu, a potem sięgnęła ręką do głowy i odpięła klamrę przytrzymującą kok. Długie, gęste włosy dziewczyny rozsypały się rudą burzą, zmieniając jej wygląd nie do poznania.

– Co to było? – spytała Gaja lodowatym tonem.

Posiadanie własnej agencji detektywistycznej miało mnóstwo plusów i tylko jeden minus. Tym minusem była Klara. Niesforna, przesadnie pewna siebie była modelka, za którą, gdziekolwiek się pojawiała, oglądało się dziewięćdziesiąt dziewięć procent męskiej populacji. Choć pracowały ze sobą dopiero kilka tygodni, zdążyła już odwalić kilka takich numerów, że na ich wspomnienie Gai dłonie same zaciskały się w pięści. Dlatego teraz, choć Gaja nie miała pojęcia, co się stało, nagła ewakuacja sugerowała jedno – że Klara zawałiła.

– Zorientował się – odpowiedziała nieuważnie dziewczyna, szukając czegoś w plecaku.

– Jakim cudem? Przecież miałaś tylko sprawdzić, czy ta jego pracownica będzie na szkoleniu! Żadnego rzucania się w oczy! Żadnego, kurde, kontaktu!

Klara wyciągnęła z plecaka paczkę wafelków familijnych i otworzyła ją zdecydowanym szarpnięciem. Chmura białych okruszków wystrzeliła w powietrze i opadła na deskę rozdzielczą auta. Nie poprawiło to Gai humoru.

– Jak dobrze, że nie masz samochodu – zauważyła z przekąsem. – Wolę nie myśleć, jaki tam byłby syf. Sprzątnij to – dodała stanowczo.

Klara przewróciła oczami jak zawsze, kiedy Gaja wydawała jej polecenia, nabrała powietrza i mocno dmuchnęła, dzięki czemu słodki pył zniknął z deski rozdzielczej, roznosząc się po całym wnętrzu.

– Jezu, Klara! – Gaja zaczynała być naprawdę zła.

– Oj dobra, przecież nic się nie stało.

Dziewczyna wyjęła z paczki wafelka i pochłonęła go dwoma chrupnięciami.

– Jestem głodna – wyjaśniła trochę niewyraźnie.

– Mów, co tam się stało – warknęła Gaja.

To było już ich czwarte zlecenie, właściwie piąte, licząc sprawę Nikodema Peszka, która zrobiła im w Milanówku taką reklamę, że do ich agencji zaczęły się pielgrzymki klientek, głównie okolicznych żon, podejrzewających swoich mężów o zdradę.

Z nawału zleceń Gaja wybrała na początek kilka najprostszych. Uznała bowiem, że po tym, jak zlecenie od Peszka pociągnęło je na głębokie, mętne i kompletnie nieznane wody poszukiwania mordercy młodej dziewczyny, warto zrobić kilka kroków wstecz i zacząć się uczyć zawodu detektywa w bardziej komfortowych warunkach niż sprawa zabójstwa.

I szło im nawet nieźle, jeśli nie liczyć nieustannych spięć z Klarą, której podejścia do pracy nie można było nazwać ani ambitnym, ani sumiennym.

Poprawka. Szło im nieźle do teraz.

– No powiedz coś! – Gaja uderzyła pięścią w kierownicę. – Dlaczego cię gonil?

Klara chrupnęła kolejnego wafelka.

– Bo go przyłapałam na obściskiwaniu się z recepcjonistką – wyjaśniła.

Gaja zahamowała tak ostro, że żółta skoda jadąca za nimi o mało nie wpakowała im się w tył.

– Z recepcjonistką? – powtórzyła z niedowierzaniem.

– Jeśli nie zjedziesz z pasa, to zaraz ktoś w nas przywali – zwróciła jej uwagę Klara. – Tak, z dziewczyną o imieniu Jola, pracującą w recepcji.

Gaja ruszyła, a Klara szybko streściła jej całe zajście. Kiedy skończyła, Gaja zrozumiała, że nie powinna się na Klarę wściekać, tylko jej podziękować.

– Zdjęcia masz?

– Mnóstwo.

Klara podsunęła Gai telefon pod nos. Charakter relacji widocznych na fotografiach osób nie pozostawiał żadnych wątpliwości.

– Trafiony, zatopiony. – W głosie Klary zabrzmiała duma. – Super, nie?

– Tak, oczywiście.

Gaja wiedziała, że również powinna się cieszyć, ale – nie potrafiła. Sukces agencji był bowiem w tym wypadku czyjąś osobistą porażką. Udowodniona zdrada pociągała za sobą konsekwencje, najczęściej druzgoczące. Gaja przerobiła to zresztą na własnej skórze.

– Zamykamy zlecenie – zdecydowała. – Na jutro rano chcę mieć raport. Wyślemy i bierzemy następne.

Jednocześnie uświadomiła sobie, jak blisko były wpadki. Gdyby Klara podeszła do recepcji dziesięć minut wcześniej lub pięć minut później, w raporcie dla klientki napisałyby, że Nowocien jest czysty. Jego żona przyjąłaby zapewne tę informację z radością i ulgą i, być może, romans jej męża rozszedłby się po kościach bez żadnych konsekwencji... Była też druga możliwość – nieświadoma sytuacji kobieta zostałaby nagle skonfrontowana z rzeczywistością rozwodu, a nie mając w rękę żadnej broni, przegrałaby z kretesem.

Gaja nie mogła nie pomyśleć w tym momencie o sobie. Co by się stało, gdyby nie odkryła romansu Artura? Czy ich małżeństwo by przetrwało? A może odszedłby do Olgi pomimo wszystko? Na co dzień starała się tego nie analizować, za dużo napięć w jej ciele się wtedy pojawiało. Ale za każdym razem, kiedy musiała się skonfrontować z historią zdrady kolejnej klientki, ten ból powracał.

Założyła agencję, żeby pomagać kobietom i – no cóż – mścić się w ich imieniu. Myślała, że demaskując niewiernych mężów, w jakiś symboliczny sposób weźmie odwet na Arturze i że da jej to poczucie siły i satysfakcji, a okazało się, że dostała w pakiecie masochistyczny ból rozdrapywanych ran.

– Znowu myślisz o szanownym małżonku? – Klarze nie można było odmówić spostrzegawczości. – Chcesz o tym pogadać?

Gaja uśmiechnęła się sztucznie.

– Nie, no coś ty. Poradzę sobie. Jestem samowystarczalna.

– Czasami samowystarczalność nie wystarcza – zauważyła Klara sentencjonalnie. – A propos! Co z Pawłem?

„No właśnie. Co z Pawłem?” Gaja nie bardzo potrafiła odpowiedzieć na to pytanie. Paweł, jej pierwsza wielka miłość. Jej pierwszy mężczyzna i pierwszy miłosny zawód, który właśnie ponownie pojawił się w jej życiu po dwudziestu trzech latach. Ale czy w nim zostanie? Na to pytanie na razie ani ona, ani on nie znali odpowiedzi.

– Nic. A co ma być?

Klara parsknęła, a okruszki wafelków wystrzeliły z jej ust niczym biały proszek z gaśnicy.

– Tak. Pewnie. Nic.

– Daj spokój. To zwykła znajomość.

– Żebyś ty siebie teraz widziała...

– Następnym razem będziesz biegła za samochodem. Dokąd cię zawieźć?

– Do Milanówka. Mam u Nika motocykl. I chyba zostanie tam na noc.

– A laptop? Laptop masz?

– Dżizas... Napiszę ci ten raport, nie napinaj się tak. Będziesz miała na rano.

Oprócz kolejki klientów kolejnym efektem tego, że udało im się rozwiązać sprawę morderstwa nastolatki, był romans Klary. Choć Gai wydawało się to absurdalne, Klara zaczęła sypiać z Nikodemem Peszkim, nauczycielem podejrzanym o zabójstwo, którego w spektakularny sposób oczyściły z zarzutów. Nowy związek, co sama zainteresowana lubiała podkreślać, był jak na jej standardy wyjątkowo trwały, bo ciągnął się już od kilku tygodni. Kiedyś w przypływie szczerości Klara wyznała, że Nikodem to pierwszy facet w jej życiu, który ma ideały, i to ją w nim fascynuje najbardziej.

– Czyli co? Ósma? Dziewiąta?

– Miałam raczej na myśli dwunastą – rzuciła beztrosko Klara.

Gaja musiała się przy Klarze bardzo pilnować, żeby nie wzdychać. Westchnienie było oznaką słabości, a Gaja nie zamierzała dawać Klarze takiej satysfakcji, choć przecież okazji do wzdychania miała co niemiara. Bo ich relacja wyglądała tak, że Klara szła przez suchy las, wzniecając pożary, a Gaja biegła za nią z wiadrem wody, usiłując je gasić. I to, że angażując Klarę do pracy, Gaja miała tego pełną świadomość, niewiele jej teraz pomagało.

– Dziesiąta, ani minuty później – oświadczyła stanowczo. – A jak już mi go wyślesz, przyjdź do biura, wybierzemy kolejną sprawę.

– Kolejną nudną sprawę... – poprawiła ją ruda.

– Hej, o co ci chodzi?

– One są wszystkie na jedno kopyto. – Klara wzruszyła ramionami. – Nie żebym się żaliła, ale jednak morderstwo to morderstwo, a nie jakaś tam głupia zdrada.

– Prywatnym agencjom detektywistycznym nie zleca się spraw o morderstwo – uświadomiła ją Gaja.

– Nasza pierwsza sprawa była sprawą o morderstwo – odparowała Klara.

Najgorsze było to, że Gaja zgadzała się z nią całkowicie. Śledzenie niewiernych mężów składało się głównie z godzin spędzonych w aucie zaparkowanym pod domem domniemanej kochanki

przeplatanych godzinami spędzonymi w samochodzie zaparkowanym pod hotelem, przeplatanych godzinami spędzonymi w samochodzie zaparkowanym pod biurem...

Gaja nie przypuszczała, że nawet ją zaczęło to tak szybko nużyć.

„Przydałoby się nam jakieś urozmaicenie”, pomyślała.

Oczywiście w złą godzinę.

ROZDZIAŁ 5

Gaja wysadziła Klarę na Baśniowej, przed domem matki Nikodema. W ogrodzie, oprócz bujnie kwitnącej forsycji, wzrok przyciągał nowoczesny, błyszczący motocykl Suzuki Bandit, jakby dla kontrastu zaparkowany przy rozpadającej się i omszałej cembrowinie starej studni.

Kiedy Gaja zobaczyła suzuki po raz pierwszy, pomyślała, że fantastycznie byłoby mieć taki sprzęt w agencji. A jednak do tej pory przydał się im do śledzenia tylko raz. Może w Warszawie mniej by się rzucał w oczy, ale tutaj, w Milanówku, maszyna budziła zbyt duże zainteresowanie.

Inna sprawa, że samochód Gai również do dyskretnych nie należał. Land rovery z zasady przyciągają uwagę, a land rover Gai był w dodatku czerwony. I obwieszony reflektorami. Zakładając agencję, obiecywała sobie, że zaraz go sprzeda i kupi sobie coś przeciętnego i dyskretnego, jednak pani mecenas, która prowadziła jej rozwód, poradziła, żeby zanim nie usiądą do negocjacji z Arturem, nie wykonywała żadnych większych ruchów finansowych. Gaja dalej jeździła więc wielkim czerwonym smokiem, a w awaryjnych sytuacjach pożyczala od Matyldy, swojej sąsiadki i przyjaciółki, jej osiemnastoletnią toyotę, która na drodze, niczym kameleon, idealnie wtapiała się w tło.

Tych negocjacji rozwodowych nie mogła się już doczekać. Chciała jak najszybciej załatwić sprawę, wziąć rozwód i na ile się tylko da, odciąć przeszłość. Może wtedy to nieprzyjemne fizyczne uczucie, którego doświadczała za każdym razem, kiedy przypominała sobie o zdradzie Artura, minie?

Właśnie skręcała w swoją ulicę, kiedy zadzwoniła komórka, a na panelu samochodowym wyskoczył napis „połączenie od NATALIA”.

Zaskoczona kliknęła opcję „odbierz”.

– No niemożliwe! Natka?

– Tak, wyobraź sobie! Co u ciebie?

Z Natalią poznały się dawno temu, w Kazimierzu, podczas warsztatów artystycznych dla dzieci z domu dziecka, które organizowała fundacja Gai. W programie, oprócz pleneru malarskiego, znalazły się też warsztaty pisania scenariuszy prowadzone właśnie przez Natalię. Dziewczyna nosiła dredy i kolorowe etniczne ciuchy, miała kolczyk w nosie i kilka przepięknych tatuaży. Do tego uprawiała jogę, medytowała i jeździła na warsztaty mindfulness, co bardzo Gai imponowało. Zwłaszcza że jej luźne i bezstresowe podejście do życia fantastycznie się sprawdzało podczas pracy z dziećmi.

Warsztaty stały się imprezą cykliczną, dzięki czemu Gaja widywała Natalię przynajmniej raz w roku, zdarzało im się też czasami umawiać w mieście na kawę. Ostatni raz spotkały się w listopadzie, czyli jeszcze przed rozstaniem z Arturem.

– U mnie dużo zmian. Nie na telefon...

– A co robisz dziś wieczorem? – przerwała jej Natalia.

Gaja zahamowała przed swoją bramą.

– Właściwie nic. Ale do Warszawy się nie ruszę. Nie chcę zostawiać Heleny samej.

– No i to się fantastycznie składa, bo ja chętnie przyjadę do ciebie!

– Do mnie do Milanówka? – upewniła się, zaskoczona.

– Tak! Właściwie już tu jestem. Mam za chwilę spotkanie u takiej babeczki, pisarki, ona się nazywa Banach. Monika Banach...

– Wiem, kto to! – przerwała jej Gaja. – Moja przyjaciółka robiła z nią niedawno wywiad.

– A ja, wyobraź sobie, zaczynam pracę nad serialem według jej najnowszej książki.

– Wspaniała wiadomość! Gratulacje!

– Nie dziękuję. Wiesz, jak to jest z takimi projektami. Ale strasznie bym chciała, żeby wyszło.

– Trzymam kciuki w takim razie.

– Myślę, że posiedzimy dwie, maks trzy godziny i potem bym mogła wpaść do ciebie.

– Koniecznie! Strasznie się cieszę!

– Ja też. Si ju!

I rozłączyła się.

Matylda uwielbiała gotować. Czy raczej: uwielbiała karmić, a gotowanie traktowała jako nieodłączną część tego procesu. Korzystała najczęściej ze starych, sprawdzonych przepisów swojej matki, czasami zaglądała też do książek kucharskich, za to do internetu prawie nigdy, ponieważ przepisy na monitorze komputera czy ekranie telefonu wydawały jej się zbyt odległe i bezosobowe. Dzięki temu jej kuchnia była kuchnią tradycyjną oraz mało wysublimowaną. Matylda produkowała dania proste, smaczne i sycące i robiła to z dużą wprawą. Jedyne problemy polegały na tym, żeby smakowały jednocześnie i mężowi, i córkom, co jednak nie zawsze się udawało. Dlatego czasami, kiedy miała i czas, i siłę, bawiła się w dwie różne wersje obiadu czy kolacji.

Dzisiaj nie miała ani czasu, ani siły, mimo to postanowiła przygotować dla siebie i Maćka coś, na co od dawna miała ochotę, a czego dziewczynki z pewnością by nie tknęły, czyli sałatkę z małży. Chciała w jakiś sposób uczcić ukazanie się biuletynu z wywiadem.

– Ale tu śmiesz – stwierdziła starsza córka, dziesięcioletnia Ala, wchodząc do kuchni. Ostentacyjnie zatkała sobie nos palcami. – Jeżeli to jest na kolację, to ja tego na pewno nie będę jadła.

– Oczywiście, że nie, bo to jest dla mnie i dla taty. Sałatka z małży.

– I to te małże tak pachną?

– Nie małże, tylko gotowany seler.

– Blee... ..

– Dla was będą kanapki.

Ala oparła się łokciami o blat i obserwowała, jak Matylda kroi seler w kostkę i dorzuca do miski z pokrojonymi już wcześniej ziemniakami.

– Pomóc ci? – spytała bez przekonania.

Matylda wyjęła z lodówki pęczek natki. Teoretycznie mogłaby teraz poprosić córkę, żeby go posiekała, jednak jej przesadnie rozbudowana wyobraźnia natychmiast podsunęła jej wizję ostrza noża lądującego na małym paluszku... Aż się wzdrygnęła.

– Innym razem. – Uśmiechnęła się trochę sztucznie, bo wiedziała, że inny raz jeszcze długo nie nastąpi.

Matylda należała do osób lękowych i świetnie zdawała sobie z tego sprawę. Między innymi dzięki Gai, która próbowała uświadomić przyjaciółce, jak bardzo ograniczającym uczuciem jest lęk i ile traci, podporządkowując mu swoje życie. Ale zmiana tak głęboko zakorzenionych mechanizmów nie jest prosta...

Dlatego ciągle jej pierwszą odruchową reakcją był krok w tył.

O dziwo, nie zrobiła go, kiedy pojawił się temat wywiadu z Moniką Banach. Może dlatego, że na gruncie zawodowym powoli zaczynała się czuć coraz pewniej? Rosnący nakład, zainteresowanie czytelników, ożywione dyskusje na Facebooku wywołane jej artykułami oraz – co najważniejsze – uznanie burmistrza dodawały Matyldzie skrzydeł. Dodawały jej też niestety pracy, dlatego coraz częściej zdarzało się, że musiała zostawać w urzędzie po godzinach, czego nie zносиła.

Odkręciła słoik z marynowanymi małżami i powąchała je. Pachniały ostro i kusząco. Kolacja będzie wspaniała. A kiedy dziewczynki zasną, może uda jej się jeszcze wyskoczyć na chwilę do Gai i dać jej biuletyn z wywiadem. Wiedziała, że przyjaciółka doceni go jak nikt.

– To za spotkanie! – powiedziała Natalia, unosząc kieliszek tak energicznie, że kilka kropeł chłodnego białego wina wytrysnęło w górę, ponad ścianki kieliszka, i spłynęło po szkle na jej palce.

– Za spotkanie! – Gaja upiła spory łyk. – Hmmm... dobre! – stwierdziła z uznaniem.

– Mam nadzieję. Dałam pięć dych w waszej biedrze. Coś czuję, że będę musiała zostać u ciebie na noc. – Natalia zrzuciła znoszone granatowe trampki i podwinęła nogi pod siebie. Jak zwykle była ubrana w luźne, wygodne, kolorowe ciuchy, kojarzące się raczej z koncertem muzyki folkowej niż spotkaniem służbowym. – Mam nadzieję, że Artur nie będzie miał nic przeciw temu?

Gaja odstawiła kieliszek i poprawiła się na kanapie.

– Nie sądzę. W marcu się wyprowadził do kochanki.

Natalia nabrała głośno powietrza i na chwilę zamilkła.

– No cóż, jego wybór... – stwierdziła po chwili. – A dla ciebie znak, że musisz iść dalej, szukać nowych dróg realizacji siebie...

Gaja pomyślała o agencji.

– Jasne. Tylko wolałabym nie być do tego zmuszana.

– Widocznie sama byś się na to nie zdobyła – zauważyła łagodnym tonem Natalia. – Potrzebowałaś impulsu.

Nic tak nie potrafi wkurzyć jak czyjś zen...

– Zostawmy to, OK? – ucięła Gaja.

W salonie zapanowała cisza.

– Pięknie tu u ciebie – odezwała się po chwili jak gdyby nigdy nic Natalia. – Ten dom kupiliście gotowy czy budowaliście sami?

„Dlaczego ta wizyta jest taka trudna?“, jęknęła w duchu Gaja.

– To dom po moich rodzicach.

Kiedy do Natalii dotarło znaczenie tego, co usłyszała, odstawiła kieliszek i przysunęła się do Gai.

– Przepraszam – powiedziała cicho, dotykając jej ramienia. – Zapomniałam kompletnie. Jak ci się tutaj mieszka?

Natalia szła jak czołg. Czołg praktykujący uważność.

– No cóż... Dom przeszedł gruntowny remont, właściwie można powiedzieć, że został zbudowany na nowo. Mieszkam tu od dziesięciu lat i to już naprawdę przestał być dla mnie temat.

– To bardzo dobrze, że się konfrontujesz z problemami, zamiast od nich uciekać – pochwaliła Natalia i znowu sięgnęła po kieliszek. – A nie chciałabyś na tym domu zarobić?

– Jak?

– Wynając do filmu? Mogłabyś go zarejestrować w bazie ofert, scenografowie korzystają z niej, szukając lokalizacji do kręcenia filmów albo seriali. W sumie z tego, co mówiła Banach, to by nawet pasował do tego naszego serialu jako dom głównej bohaterki.

Gaja patrzyła na Natalię, zaskoczona.

– Ciekawe...

– Ta przestrzeń tutaj... idealna. Pomyśl. Ludzie tak zarabiają, to są naprawdę konkretne pieniądze.

– Pomyślę – zgodziła się Gaja. – Ale rozumiem, że mam jeszcze trochę czasu?

– Wcale nie tak dużo. Po spotkaniu z tą kobietą w ogóle bym się nie zdziwiła, gdyby zdjęcia ruszyły jesienią. Ona jest bardzo konkretna i bardzo skuteczna... Prze do przodu jak lodołamacz. Wie, czego chce. A chce serialu.

– Moment, a scenariusz? – zainteresowała się Gaja. – Nie znam się na tym, ale chyba najpierw musicie mieć scenariusz, prawda?

– Jasne. Ale to pójdzie mi z łatwością. Jest nas w zespole dwoje, ja i Wojtek, spoko gość, potem sobie jeszcze kogoś dobierzemy. Albo Ewelina nam kogoś znajdzie.

– Ewelina?

– Agentka Banach. To ona nas wynajęła. Chce przygotować projekt serialu i dopiero potem szukać producenta. Nigdy dotąd tak nie pracowałam, ale zakładam, że wie, co robi. Zresztą Banach od razu narzuciła tempo. Przecież tę książkę skończyła pisać dopiero kilka dni temu.

– I jaka jest? Dobra?

Natalia pokręciła głową.

– Nie mam pojęcia. Jeszcze nie czytałam. Banach wciąż jest na etapie nanoszenia poprawek, wysłałam tekst, dopiero jak skończy.

– To jak mogliście pracować, nie znając treści? – zdziwiła się Gaja.

– To była taka wstępna, ogólna gadka, żeby się zakolegować. Zresztą Wojtkowi to nawet nieźle wyszło. – Natalia się roześmiała. – Ewidentnie sobie z panią autorką wpadli w oko.

– Tak damsko-męsko?

– Bardzo damsko-męsko. Dlatego wcześniej wyszłam. Zaczynałam się tam z nimi czuć niezręcznie. Nachyliła się do stołu i przysunęła sobie miseczkę z orzeszkami.

– Czy ona ma męża? – zapytała odruchowo Gaja.

– Chyba nie. Ale o jej życiu prywatnym niewiele wiadomo. Skryta jest.

W tym momencie rozległ się dzwonek do drzwi. Gaja podniosła się z kanapy i ruszyła do holu. O tej porze to mogła być tylko Matylda.

I była.

ROZDZIAŁ 6

W głowie Gai cały czas rozbrzmiewały słowa Natalii: „Konfrontujesz się z problemami, zamiast od nich uciekać”.

– No cóż, to nie była do końca prawda.

Wieczór spędziły bardzo miło. Gaja i Natalia przejrzały wywiad, Natalia uśmieła się z fragmentu o dyktafonie, bo ich spotkanie scenariuszowe Banach również nagrywała, wymieniły też z Matyldą uwagi na temat twórczości pisarki.

– A psa to ma absolutnie słodkiego... – zauważyła Matylda.

– No właśnie, pies! – Natalia się ożywiła. – Z tym psem to był cyrk. On co chwila do nas przybiegał, skakał, piszczał, sikał... Więc Monika go zamykała w łazience albo wyrzucała na dwór, a on drapał i szczekał, więc go wpuszczała z powrotem. I tak w kółko. Mnóstwo czasu przez niego straciliśmy. Czy raczej przez nią. – Przewróciła oczami. – Jak można brać szczeniaka do domu i nie ogarnąć klatki kennelowej? Ona nawet nie wiedziała, że coś takiego istnieje.

– Ja też nie wiedziałam – zauważyła Gaja.

– Ale ty nie masz w domu małego labradora. Mały labrador to zło. Mój brat ma labka, i przez pierwszy rok nie można go było zostawić nawet na pięć minut samego. Zjadł im kanapę, stół i drzwi tarasowe. Pies demolka!

Chwilę później Matylda uświadomiła sobie, że powinna wracać do domu.

Gaja odprowadziła ją do drzwi, a potem przygotowała pokój gościnny dla Natalii, dała jej ręcznik i pokazała łazienkę. Zajrzała też do Heleny, która mimo późnej pory uczyła się do klasówki z historii, i uprzedziła ją, że Natalia u nich nocuje. A kiedy wreszcie dotarła do siebie, opadła na łóżko i przez chwilę leżała bez ruchu, wpatrując się w sufit.

„Konfrontujesz się z problemami, zamiast od nich uciekać...”

Jeszcze miesiąc temu myślała tak samo. Że stawia czoło problemom. Że nie unika konfrontacji. Rozstanie z Arturem było tego przykładem. Przecież mogła udać sama przed sobą, że esemes z serduszkami wysłany przez męża do KSIĘGOWEJ wcale nie oznacza kłopotów. Mogła nie śledzić Artura, mogła nie robić mu zdjęć z kochanką. Ale podjęła wyzwanie. I mimo że to on na koniec ją przechwytywał, była z siebie naprawdę dumna.

Więc tak, jeszcze miesiąc temu zgodziłaby się z Natalią...

Ale potem do jej drzwi zadzwonił obcy mężczyzna i wręczył coś, co nagle odebrało jej wszystkie siły i całą odwagę. Coś, co wymagało odpowiedzi na pytanie, które bała się zadać.

Usiadła na łóżku, wyciągnęła rękę i dotknęła palcami ceramicznej gałki przy szufladzie nocnej szafki.

„Konfrontujesz się z problemami...”

Gaja zacisnęła palce na gałce tak mocno, żeby jej dłoń nie mogła się już cofnąć, i pociągnęła gwałtownie. Szuflada wysunęła się, ukazując morze drobiazgów: gumki do włosów, przybory do manikiuru, kilka buteleczek lakieru do paznokci, jakieś karteczki, chusteczki, pojedyncze ptasie piórka,

kilka różnokolorowych długopisów i ładowarkę do zegarka. Gaja odetchnęła kilka razy, żeby się uspokoić, po czym sięgnęła głębiej i wyciągnęła z szuflady to, co leżało w niej od miesiąca, i co od miesiąca przepalało drewno żywym ogniem.

Niewielki, złożony na pół kartonik. Na pierwszej stronie – litery PL w owalnej ramce. Na górze napis „Rzeczpospolita Polska”, na dole „prawo jazdy”.

Zebrała się na odwagę i otworzyła dokument.

Imię: Jan.

Nazwisko: Suchodolski.

I zdjęcie ojca, takiego, jakim go pamiętała. Ciemne włosy ostrzyżone na jeża, przystojna twarz i oczy, które nawet na tym zwykłym, pozowanym zdjęciu wydawały się śmiać do obiektywu.

Jak to się stało, że trzyma ten dokument w ręku?

Jej rodzice zginęli w pożarze, który ogarnął ich dom od piwnic aż po dach i strawił wszystko. Jak ten niewielki kartonik mógł ocaleć, skoro wszystkie inne dokumenty ojca spłonęły?

Tak, to właśnie tego pytania się bała, bo mogło oznaczać powrót do spraw, do których wracać nie chciała. A jednocześnie zdawała sobie sprawę, że jeżeli schowa z powrotem prawo jazdy do szuflady i zamknie ją, pozwoli tym samym, żeby jej życiem rządził strach.

Trzymając dokument w dwóch palcach, jakby ją parzył, zesłała na dół, wyjęła z torebki portfel i schowała do niego tę jedyną, niechcianą pamiątkę. Pierwszy krok został wykonany. Dokąd zaprowadzą ją kolejne? Nie miała pojęcia.

Kiedy wróciła do pokoju, na ekranie komórki czekało na nią powiadomienie o esemesie. Otworzyła wiadomość. Była od Pawła. „Widzimy się jutro?” „Tak”, odpisała, choć do tego rozdziału życia również bała się wracać.

ROZDZIAŁ 7

– A czy jak pani pisze scenariusz, to potem może pani wybrać aktorów do roli? – spytała Helena, wyskrobując z miseczki resztki owsianki.

Odkąd dziewczyna się dowiedziała, że Natalia jest scenarzystką, zasypywała ją pytaniami dotyczącymi więzi między tą pozornie zwykłą kobietą, siedzącą naprzeciwko niej i pochłaniającą z apetytem jajecznicę, a magicznym światem filmu.

– Scenarzyści nie mają aż tyle do powiedzenia – wyjaśniła Natalia. – Aktorów wybiera reżyser razem z osobą odpowiedzialną za casting. I czasami ich wizja w ogóle nie zgadza się z tym, jak scenarzysta sobie wyobraża daną postać.

Gaja właśnie skończyła przygotowywać lunch dla Heleny. Postawiła przed córką pudełko z kawałkami jabłka, banana i pomarańczy, a na pudełku położyła owinięte w przeźroczystą folię kanapki z ciemnego pieczywa z żółtym serem i papryką.

– Natalia, o której musisz być z powrotem w Warszawie?

– Wszystko jedno, nie mam nic pilnego. A co?

– To chodź z nami! Zawieziemy Helenę do szkoły, a potem ci pokażę Milanówek.

Dziesięć minut później wszystkie trzy siedziały w land roverze.

– Liście jeszcze nie zasłaniają widoku, pooglądamy sobie domy. Tu jest pełno pięknych przedwojennych willi, niektóre odnowione, inne niestety się sypią... – mówiła Gaja, prowadząc auto i rozglądając się jednocześnie dookoła. – O, widzisz, tutaj na przykład...

– Stój!!! – rozległ się nagle przeraźliwy krzyk Heleny.

Gaja z całej siły nacisnęła hamulec.

– Boże, co się stało? – Odwróciła się do córki, ale Heleny już w aucie nie było.

A kiedy znowu spojrzała na ulicę, zobaczyła dziewczynkę klęczącą na jezdni przed samochodem i tulącą do piersi coś małego.

Gaja wyskoczyła z auta.

– O mało go nie przejechałaś! – oświadczyła z wyrzutem Helena. – Zobacz, jak się trzęsie!

Tym czymś, co trzymała w objęciach, okazał się biszkoptowy szczeniak w czerwonej obróżce. Był prześliczny rozkoszną, gapowatą urodą dziecka i faktycznie przestraszony. Gaja niestety doskonale wiedziała, co się zaraz stanie.

– Weźmy go! Mamusiu, weźmy go! – miauknęła Helena. – Jest taki słodki... Proszę! Proszę! – Posłała matce błagalne spojrzenie.

– Kochanie, on na pewno jest czyjś – odpowiedziała Gaja kategorycznym tonem. – Zobacz, ma obrożę. Poproszę Matyldę, żeby wrzuciła ogłoszenie na facebookową stronę urzędu, możemy też rozlepić ogłoszenia na mieście. Przechowamy go, dopóki się nie znajdzie właściciel.

Helena pocałowała psa w łebek i niechętnie podniosła się z ziemi.

– A mogłabym nie iść do szkoły i się nim zająć? – spróbowała jeszcze.

Brak odpowiedzi był odpowiedzią.

Dziewczynka, obrażona, wróciła do samochodu i posadziła sobie psiaka na kolanach.

– Wygląda jak mały labrador – zauważyła Natalia. – I jest bardzo podobny do psa Moniki Banach – ciągnęła, z uwagą przyglądając się psu. – Możesz mi go pokazać bliżej?

Helena posłusznie się przysunęła.

– Tak! To on! Na pewno! – stwierdziła zaskoczona Natalia. – Poznaję obrozę! Jak się przy nas wczoraj kręcił, to sprawdzałam, czy nie ma za ciasno zapiętej.

Gaja natychmiast poczuła ulgę.

– W takim razie, Helena, ty do szkoły, a my jedziemy oddać psa właścicielce – zarządziła. – Popatrzcie, jaki szczęśliwy zbieg okoliczności, że akurat na nas trafił!

Kiedy mniej więcej kwadrans później podjechały pod dom pisarki, zobaczyły zaparkowane na ulicy zielone mini countryman i stojącą przy furtce kobietę w długim do ziemi, jaskrawopomarańczowym płaszczu. Natalia poprawiła sobie psa na kolanach.

– A to jest właśnie Ewelina – zakomunikowała. – Ta agentka, która mnie wynajęła do pisania scenariusza.

Wysiadły z auta.

– Co ty tu robisz? – zdziwiła się Ewelina na widok Natalii. – Przecież miałaś być wczoraj?

– I byłam. Zostałam na noc u przyjaciółki, tu w sąsiedztwie. A teraz znalazłyśmy psa Moniki i przyjechałyśmy go oddać.

Agentka wyglądała na zaskoczoną.

– Znalazłyście jej psa?

– Musiał się jakoś wydostać z ogrodu, bo biegał po ulicy i Gaja o mało go nie przejechała – wyjaśniła Natalia. – Banach pewnie się niepokoi.

– Nie wiem, czy się niepokoi, ale na pewno nie otwiera – odpowiedziała Ewelina. – Ani nie odbiera telefonu. Dobijam się do niej już z dziesięć minut i nic.

– Może zorientowała się, że pies uciekł, i pojechała go szukać? – zasugerowała Natalia.

Agentka stanowczo pokręciła głową.

– Byłyśmy umówione na dziesiątą. Ona nigdy się nie spóźnia. A gdyby szukała psa, to przecież odebrałaby telefon.

– Może ja spróbuję zadzwonić. – Natalia podała zwierzaka Gai.

Szczeniak natychmiast zaczął ją lizać po twarzy. Pachniał słodko mlekiem, a Gaja podziękowała w duchu Temu, który Odpowiada za Zbiegi Okoliczności, że pies ma właściciela. Inaczej kto wie, czy prośby Heleny nie zostałyby wysłuchane.

Natalia wybrała numer telefonu Banach. Po sześciu sygnałach włączyła się poczta głosowa, a na dzwonek, który co chwila naciskała agentka, również nikt nie reagował.

Czas płynął, sytuacja się nie zmieniała. Gaja poczuła, że jeżeli nie zainterweniuje, będą tak tutaj stać do wieczora.

„Jak pies się wydostał z ogrodu?“, zaczęła się zastanawiać. Osadzony na solidnej podmurówce płot nie wyglądał na taki, przez który można się łatwo przedostać na drugą stronę. Gaja podeszła do bramy... Między słupkiem a skrzydłem zauważyła szparę, przez którą pies spokojnie mógł się

przecisnąć. Poprawiła szczeniaka pod pachą, chwyciła za metalową ramę bramy i pociągnęła... Skrzydło przesunęło się bezszelestnie i ogród Moniki Banach stanął przed nimi otworem.

ROZDZIAŁ 8

– Jej auto – stwierdziła agentka, wskazując na stojące w otwartym garażu volvo. – Czyli powinna być w domu.

Drogę pomiędzy bramą a garażem wysypano jasnym żwirem. Ten sam żwir pokrywał również ścieżkę prowadzącą przez trawnik w kierunku domu. Agentka ruszyła nią energicznym krokiem, a kamyki zachrzęściły nieprzyjemnie pod jej butami.

Pies na widok znajomego miejsca zaczął się wyrwać. Kiedy Gaja z ulgą postawiła go na ziemi, zwierzę wystrzeliło jak z procy i po chwili znikło na tyłach domu.

Sam budynek był prostą, nowoczesną bryłą, której szarą elewację ozdabiał mural z motywem koronki.

Gaja pokiwała z uznaniem głową.

– Pani Banach ma niezły gust – zauważyła. – I musi sprzedawać sporo książek. Znam autorkę tego fresku, tania nie jest.

Frontowe drzwi okazały się zamknięte. Agentka kilka razy szarpnęła za klamkę, bez rezultatu. Zapukała więc, a potem uderzyła w drzwi kilka razy otwartą dłońią. W środku w dalszym ciągu panowała cisza.

Po dłuższej chwili przez świetlik w drzwiach zobaczyły, że w holu domu, nie wiadomo skąd, pojawił się szczeniak. Natalia roześmiała się i zapukała w szybę, a Gaja zaczęła się zastanawiać, jak zwierzę dostało się do środka.

– Czy tu jest gdzieś drugie wejście?

– Tak, z tyłu, drzwi tarasowe – potwierdziła agentka.

– Sprawdźmy je.

Ewelina szła pierwsza, Gaja i Natalia za nią. Ścieżka poprowadziła je na tył domu, gdzie ich oczom ukazał się rozległy, wyłożony jasnym gresem taras. Prowadzące do budynku szerokie przesuwne drzwi były uchylone.

– Nie podoba mi się to – powiedziała cicho Natalia.

Gaja podeszła bliżej, chwyciła ramę przez rękaw kurtki i lekko pociągnęła. Drzwi odsunęły się, zapraszając do środka.

– Halo, proszę pani!!! – krzyknęła w głąb mieszkania. – Jest tu kto?!

Odpowiedziała jej cisza.

Przez przesłonięte ciężkimi zasłonami okna wpadało niewiele światła i z zewnątrz trudno było zobaczyć cokolwiek poza konturami mebli. Gaja zrobiła krok do środka, a pod jej nogami coś zachrzęściło. Spojrzała w dół. Podłoga usiana była drobnuteńkimi odłamkami szkła.

– Tu się chyba coś stało... – szepnęła Natalia, zaglądając Gai przez ramię.

Rzeczywiście, na środku salonu, niczym przewrócony na plecy żółw, leżał okrągły metalowy stółik, którego nogi oskarżycielsko celowały w sufit. Dookoła niego na podłodze wały się ściągnięte

z kanapy poduszki, potłuczone naczynia oraz ziemia z rozbitej doniczki.

– O cholera – powiedziała drżącym głosem agentka. – Jej się musiało coś stać! Monika! Monikaaaaa!

– Rozejrzyjmy się. – Gaja w naturalny sposób przejęła inicjatywę. – Natalia, na górę...

– W życiu! – Natalia odruchowo się cofnęła. – Sama nigdzie nie idę.

– Dobrze, w takim razie pójdziemy razem – zgodziła się Gaja. – A pani niech sprawdzi parter – poleciała agentce.

Ruszyły z Natalią na piętro. Gaja czuła w ciele znajome napięcie wywołane przez adrenalinę. Stawiała stopy ostrożnie i cicho, jednocześnie cały czas badając wzrokiem przestrzeń przed sobą. Nie wiedziała, czego się spodziewać, ale nie chciała dać się zaskoczyć.

Kiedy tak pokonywała stopień po stopniu, przypomniała jej się scena ze *Ściganego*, w której Harrison Ford, filmowy doktor Kimble, wchodzi po schodach na piętro swojego domu, nie wiedząc, że kilka metrów dalej, w sypialni, morderca właśnie zabija jego żonę...

Gaję zalała nagle tak silna fala irracjonalnego lęku, że musiała się na chwilę zatrzymać.

– Co jest? – spytała szeptem Natalia.

Gaja odczekała, aż obraz zmasakrowanych zwłok kobiety zniknie jej sprzed oczu, i bez słowa ruszyła dalej. Jeszcze pięć stopni, trzy, dwa, jeden... i znalazły się na korytarzu pierwszego piętra. Był pusty.

Gaja podeszła do najbliższych drzwi i nie czekając, aż lęk ją sparaliżuje, nacisnęła klamkę.

Sypialnia Moniki Banach była przestronna i jasna, i – co najważniejsze – nie znajdowały się w niej żadne zwłoki. Środek zajmowało podwójne łóżko, przykryte jedwabną kapą w kolorze morskiej zieleni, pod jedną ze ścian stała toaleta z owalnym lustrem, pod drugą – czarny ratanowy fotel. W pokoju panował idealny porządek. Kosmetyki na toalecie prężyły się w równych rzędach, a książki na szafce nocnej były ułożone od największej na spodzie do najmniejszej na samej górze. Gaja z ciekawości sprawdziła tytuły: *Zabójstwo Rogera Ackroyda*, autobiografia Christie i *Co do grosza* Jeffreya Archera. Wszystkie trzy tytuły знаła, choć Archera czytała bardzo dawno temu i treści praktycznie nie pamiętała.

Przesunęła dłonią po kapie, gładkiej i śliskiej. Staranność, z jaką łóżko zostało nią nakryte, wymagała czasu i cierpliwości. No cóż, jeżeli Banach spędziła tutaj dzisiejszą noc, to z pewnością nie opuściła pokoju w pośpiechu.

Wyszły z sypialni na korytarz. Drugie drzwi po prawej stronie prowadziły do łazienki, a drzwi naprzeciwko – do pokoju gościnnego. Ani w jednym, ani w drugim pomieszczeniu po Monice Banach również nie było śladu.

Kiedy schodziły z powrotem na parter, usłyszały dobiegające z dołu dziwne, metaliczne dźwięki.

– O Boże... – jęknęła Natalia. – Co to?

Okazało się, że hałas dochodzi z kuchni, a wydaje go pusta psia miska, w którą szczeniak wskakuje przednimi łapami, wprowadzając naczynie w dygot. Nie trzeba było jakiejś specjalnej wiedzy behawioralnej, żeby się zorientować, że jest po prostu głodny.

Gaja zaczęła się rozglądać w poszukiwaniu czegoś, czym mogłaby go nakarmić. Na stole zauważyła pozostałości po śniadaniu: schnące w koszyku pieczywo, miseczkę pełną rzodkiewek, deskę do krojenia pokrytą okruszkami, kubek z wypitą do połowy herbatą. Tak jakby osoba spożywająca posiłek nagle w połowie wstała i wyszła.

– Co się z nią mogło stać? – powiedziała do siebie półgłosem Gaja.

– Z kim? – rozległ się tuż za nią dziwnie znajomy głos.

Gaja odwróciła się gwałtownie. W drzwiach kuchni stała Klara. Miała na sobie czarne legginsy, czarną dresową bluzę i jaskrawożółte sportowe buty, a po jej zaczerwienionej z wysiłku twarzy spływały krople potu.

– Nie wierzę! – jęknęła Gaja. – Ty tu skąd?

Klara oparła się rękami o blat, pochyliła głowę i wzięła kilka głębokich oddechów.

– Biegałam – wydyszała.

– Tutaj?

– Po okolicy. – Wyprostowała się i odgarnęła opadające na czoło włosy. – Zobaczyłam twój samochód, więc zajrzałam.

Gaja pokręciła głową z niedowierzaniem.

– Do obcego domu?!

Klara przewróciła oczami.

– Oj tam, oj tam... Do domu Moniki Banach! Zawsze chciałam ją poznać. Czytałam kilka jej książek, fajnie pisze... I ma takiego słodkiego psiaka!

Nachyliła się i zaczęła drapać po grzbiecie szczeniaka, który, zmęczony oczekiwaniem na posiłek, padł na podłogę i rozłożył się na niej jak żaba.

Klara zaczęła ciekawie rozglądać się po kuchni, a jej wzrok padł na podeschnięte pieczywo w koszyku na blacie.

– Rany, jaka ja jestem głodna – westchnęła i chwyciła kromkę. A potem podeszła do lodówki i ją otworzyła.

– Ho, ho, całkiem przystojne mięsko... – Wyjęła ze środka półmisek z porcją fantazyjnie przybranego tataru. Obwąchała go i skubnęła odrobinę. – I nawet świeże. Chcesz spróbować? – zaproponowała Gai, a widząc jej niechętnie spojrzenie, zrobiła przepraszącą minę. – Sorry, zapomniałam, że ty nie jadasz mięsa.

Tego już było dla Gai za wiele.

– Klara, przestań! – zdenerwowała się. – Nie chodzi o mięso! Nie możesz tak po prostu grzebać w czyjejs lodówce!

– Och, wyluzuj! – prychnęła Klara. – Na pewno Banach nie miałyby nic przeciwko temu. A tak w ogóle to gdzie ona jest? Chciałabym się przywitać.

– Nie wiemy. Zniknęła – odpowiedziała niechętnie Gaja.

Klara za bardzo się tą wiadomością nie przejęła.

– Zaraz się pewnie znajdzie. – Odstawiła tataru i rozejrzała się po kompletnie pustych półkach. – Jezu, co za nędza... – westchnęła. – Idę na śniadanie do domu.

A Gai coś się w tym momencie przypomniało.

– O dziesiątej miałam mieć od ciebie raport. Przesłałaś mi?

– Oczywiście! – prychnęła Klara.

Nikt inny zapewne nie zwróciłby uwagi na sekundę wahania, która poprzedziła jej odpowiedź, ale Gaja przez ostatni miesiąc doszła do sporej wprawy w rozpoznawaniu, co z tego, co mówi Klara, jest prawdą, a co ściemną.

Dlatego bez słowa sięgnęła po telefon i otworzyła program pocztowy. Klara stała, oparta biodrami o blat, nie okazując śladu zdenerwowania. „Czyżbym się pomyliła?”, pomyślała Gaja, otwierając folder

„Przychodzące”, gdzie między korespondencją reklamową od Reserved, Netflix a Pani Swojego Czasu tkwił mejl nadany o dziewiątej czterdzieści pięć przez Klarę Kamińską z adresu kamykwbucie@wp.pl. Wyjątkowo adekwatnego adresu.

– Miał być na dziesiątą, więc jest na dziesiątą. – Klara uśmiechnęła się skromnie.

– A nawet kwadrans przed czasem. Brawo!

A jednak coś Gai nie pasowało... I bardzo szybko zorientowała się co.

– Tylko mi powiedz – odchrząknęła – gdzie jest załącznik?

Klara zatrzepotała bezradnie rzęsami, a miała rzęsy długie i gęste, jakby specjalnie do tej czynności stworzone.

– Ojoj... Nie ma załącznika? Jak to się mogło stać? – Sprawiała wrażenie szczerze zaskoczonej.

– Nie ma sprawy. Po prostu śmigaj do domu i wyślij mi szybciutko całość. – Mówiąc to, Gaja doskonale wiedziała, że żaden raport nie istnieje. Numer z mejlem bez załącznika był stary jak świat.

– Jasne, pewnie, już lecę! – Klara rozejrzała się ostatni raz po kuchni. – A jakby się pojawiła pani pisarka, to ją ode mnie serdecznie pozdrów. Pa, pa, piesku! – Poglaskała szczeniaka i bez pośpiechu odeszła, a Gaja pomyślała, że zanim Klara wypoci ten nieszczęsny raport, miną co najmniej dwie godziny. Dwie godziny, które może w takim razie z czystym sumieniem przeznaczyć na sprawę Moniki Banach. O ile w ogóle coś takiego jak sprawa Moniki Banach istniało.

ROZDZIAŁ 9

Tak, to prawda. Numer z wysłaniem mejla bez załącznika był stary jak świat i Klara stosowała go wiele razy, kiedy jeszcze pracowała w firmie zajmującej się białym wywiadem. Czasami mijało nawet pół dnia, zanim szef się zorientował, że w poczcie nie ma śladu po dokumencie, który Klara miała dla niego przygotować.

Z Gają jeszcze nigdy tej sztuczki nie próbowała i prawdę mówiąc, nie planowała próbować. Ale kiedy dzisiaj o dziewiątej trzydzieści, już przebrana w strój do biegania przypomniała sobie, że szefowa zleciła jej raport, coś wymyśleć musiała. Oczywiście, mogła po prostu usiąść do komputera, ale wtedy... No właśnie... wtedy już by jej się dzisiaj nie udało potrenować. A przecież obiecała Nikodemowi, że zrobi przynajmniej pięć kilometrów.

Klara właściwie nie przepadała za bieganiem. Był to sport jak dla niej zbyt monotony i nudny. Za to Nikodem kochał biegać, a Klara pierwszy raz w życiu zainteresowała się tym, co robi jej chłopak. Nie żeby łyknęła bakcyła, ale już kilka razy dała mu się namówić na wspólną trasę, a dzisiaj, właśnie dzisiaj, postanowiła pobiegać sama, i kiedy pochwaliła się swoimi planami Nikodemowi, naprawdę się ucieszył. W tym kontekście pomysł wysłania mejla bez załącznika praktycznie nasunął się sam.

I pewnie udałooby się jej przesunąć awanturę o kilka godzin, gdyby nie zobaczyła auta Gai zaparkowanego przed domem Banach i nie wpakowała się w związek z tym do środka. „Ciekawe, swoją drogą, co się z tą babeczką stało?“, zastanawiała się, idąc w kierunku bramy.

Nagle wzrok Klary przyciągnęło coś, na co zapewne nikt, kto nie jest fanem motocykli, nie zwróciłby uwagi – odcisnięty w wilgotnej ziemi pojedynczy ślad opony. Nie byle jakiej opony. Dziewczyna pochyliła się i obejrzała uważnie odcisk bieżnika, którego linie układały się w charakterystyczny rysunek anioła. A to oznaczało Pirelli Angel, w dodatku nową. Bo im więcej kilometrów się na niej przejechało, tym anioł robił się mniej wyraźny, aż w końcu kontur zmieniał się w kontur ducha.

Klara wyprostowała się. Czyżby Monika Banach odjechała stąd na motocyklu?

Wyciągnęła telefon i zrobiła zdjęcie odciskowi opony. Tak na wszelki wypadek.

Za oknem policyjnego radiowozu powoli przesuwali się rosące wzdłuż ulicy drzewa. Komisarz Grzegorz Lewin przyglądał się im, ze zdziwieniem odnotowując, że pączki już prawie zamieniły się w liście, a świeża zieleń zaczyna dominować nad brązową szarością pni i gałęzi. Tą wiosną zamierzał się cieszyć, a przynajmniej ją dostrzegać, na radość było chyba zbyt wcześnie.

Poprzednią wiosnę przegapił, zajęty pracą. Przegapił też kilka innych rzeczy, w tym tę najważniejszą – obecność żony. Jej śmiech, jej dotyk, jej prośby, żeby choć odrobinę zwolnił, odpuścił, żeby spędzali ze sobą więcej czasu. A potem przyszło lato i już było za późno. Nagła diagnoza, kilka miesiocy bólu i koniec. Została mu dotkliwa tęsknota i wyrzuty sumienia, z którymi do dzisiaj nie potrafił sobie poradzić.

Każda wiosna może być naszą ostatnią, powiedziała Ania rok temu, kiedy jej zwrócił uwagę, że wydaje absurdalne pieniądze na bukiety tulipanów, które potem zostawia po całym domu. „Trzeba z niej korzystać na maksa”, śmiała się. „Z tych tulipanów właśnie, i z żonkili, i z hiacyntów. Bo nie wiadomo, czy za rok będzie nam dane zanurzać w nich twarz”.

Więc teraz, jadąc przez Milanówek, posłusznie przyglądał się zieleniejącym drzewom, kwitnącym krzewom forsycji i magnoliom w ogrodach, zastanawiając się jednocześnie, czy na grób żony lepiej kupić tulipany, czy może żonkile. Żonkile też bardzo lubiła.

Radiowóz zatrzymał się przed nowoczesnym szarym budynkiem, pokrytym jakąś przedziwną pajęczyną białych linii. Siedzący za kółkiem sierżant Krzysztof Kot sprawdził adres w zgłoszeniu.

– Cicha pięć. To tutaj.

Wysiedli.

Na ulicy stały zaparkowane jeszcze dwa samochody – zielone mini z warszawską rejestracją i wielki, bardzo czerwony i bardzo błyszczący land rover.

– O, auto pani Stawskiej! – ożywił się sierżant. – Ciekawe, że jakoś zawsze zdąża przed nami...

No, to akurat nie była prawda. „Przed nimi” zdążyła tylko raz, kiedy z przyjaciółką znalazły zwłoki w willi Krysin. Ale wypowiedź sierżanta świadczyła o tym, że myśli o Stawskiej jako o tej szybszej i sprytniejszej od policji. A to się Lewinowi nie spodobało.

Założycielkę agencji Czajka poznał tuż po przeniesieniu do Milanówka i objęciu na tutejszym komisaracie funkcji komendanta. Bardzo zależało mu na tej pracy, choć i on, i jego przełożeni doskonale wiedzieli, że jest dużo poniżej jego kwalifikacji. Ale po śmierci Ani musiał jak najszybciej uciec z Warszawy i było mu wszystko jedno, jakie stanowisko obejmie, byleby dłużej nie pozostawał w mieście, które tak intensywnie kojarzyło mu się ze zmarłą żoną.

Stawska weszła mu w drogę w sposób jednocześnie zabawny i irytujący. Być może, gdyby Lewin był wtedy w lepszej formie, nie spięliby się na parkingu. Być może, gdyby potrafił być bardziej wyrozumiały, nie czepiałby się, że prowadzi agencję detektywistyczną, nie posiadając licencji. Ale w tym skomplikowanym dla niego czasie dyplomacja była ostatnią rzeczą, na jaką zwracał uwagę, i zamiast z fajki pokoju wołał korzystać z topora wojennego.

Co prawda, kiedy Stawska zwróciła się do niego o pomoc przy zatrzymaniu zabójcy miejscowej licealistki, udało im się ten topór na jakiś czas zakopać, ale ich cichy rozejm nie potrwał długo. Lewin, choć przecież sam wystawił Stawskiej bardzo dobrą opinię do licencji, generalnie nie był fanem agencji detektywistycznych, a przede wszystkim nie był fanem agencji Czajka. Po prostu uważał, że za sprawy, które dotyczą łamania prawa, nie powinni brać się amatorzy, a zwłaszcza – amatorki. Dlatego trudno mu było zaakceptować fakt, że agencja bezczelnie rozpanoszyła się w mieście, otoczona aurą skuteczności i bohaterstwa oraz ciesząca się rosnącą z dnia na dzień popularnością. W efekcie każde spotkanie Lewina ze Stawską kończyło się jeśli nie awanturą, to przynajmniej nieprzyjemnym zgrzytem.

– Przypomnij mi, co było w zgłoszeniu? – zwrócił się do sierżanta.

– Podejrzanie włamania i zaginięcie.

– No to do roboty! – Komendant ruszył energicznie w kierunku bramy.

ROZDZIAŁ 10

„Jest przedpołudnie, środek tygodnia. O tej porze komendant komisariatu ma na pewno ciekawsze rzeczy do roboty niż zajmowanie się banalnym zgłoszeniem włamania”, myślała Gaja, starając się zachować spokój.

Niestety, kiedy dziesięć minut później w domu Moniki Banach pojawiło się dwóch policjantów, z których jeden okazał się łysy, barczysty i od wejścia lekko wkurzony, zrozumiała, że jej rozumowanie było błędne.

– Komisarz Grzegorz Lewin – przedstawił się Natalii i Ewelinie łysy, Gai nie zaszczycając nawet spojrzeniem. – Która z pań...

– Ja! – Agentka wysunęła się przed resztę. – To ja zgłosiłam zaginięcie. Ewelina Wrzesińska. Prowadzę sprawę pani Banach. Byłam z nią umówiona o dziesiątej...

Lewin spojrzał ostentacyjnie na zegarek.

– Czyli raptem godzinę temu... Nie pospieszyła się pani za bardzo z tym zgłoszeniem?

Agentka wyprostowała się, urażona.

– Znam moją klientkę od lat – wyjaśniła. – Nigdy się do tej pory nie zdarzyło, żeby nie przyszła na umówione spotkanie. Jej samochód stoi w garażu, a w domu znalazłyśmy ślady włamania i... – przełknęła ślinę – przemocy. Dlatego państwa zawiadomiłam.

– Mógłbym zobaczyć te... ślady przemocy?

Komendant został zaprowadzony do salonu. Zatrzymał się w wejściu i rozejrzał po zdemolowanym pokoju.

– Niczego panie tutaj nie ruszały? – upewnił się.

– Ależ skąd! – zaprotestowała agentka. – Pani Stawska bardzo pilnowała. Zna się na tym, jest w końcu prywatnym detektywem.

– O tak, w końcu jest – zgodził się Lewin, a Gaja wyczuła w jego głosie złośliwe nuty. – Bo jeszcze niedawno nie była... – dorzucił z satysfakcją.

„Jak długo on mi będzie pamiętał to kłamstwo?”, pomyślała ze złością.

– Starałyśmy się niczego nie dotykać – odezwała się niechętnie. – Nie zostawiłyśmy żadnych śladów. Nie musi pan pobierać naszych odcisków palców.

– Pani naprawdę uważa, że odciski palców są najważniejsze? – zgasił ją. – W ogóle tu nie powinnyście wchodzić.

– A gdybyśmy czekały na przybycie policji, a właścicielka w tym czasie wykrwawiałaaby się gdzieś w mieszkaniu? – Teraz to Gaja była górą. – Zwłaszcza że panowie się z przyjazdem nie spieszyli.

– Cóż, przyzna pani, że wezwanie nie brzmiało zbyt dramatycznie. – Lewin uśmiechnął się. – Gdybym ja miał zgłaszać zaginięcie za każdym razem, jak ktoś mi się spóźni kwadrans na spotkanie...

– Proszę pana, ona zostawiła psa! – zdenerwowała się agentka. – To znaczy pies uciekł z ogrodu, ale... to znaczy chodzi mi o to, że nie wyjechałaby, zostawiając szczeniaka i samochód. Ani nie

odwołując spotkania ze mną.

– Czyli co się według pani z nią stało? – zapytał Lewin, autentycznie zaciekawiony.

– Nie mam pewności, ale... – Agentka zawiesiła głos. – Według mnie Monika Banach mogła zostać porwana!

Po tak dramatycznej deklaracji powinna zapaść pełna napięcia cisza, ale stało się coś dokładnie przeciwnego – wszyscy zaczęli mówić naraz.

– Ewelina, co ty? – oburzyła się Natalia. – Jak to porwana? Przecież dopiero zaczęliśmy pracę nad scenariuszem!

– Porwana? – odezwała się w tym samym momencie Gaja. – Dla okupu? Bardzo ciekawe. Bardzo prawdopodobne.

– Ma pani jakiś dowód? List? Ktoś dzwonił? Podawał jakieś warunki? – W głosie Lewina pobrzmiwał sceptycyzm.

– Nie mam listu, nikt nie dzwonił, ale ta sytuacja z jej zniknięciem wygląda bardzo podejrzanie. – Ewelina była coraz bardziej zdenerwowana. – Uważam, że powinien pan rozpocząć śledztwo!

– W związku z porwaniem pani Banach? – upewnił się Lewin.

– Tak, oczywiście. Jeżeli została uprowadzona, to każda godzina może być na wagę złota. To znaczy na wagę życia!

Lewin patrzył na agentkę z mieszaniną podziwu i irytacji.

– Proszę pani, nie mam żadnych podstaw, żeby rozpocząć jakiegokolwiek czynności – oświadczył stanowczo. – Tak jak nie wszczyna się śledztwa z powodu czyjegoś spóźnienia, tak samo nie robi się tego z powodu nieporządku w domu.

– A włamanie? Włamanie też pana nie interesuje?

– Zwykle owszem, ale akurat tutaj nie było żadnego włamania. Drzwi tarasowe nie są uszkodzone, a bałagan mógł zrobić pies.

Gaja nie wytrzymała. Chwyciła pętającego się pod ich nogami szczeniaka i podniosła, oskarżycielsko wyciągając ręce z psem w stronę Lewina.

– Ten? – spytała.

Lewin na chwilę zawiesił wzrok na zwierzaku.

– O, labrador – stwierdził. – Nawet pani nie wie, do czego one są zdolne...

– Jeżeli to nie jest włamanie, to dlaczego nas pan pouczał, że nie powinnyśmy tu wchodzić? – Gaja nie odpuszczała.

– Nie wiem – odpowiedział Lewin z rozbijającą szczerością. Rozejrzał się ostatni raz po pomieszczeniu.

– Gdyby zaszły jakieś nowe okoliczności, proszę mnie zawiadomić – powiedział, mrużąc oczy. – Ale na razie nic tu po nas. Sierżancie, idziemy. Żegnaj! – Ukłonił się i ruszył w kierunku wyjścia.

Gaja czuła się tak, jakby oglądała spektakl teatralny, siedząc w pierwszym rzędzie widowni. A wrażenie to nasiliło się kilka sekund później, kiedy agentka Moniki Banach krzyknęła za odchodzącym komisarzem:

– Ale zgłoszenie o zaginięciu przyjąć pan musi!

Lewin zatrzymał się i powoli odwrócił.

– Naprawdę chce pani zgłosić zaginięcie? PO GODZINIE? – upewnił się.

– Tak! – oświadczyła hardo Ewelina. – Zresztą nie wiadomo, ile czasu minęło od jej zniknięcia. To mogło się stać dużo wcześniej. Na przykład w nocy.

– Owszem – przyznał komisarz. – Co nie zmienia faktu, że pewnie właśnie siedzi w pociągu na Hel albo w samolocie na Zanzibar...

– Powtarzam panu, nie wyjechałaby, zostawiając psa! – Agentka była coraz bardziej zła. – Chcę złożyć zawiadomienie! Teraz! Tutaj!

– Ani teraz, ani tutaj! – Lewin był już tą sceną wyraźnie zmęczony. – Jeżeli chce pani złożyć takie zawiadomienie, zapraszam na komisariat.

– To przy okazji złożę na pana skargę – warknęła agentka.

– Za to, że każe się pani pofatygować do najbliższej jednostki policji? To standardowe działanie, proszę pani. – Lewin naprawdę zaczynał być zły. – Żeby zgłosić zaginięcie, trzeba wypełnić formularz, którego, proszę sobie wyobrazić, nie noszę przy sobie! Pojedzie pani ze mną, załatwimy sprawę w kwadrans. Tylko sugeruję, żeby może jednak najpierw obdzwonić krewnych i znajomych pani Banach. Bo jeżeli się okaże, że my wdramy procedury, a pani pisarka siedzi sobie w tym czasie u fryzjera, to się wkurzę!

Kiedy policjant zniknął za drzwiami, agentka chwyciła leżącą na komodzie torebkę i zaczęła ją nerwowo przeszukiwać.

– Jestem w szoku – odezwała się Natalia, kręcąc głową z niedowierzaniem. – Gołym okiem widać, że coś jest tutaj nie tak, a jego kompletnie to nie obchodzi. Co to za człowiek, ten policjant? Ty go znasz? – zwróciła się do Gai.

– Znam. „Nie przepadamy za sobą” to eufemizm.

Agentka odnalazła wreszcie w torbie paczkę cienkich elemów.

– Sorry, muszę! – powiedziała, biorąc płaszcz z wieszaka.

Wyszły za nią na dwór. Ewelinie ręce drżały tak bardzo, że miała trudności z zapaleniem papierosa. Kiedy w końcu jej się to udało, zaciągnęła się głęboko.

– Co za historia, co za historia... – powtarzała, chodząc tam i z powrotem po podjeździe.

– Jak tak się zastanowić, to faktycznie może być porwanie. – Natalia wydawała się zaskakująco spokojna, biorąc pod uwagę fakt, że razem z Banach, być może, zniknął projekt, na który tak bardzo liczyła. – Jeżeli tak, to nie wierzę, żeby policja sobie z tym poradziła. Oni naprawdę wyglądają na mało ogarniętych.

Powoli przeniosła wzrok na Gaję.

– Słuchajcie... – powiedziała. – Mam pomysł...

ROZDZIAŁ 11

Pomysł Natalii przedstawiał się następująco: ponieważ na policję nie ma co liczyć, do odnalezienia Moniki Banach trzeba wynająć agencję detektywistyczną. Najlepiej – Agencję Detektywistyczną Czajka.

Choć nie można było tej koncepcji odmówić logiki, Ewelina początkowo nie podzieliła entuzjazmu Natalii.

– No nie wiem...

– Ale nie wiesz czego? – zapytała Natalia rzeczowo. – Czy w ogóle kogoś wynająć, czy może inną agencję?

W tej rozmowie właściwie nie byłoby nic złego, gdyby nie to, że odbywała się w obecności osoby zainteresowanej, czyli Gai, którą to trochę krępowało. Gaja po prostu uważała, że nie należy zbyt nachalnie namawiać do korzystania z usług agencji detektywistycznych. Klienci nie powinni czuć się do takiego wyboru zmuszeni. Miały niedawno taki przypadek. Dostały zlecenie od kobiety, która nie była do końca przekonana, czy wynajęcie agencji to dobry ruch. W efekcie przez cały czas subtelnie sabotowała ich pracę, podając w wątpliwość wyniki, a na koniec miały problem, żeby się z nią rozliczyć. Dlatego Gaja wolała ucinąć takie historie w zarodku niż czekać, aż napsują im krwi.

Z drugiej strony rozumiała wahania agentki, dla której cała ta sytuacja była kompletnie zaskakująca. Słuchała więc, jak Natalia przedstawia kolejne argumenty za wynajęciem Czajki, a Ewelina je zbija.

Stanie im nad głową nie pomagało, dlatego oznajmiła, że musi pilnie zadzwonić do córki, i przez kolejne dziesięć minut snuła się po wilgotnym trawniku z telefonem przy uchu i przyglądała kępkom kwitnących krokusów.

A kiedy w końcu wróciła do Natalii i Eweliny, okazało się, że decyzja została podjęta.

– Wynajmę waszą agencję – oświadczyła agentka. – Chodzi mi przede wszystkim o bezpieczeństwo Moniki, dlatego najpierw uznałam, że lepiej to zostawić policji. Ale Natalia ma rację, oni kompletnie nie rozumieją powagi sytuacji. Poza tym chciałabym trzymać rękę na pulsie, a w przypadku oficjalnego śledztwa to raczej nie będzie możliwe.

– Jeśli chodzi o kwestie finansowe... – zaczęła Gaja, ale agentka przerwała jej stanowczym:

– Koszty nie grają roli. Moi klienci muszą wiedzieć, że stoję za nimi murem. Wszystko omówimy przy podpisywaniu umowy. Teraz muszę jechać na komisariat. Zabierze się pani ze mną?

Gaja pokręciła przecząco głową.

– Nie. Z komisarzem Lewinem nie działamy na siebie najlepiej. Ale gdyby podała mi pani kontakty do osób, które mogłyby coś wiedzieć o pani Banach, zaczniemy działać.

– Oczywiście – zgodziła się agentka. – Mam tylko jedną prośbę. Czy mogłaby pani przechować u siebie Bruna? Chociaż jeden dzień!

Po drodze wpadły do spożywczego po jedzenie dla psa i teraz Gaja stała w kuchni, przyglądając się, jak szczeniak pochłania łapczywie puszkę drobiowej karmy dla szceniąt. Kiedy skończył, z podobnym

entuzjazmem zabrał się do chłęptania wody z głębokiego talerza.

„Ależ on będzie po tym koncertowo sikał”, pomyślała. „Dlaczego ja się zgodziłam, żeby go zabrać?”

Natalii już nie było. Zaraz po powrocie od Banach wsiadła do swojego auta i odjechała do Warszawy, a Gaja natychmiast poczuła ulgę. Lubiła Natalię, ale jej obecność bardzo ją rozpraszała.

Wysłała do Klary esemes o treści: „Mamy nowe zlecenie chodź szybko”, zrobiła sobie kawę, usiadła z laptopem przy kuchennym stole i wpisała w Google „Monika Banach”. Linków, które wyskoczyły jako wynik, były dziesiątki.

Otworzyła pierwszy. Wikipedia. Same suche fakty: data i miejsce urodzenia, rodzice, wykształcenie, twórczość.

Dalej wywiady – niektóre długie, na kilka stron, inne krótsze, odnoszące się do jej kolejnych książek, które ukazywały się na rynku. Gaja właśnie zaczęła czytać najświeższy, kiedy rozległ się dzwonek, a chwilę później w drzwiach kuchni stanęła Klara.

Było coś takiego w tej dziewczynie, że zwracała uwagę wszędzie, gdzie tylko się pojawiła – kuchnia Gai nie była żadnym wyjątkiem. Najpierw przyciągały wzrok jej fantastyczne rude włosy, w zależności od pogody albo skręcone w cieniusięńkie sprężynki, albo opadające na ramiona łagodnymi falami, potem – anielska twarz Ariany Grande, zmysłowe usta Angeliny Jolie, a na końcu oszałamiająco zgrabne ciało. Nawet Gaja czasami potrafiła się na nią zagapić w zachwycie. Jednak zaraz potem przypominała sobie, ile nerwów ją to zjawisko kosztuje, i cały jej zachwyt pryskał jak bańka mydlana.

– Nie rozumiem, dlaczego ty się nie zamykasz – zauważyła od progu Klara. – Jeszcze ktoś cię kiedyś okradnie. Albo porwie...

– Już słyszałaś? – zdziwiła się Gaja.

– A co miałam słyszeć? – Klara poruszyła nosem jak królik. – Też bym poprosiła kawki!

Gaja wstała i włączyła ekspres.

– Że Banach została porwana.

– Fiu, fiu... Wysoki okup?

– Nie, nikt się jeszcze po okup nie zgłosił, na razie to tylko teoria. Którą my mamy zbadać.

– Dostałyśmy zlecenie, żeby ją znaleźć? Czad! – Klara wykonała kilka tanecznych ruchów.

– Co z raportem? Bo doskonale wiem, że go dopiero piszesz.

– No gdybyś mnie tu teraz nie ściągnęła, to za godzinę byłby gotowy. Jak chcesz, mogę wrócić i dokończyć.

„Beczelną jest i sprytną”, pomyślała Gaja, naciskając guzik z napisem „latte”. Ekspres zabulgotał i splunął mlekiem.

– Nie myśl, że ci odpuszczę – uprzedziła. – Raport jest pilny, klientka czeka.

– Ale Banach pilniejsza, prawda? – upewniła się Klara.

– Tak. Zaczynamy natychmiast. Od agentki wiem, że jej rodzice nie żyją, z bliskiej rodziny ma tylko brata, Adama. Dzwoniłam, nie odbiera.

Dokładnie w tym momencie odezwała się jej komórka.

Spojrzała na wyświetlacz i przełączyła komórkę na tryb głośnomówiący.

– Gaja Stawska, słucham?

– Adam Banach. Ktoś się ze mną kontaktował z tego numeru. – Mężczyzna miał niski, sympatyczny głos i dobrą dykcję.

– Tak, to ja dzwoniłam. Dostałam pana telefon od Eweliny, agentki Moniki Banach. Musimy porozmawiać.

– To dość stanowczo zabrzmiało – zauważył. – A o czym, jeśli mogę wiedzieć?

– O pana siostrze.

Przez chwilę zastanawiał się nad odpowiedzią.

– Pani jest dziennikarką?

– W pewnym sensie... – Uznała, że dopóki Banach nie zgodzi się na spotkanie, lepiej pozostać przy takiej wersji.

– Dobrze. Sprawdźmy kalendarz... – W głośniku rozległ się cichy szelest kartek. – Przyszły tydzień, środa. Może być?

– Nie – odpowiedziała ostro Gaja. – Musimy się zobaczyć dzisiaj.

– Coś się stało? – Jego głos wyraźnie się zmienił.

Gaja odchrząknęła.

– Nie chciałam tego mówić przez telefon, ale i tak lepiej, żeby się pan dowiedział ode mnie, a nie z mediów. Pana siostra zniknęła. Jesteśmy na etapie poszukiwań, w tej chwili każda informacja na temat pani Moniki jest bezcenna.

Usłyszały, jak Banach ze świstem wciąga powietrze do płuc, a potem wypuszcza je powoli prosto w mikrofon.

– Mam nadzieję, że to jakiś głupi żart...

– Obawiam się, że nie. Dlatego musimy się zobaczyć jak najszybciej.

Mężczyzna zawahał się.

– Ale pani nie jest z policji?

– Nie. Prowadzę agencję detektywistyczną w Milanówku. Ewelina, agentka pana siostry, wynajęła nas, żebyśmy odnalazły panią Monikę.

– Kryształowa osiem mieszkania jeden. Jelonki – powiedział i się rozłączył.

ROZDZIAŁ 12

Matylda oparła się o umywalkę, zbliżyła twarz do lustra i zaczęła się sobie przyglądać. Zwykle nie śledziła zbyt uważnie tego, co działo się z jej skórą, ale właśnie przed chwilą internet podrzucił jej reklamę przyrządu do masowania twarzy wyglądającego jak skrzyżowanie wibratora z UFO i Matyldę trochę to zaniepokoiło. Jeżeli internet uznał, że czegoś takiego potrzebuje, coś może być na rzeczy.

Uważna analiza delikatnej sieci zmarszczek wokół oczu wykazała, że przez ostatnie kilka dni nie powiększyły się jakoś drastycznie, mimo to w głowie Matyldy pojawiła się niepokojąca myśl, że powinna zacząć bardziej o siebie dbać. Nie planowała rzecz jasna zakupu masażera, którego cena przyprowadziła o ból głowy, ale jakiś krem lepszy niż nivea bardzo by się jej przydał. Postanowiła więc zaraz po pracy pojechać do Rossmanna.

Drzwi damskiej toalety otworzyły się i weszła Paulina, sekretarka burmistrza.

– Matylda, szef się do ciebie wybiera.

Zabrzmiało to niepokojąco oficjalnie. Burmistrz wpadał zwykle bez uprzedzenia.

– A nie lepiej, żebym ja poszła do niego? – spytała, zaskoczona.

– Nie, on chce obejrzeć twój pokój.

– Mój pokój? Po co?

– Nie wiem. Może chce cię awansować i znaleźć ci lepsze miejsce? – zaśmiała się Paulina.

Matylda wróciła do siebie, zastanawiając się, o co może chodzić szefowi. Zdążyła uporządkować biurko i położyć na środku listę z zadaniami na dzisiaj, tak żeby szef zobaczył, że większość z nich została już wykreślona, kiedy rozległo się pukanie do drzwi i chwilę później stanął w nich niskiego wzrostu pięćdziesięcioletek o wyrazie twarzy smutnej tchórzofretki. Matylda na jego widok poderwała się z krzesła, ale burmistrz pokazał gestem, żeby nie wstawała. Bez słowa podszedł do okna i przez chwilę wyglądał na zewnątrz. Potem chwycił stojące pod ścianą krzesło, dostawił do biurka i usiadł naprzeciwko Matyldy.

– Pani Matyldo, przede wszystkim chciałem panią pochwalić... – zaczął, a Matylda natychmiast oblała się rumieńcem. – Z numeru na numer nasz biuletyn staje się lepszy, ciekawszy, ludzie coraz chętniej po niego sięgają. Dochodzą do mnie bardzo pochlebne głosy. Jednocześnie wiem, ile ta gazetka kosztuje panią pracy.

Poprawił się na krześle.

– Przyjrzałem się naszej strukturze organizacyjnej. I okazało się, że w pani dziale jest jeden wolny etat.

– Tak, po pani Hani – potwierdziła Matylda. – Kiedy odeszła na emeryturę, nikogo na jej miejsce nie zatrudniono.

– No właśnie! – Burmistrz nachylił się do Matyldy. – Dlatego postanowiłem, że trzeba przywrócić status quo! Zespół do spraw Komunikacji Społecznej powinien znowu liczyć dwie osoby!

Matylda nie do końca wiedziała, czy to jest dobra, czy zła informacja. Z jednej strony czuła się przemęczona i zawałona robotą, i rzeczywiście czasami marzyła, żeby ktoś jej się pomógł z tym

wszystkim uporać. Ale propozycja burmistrza wywołała jej wewnętrzny sprzeciw. Biuletyn był jej ukochanym dzieckiem i nagle poczuła, że tak naprawdę wcale nie chce się nim dzielić.

– Rozmawiałem w tej sprawie z kadrową – ciągnął tymczasem jej zwierzchnik. – Ustaliliśmy, że nie będziemy przyjmować nikogo nowego, tylko przesuniemy na to stanowisko pracownika z ochrony środowiska, bo tam dla odmiany nie mają za dużo do roboty.

Matylda patrzyła na burmistrza zaskoczona.

– Z ochrony środowiska? – powtórzyła. – Ale dlaczego...

– W ostatnim numerze trzy materiały dotyczyły ochrony środowiska, w przedostatnim dwa – przerwał jej Skorupski. – Wystarczy, że nowy pracownik zajmie się tą działką, a już panią odciążą. Poza tym uważam, że świetnie się odnajdzie również w innej tematyce. Będzie pani miała z niego pociechę, zobaczy pani.

– Z niego?! – jęknęła.

– Rafał Beldowski. Na pewno pani kojarzy.

Nie kojarzyła. Ale to i tak nie miało żadnego znaczenia.

– Fantastycznie, bardzo się cieszę. – Uśmiechnęła się sztucznie. – Na pewno będzie nam się świetnie razem pracować.

– Też tak uważam!

– A jak to będzie wyglądało organizacyjnie? – postanowiła się upewnić.

– No właśnie dlatego do pani wpadłem. – Burmistrz podniósł się z krzesła energicznie, o mało go nie przewracając. – Musimy tu jakoś wszystko poprzesuwać... – Zakreślił ręką szybkiego młynka. – O, wiem! Damy pani po prostu mniejsze biurko, wtedy drugie wejście tu, obok, i jakoś się zmieścicie. Sama pani mówiła, że pracowałyście kiedyś razem z panią Hanią.

Matylda chciała zaprotestować, że owszem, pracowały we dwie, tyle że w innym, większym pokoju, na parterze, ale nie zdążyła, bo Skorupski, uznawszy, że załatwił sprawę, podszedł do drzwi i położył rękę na klamce.

– Czuję, że teraz będzie pani mogła naprawdę rozwinąć skrzydła! – zakomunikował z satysfakcją i wyszedł.

Matylda przez chwilę wpatrywała się bezmyślnie w drzwi, za którymi zniknęła, po czym zaczęła scrollować Facebooka. Za dużo emocji się w niej kłębiło, żeby potrafiła zająć się czymkolwiek innym.

Przelatywała więc wzrokiem po postach, starając się jednocześnie ustalić sama ze sobą, co czuje w związku z wiatrem zmian, który przed kwadransem wtargnął do jej pokoju razem z burmistrzem, kiedy nagle na ekranie mignęło jej znajome nazwisko.

Zatrzymała się, żeby przeczytać post, dodany dosłownie przed chwilą na stronie Milanówek – Nasze Miasto. „Przed domem Moniki Banach policyjny radiowóz. Czy ktoś wie, co się stało?”.

Zaciekawiona, weszła w komentarze.

„Myślisz, że włamanie?” „W sumie czemu nie? Ona na tych książkach musi nieźle kosić”. „Jak ktoś pisze kryminały, to sam się prosi o kłopoty”.

Trzy migające na dole kropki oznaczały, że ktoś właśnie pisze kolejny komentarz. Odczekała chwilę, żeby wskoczył pod post, a kiedy się pojawił, aż westchnęła.

„Na komisariat przyszła jakaś babeczka zgłosić zaginięcie Banach. Pewnie policja to teraz sprawdzi”.

Zaginiecie?! Zdenerwowana Matylda zaczęła otwierać portal za portalem w poszukiwaniu informacji. Na szczęście ani na Onecie, ani na Wirtualnej, ani na Pudelku nie znalazła najmniejszej wzmianki. „To musi być jakiś wyglup”, pomyślała uspokojona i wylogowała się z Facebooka.

Zegar na dolnym pasku komputera pokazywał trzynastą czterdzieści i Matylda nagle zdała sobie sprawę, że od pół godziny nic nie robiła. A czekało ją przygotowanie sprawozdania z sesji Rady Miasta, zajęcie długie, żmudne i niestety pilne. Otworzyła więc plik tekstowy, wyjęła z szuflady dyktafon i już miała zacząć spisywać nagranie, kiedy telefon zapikał powiadomieniem z Instagrama.

Matylda po sekundzie wahania kliknęła różową ikonkę i pierwszym, co zobaczyła, okazała się informacja: „Monika Banach autorka rozpoczęła właśnie transmisję na żywo”.

„Ciekawe, pewnie te plotki do niej dotarły i chce się teraz do nich odnieść”, pomyślała i weszła w live’a.

Jednak osoba, którą zobaczyła na ekranie, nie była Moniką Banach, tylko jakąś obcą, ostrzyżoną na pieczarkę kobietą w pomarańczowym płaszczu.

– ...nie wiemy, kiedy zniknęła. To się mogło stać wczoraj wieczorem albo dziś rano. Dlaczego uważam, że jej nieobecność jest podejrzana? Bo zostawiła psa. Monika by tego nie zrobiła. Po prostu. – Zdenerwowana kobieta przerwała na chwilę. – Policja przyjęła zgłoszenie o zaginięciu i uruchomi wszystkie procedury, ale ja mam prośbę do was, do fanów Moniki, a jest nas tutaj prawie trzydzieści tysięcy: miejcie oczy szeroko otwarte. Rozglądajcie się, szukajcie. Monika może być wszędzie. Zwłaszcza że pojawiły się podejrzenia... Przepraszam, aż ciężko mi o tym mówić... No więc pojawiły się podejrzenia, że Monika została porwana. Nic więcej na razie nie mogę powiedzieć. Kiedy tylko będę miała więcej informacji, natychmiast je wam przekażę.

„Kim jest ta kobieta?”, zastanawiała się Matylda, przeglądając komentarze pod nagraniem. Odpowiedź na to pytanie znalazła dość szybko, we wpisie jakiejś dziewczyny: „Dzięki, Ewelina @eve.wrzesińska! Monika ma cholerne szczęście, że ma taką agentkę”.

„A więc to nie fejk”, pomyślała przerażona Matylda. „Banach rzeczywiście coś się stało!” W tym momencie uświadomiła sobie, że nie uda jej się już dzisiaj w pracy nic zrobić. No chyba że pisarka za chwilę się odnajdzie.

Wstała od biurka i podeszła do okna. Bardzo lubiła przez nie wyglądać, jednak tym razem jej wzrok błądził po skwerku na dole, nie zatrzymując się dłużej na niczym. Próbowiła zrozumieć, co się stało. Zniknięcie? Zaginięcie? Porwanie? I ta ostatnia, trudna myśl: samobójstwo? Matylda aż się wzdrygnęła.

Czy kiedy ostatni raz się widziały, Monika wyglądała na osobę w depresji? Czy mogła myśleć o odebraniu sobie życia? Nie, oczywiście, że nie. Ale Matyldzie natychmiast przypomniały się zdjęcia, które widywała w internecie pod hasłem „twarze depresji” – roześmianych od ucha do ucha osób, zmagających się z tą koszmarną chorobą w ukryciu i samotności, a jednocześnie stwarzających pozory radosnych i szczęśliwych. Więc tak, niczego nie można było wykluczyć.

A jeśli to było porwanie? Co wtedy? Czy policja sobie z tą sprawą poradzi? Bo Matylda nie miała o policji najlepszego zdania. Jej ciotka Zdzisława pracowała w komisariacie w Milanówku jako sekretarka i opowiadała przeróżne, najczęściej żenujące historie o swoich kolegach. I nawet fakt, że komendant Lewin, z którym Gaja, Klara i Matylda współpracowały niedawno podczas zasadzki na mordercę, okazał się funkcjonariuszem rozsądnym i kompetentnym, nie był w stanie rozwiązać obaw Matyldy.

„Nie, to zdecydowanie nie jest sprawa dla policji”, pomyślała. I sięgnęła po telefon.

ROZDZIAŁ 13

– Adam Banach, lat trzydzieści pięć, młodszy braciszek... – Klara wyławiała z internetu co istotniejsze informacje. – Właściciel i szef kuchni w restauracji Chlebem i Solą.

– Byłam tam kiedyś – przypomniała sobie Gaja, skupiona na prowadzeniu samochodu. – Fajna, nowoczesna kuchnia.

– Tak, tu są niezłe recenzje – przyznała Klara. – Ale o tym gościu niewiele... Po studiach wyjechał do Francji, uczył się gotowania w jakiejś *École de la* coś tam... Wrócił, pracował w różnych knajpach... O, ma też blog kulinarny... Chlebem i Solą otworzył dwa lata temu. To właściwie tyle.

– Za dwieście metrów skręć w prawo – zasugerował głos nawigacji Google.

– Jego zawodowa historia mnie kompletnie nie interesuje. – Gaja wrzuciła posłusznie prawy kierunkowskaz. – Wolałabym wiedzieć, jakie miał relacje z siostrą. Tylko że tego w internecie raczej nie znajdziesz.

– Jesteś na miejscu. Twój cel jest po lewej stronie – uświadomiła im nawigacja.

Gaja zaparkowała naprzeciwko wejścia do dwupiętrowej, świeżo odnowionej kamienicy.

– Bardzo dobry adres – zauważyła. – Panu się musi niezłe powodzić.

Klara wyskoczyła z samochodu, odnalazła w kieszeni szminkę, nachyliła się do bocznego lusterka i wprawnym ruchem poprawiła wargi. Pomadka była intensywnie czerwona, co natychmiast przemieniło dziewczynę ze ślicznej w seksowną.

– No co? – zaregowała na karcące spojrzenie Gai. – Podnoszę swoje kwalifikacje zawodowe. – A potem rozwichrzyła włosy i rozpięła górny guzik bluzki. – Ciekawe, czy nas pan restaurator poczęstuje lunchem?

Adam Banach okazał się niskim, szczupłym blondynem o kręconych włosach, chłopięcej urodzie i nerwowym uśmiechu.

– Z naszej rozmowy wywnioskowałem, że pani będzie sama – powiedział do Gai, obrzucając Klarę nieufnym spojrzeniem.

Klara natychmiast przejęła inicjatywę.

– Kamińska – przedstawiła się, wyciągając rękę na powitanie. – Młodsza specjalistka w agencji Czajka. Możemy wejść?

Banach przytrzymał przez chwilę jej dłoń w swojej, chłodnej i wilgotnej.

– Oczywiście, zapraszam... – Cofnął się, żeby je przepuścić.

Mieszkanie, które zajmował, było wysokie i jasne, umeblowane w orientalnym stylu. Gaja, która całkiem niezłe orientowała się we współczesnym wzornictwie, szybko oceniła, że zarówno meble, jak i obrazy na ścianach musiały kosztować spore pieniądze.

– Może usiądźmy tutaj. – Gospodarz wskazał długi, drewniany stół o grubym blacie. – Kawy, herbaty?

Gaja pokręciła przecząco głową, za to Klara uśmiechnęła się słodko i powiedziała:

– Ja kawę bardzo chętnie.
– Czarna czy z mlekiem?
– Najchętniej latte. A ma pan może jakiś syrop smakowy?
– Nie używam takiego świństwa – odpowiedział Banach, a Klara zaśmiała się lekko.
– Szkoda. Bo ja uwielbiam. W takim razie poproszę tylko cukier. Czy cukru też pan nie używa? – mówiła to wszystko z rozbijającym uśmiechem.

– Nie, ale trzymam trochę dla gości – oznajmił i zniknął za wahadłowymi drzwiami prowadzącymi do kuchni.

– Klara! – syknęła Gaja. – My nie mamy czasu! Po cholere ci kawa? Przecież przed chwilą piłaś!
– To gej – odpowiedziała Klara. – On jest gejem.
– I dlatego poprosiłaś go o syrop, tak? Żeby go sprawdzić?
– Nie, po prostu miałam ochotę na kawę z syropem. – Klara popatrzyła na nią zdziwiona. – A to, że jest gejem, wiedziałam w momencie, kiedy nam otworzył drzwi. W ogóle na mnie nie zareagował. A żaden hetero nie jest w stanie na mnie nie zareagować.

To była kolejna cecha, która denerwowała Gaję i której gdzieś w głębi duszy Klarze zazdrościła – niezachwiana pewność swojej atrakcyjności, która Gaję opuściła razem z Arturem jakieś półtora miesiąca temu.

– Czy to coś dla nas zmienia? – spytała niechętnie.
– Nie dam rady go owinąć wokół palca. Sama będziesz musiała sobie radzić.

Na chwilę zamilkły. Z kuchni dochodziły stłumione odgłosy pracy ekspresu ciśnieniowego.

– Chłopak ma dobry gust – szepnęła Gaja. – I sporo kasy, te meble kosztują krocie.
– Może je dostał w prezencie od siostrzyczki?

Gaja nie zdążyła odpowiedzieć, bo do pokoju wrócił Banach, niosąc na czerwonej tacy z laki wysoką szklanekę, w której wyraźnie układały się ciemne i jasne warstwy kawy.

– Rozmawiałem z Eweliną – powiedział, stawiając kawę przed Klarą. – Wszystko potwierdziła. Jestem w szoku.

Usiadł po drugiej stronie stołu i oparł łokcie o blat. Gaja zwróciła uwagę na drżące dłonie i przyspieszony oddech mężczyzny.

– Co panie chcą wiedzieć?

Gaja wyjęła z kieszeni żakietu dyktafon.

– Mogę? – spytała. – Będzie nam potem łatwiej odtworzyć fakty.

– Jasne. W końcu wszystkim nam zależy na odnalezieniu Moniki.

Gaja włączyła nagrywanie.

– Czy pani Monice zdarzały się wcześniej takie sytuacje jak ta dzisiejsza?

– To znaczy... czy znikła? Nie przypominam sobie. Raz w liceum pojechała ze znajomymi nad morze i nie powiedziała rodzicom, ale to było dwadzieścia lat temu. Gdyby miała w planie jakiś dłuższy wyjazd, na pewno dałaby mi znać. Jesteśmy w stałym kontakcie. No i przede wszystkim nie umawiałyby się z Eweliną. Ona jest bardzo poukładana, punktualna, dokładna. Wszystko sobie planuje, rozpisuje...

Telefon, który Gaja położyła obok siebie na stole i wyciszyła na początku rozmowy, zaczął wibrować, a na ekranie pojawił się napis „Matylda”. Gaja zrzuciła połączenie i zadała kolejne pytanie:

– Kiedy ostatni raz widział się pan z siostrą?

– Moment... – Banach przetarł twarz dłońmi. Miał szczupłe, długie, delikatne palce. Nie wiedzieć czemu, Gaja nagle wyobraziła sobie, jak zaciskają się na trzonku noża. – W zeszłym tygodniu – odpowiedział z namysłem. – Chyba to był czwartek. Tak, czwartek na pewno. Wpadła na lunch do restauracji.

– O czym rozmawialiście?

– O niczym konkretnym. Taka luźna gadka. Aha, mówiła, że planuje wziąć psa. Szczeniaka. Trochę dziwne, ale nie komentowałem. Jej sprawa.

– Nie wydawała się panu jakaś inna? Zdenerwowana? Rozkojarzona?

– Jeżeli już, to zmęczona. Bardzo dużo ostatnio pracowała, po dziesięć, dwanaście godzin dziennie. I tak ciągiem przez trzy miesiące. Ale za to była bardzo zadowolona z efektów. Mówiła, że wyszedł jej świetny tekst.

Klara wypila ostatni łyk kawy i uniosła szklanekę tak, żeby resztki pianki spłynęły jej do ust.

– Czy pana siostra miała jakichś wrogów? Była z kimś w konflikcie? – spytała, odstawiając energicznie szklanekę.

– Nie, na pewno nie! – zaprzeczył gwałtownie. – To znaczy Monika nie jest zupą pomidorową, nie wszyscy ją lubią. Ma dość zasadniczy charakter, nie znosi obłudy, nie pozwala się wykorzystywać. Jest bardzo czuła na tym punkcie i potrafi być naprawdę niemiła. Ale takich wrogów, którzy mogliby... – przełknął ślinę – coś jej zrobić, nie ma na pewno.

– Nigdy nie wspominała, że ktoś jej grozi? Może się kogoś bała? Może chciała się przed kimś ukryć i dlatego zniknęła?

– Proszę pani! – zachnął się Banach. – Myśli pani, że gdybym o czymś takim wiedział, tobym nie zareagował? Inna sprawa, że akurat takimi informacjami Monika mogłaby się ze mną nie podzielić. Wszystkie trudne sprawy starała się zawsze załatwić sama.

Gaja miała poczucie, jakby przesypywały górę siana, szukając igły.

– A czy czasem nie była śledzona? – wypaliła ni stąd, ni zowąd Klara.

Banach popatrzył na nią zdziwiony.

– Co pani przyszło do głowy? Śledzona?

– Nie wiem, czy Ewelina to panu powiedziała, ale rozważamy opcję porwania – wyjaśniła szybko Gaja.

W oczach Banacha pojawił się strach.

– Ale przez kogo? I po co?

– Pana siostra jest zamożną osobą. A porywa się najczęściej dla okupu.

– Porwania dla okupu? W Polsce? – zdziwił się.

– Krzysztof Olewnik, Ewelina Bałdyga, Antoni Zakrzewski... Mam wymienić dalej?

– Dobrze, już dobrze. Ma pani rację. Pojawiły się jakieś żądania?

– Jeszcze nie. Ale taka możliwość istnieje. Ile byłby pan w stanie zapłacić za jej uwolnienie?

– Ja? – zdziwił się mężczyzna. – Nie wiem, jakieś grosze. Wszystkie moje oszczędności zainwestowałem w restaurację, nie dysponuję gotówką. Ode mnie nic by nie wyciągnęli.

– No chyba że kazaliby panu zastawić lokal – zwróciła mu uwagę Klara.

– Tylko jak, skoro Monika jest współwłaścicielką?

Na chwilę w pomieszczeniu zapanowała cisza. Dla Gai i Klary to była zupełnie nowa informacja.

– No dobrze – stwierdziła w końcu Gaja. – Ale może jest ktoś, kto mógłby wypłacić okup? Komu zależy na pana siostrze? Była z kimś związana?

– O jej życiu osobistym niewiele mogę powiedzieć...

– Dlatego, że pan nie może, czy dlatego, że pan nie chce? – zainteresowała się Klara w ten swój denerwujący, naiwno-złośliwy sposób.

– Po prostu nic nie wiem na ten temat. Monika była... O Boże, jakie to idiotyczne mówić o niej w czasie przeszłym. Monika jest bardzo skryta. Odkąd osiem lat temu zmarł Staszek, jej mąż, z nikim się oficjalnie nie spotykała. Bywali pewnie jacyś faceci, ale nigdy o nich nie rozmawialiśmy. O te sprawy lepiej zapytajcie Ewelinę. Ona coś może wiedzieć. Choć nie musi.

Gaja czuła narastającą bezsilność. Jadąc tutaj, miała nadzieję, że brat Moniki Banach zasypie je informacjami, dzięki którym szybko i z sukcesem zakończą poszukiwania. Tyle tylko że jak do tej pory nie posunęły się do przodu nawet o centymetr. Może rodzeństwo miało ze sobą bliską więź, jak twierdził mężczyzna, ale jakoś się to nie przekładało na jego wiedzę o życiu siostry.

Gaja sięgnęła po notes, który zawsze nosiła ze sobą na wypadek, gdyby dyktafon nie zadziałał. Notes miał białą okładkę w różowe flamingi, dostała go w prezencie gwiazdkowym od córki.

Otwierając go, zwróciła uwagę, że jest już zapisany do połowy, i poczuła coś w rodzaju dumy. Że agencja działa, że pracują nad kolejną sprawą, że jakoś się wszystko toczy do przodu...

Wzięła do ręki długopis i napisała drukowanymi literami: OKUP, a obok: BRAT i FACET. Komu jeszcze mogło zależeć na Monice Banach, bestsellerowej autorce kryminałów?

– Wydawnictwo! – olśniło ją. – Przecież oni na niej zarabiają! Może ktoś będzie chciał wyciągnąć okup od wydawnictwa?

Banach rozłożył bezradnie ręce.

– Może? Ale dopóki się nie odezwie, to wszystko są spekulacje.

Gaja zaczęła obracać długopis w palcach.

– Panie Adamie... – odchrząknęła. Na koniec zostawiła sobie najtrudniejszy temat. – Czy dopuszcza pan myśl, że pana siostra mogłaby popełnić samobójstwo?

Banach patrzył na nią szeroko otwartymi oczami, jakby nie rozumiejąc, co do niego mówi.

– Samobójstwo? – powtórzył. – Nie, na pewno nie! Monika to ostatnia osoba, która mogłaby zrobić coś takiego. Kiedy się widzieliśmy, była co prawda trochę zmęczona, ale psychicznie w świetnej formie.

Gaja popatrzyła na Klarę.

– Ty masz jeszcze jakieś pytania? – powiedziała, zamykając notatnik.

Klara skinęła głową.

– Tak, jedno. W jakiej kuchni się specjalizuje pańska restauracja?

ROZDZIAŁ 14

– Kuchnia śródziemnomorska? Przecież to banał – oceniła Klara, zamykając za sobą drzwi klatki schodowej.

– A jakiej się spodziewałaś?

– Sądząc po tych meblach, to hinduskiej.

– Te meble są z Indonezji.

– No dobra, to indonezyjskiej. Śródziemnomorska znaczy żadna.

Kiedy wsiadły do samochodu, Gaja zauważyła we wstecznym lusterku policyjny radiowóz, nadjeżdżający wolno ulicą. Zatrzymał się kilka metrów za nimi i kierowca wrzucił prawy kierunkowskaz. Zrobiła błyskawiczny rachunek sumienia, czy nie popełnia czasem jakiegoś wykroczenia, i dopiero wtedy do niej dotarło, że policyjne auto chce tylko zaparkować i czeka, aż Gaja zwolni miejsce. Za kierownicą siedział młody funkcjonariusz w mundurze, a obok niego, na siedzeniu pasażera...

No tak, oczywiście. Lewin.

„Kto pierwszy, ten lepszy”, pomyślała Gaja z satysfakcją.

– Patrz, Klara, kogo tu mamy – rzuciła obojętnym tonem.

Klara również spojrzała w lusterko i na widok komendanta uniosła wysoko brwi.

– Mój ulubieniec! – ucieszyła się. – Przywitamy się?

I zanim Gaja zdążyła zareagować, dziewczyna wyskoczyła z auta i podbiegła do radiowozu. Lewin opuścił szybę i przyglądał się jej z kamienną twarzą.

– Miło pana widzieć, panie komisarzu! – rzuciła Klara radośnie.

– Co pani tu robi? – zapytał Lewin bez ogródek. – I koleżanka?

– Jak to co? Szukamy Banach.

– Wy? – Lewin patrzył na nią bezbrzeźnie zdumiony.

– Nasza agencja została wynajęta, żeby ją odnaleźć.

Klara zauważyła, że siedzący za kierownicą funkcjonariusz wychyla się tak, żeby ją lepiej widzieć.

– Przecież to my jej szukamy! – zwrócił jej uwagę Lewin.

– I właśnie dlatego pani Ewelina zleciła to zadanie nam – odpowiedziała Klara z niewinnym uśmiechem i odrzuciła do tyłu włosy. Kierowca nachylił się w jej stronę tak mocno, że aż przycisnął łokciem klakson, niemal przyprawiając drepcące po chodniku wrony o zawał. – Czy to nie jest czasem nieusprawiedliwione użycie sygnału dźwiękowego na obszarze zabudowanym? – zainteresowała się natychmiast Klara. I dodała: – A brat Banach nic nie wie. Za to robi dobrą kawę.

Lewin miał już dość.

– Dokładnie o tym myślałem, jadąc tutaj – wycedził. – Że sobie kawkę strzelę.

– To polecam latte. A może to było macchiato? W każdym razie niech mu pan powie, że z mlekiem.

– Nie chcę być niegrzeczny, ale czekamy na miejsce parkingowe – warknął komisarz.

– Jasne! To do zobaczenia!

Klara posłała kierowcy buziaka i lekkim krokiem wróciła do land rovera.

– Co mówił? – zainteresowała się Gaja, włączając się do ruchu.

– Że cię pozdrawia. Dokąd teraz?

– Porozmawiamy z prawdopodobnie ostatnią osobą, która widziała Banach, czyli z Wojtkiem, scenarzystą. Natalia twierdzi, że kiedy wyszła od niej wieczorem, on został.

– Myślisz, że mógł jej coś zrobić?

– Zobaczymy.

Każda nasza wada może się okazać zaletą, i odwrotnie. Ta myśl niewiadomego pochodzenia, przeczytana gdzieś na Facebooku, zrobiła kiedyś na Matyldzie duże wrażenie. Tak duże, że zapamiętała ją i czasami próbowała dopasować do swojej rzeczywistości.

Odkąd Gaja, która od dwudziestu trzech lat codziennie musiała stawiać czoło swoim własnym traumom i miała w tej walce sporą wprawę, wytłumaczyła przyjaciółce, że nazwanie problemu to połowa sukcesu, Matylda zaczęła trochę uważniej się sobie przyglądać. Najpierw oczywiście skupiła się na wadach. Jeśli o nie chodzi, potrafiła je wskazać perfekcyjnie. Tym bardziej myśl, że to, co ją w niej samej denerwuje lub czego się wstydi, może w pewnych okolicznościach jej pomóc, była tak zaskakująca i nęcąca zarazem.

Na przykład potrzeba akceptacji. Nic tak się dla Matyldy nie liczyło jak pochwały, poklepywanie po plecach czy komplementy i rozpaczliwie starała się na nie zasłużyć. W efekcie, kiedy robiła coś, co miało ujrzeć światło dzienne i zostać następnie przez kogoś ocenione, wkładała w to dwa razy więcej wysiłku. Tak było ze wszystkim: z ciastem na szkolny kiermasz, rabatami w ogrodzie, materiałami do biuletynu i – wywiadem z Moniką Banach, do którego przygotowywała się przez tydzień, czytając dosłownie wszystko, co można było o niej znaleźć. I nagle zdała sobie sprawę, że bojąc się kompromitacji przed swoją rozmówczynią, przyswoiła sobie na jej temat ogromną wiedzę. Wiedzę, która teraz mogła się okazać nadzwyczaj przydatna.

Dlatego w oczekiwaniu, aż Gaja oddzwoni, Matylda postanowiła działać.

Otworzyła na komputerze folder „wywiady” i odnalazła plik „Banach”, liczący, bagatela, trzydzieści osiem stron. Znajdowały się w nim fragmenty opracowań na temat pisarki, jej wypowiedzi, recenzje książek oraz krótki życiorys. I, być może, gdzieś tutaj kryła się odpowiedź na pytanie, co się stało z kobietą.

Wojtek mieszkał na Kromera, naprzeciwko Filtrów, na czwartym piętrze bez windy, więc kiedy Gaja i Klara dotarły pod jego drzwi, obie były lekko zdyszane.

– Powinnam się zapisać na siłownię – sapnęła Gaja, naciskając dzwonek.

– Powinnam uprawiać więcej seksu. – Klara miała swój pomysł na poprawę kondycji.

– Seks? Ktoś tu mówił o seksie?

Mężczyzna, który im otworzył, był wysokim, nieogolonym, śniadym przystojniakiem w stylu Morronego, w rozpiętej na piersi koszuli, dziurawych džinsach i na bosaka. Był też z całą pewnością heteroseksualny, bo na widok Klary oczy zaświeciły mu się jak kotu na widok śmietanki.

– Cześć – powiedział do niej, całkowicie ignorując Gaję, której to na szczęście kompletnie nie przeszkadzało. – Natalia uprzedziła, że będziecie. Wchodźcie.

Pokój, do którego je wprowadził, od mieszkania Adama Banacha różnił artystyczny nieład, miejscami przechodzący w ordynarny bałagan. Na stole, kanapie i biurku odbywał się spektakl brudnych naczyń, pustych butelek po wodzie, piwie i Bóg wie czym, urozmaicony porozkładanymi wszędzie kartkami scenariusza, pokreślonymi na kolorowo.

– Sorry, pracowałem – wyjaśnił bez krztyny skruchy.

Ostrożnie zebrał kartki z powycieranej skórzanej kanapy i przełożył je na parapet.

– Tu sobie klapnijcie.

Gaja sprawdziła najpierw, czy na kanapie nie zostało nic, na czym lepiej nie siadać, i dopiero wtedy ostrożnie się na niej usadowiła.

Gospodarz nie spuszczał wzroku z Klary i do Gai po raz kolejny dotarło, jaką władzę nad mężczyznami ma ta dziewczyna.

– Nieźle jaja z tym zniknięciem Banach, co? – Wojtek podszedł do okna i oparł się o parapet.

Za jego plecami rozciągał się widok na dachy kamienic i szare, ciężkie chmury, z których w każdej chwili mógł lunąć deszcz.

– Tak, zaskakująca sprawa – przyznała Gaja. – A ty nie wiesz, co się z nią stało?

– Niby skąd? – zachnął się mężczyzna. – Byliśmy na spotkaniu, razem z Natalią. Pracowaliśmy. Natalia wyszła wcześniej, ja trochę później. Nic więcej nie wiem.

– Nam właśnie chodzi o to „trochę później”. – Klara uśmiechnęła się słodko, gdyż, jak wiadomo, przed operacją dobrze jest pacjenta znieczulić. – Bzykałeś się z nią?

Cały zachwyt mężczyzny zjawiskiem o imieniu Klara wyparował w okamgnieniu.

– Zwiariowałaś? – warknął. – Skąd ci to przyszło do głowy?

– Sama nie wiem. Intuicja?

– Coś kiepska.

– Na pewno? Natalia twierdzi, że pani pisarka leciała na ciebie – natychmiast wsparła ją Gaja.

Jej słowa spowodowały zaskakujący zwrot akcji, bo Wojtek usłyszał w nich komplement. I natychmiast spuścił z tonu.

– No dobra, może trochę – przyznał. – Ale do niczego nie doszło. Chwilę po wyjściu Natalii ktoś do Banach zadzwonił, rozmawiała może z pół minuty, a potem kazała mi spadać, bo będzie miała gościa. Tyle.

„Pierwsza interesująca informacja tego popołudnia”, pomyślała Gaja. „Tyle tylko że nie do sprawdzenia”.

– I oczywiście nie wiesz, kto to miał być?

– Oczywiście, nie wiem.

Poczuła narastającą frustrację. Tajemnicza mgła otulająca zaginięcie Moniki Banach z każdą kolejną godziną zamiast się rozpraszać, gęstniała.

– Mężczyzna czy kobieta? Skup się! Jak o tym gościu mówiła? W jakiej formie? – zaatakowała Wojtka.

– Jezu, nie wiem! – Mężczyzna znowu się zdenerwował. – Aha, i żeby było jasne: nie życzę sobie, żeby moje nazwisko gdzieś przy tej sprawie wypłynęło!

– Oczywiście, że nie wypłynie. Przecież nie jesteśmy z prasy – zapewniła go Gaja, ale Klara była innego zdania.

– Wypłynię na pewno – orzekła. – Pudelka nie znasz? Ale tym bym się akurat nie martwiła. Sława to sława.

– Ty byś się nie martwiła, ale moja narzeczona owszem – wymusnęło mu się.

Gai scenarzysta od początku się nie podobał, a teraz już wiedziała dlaczego. Był po prostu fałszywy. Po fałszywych można się spodziewać wszystkiego.

– No proszę, to ty narzeczoną masz? – zauważyła z przekąsem.

W tym momencie rozległ się dzwonek do drzwi, przerywając im rozmowę i ratując gospodarza przed dalszymi uszczypliwymi uwagami dziewczyny.

– Was jest więcej? – zainteresował się, ruszając do przedpokoju.

Gaja uznała, że dalsza rozmowa nie ma sensu.

– Zbieramy się – zarządziła. – Nic tu po nas. Kompletny niewypał ten człowiek.

Zdażyły wstać z kanapy, kiedy gospodarz wprowadził do pokoju ni mniej, ni więcej, tylko komisarza Lewina.

Nie żeby Gaja się zdziwiła – wizyta policji u kogoś, kto prawdopodobnie ostatni widział zaginioną osobę, była do przewidzenia. Ale trzy spotkania z Lewinem jednego dnia to już jednak trochę przesada.

Poprzednio widywała komisarza przy okazji sprawy Nikodema Peszka i wtedy to on ewidentnie był górą. Natomiast w dzisiejszym wyścigu czuła, że przewagę ma ona.

– Jak miło pana widzieć, panie komisarzu – powiedziała, uśmiechając się sztucznie. – Po raz kolejny.

A Klara w tym samym momencie stwierdziła z ożywieniem:

– No nie mogę! Pan to nas chyba śledzi, co nie?

Lewin zatrzymał się w progu.

– A ja pani wystawiłem pozytywną opinię do licencji... I tak panią chwaliłem... – powiedział, patrząc na Gaję niechętnie.

– Przyjechałam tu przed panem, a to znaczy, że miał pan rację, jestem dobra – odparła.

– Albo że ma pani lepsze auto.

– Nie moglibyśmy przyjąć po prostu, że zdarza mi się myśleć? – spytała kąśliwie.

Ponieważ stali naprzeciwko siebie w niewielkim pokoju, z każdym kolejnym zdaniem sytuacja stawała się bardziej niezręczna.

– Właśnie wychodziłyśmy – zakomunikowała Gaja. – Czy zwrot „do zobaczenia” będzie w tej sytuacji na miejscu?

– Jak najbardziej. – Lewin się cofnął, pozwalając im przejść. – A dokąd się panie teraz udają? Tak pytam, dla kolegi.

Gaja zignorowała go i wyszła, ciągnąc Klarę za sobą.

– Trzeba mu było powiedzieć – zwróciła jej uwagę Klara, kiedy znalazły się na klatce schodowej. – To w końcu najprzystojniejszy policjant w Milanówku. Byłoby super mieć takie dojsście, nie uważasz?

– Uważam – przyznała Gaja. – Poderwij go w takim razie, co to dla ciebie? Będziemy miały dostęp do tajemnic służbowych jak złoto. Miałam mu powiedzieć, że jadę do domu, żeby dać dziecku obiad? Umarłby ze śmiechu.

ROZDZIAŁ 15

Większość wywiadów z Moniką Banach była do siebie podobna, a jednak Matylda, przygotowując się do swojej rozmowy z pisarką, przeczytała je wszystkie. Teraz postanowiła zrobić to jeszcze raz, pod innym kątem. Chciała poznać Banach nie jako autorkę bestsellerowych kryminałów, ale jako człowieka. Bo gdzieś tam, w historii życia kobiety, mógł się kryć powód jej zniknięcia.

Przebiegała wzrokiem artykuł za artykułem i nie mogła trafić na nic konkretnego. Dopiero kiedy na koniec otworzyła dokument z wywiadem, który sama przeprowadziła, i zrezygnowana zaczęła go czytać po raz setny, jej uwagę zwrócił fragment, o którym wcześniej w ogóle nie pomyślała.

Nie boję się świata, który stwarzam w książkach fabularnych, bo doskonale wiem, że jest owocem mojej wyobraźni. Natomiast pracując jako dziennikarka, wiele razy zbliżałam się do prawdziwego zła, dotykałam go, czułam, jaki ma na mnie wpływ. I to rzeczywiście pozostawiło pewne lęki. I jakąś taką głęboko ukrytą obawę, że ono cały czas krąży gdzieś dookoła i kiedyś w jakiś sposób powróci... Bardzo nie lubię tego uczucia.

Zło z przeszłości powróci...

Kiedy spisywała te słowa z dyktafonu, brzmiały jak kwestia z kiepskiego filmu grozy. Jednak teraz, w kontekście tego, co się stało, przestały być kiczowate – stały się złowieszcze.

Matylda sięgnęła po komórkę, żeby sprawdzić, czy czasem nie przegapiła telefonu od Gai. Ale nie, żadnego nieodebranego połączenia nie było. Ciekawe, co ona teraz robi? Pewnie znowu kogoś śledzi albo obserwuje. Bo odkąd agencja Czajka rozwiązała sprawę morderstwa licealistki, Gaja miała naprawdę dużo pracy.

Po chwili wahania ponownie wybrała numer przyjaciółki. Trzy sygnały, cztery...

– No hej! – Szum w tle oznaczał, że rozmawiają przez zestaw głośnomówiący. – Sorry, że nie oddzwoniłam...

– Mam takiego newsa, że padniesz! – oznajmiła Matylda, szczęśliwa, że wreszcie będzie mogła wyrzucić z siebie sensacyjną informację. – Posłuchaj... Monika Banach...

– Wiem, wiem – przerwała jej Gaja. – Zniknęła.

Całe radosne napięcie uleciało z Matyldy jak powietrze z przekłutego balonu.

– Skąd wiesz?!

– Jej agentka nas wynajęła. Mamy ją odnaleźć.

Ta wiadomość Matyldę zelektryzowała.

– To wspaniale! – wykrzyknęła do słuchawki. – Bo ja mam trop!

I przeczytała do telefonu fragment wywiadu.

– Zło z przeszłości... – powtórzyła Gaja z namysłem. – No dobrze, tylko co to może oznaczać?

– Nie wiem, ale się dowiem – obiecała Matylda.

Chciała się jeszcze podzielić z przyjaciółką informacją o tym, że w jej pokoju pojawi się nowy współpracownik, w dodatku płci męskiej, jednak w kontekście tej przedziwnej historii z Banach

wypadłoby to zbyt blado.

Następnym razem.

Im bliżej maja i egzaminu ósmoklasisty, tym atmosfera w szkole stawała się bardziej napięta. Wszystkim zależało, żeby egzamin poszedł jak najlepiej. Wysoka punktacja dawała uczniom wstęp do wymarzonego liceum, a szkole – dobrą opinię. Nauczyciele co prawda starali się przerabiać końcówkę materiału na bieżąco, ale tak naprawdę najwięcej czasu i energii poświęcali powtórkom. Dodatkowo zajęcia z matematyki i języków były obłożone, a co ambitniejsi uczniowie (czy raczej dzieci co ambitniejszych rodziców) uczęszczali też na specjalne kursy przygotowawcze organizowane poza szkołą. Nerwowość narastała z każdym dniem, a była dopiero połowa kwietnia. Co się będzie działo za miesiąc, strach pomyśleć.

Helena ten stan też się oczywiście udzielał. Jeszcze w lutym prawie nie odchodziła od książek. Była dobrą uczennicą, ale nie prymuską, a planowała zdawać do Czackiego, jednego z najlepszych liceów w Warszawie. Biegała więc na wszystkie dodatkowe zajęcia, pisała prace dla chętnych, zbierała punkty za wolontariat, a wieczorami wchodziła na stronę www.czacki.edu.pl i przeglądając zdjęcia, wyobrażała sobie, jak to będzie wspaniale stać się częścią tej barwnej, otwartej i twórczej społeczności.

A potem ojciec się wyprowadził i wszystko się zmieniło. Organizacyjnie, życiowo, emocjonalnie. W tym całym zamieszaniu Helena poczuła, że nie chce kolejnych zmian, i Czacki nagle przestał być taki pociągający. Dziewczynka zaczęła natomiast myśleć o milanowskim liceum na Piasta.

Liceum na Piasta miało kilka plusów. Przede wszystkim znajdowało się dziesięć minut na piechotę od domu Heleny. No i chodził do niego Szymon, którego Helena bardzo, bardzo lubiła. Nie, nie był jej chłopakiem, ale się przyjaźnili. Spędzali razem czas, rozmawiali przez telefon, pisali ze sobą na Messengerze, a kiedy w jej domu nastąpiło trzęsienie ziemi, Szymon pomógł Helenie przez nie przejść.

Do liceum na Piasta dziewczynka dostałaby się bez żadnego problemu, wymagana punktacja nie była wysoka. Tylko jak wytłumaczyć tę zmianę planów rodzicom? No dobrze, głównie mamie, bo ojca teraz widywała rzadko. Helena już od kilku tygodni zbierała się na odwagę, żeby przeprowadzić z Gają poważną rozmowę na ten temat, ale ciągle się jakoś nie składało...

Dzisiaj po raz kolejny postanowiła, że to zrobi.

Przy śniadaniu, z powodu obecności przyjaciółki mamy, nie było warunków. Potem, w drodze do szkoły, matka o mało nie przejechała szczeniaka i rozmyślania o tym, jak cudownie byłoby mieć psa, zajęły głowę dziewczynki na cały dzień. Dopiero kiedy wracając do domu, minęła budynek liceum, temat znowu przebił się do jej świadomości.

Bała się tej rozmowy. Mamie bardzo zależało, żeby Helena trafiła do naprawdę dobrej szkoły, która, jak to określał tata: „zapewni jej dobry start”. Tyle że Heleny dobry start w tym momencie kompletnie nie interesował... Interesował ją spokój.

Brak samochodu matki przed domem z jednej strony dziewczynkę ucieszył, z drugiej zmartwił, bo chciałyby już mieć tę rozmowę z sobą. Weszła na ganek, wyciągnęła klucze z kalosza – matka zostawiała je tutaj beztrzesko – i otworzyła drzwi. W tym momencie ze środka wystrzeliło coś jasnego, piszczącego i merdającego ogonem...

Helena nie mogła uwierzyć własnym oczom. Jej serce zalała fala skondensowanego szczęścia. Uklękła na chłodnych i niezbyt czystych kafłach posadzki i pozwoliła, żeby szczeniak wspinał się na nią i lizał po twarzy, jakby była wielkim chupa chupsem.

– Niesamowite... Mamusia cię jednak zostawiła – mruzczała, drapiąc go po brzuszku. – Czyli będą cię mogła zatrzymać?

Kiedy euforia obojga trochę opadła, Helena wstała ostrożnie, chwyciła plecak i weszła do środka. I o mało nie zemdląca.

Dom, a przynajmniej te jego fragmenty, które widziała teraz z holu, wyglądał jak po przejściu jakiegoś żywiołu – huraganu, tsunami, wielkiego kosmicznego robaka? W każdym razie czegoś buzującego niszczycielską, bezwzględną energią. Czy maleńki, słodki piesek mógł być za to odpowiedzialny?

W porównaniu z tym, co działo się w salonie, straty w holu wydawały się niewielkie, ot, zaledwie dwie pary pogryzionych butów (w tym jedno ukochane szpilki mamy), jeden rozparcelowany parasol i kałuża sików na środku. Dalej było niestety gorzej: dwie donice, jedna z palmą daktylową, druga z fikusem, przewrócone, popękane, częściowo pozbawione ziemi, która znajdowała się teraz na dywanie i obiciach kanap. Koc ściągnięty z fotela i podarty na nierówne pasy, stos wiórów dookoła nogi jednego z krzesel... Helena nie była najlepsza w sprzątaniu, natychmiast jednak zrozumiała, że niezależnie od tego, czy pies znalazł się u nich na chwilę, czy ma zostać na stałe, musi natychmiast zabierać się do roboty. Jeśli matka zobaczy to pobojowisko, zwierzak wyleci z domu z prędkością światła.

Pobiegła więc do łazienki po mop, a o rozmowie, którą planowała przeprowadzić, zapomniała zupełnie.

„Zło z przeszłości” to bardzo ogólne sformułowanie, niosące jednak z sobą konkretną informację – że wydarzyło się kiedyś. Nie dzisiaj i zapewne nie wczoraj. Pięć, dziesięć, dwadzieścia lat temu? Więc żeby trafić na jego ślad, trzeba było tę przeszłość poznać.

Matylda o Monice Banach wiedziała sporo, ale raczej w kontekście jej książek. Faktów z jej życia prywatnego nie znalazła zbyt wiele. W niektórych wywiadach pojawiały się nawiązania do dzieciństwa, młodości, okresu studiów, ale były to ogólniki typu: „lubiłam jeździć na rowerze” albo „w czasie studiów zajmowałam się głównie imprezowaniem”. Czy zło z przeszłości mogło mieć coś wspólnego ze studenckimi imprezami? Mało prawdopodobne.

Jednak był pewien fragment życiorysu pisarki, kiedy miała do czynienia ze złem nazwanym i konkretnym – pracując jako dziennikarka, zajmowała się sprawami kryminalnymi, pisała materiały na temat zbrodni, rozmawiała z mordercami, porywaczami, gangsterami. Dlatego Matylda postanowiła pogrzebać właśnie tam.

Rozsądek kazał jej najpierw zrobić to, co zrobić musiała, czyli przygotować sprawozdania z sesji Rady Miasta, ale kiedy tylko skończyła żmudne spisywanie z dyktafonu, natychmiast znowu zanurkowała w internecie w poszukiwaniu materiałów sprzed lat autorstwa dziennikarki Moniki Banach.

No cóż, trochę tego było...

ROZDZIAŁ 16

Klara położyła rękę na okrągłej, wypolerowanej od wieloletniego używania klamce, przekreśliła ją i bardzo powoli i ostrożnie otworzyła furtkę. Kiedy robiło się to szybko i nieuważnie, zawiasy skrzypiały, a ich skrzypienie natychmiast wywoływało z domu matkę Nikodema. Starsza pani spędzała całe dni, czytając książki, oglądając telewizję i nasłuchując, czy jej syn nie wraca. A z braku syna zadawała się Klarą.

Nie, nie była wścibska. Była towarzyska i całkiem sympatyczna, dlatego Klara czasami dawała się zaciągnąć na herbatę. W gruncie rzeczy nawet starszą panią lubiła, ale akurat dzisiaj nie miała ochoty spędzić z nią czasu. Chciała spędzić czas z Nikodemem.

Ich związek miał zaskakująco inną dynamikę niż wszystkie poprzednie relacje Klary. Po pierwsze trwał już ponad miesiąc, co ocierało się o rekord – Klara średnio wytrzymywała z facetami dwa tygodnie. Nigdy się nie zakochiwała, i to wcale nie była jakaś przemyślana strategia – widocznie motyle w jej brzuchu na razie wolały nie opuszczać bezpiecznych kokonów. Swoich partnerów, tylko z pozoru przypadkowych, Klara starannie selekcjonowała, a wybierać miała z czego – nie było dnia, żeby ktoś nie próbował jej poderwać. Najważniejsze męskie cechy według niej? Luz, poczucie humoru, kasa i wyobraźnia. Mężczyzna oznaczał dla niej partnera do zabawy, a kiedy tylko zaczynał się przywiązywać, bez sentymentu ucinała relację.

Z Nikodemem było inaczej. Można powiedzieć, trafił swój na swego. Przystojny nauczyciel matematyki, przyzwyczajony do tego, że wzdychają do niego nie tylko uczennice, ale i większość koleżanek z pracy, wcale nie zamierzał o Klarę zabiegać, co najpierw wywołało u niej szok, a potem sprowokowało do działania. Nie mogła przecież dopuścić, żeby jakiś mężczyzna jej nie nadszkakiwał.

Był pierwszym facetem, który zamiast wyjścia z Klarą na dyskotekę wybierał malowanie transparentów na kolejny protest, bo właśnie protesty, aktywizm i walka z systemem były dla niego najważniejsze. Miał ideały, miał wiedzę, miał autorytet, i Klara ze zdziwieniem odkryła, że to ona zaczyna się dostosowywać do niego, a nie on do niej. W dodatku Nikodem od początku traktował ją z lekką wyższością, co ją z jednej strony denerwowało, z drugiej – dopingowało. Zaczęła chyłkiem przeglądać gazety, które czytał, przerzuciła się z „Vivy” na „Politykę” oraz z *Przyjaciół* na *Mad Men*. I nawet to, że nie uprawiali seksu tak często, jak by chciała, jakoś jej nie przeszkadzało. Przynajmniej na razie.

Obeszła dom naokoło i otworzyła tylne drzwi, prowadzące do mieszkania Nikodema. Chociaż było zupełnie oddzielne, miało osobne wejście, osobne media, nawet ściana dzieląca dom na dwie części została specjalnie wyciszona, to fakt, że dorosły mężczyzna mieszka pod jednym dachem ze swoją matką, trochę Klarę dziwił. Choć też, póki co, nie wydawał się paląco istotny.

Nikodema nie było. Był za to stojący na stole w kuchni laptop, którego widok uświadomił Klarze, że czeka na nią robota. Ale najpierw musiała zaspokoić głód. Wyjęła z zamrażarki paczkę warzyw, wrzuciła na patelnię i przez chwilę patrzyła, jak drobnutkie kryształki lodu rozpuszczają się i mieszają z olejem do smażenia. Po chwili zmniejszyła odrobinę ogień, usiadła przy stole i przysunęła sobie

laptop. Jako stronę startową kiedyś miała ustawionego Pudelka, ale odkąd zaczęła chodzić z Nikodemem, zmieniła go na Onet.pl. Na pierwszym zdjęciu, jakie podsunęła jej przeglądarka, zobaczyła ściągniętą smutkiem twarz Eweliny, agentki Banach, i tytuł: *Tajemnicze zaginięcie słynnej pisarki*.

Wszyscy się tym martwili i przejmowali, natomiast Klara należała do niewielu osób, której to zniknięcie było na rękę. Poza pierwszą, wszystkie sprawy, które do tej pory prowadziły, nie absorbowały zbyt mocno jej uwagi. Ale sprawa Banach była inna. Nie musiały udowodniać zdrady, pstrykać zdjęć z ukrycia, śledzić niczego się niespodziewających kochanków. Tym razem musiały kogoś odnaleźć. To brzmiało obiecująco.

Dom przywitał Gaję dźwięczącą w uszach, nienaturalną ciszą i zapachem płynu do podłóg Floral Fiesta. To połączenie było tak nieoczekiwane, że zatrzymała się w drzwiach, zastanawiając się, czy na pewno dobrze trafiła.

Podłoga w holu lśniła zaskakującą czystością. Sława? To było pierwsze skojarzenie Gai. Niestety, doskonale wiedziała, że błędne. Sława, młoda, energiczna Ukrainka, jeszcze do niedawna pojawiała się u nich dwa razy w tygodniu, sprzątała, prasowała sterty koszul Artura, a czasami nawet robiła pierogi z kaszą gryczaną. Ale po rozstaniu z mężem, które przyniosło konieczność cięcia wydatków, Gaja musiała rozstać się również ze Sławą.

Od tamtej pory minął miesiąc i pomimo wysiłków Gai dom zaczął zarastać brudem. Proces ten postępował powoli, a jednak zauważalnie. Czyżby w końcu zrobił takie wrażenie na Helence, że chwyciła za mop?

Mało prawdopodobne.

– Halo! – krzyknęła. – Wróciłam!

W tym momencie z salonu wypadł Bruno, buksując łapami na śliskich kaflach, a zaraz za nim pojawiła się jej córka.

– O Boże, pies! – jęknęła Gaja, która zdążyła o nim całkowicie zapomnieć.

– Cześć, mammo! Chcieliśmy ci zrobić niespodziankę!

Psiak dopadł do nogi Gai i zaczął robić to samo, co przy ich ostatnim spotkaniu – drapać pazurami jej łydkę i popiskiwać. Wyglądał przy tym tak uroczo, że Gaja schyliła się i wzięła psiaka na rękę, a on zaczął lizać jej policzki. Znowu poczuła słodki, szczenięcy zapach, który nagle uruchomił w niej wspomnienia tak odległe, że prawie nierealne. Przestraszyła się ich i odłożyła psa na ziemię.

– Mammo, on jest taki uroczy! Czy może u nas zostać? Proszę!

– Kochanie, ten pies ma właściciela – powiedziała Gaja łagodnie.

– To dlaczego nie jest w swoim domu?

Logiczne pytanie. Gaja zastanawiała się przez chwilę, czy wtajemniczać córkę w to, co się stało z Banach. Ale po chwili uświadomiła sobie, że przecież i tak za chwilę dowie się o tym z internetu.

– Jego właścicielka, Monika Banach, zaginęła – wyjaśniła. – Nie wiadomo, co się z nią stało. Jako agencja dostałyśmy zlecenie, żeby ją odnaleźć, ale to może chwilę potrwać.

– Czyli on zostanie z nami, dopóki ta pani się nie znajdzie, tak? – Dziewczynka się ożywiła.

Gaja pokręciła przecząco głową.

– Niezupełnie. Jutro mam go odwiedzić kobiecie, która jest agentką Banach. Tak się umówiliśmy.

Helena wyraźnie zmarkotniała, a potem zadała kolejne celne pytanie.

– A jeżeli jego pani się nie odnajdzie?

– Odnajdzie się! – oświadczyła kategorycznie Gaja, ucinając dyskusję, i ruszyła do kuchni. Musiały coś zjeść przed wyjściem na trening i miały na to niewiele czasu.

Wyjęła z lodówki pudełko naleśników ze szpinakiem.

– Jedzenie za pięć minut – zarządziła, wykładając naleśniki na patelnię. – Przygotuj rzeczy.

Helena, lekko naburmuszona, pobiegła na górę po torbę basenową, a Gaja otworzyła szafkę z koszami na śmieci. Wrzuciła puste opakowanie po naleśnikach do plastików i już miała zamknąć szafkę z powrotem, kiedy jej uwagę przykuła warstwa czegoś czarnego w koszu na odpady mieszane. Przez chwilę miała wrażenie, że patrzy na jakąś gigantyczną porcję fusów po kawie, ale kiedy nachyliła się, żeby się lepiej przyjrzeć, odkryła, że to nie fusy, tylko ziemia.

Skąd się tu wzięła, do licha?

Gaja nauczyła się, że tak jak najprostsze rozwiązania bywają najskuteczniejsze, tak i najprostsze odpowiedzi okazują się tymi najtrafniejszymi. Ziemia u nich w domu występowała w doniczkach, a najbliższe doniczki – w salonie. Zamknęła więc energicznie szafkę i poszła sprawdzić, czy jej przewidywania są słuszne.

Niestety, były. Bo choć na pierwszy rzut oka wszystko wyglądało jak zwykle, to kiedy zajrzała do dużej, pięknej donicy z palmą daktylową, zobaczyła gołe korzenie rośliny. Większość ziemi zniknęła, a łodyga palmy nosiła wyraźne ślady psich zębów. W dodatku donica miała dwa spore pęknięcia na bokach i trzymała się tylko siłą woli oraz taśmy klejącej, którą została kilkakrotnie owinięta.

– Właśnie tego mi brakowało – powiedziała do siebie Gaja.

A potem zamknęła oczy i zaczęła liczyć. Ten sposób na zdenerwowanie zwykle świetnie się sprawdzał, nawet w obecności Lewina, ale tym razem, choć doszła do dwudziestu, w dalszym ciągu miała ochotę porządnie wytarosić szczeniaka. I nakrzyczeć na córkę za to, że próbowała zamaskować ślady zbrodni.

Z kuchni dobiegło skwierczenie i niezbyt przyjemny zapach, który przypomniał Gai, że zostawiła naleśniki na zbyt dużym ogniu. Oczywiście się przypaliły – kolejny powód do wściekłości, bo gdyby nie pies, przecież by ich przypilnowała.

Więc kiedy chwilę później w kuchni pojawiła się Helena, gotowa do wyjazdu i głodna, Gaja powiedziała jej dosadnie, co o tym wszystkim myśli. Nie uzyskała jednak skruchy, tylko hardą deklarację, że gdyby ten pies należał do nich, to na pewno nic takiego by się nie stało, bo wiedziałyby, jak sobie z nim radzić, i na pewno nie zostawiałyby go samego w mieszkaniu.

I w tym momencie Gaja sobie uświadomiła, że za dziesięć minut muszą wyjść.

– No pięknie! – mruknęła pod nosem. – I co ja niby mam z nim zrobić?

ROZDZIAŁ 17

Dwa razy w tygodniu Gaja przywoziła Helenę na basen w Pruszkowie, gdzie dziewczynka trenowała pływanie. Same zajęcia trwały równo godzinę, ale do tego trzeba było doliczyć dziesięć minut w szatni przed i co najmniej dwadzieścia minut po treningu, co w sumie dawało Gai półtorej godziny wolnego. Często spędzała ten czas na trybunach, obserwując, jak córka pokonuje kolejne długości basenu, powoli i systematycznie poprawiając swoje wyniki. Czasami szła do tutejszej restauracji, piła kawę i coś czytała. Ale dzisiaj... dzisiaj zamierzała pojechać do kawiarni Kogiel Mogiel, gdzie umówiła się z Pawłem.

Paweł był pierwszym mężczyzną w jej życiu, pierwszą wielką, młodzieńczą miłością i pierwszym wielkim miłosnym rozczarowaniem. Mówił, że ją kocha i że nigdy się nie rozstaną. Miała siedemnaście lat i wierzyła mu bez zastrzeżeń. Ale po tragicznej śmierci rodziców Gai wszystko nagle się posypało. Paweł był jedynym człowiekiem, który mógł jej pomóc, i jedynym, którego pomocy potrzebowała. A on kilka tygodni po pożarze wsiadł do samolotu i odleciał do Stanów, gdzie jego ojciec załatwił mu studia. W ten sposób świat Gai zawalił się po raz drugi i spod tych gruzów nie dało się już nic uratować.

Paweł pisał do niej, próbował dzwonić, próbował się tłumaczyć, ale ona ucięła kontakty. Chciała zapomnieć i prawie jej się to udało, choć proces gojenia ran trwał bardzo długo i przebiegał z trudem.

Ale półtora miesiąca temu los, z charakterystyczną dla siebie złośliwością, na nowo ich ze sobą zetknął. Okazało się, że adwokatem Nikodema Peszka, ich pierwszego klienta, jest właśnie Paweł. Jego widok po dwudziestu trzech latach był jak chluśnięcie wrzątkiem – otworzyły się nagle wszystkie blizny, wróciły wspomnienia, te bolesne i te piękne, wróciła też tęsknota.

Najgorsze było jednak to, że wystarczyło kilka spotkań na neutralnym, służbowym gruncie, żeby znowu poczuła się dobrze w jego towarzystwie. Dziwne, bo przecież on był teraz zupełnie innym człowiekiem, ona również. A jednak ciągnęło ją do niego i wiedziała, że jego ciągnie do niej. Problem polegał na tym, że dwadzieścia trzy lata temu złamał jej serce. Trudno na nowo zaufać po czymś takim.

Ale spotkać się na niezobowiązującą kawę? Właściwie czemu nie.

Zaparkowała przy sklepie AGD naprzeciwko kawiarni i wyłączyła silnik. Wyjęła telefon, żeby sprawdzić, czy nie ma jakichś wiadomości o Banach, ale oprócz kilku nowych wpisów na Facebooku i dwóch czy trzech serwisowych informacji o tym, że zniknęła, nie znalazła nic ciekawego. Nie zaniepokoiło jej to, ale też nie uspokoiło.

Czuła się trochę niezręcznie z powodu tego, że przerwały dochodzenie, właściwie jeszcze zanim je porządnie zaczęły, po raptem dwóch niewnoszących nic istotnego do sprawy rozmowach, ale zakładając agencję, obiecała sobie, że jej życie prywatne zawsze będzie na pierwszym miejscu przed zawodowym. Trening córki był priorytetem, nie mogła go ani przełożyć, ani opuścić.

Odwróciła się w stronę tylnych siedzeń.

– Uwważaj, kurduplu! – powiedziała dobitnie do siedzącego na podłodze między siedzeniami szczeniaka. – Idźmy do ludzi. Masz być grzeczny, bo skończysz w schronisku! Zrozumiałeś?

Matyldzie udało się odnaleźć dwadzieścia siedem tekstów autorstwa Banach z czasów, kiedy była dziennikarką. Pięć dotyczyło edukacji, więc odrzuciła je bez namysłu, ale pozostałe dwadzieścia dwa postanowiła przeczytać. W biurze zdążyła przejrzeć połowę, resztę zostawiła sobie na wieczór.

Dziewczynki zniknęły w swoich pokojach o dwudziestej drugiej i dopiero wtedy Matylda mogła spokojnie zabrać się do pracy. Po dzisiejszym pełnym emocji dniu była tak zmęczona, że wzięła laptop ze sobą do łóżka. Kiedy godzinę później Maciek przyszedł się położyć, został jej już tylko jeden niewielki fragment tekstu.

– Co robisz? – spytał, kładąc się po swojej stronie.

– Czytam reportaże Banach... – odpowiedziała, nie odrywając wzroku od ekranu. – Myślałam, że może znajdę... no wiesz... jakąś wskazówkę.

Maciek poprawił sobie poduszkę i sięgnął po książkę. *Sapiens. Od zwierząt do bogów* czytał niewielkimi fragmentami od miesiąca i nie dotarł jeszcze nawet do połowy.

– I co, ciekawe są? – Zajrzał jej w ekran.

– Niektóre tak, niektóre nie. Najgorsze, że już kończę, a nie znalazłam niczego, czego można by się uchwycić.

– Czyli na przykład...? – zainteresował się Maciek.

– No nie wiem... – Matylda się zastanowiła. – Jeżeli ona została porwana i ciągle nikt nie chce za nią okupu, to znaczy, że nie zależy mu na pieniądzu, tylko chce zrobić jej krzywdę. A to mi się kojarzy z zemstą. Czyli szukam takiej historii, która mogła komuś zaszkodzić. Zniszczyć mu życie albo zniszczyć życie komuś bliskiemu...

Maciek zmarszczył brwi.

– Zemsta? Musiałby mieć z nią porządnie na pieńku.

– W tym wywiadzie, który z nią przeprowadziłam, powiedziała wprost, że boi się zła z przeszłości. Dlatego uważam, że coś tam musi siedzieć. Znaczący ktoś. Tyle że, tak jak ci mówię, niczego nie znalazłam. Przeczytałam wszystkie jej teksty dostępne w sieci. I nic.

– Pamiętaj, że jeżeli czegoś nie ma w sieci, to nie znaczy, że nie istnieje – uświadomił ją mąż informatyk. – Kiedyś świat nie był zdigitalizowany. Istnieje coś takiego jak papier.

– Masz na myśli archiwa prasowe?

– Tak, złotko.

Matylda westchnęła.

– A wiesz, ile to roboty? Ona pracowała w trzech redakcjach w sumie przez osiem lat. Musiałabym przeczesać roczniki, numer po numerze, bo przecież nie wiadomo, w których są jej teksty.

– Daj!

Maciek odłożył książkę i sięgnął po laptop żony. Jego palce zatańczyły na klawiaturze.

– Proszę. – Odwrócił komputer ekranem w kierunku Matyldy.

– Co to? – zdziwiła się.

– Lista jej wszystkich publikacji. W której gazecie, w jakim numerze. Przy czym to są czasami tylko notatki prasowe, więc nie wiem, czy w ogóle jest sens się w tym grzebać. Za to widzę, tutaj wyskoczyło coś ciekawego. – Puknął palcem w ostatnią pozycję. – Zbiór reportaży w formie książkowej.

– Monika Banach, *O winie i niewinności* – przeczytała Matylda, zdziwiona. – A ja byłam pewna, że znam wszystko, co napisała. Jak mogłam to ominąć?

Kliknęła w link, który przekierował ich do notatki o książce.

– Dwieście czterdzieści stron... okładka miękka... Czekać, gdzie to można kupić...

Wystarczyły trzy kliknięcia, żeby się okazało, że nigdzie.

– I co teraz, mistrzu? – W jej głosie zabrzmiało rozczarowanie. I natychmiast odpowiedziała sama sobie: – Biblioteka! U nas jest taki system, że nawet jeżeli nie mają tytułu, to go mogą ściągnąć z innego miasta. Jutro sprawdzę.

Zaczęła się rozglądać za swoją komórką.

– Nie mów mi, że chcesz o tej porze dzwonić do Gai. – Maciek pokręcił głową z naganą.

Matylda popatrzyła na niego nieprzytomnym wzrokiem.

– A co?

– Jest jedenasta, złotko... – Wyjął jej z dłoni telefon i odłożył na swoją szafkę nocną.

– Ale...

– Powiesz jej rano. A teraz śpij, bo jutro nie wstaniesz.

Nachylił się do niej i pocałował ją w usta na tyle lekko, żeby nie odebrała tego jak propozycji. Przytuliła się do męża i potarła policzkiem o jego ramię.

– Kocham cię – powiedziała.

– Dobranoc, moja detektywko.

Gaja stała w drzwiach pokoju córki i patrzyła na Helenę, zasypiającą ze szczeniakiem w objęciach. Wiedziała, że nie powinna na to pozwolić. Nie powinna pozwolić, żeby córka przyzwyczaiła się do psa, którego jutro mają oddać. Ale prosiła tak żarliwie, że w końcu Gai zmiękło serce i dziewczynka zabrała Bruna do siebie na noc.

W zasadzie po kilku godzinach z nim spędzonych Gaja sama zaczęła się do psa przekonywać. W kawiarni, do której go ze sobą zabrała, wzbudził zainteresowanie wszystkich obecnych – kiedy przechodzili przez salę, praktycznie każdy, kogo mijała, cmokał do niego i chciał go pogłaskać. Mimo to Bruno grzecznie i z godnością pokonał odległość do najdalszego stolika, przy którym czekał Paweł.

Wspomnienie sylwetki, oczu i zapachu mężczyzny spowodowało przyspieszone bicie jej serca. Już w momencie, kiedy go zobaczyła, wiedziała, że kolejne spotkanie z nim to błąd, który może ją drogo kosztować.

Poprzednio widywali się tylko na gruncie zawodowym w trakcie sprawy Peszka i raz – dosłownie raz – prywatnie. Paweł zrobił dokładnie to samo, co Helena w sprawie szczeniaka – prosił tak długo i uparcie, że w końcu zgodziła się z nim spotkać.

Mało tego – zaprosiła go na obiad do siebie do domu.

Decyzja mogła się wydawać karkołomna, ale Gaja gruntownie ją przemyślała. Po pierwsze – wolała, żeby ich pierwsza rozmowa na temat przeszłości nie odbywała się w miejscu publicznym. Bała się, że się rozklei, a nie lubiła okazywać słabości przy obcych. Po drugie – chciała, żeby zobaczył jej dom i zrozumiał, że tak jak jego wnętrze, które po remoncie zmieniło się nie do poznania, ona również się zmieniała. Wreszcie po trzecie – wydawało jej się, że na własnym gruncie będzie miała nad nim przewagę.

No cóż, przeliczyła się.

O przeszłości prawie nie rozmawiali, nie było żadnych łez, żadnej dramy. Aluzja do nowych wnętrz i nowego życia nie wybrzmiała, a przewaga własnego terenu skończyła się w momencie, w którym ją pocałował.

Na szczęście zanim sprawy się rozwinęły, do domu, po całodziennym wizycie u koleżanki, wróciła Helena. Bardzo niezręczna sytuacja... Później Gaja próbowała wytłumaczyć córce, że Paweł to tylko znajomy i że spotkali się, żeby zamknąć sprawę Peszka, ale dziewczyna wiedziała swoje. Reasumując: wizyta Pawła na Modrzewiowej okazała się porażką.

Pies zaczął popiskiwać przez sen. Gaja oderwała się od framugi i wycofała z pokoju córki, zostawiając otwarte drzwi na wypadek, gdyby szczeniak chciał w nocy zmienić miejscówkę. Ruszyła w kierunku sypialni, ale nagle coś jej się przypomniało. Zbiegła na parter, zapaliła światło w salonie i podeszła do regałów z książkami. *Autobiografię* Agathy Christie znalazła bez problemu – dwutomowe wydanie zamykało kolekcję książek Christie wydawnictwa Hachette, która zajmowała dwie półki. Wzięła pierwszy tom i zaczęła szukać dalej.

Co do grosza wypatrzyła na najwyższej półce, wśród ukochanych książek, do których czasami wracała. Miała kilkadziesiąt takich tytułów: Siesicka, Musierowicz, seria książek o Ani z Zielonego Wzgórza i *Błękitny zamek* – również autorstwa Montgomery – *Przeminęło z wiatrem*, kryminały Chandlera i Joe Alexa, Durrell, Herriot i *Co do grosza* właśnie.

Uzbrojona w tytuły, które przed zniknięciem czytała Banach, wróciła na górę. Co jej szkodzi je przejrzeć? I tak nie miały innego tropu...

ROZDZIAŁ 18

Gaja obudziła się pięć minut przed budzikiem i przez chwilę leżała, próbując ułożyć sobie w głowie plan dnia, który właśnie się rozpoczynał. Odwieźć Helenę do szkoły, oddać agentce psa, umówić się z szefem wydawnictwa, w którym Banach wydawała swoje książki. Ale przede wszystkim sprawdzić, czy pojawiły się jakieś nowe informacje na jej temat.

Sięgnęła po telefon i otworzyła oficjalny profil Banach na Facebooku. Ostatnim postem, wrzuconym o szesnastej dwadzieścia poprzedniego dnia, było nagranie, na którym agentka, Ewelina, apeluje do fanów, żeby przyłączyli się do poszukiwań pisarki.

– My ze swojej strony robimy wszystko, żeby odnaleźć Monikę. Policja rozpoczęła działania, wynajęłam też agencję detektywistyczną. Ale najważniejsi jesteście wy. Rozglądajcie się, proszę. Miejcie oczy i uszy otwarte. Jeżeli tylko traficie na jakikolwiek ślad, piszcie w komentarzach. Możecie też dzwonić albo na policję, albo do mnie bezpośrednio. Numer telefonu podaję na końcu postu.

Gaja zapauzowała film i wybrała numer agentki. Jeżeli jeszcze śpi o tej porze, to najwyższy czas, żeby wstała.

Ewelinie śnił się ogromny biały krokodyl. Leżał na piaszczystym brzegu rzeki, a z jego brzucha dochodziło tykanie. Ale zanim się wyjaśniło, czy to tykanie budzika, czy bomby zegarowej, intrygujący odgłos zamienił się w dzwonek telefonu.

Poderwała się i usiadła na łóżku. Przez chwilę rozglądała się dookoła nieprzytomnym wzrokiem, aż wreszcie zlokalizowała komórkę pod pudełkiem chusteczek na szafce nocnej. Odebrała, nie patrząc, kto dzwoni.

– Słucham? – rzuciła zachrypniętym od snu głosem.

– Nie odezwała się?

Głos należał do Gai, tej babeczki z agencji.

– Ach, to ty. – Ewelina odchrząknęła, próbując pozbyć się chrypy. – Nic, cisza.

Potarła twarz dłonią, żeby się rozbudzić.

– Cholera. – Gaja wydawała się nieprzyjemnie zaskoczona. – Miałam nadzieję, że przez noc coś się wyklaruje. Sprawdzalas wpisy pod postem?

„Co mnie podkuśiło, żeby wynajmować tę cholerną agencję?“, pomyślała ze złością Ewelina. Najchętniej by się rozłączyła i poszła dalej spać.

– Wszystkie do północy – skłamała, bo tak naprawdę przeczytała tylko kilka. – Ale to są głównie wyrazy wsparcia. Nie trafiłam na nic, co by nam mogło pomóc.

– W takim razie ja sprawdzę te późniejsze – oświadczyła Gaja. Była pełna energii, choć chyba nie optymizmu. – Ktoś dzwonił?

– Parę osób, ale też nic konkretnego – Ewelina znowu skłamała. Telefonów było kilkadziesiąt, ale żadnego nie odebrała.

– Gdyby się cokolwiek pojawiło, dawaj znać. Albo najlepiej edytuj post i dopisz mój numer. Po co się bawić w głuchy telefon.

Wizja, że jakieś informacje na temat zaginięcia Banach docierają prosto do agencji, trochę Ewelinę zaniepokoiła.

– Wiesz co, to nie jest dobry pomysł – zaczęła, szukając jednocześnie w głowie jakiegoś argumentu na poparcie swojego stanowiska.

– Dlaczego?

– Bo... bo się zrobi zamieszanie! Poza tym i tak będą dzwonić do mnie, bo jestem osobą zaufaną. I związaną z Moniką...

Ponieważ sama nie wierzyła w to, co mówi, Gaja nie uwierzyła tym bardziej.

– Daj spokój. Po prostu podaj mój numer i napisz, że to telefon do agencji. Jak ktoś będzie chciał zadzwonić bezpośrednio, to zadzwoni. Możesz mi podać namiary na wydawcę Banach?

– Jasne. Zaraz ci prześlę.

W tym momencie gdzieś w tle Ewelina usłyszała hałas, jakby przewróciło się coś dużego.

– Cholera jasna! – rzuciła ze złością Gaja. – Znowu ten pies! O której mogę ci go przywieźć?

Ewelina rozejrzała się po swojej eleganckiej sypialni, urządzonej za ogromne pieniądze przez znaną projektantkę. Na końcu jej wzrok zatrzymał się na śpiących obok niej, przytulonych do siebie dwóch kotach rasy sfinks.

– Nie, dziś nie ma opcji – zaprotestowała energicznie. – Cały dzień się kręcę...

– Ja też!

– I mam koty!

– Nic im nie robi, to szczeniak.

– Naprawdę nie mogę go dzisiaj wziąć! Może jutro...

– Może jutro? – zdenerwowała się Gaja. – Mam ci przysłać rachunek za to, co mi zniszczyły?

„Na pewno i tak będzie mniejszy, niż gdyby zniszczył cokolwiek u mnie”, pomyślała Ewelina, a głośno powiedziała:

– Zamknij go gdzieś i po sprawie. – A czując, że Gaja nie zamierza się poddawać, dodała szybko: – O, dzwoni jakiś obcy numer. Może to z informacją o Monice? Muszę kończyć!

I rozłączyła się.

Wysłała Gai wizytówkę Kamila Wójcickiego, właściciela wydawnictwa Seryjne, następnie dopisała do posta jej numer, zamieniając dwie ostatnie cyfry miejscami.

Banalnie proste.

Na koniec wyciszyła telefon i poprawiła poduszkę. Miała nadzieję, że uda jej się pospać jeszcze przynajmniej godzinę.

Klarę tego dnia obudziło mruczenie kota, od którego zdążyła się już odzwyczaić. Nie otwierając oczu, odepchnęła zwierzę i przewróciła się na drugi bok, naciągając kołdrę na głowę. Niezależnie od tego, która była godzina, zamierzała spać dalej.

Ale zamiast snu pojawiły się wspomnienia poprzedniego wieczora i Klara ze zdziwieniem odkryła, że nie są przyjemne.

Wczoraj pierwszy raz pokłóciła się z Nikodemem. Sytuacja o tyle zaskakująca, że w związkach Klary nie było miejsca na kłótnie. Jeżeli czegoś chciała, brała to, a pretensji, wymagań czy uwag po

prostu nie akceptowała. Dlatego kiedy tylko dochodziło do jakiegoś spięcia między nią a jej mężczyzną, żeby nie tracić czasu ani energii, po prostu kończyła związek.

Tylko że z Nikodemem było inaczej.

Kiedy poprzedniego dnia wrócił ze szkoły, czekała już na niego, wystrzałowio ubrana i umalowana. „Zabieram cię na imprezę”, oznajmiła, na co on się roześmiał i wyjął z torby plik kartek do sprawdzenia na jutro. Szok. Próbowwała mu wytłumaczyć, że jeżeli odda dzieciakom prace po weekendzie, to nic się nie stanie, ale Nikodem nie zamierzał zmieniać zdania. I wtedy podniosła głos. Nie, nie krzyknęła. Powiedziała tylko głośno i dobitnie, że jeżeli z nią nie pojedzie, ona pojedzie sama. W skali Klary to właśnie była klótnia. W odpowiedzi Nikodem włączył czajnik i spytał, czy jej też zrobić herbaty, co zirytowało ją do tego stopnia, że wyszła, powstrzymując się w ostatniej chwili, żeby nie trzasnąć drzwiami. To by już było naprawdę upokarzające.

Na imprezę oczywiście poszła, bawiła się świetnie i mało brakowało, a wyszłaby z niej z przystojnym instruktorem nurkowania. Jednak w ostatniej chwili jakiś słaubiutki wewnętrzny głos przebił się do jej świadomości, sugerując, że to jednak nie jest dobry pomysł. I o dziwo zdecydowała się go posłuchać.

Coś nagle i boleśnie wylądowało jej na ramieniu, zaprzeczając definitywnie myśl o dalszym śnie. Koty nigdy nie dają za wygraną.

Usiadła na łóżku i opuściła bose stopy na podłogę. Przez moment poczuła się dziwnie, bo zdała sobie sprawę, że któreś z nich powinno zrobić pierwszy krok i tym kimś raczej nie był Nikodem. Ale ponieważ nie lubiła się martwić na zapas, otrząsnęła się szybko i ruszyła do kuchni. Kiedy minutę później zadzwonił telefon, wyciskała właśnie do miski Scarlett szaszetkę whiskasa.

– O dziesiątej jesteśmy umówione z gościem, który wydaje książki Banach – zakomunikowała bez wstępu Gaja. – Będę po ciebie za kwadrans.

– Jestem w Warszawie, dojadę sama. Jaki adres?

– Zaraz ci prześlę. Zerwałaś z Nikodemem czy się stęskniłaś za kotem?

– Raczej do drugie. – Klara wylała z czajnika wodę, która stała tam od dwóch dni, czyli odkąd była tu ostatni raz, żeby nakarmić Scarlett. – Banach nie wróciła?

– Nie. Widzimy się o dziesiątej.

Klara sprawdziła godzinę. Miała jeszcze całe czterdzieści minut do spotkania. Odłożyła telefon i natychmiast chwyciła z powrotem. Żadnych nieodebranych połączeń. Żadnych nowych wiadomości.

Co ten Nikodem sobie myśli?

Mało brakowało, a Matylda by zasnęła. Uratowała ją szpara w zasłonach i to, że promień słońca, który się przez nią przedostał, wylądował na jej prawym oku, drażniąc je w wyjątkowo bezwzględny sposób.

Przewróciła się na drugi bok... i w tym momencie uprzytomniła sobie, że słońce zaczyna zaglądać w ich okna dobrze po siódmej rano...

Uniosła się na łokciach, zdezorientowana. Przecież wczoraj nastawiła budzik w komórce na szóstą czterdzieści pięć, specjalnie kwadrans wcześniej, żeby umyć włosy przed wyjściem. Czy to możliwe, żeby nie zadzwonił?

Pomacała dłonią szafkę w miejscu, w którym powinien leżeć jej telefon, ale go tam nie było. Próbowwała przypomnieć sobie przebieg wczorajszego wieczoru i nagle sobie uprzytomniła, że przecież Maciek zabrał jej komórkę, położył na swojej szafce i nie podpiął do ładowarki. Przewiesiła się nad śpiącym mężem i rzeczywiście, odnalazła swój kompletnie rozładowany telefon na jego nocnej szafce.

Sprawdziła godzinę na komórce Maćka i aż jęknęła – była siódma dziesięć, zdecydowanie ostatni moment na budzenie dziewczynek, jeżeli chciały zdążyć na ósmą do szkoły.

– Maciek, wstawaj! – Potrząsnęła mężem brutalnie i pobiegła do pokoju córek.

Ten dzień nie zaczął się zbyt dobrze. Pytanie, co jeszcze przyniesie.

ROZDZIAŁ 19

Wydawnictwo Seryjne mieściło się na trzecim piętrze kamienicy przy Marszałkowskiej, w lokalu, który kiedyś był prywatnym mieszkaniem. Piękna stara podłoga z dębowych klepek ułożonych w jodełkę ugięła się pod stopami, lekko skrzypiąc, ale był to jedyny archaiczny element w tym miejscu. Cała reszta, czyli meble, oświetlenie, grafiki na ścianach, wszystko było nowoczesne, oryginalne i drogie.

Wchodzących witały portretowe zdjęcia najbardziej popularnych autorów wydawnictwa. Artystyczna, lekko nieostra fotografia Moniki Banach zajmowała centralne miejsce, a Gaja, patrząc na nią, poczuła niepokój. Czy dlatego, że to jedyne zdjęcie było czarno-białe?

Po prawej stronie, w sporej wnęce, która mogła być kiedyś ślepym pokojem, znajdowała się niewielka księgarnia, gdzie można było kupić książki wydane przez Seryjne, zaś po lewej – lada recepcyjna, za którą siedziała młoda kobieta w kolorowym swetrze, tak jakby strojem chciała ożywić swoją mało interesującą funkcję.

– W czym mogę pomóc? – spytała, obrzucając przybyłe uważnym spojrzeniem.

Nie uśmiechnęła się i Gaja pomyślała, że atmosfera w wydawnictwie po zaginięciu Banach musi być dość napięta.

– Jesteśmy umówione z panem Wójcickim. Na dziesiątą.

– Oczywiście. Zaprowadzę panie.

Szły za recepcjonistką najpierw długim, wąskim korytarzem, od którego z obu stron odchodziły drzwi do pokoi, potem skręciły w prawo i nagle otworzyła się przed nimi spora otwarta przestrzeń, podzielona niskimi przepierzeniami na mniejsze fragmenty, trochę jak w redakcji prasowej. Pomimo że pracowało tu jednocześnie kilka osób, w pomieszczeniu panowała prawie idealna cisza.

Pokój, do którego zmierzały, znajdował się na końcu kolejnego korytarza. Na wysokich, białych dwuskrzydłowych drzwiach wisiały dwie metalowe tabliczki. Na jednej było wygrawerowane: „Redaktor naczelny”, na drugiej – „Prezes. Grupa Wydawnicza Seryjne”.

Ze środka natomiast dobiegały czyjeś podniesione głosy.

Recepcjonistka po chwili wahania zapukała. Głosy ucichły, drzwi gabinetu otworzyły się i ze środka wypadła bardzo ładna, długowłosa blondynka. Obrzuciła czekające na korytarzu kobiety niechętnym spojrzeniem, wyminęła je i odeszła bez słowa.

Recepcjonistka zajrzała do gabinetu.

– Szefie, są te panie umówione na dziesiątą – powiedziała nieśmiało.

– Zapraszam.

Pokój wyglądał dokładnie tak, jak powinien wyglądać gabinet szefa wydawnictwa – duże, eleganckie biurko z wielkim monitorem Apple, biegnące wzdłuż ścian półki pełne książek, oddzielona optycznie kolorem wykładziny część z niskim kawowym stolikiem, dwuosobową kanapą i fotelem. Na jedynym wolnym fragmencie ściany, między oknami, wisiał plakat promujący powieść *Ściernisko* Katarzyny Sońnickiej. Okładka przyciągała wzrok czerwieńią krwi wypływającej spod zamkniętych

drzwi stodoły i rozlewającej się niepokojącą plamą na jasnym klepisku podwórka. Obraz był tak sugestywny, że Gaja aż się wzdrygnęła.

Wysoki, szczupły mężczyzna w okularach, ubrany w czarny obcisły golf i czarne dżinsy, który na ich widok podniósł się zza biurka, miał w sobie pewien rodzaj młodzieńczego uroku i gdyby nie wyraźna siwizna we włosach, wyglądałby jak student, który pod nieobecność profesora przysiadł dla zabawy w jego fotelu.

– Kamil Wójcicki – powiedział, ściskając dłoń Gai, po czym zagapił się na Klarę, która dzisiaj występowała w swojej klasycznej motocyklowej wersji – obciste skórzane spodnie nie ułatwiały skupienia się na czymkolwiek innym. – Przepraszam, miałem tutaj taką... drobną różnicę zdań z autorką. Kasia jest debiutantką i jeszcze wiele musi się nauczyć.

– Katarzyna Sośnicka? – skojarzyła Gaja.

– Tak. Właśnie zaczęliśmy kampanię promocyjną jej książki.

– Możemy usiąść? – przerwała mu Klara.

– Oczywiście, zapraszam – zreflektował się natychmiast. – Pani jeździ motorem? – zainteresował się, ciągle nie mogąc oderwać wzroku od Klary.

– Owszem. Łatwiej zaparkować. – Uśmiechnęła się rozbijająco, choć dla obojga było oczywiste, że wcale nie o parkowanie tutaj chodzi.

– Wiem coś o tym – zgodził się Wójcicki. – Ja też chętnie jeżdżę po mieście skuterem. Vespa. Kawy? Herbaty? – zaproponował.

– Ja dziękuję – odpowiedziała Gaja.

Klara zawahała się, po czym również odmówiła.

– Dobrze, przejdźmy do rzeczy. Rozmawiałem z Eweliną – zaczął Wójcicki. – W dalszym ciągu nic nie wiadomo o Monice. Wczoraj była u mnie policja...

– Czyli jednak działają – zdziwiła się Gaja. – Mówili, jaką mają koncepcję?

Wójcicki rozłożył bezradnie ręce.

– Oni? Żadnej. Przedziwna historia... To jest tak zupełnie niepodobne do Moniki...

– No właśnie, o tym chciałobyśmy z panem porozmawiać. Mogę? – spytała Gaja, kładąc na biurku dyktafon.

– Oczywiście – odpowiedział po sekundzie zawahania. – Postaram się pomóc, ale naprawdę nie wiem...

– Kiedy pan usłyszał, że Monika Banach zniknęła, co pan najpierw pomyślał?

– Że to jakiś żart – odpowiedział bez zastanowienia mężczyzna. – Naprawdę byłem przekonany, że to jest nieporozumienie. I że Ewelina histeryzuje. Przecież ona wszczęła alarm... kiedy? Dwie godziny po tym spotkaniu, które się nie odbyło?

– Godzinę – poprawiła go Gaja.

– No widzi pani, godzinę. I to tylko z powodu jakiegoś szczeniaka. Naprawdę wydawało mi się, że przesadza. I potem jeszcze ten pomysł, że Monika została porwana... Skąd ona to wzięła?

– A pan myśli, że to niemożliwe? Żeby ktoś porwał panią Banach? – zainteresowała się Klara.

Wójcicki wstał z fotela, podszedł do okna i przez chwilę śledził wzrokiem przejeżdżający ulicą tramwaj, potem odwrócił się do nich i zaczął mówić:

– Wie pani, według mnie Monika nie należy do osób, którym mogłoby się coś stać. Jest silna, może nie tyle fizycznie, chociaż to też, co psychicznie. Dlatego na przykład natychmiast odrzuciłem

samobójstwo, które sugerują niektóre media. Nie ma takiej opcji. Nie zabiłaby się, to po prostu niemożliwe. Natomiast gdyby to była prawda z tym porwaniem, no cóż, współczuję porywaczom. Nie wiem, czy wypada ją tak nazwać, ale... niezła z niej cholera. Tyle tylko że ciągle nikt się do nas nie odezwał z żądaniem okupu.

– Czyli uważa pan, że porywacze po pieniądze zwróciliby się do wydawnictwa? – chciała wiedzieć Gaja.

– A do kogo? Monika jest naszą najbardziej rozpoznawalną autorką, jej książki świetnie się sprzedają, powinno nam na niej zależeć, to logiczne.

– Powinno, ale czy zależy? – Klara była dobra w chwytaniu za słówka.

– Oczywiście, że tak! – potwierdził stanowczo. – Pytanie tylko o kwotę. Nie możemy tak po prostu wyjąć z firmy większej ilości gotówki bez skutków dla naszego funkcjonowania. Inwestujemy na bieżąco w druk i promocję, to jest bardzo skomplikowany finansowo organizm. Na szczęście w tym momencie to są abstrakcyjne rozważania.

Gaja obserwowała Wójcickiego uważnie. Nie sprawiał wrażenia przesadnie zdenerwowanego. Chyba naprawdę nie wierzył, że Monice Banach mogło się stać coś złego. Gaja postanowiła w takim razie pogrzebać głębiej.

– Jak sobie radziło wydawnictwo, zanim zaczęliście wydawać książki pani Banach? – Prowokacja była ulubionym narzędziem Gai, ponieważ prowadziła do ustalenia hierarchii. I to hierarchii, w której najczęściej to ona była górą.

Wójcicki oparł łokcie o biurko i nachylił się w jej kierunku.

– Na pewno doskonale pani wie, że przeciętnie. I że to seria Moniki wywindowała nas do pierwszej ligi. Oczywiście, doceniam to, jestem jej wdzięczny i tak dalek, ale od tamtej pory minęło pięć lat. Przez ten czas ściągnęliśmy z rynku kilku naprawdę świetnych autorów, inwestujemy w ciekawe debiuty...

– Czyli rozkręcił pan wydawnictwo na Banach, zarobił na jej książkach fortunę, ale gdyby trzeba było zapłacić za nią okup, to nie miałby pan z czego? – podsumowała zwięźle Klara.

Wójcicki roześmiał się i ten śmiech zabrzmiał szczerze.

– Ale o czym my rozmawiamy? Panie tu przyszedł po informacje, które mogą pomóc w znalezieniu Moniki. Nie sądzę, żeby ustalanie tego, czy jestem chujem, miało z tym coś wspólnego. Nie porwałem jej, nie wiem, gdzie jest. Jeszcze jakieś pytania?

Gaja wyłączyła dyktafon.

– Ma pan rację, trochę tracimy czas.

Wstały. Na wysokości wzroku Gai znowu znalazł się plakat *Ścierniska* z rozlewającą się złowieszczą plamą krwi.

– Bardzo dobra okładka – stwierdziła niechętnie.

– Prawda? – ożywił się Wójcicki. – Dobra okładka to połowa sukcesu.

– Czyli w środku może być badziew, a i tak się sprzedaje? – zainteresowała się Klara.

Jej uwagę można było odebrać jak żart, ale najwyraźniej dotknęła jakiegoś czułego punktu, bo w głosie Wójcickiego zabrzmiała irytacja.

– Może, ale akurat w tym wypadku tak nie jest. To naprawdę świetny debiut. Inwestujemy duże kwoty w promocję i mam nadzieję, że niedługo Sośnicka to będzie gorące nazwisko na rynku kryminałów.

– O ile ktoś jej nie porwie – Klara odsłoniła ósemki w sztucznym uśmiechu.

Wójcicki westchnął.

– Byłbym wdzięczny, gdyby panie pamiętały, że jesteśmy po tej samej stronie – podkreślił.

Gaja położyła na biurku swoją wizytówkę.

– Gdyby cokolwiek się działo, niech pan natychmiast do nas dzwoni. Nie do Eweliny, do nas.

Wójcicki skinął głową.

– Oczywiście. Bardzo mi zależy, żeby Monika się znalazła. Naprawdę.

ROZDZIAŁ 20

Czasami bywa tak, że chociaż dzień rozpoczyna się kiepsko, to później los, próbując się zrehabilitować, odwraca kartę. Dzisiaj, po nerwach spowodowanych zaspaniem, Matylda bardzo na to liczyła. Niestety, szybko się okazało, że poranny pech wcale nie zamierza jej opuszczać. Bo kiedy w końcu, lekko spóźniona, dotarła do pracy, w swoim pokoju zastała jakiegoś obcego mężczyznę w granatowym kombinezonie, klęczącego na podłodze przy jej biurku.

– A pan co tu robi? – spytała, nieprzyjemnie zaskoczona.

– Podłączenie do komputera – odpowiedział, nie przerywając pracy. – Tu drugie biurko ma wjechać. Nie uprzedzili pani, że będę?

– Uprzedzili. Tylko nie wiedziałam, że już teraz. Długo to panu zajmie?

Mężczyzna wstał z klęczek.

– A z godzinkę – stwierdził z namysłem. – Albo dwie. W ścianie trzeba grzebać, a to zawsze czas zabiera.

Matylda zastanowiła się szybko. W obecności montera nie napisze ani linijki. A siedzenie i gapienie się bezmyślnie w ekran nie miało sensu.

– Jakby ktoś o mnie pytał, poszłam na miasto – rzuciła. – Mam kilka spraw do załatwienia.

„W sumie może to nawet dobrze?“, pomyślała, zbiegając szybko po schodach urzędu i próbując sobie przypomnieć, od której godziny otwarta jest dzisiaj biblioteka.

– Dobrze, że wpadła pani o tej porze. Jeszcze nie ma ruchu. Napijemy się kawy? – Aleksandra Nocoń, dyrektorka biblioteki miejskiej w Milanówku, zdjęła ze stojącego pod ścianą krzesła stertę książek i podsunęła je Matyldzie.

– Nie chcę robić kłopotu – bąknęła Matylda.

Tak naprawdę marzyła o kawie, ale picie jej z dyrektorką biblioteki odrobinę ją krępowało. Nocoń, wysoka, koścista sześćdziesięciolatka o krótkich, odważnie siwych włosach i w okularach o grubych oprawkach na nosie, pracowała w bibliotece od tak dawna, że Matylda pamiętała ją jeszcze z czasów swojego dzieciństwa. Kobieta kojarzyła jej się z surowymi reprimendami, których udzielała czytelnikom, gdy oddawali książki po terminie. I choć od tamtej pory minęło wiele lat, wciąż budziła w Matyldzie respekt.

– To żaden kłopot. Z mlekiem czy bez?

– Z mlekiem poproszę.

Nagle Matyldzie się przypomniało, że wyszła z domu z kompletnie rozładowaną komórką.

– Czy mogłabym sobie tu u pani podładować telefon?

– Oczywiście. Kontakt ma pani za sobą.

Matylda wygrzebała z torby swojego samsunga i ładowarkę.

– Czyli o pani Banach ciągle nic nie wiadomo? – spytała dyrektorka, wkładając kapsułkę do ekspresu. – Poruszające, naprawdę. Taka sympatyczna osoba... – Wcisnęła guzik z napisem „latte”. –

To znaczy, przepraszam, sympatyczna to nie jest to słowo. Przynajmniej nie w klasycznym rozumieniu. Pani Monika nie uśmiecha się do każdego, nie spoufala się. Ale ma dobrze poukładane w głowie. Świetnie się z nią rozmawiało, naprawdę. No i bardzo dobrze pisze. Nasi czytelnicy uwielbiają jej książki. Na spotkanie autorskie przyszło pół miasta.

– Ja niestety nie dotarłam. – Matylda przypomniała sobie potworny ból głowy, który uwięził ją tamtego dnia w zaciemnionej sypialni. – Ale słyszałam, że było fantastycznie.

– I pomyśleć, to już dwa lata minęły... – Dyrektorka postawiła przed Matyldą wysoką szklanke z kawą. – To było tuż po tym, jak pani Monika sprowadziła się do Milanówka. Akurat wyszedł piąty tom jej serii. Mieliśmy pełną salę, ludzie stali na zewnątrz. I miło z jej strony, że nie chciała honorarium. Powiedziała, że od sąsiadów nie weźmie.

Matylda upiła łyk kawy.

– A ja przyszłam do pani, bo szukam książki – wyjaśniła powód swojej wizyty. – Pierwszej książki Banach.

– To znaczy pierwszego tomu serii?

– No właśnie nie. Zanim zaczęła pisać beletrystykę, pracowała jako dziennikarka...

– Tak, to wiem oczywiście.

– Zajmowała się tematyką kryminalną. Osiem lat temu wyszedł zbiór jej reportaży, wcześniej nigdzie niepublikowanych, *O winie i niewinności*.

Dyrektorka wysunęła spod blatu biurka klawiaturę i wpisała tytuł w wyszukiwarce.

– Niestety, tej książki nie mamy – stwierdziła. – Ale mogę ją pani ściągnąć w ramach wypożyczeń międzybibliotecznych... Moment... Najbliżej, widzę, jest w Łodzi, u nas byłaby za trzy dni. Zamawiamy?

W sumie Matylda spędziła w gabinecie Nocoń prawie godzinę, bo nieopatrznie zaczęły rozmawiać o wieczorze poezji Szymborskiej, który Matylda przygotowywała dla Miejskiego Domu Kultury. Dyrektorka była żywo zainteresowana scenariuszem, zaoferowała też Matyldzie swoją pomoc – i merytoryczną, i organizacyjną. Przez ten czas komórka Matyldy zdążyła się naładować do osiemdziesięciu dwóch procent, a sprawdzając poziom baterii, Matylda odkryła, że już prawie jedenasta.

– Czas na mnie – zreflektowała się. – Nowy numer sam się nie zrobi.

– Muszę powiedzieć, że jestem pod wrażeniem pani pracy – pochwaliła ją Nocoń. – U nas biuletyn rozchodzi się jak świeże bułeczki! Kładziemy na ladzie i jak ludzie przychodzą po książki, to sobie biorą. Bardzo dobra gazetka. Coraz lepsza! Gratuluje!

Matylda podniosła się z krzesła i spakowała ładowarkę do torby. Dyrektorka również wstała.

– Odprowadzę panią!

Kiedy przechodziły przez hol, Nocoń pociągnęła Matyldę w kierunku dwóch szklanych gablot stojących pod oknem.

– Pokażę pani fotoreportaż ze spotkania z Banach. Już dawno miałyśmy zmienić ekspozycję, ale od tamtej pory nic ciekawszego się w naszej bibliotece nie wydarzyło.

Matylda pochyliła się nad szybą. Na wyblakłych od słońca zdjęciach rozpoznała Banach, dyrektorkę biblioteki i uczestników spotkania, których większość kojarzyła z widzenia.

– Rozmowa z panią Moniką to była czysta przyjemność. – Dyrektorka również pochyliła się nad gablotą. – Skupiliśmy się głównie na premierowym tomie, inaczej trwałoby nie półtorej godziny, tylko

trzy. Zwłaszcza że było bardzo dużo pytań od publiczności. – Noceń popukała paznokciem w szkło. – No a potem kwiaty, prezenty... Pani Monika była zachwycona atmosferą.

Matylda zwróciła uwagę na efektowny bukiet, który wręczał pisarce jakiś mężczyzna w średnim wieku. Był wysoki i tęgi, a elegancki garnitur mimo nadwagi właściciela leżał na nim znakomicie. Staroświeckiego uroku dodawała mężczyźnie idealnie dobrana do reszty stroju mucha.

Ruszyły do drzwi wyjściowych.

– Ta historia z panią Moniką... No zupełnie jak z książki – powiedziała dyrektorka, żegnając się z Matyldą. – Mam nadzieję, że się szybko znajdzie, cała i zdrowa.

ROZDZIAŁ 21

– I co o nim myślisz? – Gaja nauczyła się, że spontaniczne i beztrioskie oceny Klary często zawierają trafne spostrzeżenia.

Klara zwinęła włosy w kok i upięła je klamrą na czubku głowy.

– Gdyby rzeczywiście pojawiło się żądanie okupu, nie chciałabym być na jego miejscu – odpowiedziała. – Kiedy się lubi pieniądze, to musi być cholerny dylemat: stracić kasę i odzyskać Banach, czy zatrzymać kasę, ale stracić autorkę.

– Też bym mu tego nie życzyła, ale jak na razie tezy o porwaniu nic nie potwierdza.

– A skąd się w ogóle wziął ten pomysł? – zainteresowała się Klara.

– Od Eweliny. Jak zobaczyła ten bałagan w salonie, natychmiast stwierdziła, że to musiało być porwanie.

Wyszły z budynku wydawnictwa. Czerwony land rover przyciągał wzrok na parkingu po drugiej stronie ulicy.

– Twój rumak gdzie? – zapytała Gaja, zastanawiając się jednocześnie, co powinny teraz zrobić.

Jednak zanim usłyszała odpowiedź, rozdzwoniła się jej komórka. Gaja sięgnęła po nią z nadzieją, że to ktoś z informacją na temat Banach – Ewelina miała przecież umieścić jej numer telefonu w komentarzu do posta.

Ale telefonowała Matylda.

– Ciągle nic? – spytała.

– Nic – niechętnie przyznała Gaja. – Porażka.

– Bo widzisz, ja coś mam.

– Dawaj!

– Zło z przeszłości, pamiętasz? No więc Banach kiedyś jako dziennikarka zajmowała się sprawami kryminalnymi. Przejrzałam jej teksty, nic ciekawego. Ale kilka jej niepublikowanych reportaży wyszło w formie książkowej. Może tam by się znalazła jakaś wskazówka?

– Masz rację, musimy zdobyć tę książkę – ożywiła się Gaja. – Sprawdź, gdzie ją można kupić.

– Już sprawdziłam. – W głosie Matyldy pobrzmiwał ton dobrze przygotowanej do klasówki prymuski. – Nie ma ani w Empiku, ani w żadnej internetowej księgarni. Ale zamówiłam w bibliotece, będzie za trzy dni.

– Trzy dni? – Gaja cmoknęła, niezadowolona. – Przecież za trzy dni Banach już może nie żyć!

– Według mnie ona i tak już nie żyje – wtrąciła spokojnie Klara.

– Przestań gadać głupoty! – zdenerwowała się Gaja. – Na Allegro sprawdzałaś? – rzuciła do telefonu.

– Ani jednego egzemplarza.

– A kto to wydał? Bo rozumiem, że nie Seryjne?

– Nie, nie. Drogowskazy.

– Adres?

– Czekaj, już sprawdzam... Krucza piętnaście, mieszkania osiem.

Gaja zamarła.

– Piętnaście? – powtórzyła ostro. – Jesteś pewna?

– No tak jest tu napisane – potwierdziła Matylda. – Podjedziesz tam?

Gaja nie wiedziała, co odpowiedzieć.

– Zobaczę... – Zawahała się.

Nie miała pojęcia, że przez cały czas Klara bardzo uważnie się jej przygląda. Nagle przysunęła się do Gai i wyjęła jej komórkę z ręki.

– Zajmiemy się tym! – rzuciła do telefonu. – Pa!

I rozłączyła się. A potem oddała komórkę Gai, zajrzała jej w twarz i spytała:

– Hej, co się dzieje? Tylko mi tu nie ściemniaj, że nic, bo ślepa nie jestem.

Gaja spojrzała w lewo, potem w prawo, i upewniwszy się, że nic nie jedzie, przebiegła na drugą stronę Marszałkowskiej. Wiedziała, że Klara zaraz do niej dołączy, ale chciała mieć chociaż chwilę na ochłonięcie.

„Krucza piętnaście, co za okrutny zbieg okoliczności”, myślała, z trudem łapiąc oddech. Prawo jazdy jej ojca zostało znalezione w domu przy ulicy Kruczej trzynaście. Prawo jazdy, które nie miało prawa istnieć.

Od momentu, w którym dostała je do ręki, czuła, że musi sprawdzić ten adres. Nie liczyła na wyjaśnienie tajemnicy, która tak naprawdę wcale nie musiała być tajemnicą. Ale wiedziała, że to miejsce na nią czeka i powinna się z nim skonfrontować.

– Hej, co ty świrujesz? – Klara dogoniła ją, wyraźnie zła. – O mało nie wpadłaś pod samochód! I ja przez ciebie też! Co jest z tym wydawnictwem, że tak cię walnęło?

Gaja zrozumiała, że musi jej zdradzić przynajmniej część prawdy.

– Z wydawnictwem nic – powiedziała pojednawczym tonem. – Ale tuż obok jest dom, w którym niedawno zostało znalezione prawo jazdy mojego ojca. A ojciec nie żyje od dwudziestu trzech lat.

Klara przyglądała się Gai, mrużąc oczy jak kot, który czeka na najlepszy moment, żeby chwycić mysz.

– No dobra... A gdzie tu jest haczyk? – spytała. – Bo nie rozumiem, po co ci info o starym prawie jazdy twojego taty. Ja bym sobie tym głowy nie zawracała.

Rozmowy z Klarą nigdy nie były łatwe.

– Mój ojciec zginął w pożarze – wyjaśniła niechętnie Gaja. – Wszystkie jego dokumenty spłonęły.

– Czyli musiał wcześniej gdzieś to prawko zgubić. Albo mu ukradli. – Klara natychmiast znalazła odpowiedź.

– No właśnie nie. Tego dnia, kiedy zginął... kiedy zginęli... odwoził mnie na narty. Po drodze zatrzymała nas policja, zapłacił mandat. Sprawdzali jego prawo jazdy, widziałam. Potem zostawił mnie z ciotką w pensjonacie i wrócił z mamą do Milanówka. Musiał je mieć ze sobą. Więc skąd się wzięło teraz w centrum Warszawy?

O dziwo, kiedy tylko głośno wyraziła swoje obawy, poczuła ulgę.

Klara zmarszczyła brwi.

– Faktycznie, dziwna sprawa – przyznała. – Więc się nią zajmiemy.

– Dom jak dom... – stwierdziła Klara, przyglądając się sceptycznie trzypiętrowej kamienicy, której przydałby się remont.

Gaja nie była pewna, czy ma dosyć siły, żeby tam wejść.

– Może najpierw załatwimy wydawnictwo? – zaproponowała, ale Klara tylko prychnęła.

– Wydawnictwo nie ucieknie.

I energicznie popchnęła ciężkie drzwi.

Klatka schodowa przywitała je mrokiem i specyficznym zapachem starego domu, z którego powoli uchodzi życie. Gaja odnalazła kontakt i gdzieś wysoko nad nimi zapaliła się mocna żarówka, zalewając klatkę schodową ostrym światłem.

– Nic tu nie ma – stwierdziła z ulgą.

– A czego się spodziewałaś? – spytała Klara. – Automatu na żetony ze starymi prawami jazdy?

Wbiegła po czterech schodkach na półpiętro i zatrzymała się przed drzwiami z numerem jeden.

– Daj mi to prawko. – Wyciągnęła rękę, a Gaja z pewnym wahaniem podała jej dokument. – Aha, i nic nie mów – poleciła Klara i nacisnęła dzwonek.

Gdzieś w mieszkaniu rozległ się ostry, gderliwy terkot. Po chwili zza drzwi dobiegło szuranie i męski głos:

– Kto tam?

– Moje nazwisko Kamińska – odpowiedziała Klara, choć ta informacja niewiele wносиła. – Mam sprawę. Możemy porozmawiać?

– A o czym?

Klara obejrzała się na Gaję i przewróciła oczami.

– Jakiś miesiąc temu znaleziono tutaj, na klatce schodowej, prawo jazdy – mówiła głośno i wyraźnie. – Może pan coś wie na ten temat?

– Co ja niby mogę wiedzieć? – Człowiek po drugiej stronie drzwi nie był zbyt życzliwie nastawiony.

– Proszę otworzyć, ja wszystko wyjaśnię! – Na wszelki wypadek przysunęła dokument do otworu judasza.

Po chwili usłyszały zgrzyt otwieranej zasuwki i drzwi uchyliły się na szerokość grubego metalowego łańcucha. W szparze ukazała się postać chuda, blada i zirytowana.

– Czego pani chce? Ja nic nie wiem.

Klara uśmiechnęła się przeproszająco.

– Zastanawiamy się z koleżanką, skąd to prawo jazdy się tu wzięło. Na pewno nic się panu nie kojarzy?

– Nic. Nie wiem, po co mi pani głowę zawraca.

Chciał zamknąć drzwi, więc Klara szybko wsunęła dłoń z dokumentem przez szparę.

– Na pewno pan nie zna tego człowieka?

Mężczyzna obrzucił zdjęcie szybkim spojrzeniem.

– Ja tutaj nikogo nie znam – odpowiedział niechętnie. – Tu tylko biura, usługi, wszyscy sąsiedzi się powyprowadzali, ja też pewnie się niedługo wyniosę.

– To prawo jazdy mojego ojca – wtrąciła się do rozmowy Gaja. – Zmarł ponad dwadzieścia lat temu. Dlatego chciałabym się dowiedzieć, skąd ono się tutaj wzięło. Bardzo mi na tym zależy.

Mężczyzna patrzył przez chwilę na Gaję, a potem powiedział odrobinę życzliwszym tonem:

– To może ci robotnicy?

– Robotnicy? – ożywiła się Klara. – Jacy robotnicy?

– Remont robią na trzecim piętrze. Banda obiboków, wiadomo. Już drugi miesiąc im schodzi. Jak na początku opróżniali lokal, to tu się wszędzie jakieś dziadostwo walało. Śmieci, papiery, a cały śmietnik zawalili starymi meblami. Ich niech się pani spyta.

I zanim zdążyły mu podziękować, zatrasnął im drzwi przed nosem.

– Co za typ! – prychnęła Klara, ruszając schodami w górę. – No chodź! – pogoniła Gaję. – Sprawdźmy, czy miał rację!

ROZDZIAŁ 22

Komisarz Grzegorz Lewin patrzył na pustą kartkę papieru, którą przed chwilą wyjął z pojemnika drukarki i położył przed sobą z nadzieją, że jej widok sprowokuje go do myślenia. Często szukając odpowiedzi na jakieś bardziej skomplikowane pytanie, posługiwał się tą metodą. Obok na biurku czekał przygotowany długopis, ale Lewin ciągle nie wiedział, od czego zacząć.

W końcu wziął długopis do ręki i napisał na środku kartki drukowanymi literami: MONIKA BANACH, a ponieważ czarne litery na białym tle wydawały się dziwnie chude i rozedrgane, obrysował je prostokątną ramką. Tak, teraz lepiej.

Potem zaczął zapełniać przestrzeń. Na górze umieścił słowo BRAT, z prawej strony AGENTKA, na dole WYDAWCA, a po lewej stronie wyłądował SCENARZYSTA.

Z każdą z tych osób rozmawiał. Każda wydawała się szczerze przejęta zaginięciem pisarki. Każda starała się być pomocna.

A jednocześnie czuł, że któraś z nich nie mówi wszystkiego. Choć nie potrafił wskazać która. Na początku cała afera z zniknięciem tej kobiety wydawała mu się wydumana, jednak teraz musiał przyznać rację Ewelinie Wrzesińskiej, agentce Banach, że coś w tej historii śmierdzi.

Rozległo się energiczne pukanie do drzwi i do pokoju zajrzał sierżant Krzysztof Kot.

– Szefie, sprawdziłem to, o co szef prosił – zakomunikował. – I nie mam dobrych wieści.

– Mów – polecił Lewin.

– Sąsiedzi Banach przepytani, nikt nic nie widział. Monitoring jest tylko w jednym domu, ale kamerę ustawiono na podjazd, nie na ulicę. Komórka Banach ostatni raz logowała się blisko jej miejsca zamieszkania rano tego dnia, kiedy zniknęła. W mieszkaniu został jej laptop, nie jest zabezpieczony hasłem, więc bez problemu się do niego dostaliśmy. Tyle tylko że nic tam nie ma, same pliki tekstowe. Szpitale w okolicy sprawdzone, nigdzie nie leży.

– Cholera... Krzysiek, powiedz mi, tak na zdrowy chłopski rozum, co się z nią mogło stać?

Sierżant wzruszył ramionami.

– Trudno wyczuć. Jeżeli to nie samobój...

– Słyszałeś, co mówili wszyscy – przerwał mu Lewin. – Mało prawdopodobne.

– No to według mnie przysnęła gdzieś z kochasiem – wyłuszczył swoją teorię Kot.

– Z kochasiem? – zdziwił się komisarz. – Nikt nie wspominał o żadnym kochasiu.

Sierżant wzruszył ramionami.

– Nie wiem, tak mi przyszło do głowy.

– Potrafisz być pomocny – mruknął Lewin. – A wersja z porwaniem? Co myślisz?

– Nie ma żadania okupu, nie ma porwania – orzekł sierżant.

Trudno się było z nim nie zgodzić.

– Ciekawe, czy pani Gaja czegoś się dowiedziała – dorzucił na zakończenie beztrasko, natychmiast wyprowadzając tym Lewina z równowagi.

– A co ona nas obchodzi? – huknął komendant.

Sierżant Kot lekko się speszył.

– No, też się zajmuje tym zaginięciem, więc pomyślałem...

– Dobra, znikaj – uciał komisarz.

I nagle zrozumiał, dlaczego tak bardzo zależy mu na rozwiązaniu tej sprawy.

Remontowany lokal znajdował się na trzecim piętrze. Zza zamkniętych drzwi dobiegała głośna muzyka, i – o dziwo – nie było to disco polo. Klara zapukała energicznie, a ponieważ nikt nie odpowiedział, nacisnęła klamkę i zajrzała do środka. Oczom kobiet ukazał się przestronny hol pomalowany na biało, przykryta ochronną folią podłoga, aluminiowa drabinka i jakiś młody mężczyzna w poplamionych dżinsach i dziurawym, porozciągającym T-shircie, mieszający patykami farbę w wiaderku i kiwający się w rytm dobiegającego z telefonu reggae.

– Dzień dobry! – krzyknęła Gaja.

Chłopak podskoczył, o mało nie przewracając stojącej za nim drabinki. Chwyił telefon, wyłączył muzykę i dopiero teraz się do nich odwrócił.

– Chciałyśmy o coś spytać – wyjaśniła Gaja.

Patrzył na nie, zaciekawiony, a z patyka, który ciągle trzymał w dłoni, na podłogę skapywały gęste, białe krople.

– Majstra nie ma – uprzedził.

– Nam nie chodzi o remont – uspokoiła go Klara. – Od jak dawna tutaj pracujecie?

Chłopak zastanowił się.

– Drugi miesiąc. I jeszcze się zejdzie z tydzień.

– Aż tyle mieliście roboty? – zdziwiła się Gaja.

– No, sporo. – Najwyraźniej nie zamierzał wchodzić w szczegóły.

– A nie kojarzysz może czegoś takiego? – Pokazała mu prawo jazdy.

Chłopak przyjrzał się, zaciekawiony.

– To jakieś stare jest, no nie?

– Stare – przyznała Gaja. – Ktoś to znalazł na klatce schodowej miesiąc temu.

– Tutaj? W tym domu? – upewnił się.

– Tak. A ja bym bardzo chciała wiedzieć, skąd się wzięło.

Chłopak pokręcił niepewnie głową.

– Nie wiem, może ktoś zgubił? Tu są biura, ludzie chodzą...

– Możliwe, ale mało prawdopodobne – odezwała się Klara. – Jeden pan z parteru powiedział, że wynosiliście stąd jakieś meble...

We wzroku chłopaka błysnęło zainteresowanie, tak jakby Klara wspomniała o ukrytym skarbie.

– Trochę tych gratów było – przyznał. – Szafy, biurka... Stare wszystko i zniszczone. A krzesła tyle, że przez okna wyrzucaliśmy.

Chłopak pochylił się i odłożył patyk do wiadra z farbą.

– Ale te większe meble to prawidłowo wynosiliśmy klatką – ciągnął. – Jedno biurko nam spadło z półpiętra i w drzazgi poszło. Jakieś dziadostwo tam w środku siedziało, papiery, dokumenty stare. Może to prawko stamtąd wypadło?

O dziwo, ta informacja kompletnie zablokowała Gaję. Wcześniej pytała, nie wiedząc, czego się spodziewać, miała jednak nadzieję na jakieś racjonalne, proste rozwiązanie. Teraz uświadomiła sobie, że nic takiego jak proste rozwiązanie w tej sytuacji nie istnieje i odpowiedzi, jakie uzyska, mogą ją poprowadzić w zupełnie nieznanym, niebezpiecznym kierunku, w którym wcale nie chciała podążać.

Na szczęście Klara nie miała aż takich problemów.

– Do kogo należały te meble? Do poprzedniego właściciela?

– Poprzedniego najemcy. Ten lokal jest wynajmowany, firmy się zmieniają. Ostatnio tu było biuro rachunkowe. Wiem, bo zdejmowałem tabliczkę z drzwi. Ale wcześniej? Pojęcia nie mam.

– No tak, jasne. Masz może namiary na właściciela?

To pytanie wyraźnie chłopaka spłoszyło.

– Nie mam – odpowiedział. – Skąd miałbym mieć? I muszę malować, bo mi farba zaschnie.

– A majster kiedy wraca? – Klara nie dawała za wygraną.

Chłopak rzucił jej niechętnie spojrzenie.

– Nie mówił. – Po czym odwrócił się do nich plecami i zaczął energicznie poruszać patykiem w wiaderku z farbą. Było jasne, że niczego się już od niego nie dowiedzą.

Wycofały się na korytarz.

– Czekamy na tego majstra czy sobie odpuszczamy? – chciała wiedzieć Klara.

Gaja podeszła do schodów i ruszyła wolno w dół, patrząc pod nogi i trzymając się mocno poręczy, tak jakby się bała, że spadnie.

Klara zbiegła niżej i zastąpiła jej drogę.

– Hej, to co robimy?!

– Idziemy stąd – odpowiedziała Gaja. – I tak niczego się od niego nie dowiemy.

– Mógłby nam podać namiary na właściciela mieszkania – uświadomiła jej Klara.

– I co nam to da? – Gaja sprawiała wrażenie zirytowanej. – Przepuść mnie.

– Mogłybyśmy spróbować się dowiedzieć, jaka firma wynajmowała to biuro. Może tam ktoś by coś wiedział.

Gaja nic nie powiedziała, tylko wzruszyła ramionami, więc Klara się odsunęła, pozwalając szefowej przejść.

– Dobra, jak chcesz! – rzuciła za nią urażonym tonem. – Nie moja sprawa.

ROZDZIAŁ 23

– Bardzo przykra ta historia z Moniką. Mam nadzieję, że nic jej się nie stało... – W głosie redaktor naczelnej Drogowskazów słychać było niepokój.

Rozmawiały w siedzibie wydawnictwa, które całe spokojnie zmieściłoby się w sekretariacie Seryjnego. Pracownicy z klaustrofobią zdecydowanie nie mieli tu czego szukać.

Pierwszą myślą Gai na widok tych trzech maleńkich pokoików, wypchanych po sufit książkami, było: jak wyglądałoby to miejsce, gdyby Monika Banach swoją bestsellerową serię zdecydowała się wydać w Drogowskazach?

I to pytanie, choć nie wprost, zdecydowała się zadać naczelnej, Dorocie Madejek, energicznej, krótko ostrzyżonej pięćdziesięciolatce.

– Jak to się stało, że Banach od państwa odeszła?

Naczelną posłała jej uważne spojrzenie.

– Naprawdę myśli pani, że to pomoże ją odnaleźć? – spytała sceptycznie.

Gaja zastanowiła się chwilę nad odpowiedzią.

– Nie wiem – odpowiedziała szczerze. – Po prostu jestem ciekawa.

Madejek skinęła głową.

– No dobrze, odpowiem pani. To zresztą nie jest jakaś tajemnica. Monika przyszła do nas z projektem serii i gotowym pierwszym tomem. Na początku nie byliśmy przekonani. Specjalizujemy się w reportażu, wypuszczamy niewielkie nakłady, nie mamy doświadczenia w beletryście. Ale książka Moniki była tak dobra, że zdecydowaliśmy, że ją wydamy. Zrobiliśmy plan promocji, mieliśmy wziąć kredyt, żeby zainwestować w ten projekt. Monika była bardzo zadowolona z efektów naszej pracy... Niestety, zanim podpisaliśmy umowę, na horyzoncie pojawił się Kamil, właściciel Seryjnego.

– Skąd wiedział? – zainteresowała się Klara.

– W naszym środowisku takie wiadomości rozchodzą się błyskawicznie. Więc kiedy tylko dotarła do niego informacja, przypuścił atak. W sumie nawet nie mam do niego żalu. Jego wydawnictwo specjalizowało się w kryminałach, taka seria to była dla niego prawdziwa gratka. Więc zaczął te swoje czary, a ona poszła za nim jak w dym.

– Rozumiem, że dał jej większe pieniądze? – spytała Gaja.

Kobieta popatrzyła na nią z politowaniem.

– Kamil nie daje większych pieniędzy. – Roześmiała się. – Kamil po prostu owija sobie autorów wokół palca. Zwłaszcza autorki. Kiedy chce, potrafi być najbardziej uroczym człowiekiem na świecie. Ale jeszcze raz podkreślam – nie mam mu za złe tego, że nam ją ukraść. Nie mam też za złe Monice, że przeszła do niego. Wcale nie jest powiedziane, że my byśmy tę serię udźwignęli czy że udałoby nam się ją aż tak rozreklamować...

– Ale to przecież są bardzo dobre książki... – zauważyła Gaja.

– Proszę pani, to, czy książka jest dobra, czy nie, przy promocji odgrywa najmniejszą rolę – wyjaśniła kobieta. – Liczą się nakłady na reklamę, pomysły, osoby, które się do reklamy wynajmie... Weźmy na przykład ten zbiór reportaży Moniki. Bardzo dobre teksty tam się znalazły, i co? I sprzedało się osiemset egzemplarzy, śmieszna liczba. Ale nie mieliśmy środków na promocję i tak to się skończyło.

Gaja pomyślała o kobiecie z szacunkiem. Wyglądało na to, że naprawdę nie ma żalu ani do Banach, ani do Wójcickiego, choć w jakimś sensie ją zdradzili. „Ciekawe, czy ja kiedykolwiek pozbędę się żalu do Artura”, pomyślała.

– Skoro już jesteśmy przy tej książce, to czy znajdzie się u państwa jakiś egzemplarz? Mamy pewną koncepcję w związku ze zniknięciem pani Banach i chcemy ją zweryfikować.

Maderek wstała z fotela i podeszła do jednego z regałów.

– Proszę. – Podała Gai książkę.

Gaja wzięła ją do ręki ostrożnie, jakby się bała, że spomiędzy kartek wydostanie się coś jadowitego. Motyw więziennych krat na okładce i niepokojące liternictwo budziły niepokój.

– Ile płacę? – spytała.

– To w prezencie – odpowiedziała naczelnia i dodała: – Oby się tylko na coś przydała.

Dziesięć minut później Gaja i Klara znalazły się znowu na ulicy Kruczej. Klara posłała wymowne spojrzenie w kierunku kamienicy z numerem trzystaście.

– Może majster już wrócił? – rzuciła od niechcenia, ale ponieważ Gaja nie podjęła tematu, wyjęła z kieszeni skórzanej motocyklowej kurtki telefon i sprawdziła, czy Nikodem dał jakiś znak życia.

Nie dał.

Klara poczuła się zdezorientowana. Coś takiego jeszcze nigdy wcześniej jej się nie zdarzyło.

– Co robimy? – zapytała, licząc, że praca pozwoli jej o tej dziwnej sytuacji zapomnieć.

Ale Gaja nie miała gotowej odpowiedzi.

– Chodź ze mną do auta na chwilę, to się naradzimy – zaproponowała.

Wsiadły do zaparkowanego na słońcu land rovera. Wnętrze samochodu, nagrzone i duszne, nie ułatwiało skupienia. Gaja wyjęła telefon i wybrała numer.

– Dokąd dzwoniisz? – zainteresowała się Klara.

– Apdejtuję temat – odpowiedziała Gaja i przełączyła komórkę na tryb głośnomówiący.

Dopiero po sześciu sygnałach usłyszały stłumiony kobiecy głos.

– Jestem już, jestem. Musiałam wyjść do łazienki, żeby odebrać!

– Kto to? – spytała szeptem Klara.

Gaja uśmiechnęła się porozumiewawczo.

– Dzień dobry, pani Zdzisława! – powiedziała i wszystko stało się jasne.

Chociaż Zdzisława, ciotka Matyldy, oficjalnie pracowała na komisariacie w Milanówku jako sekretarka, co plasowało ją na samym dole służbowej hierarchii, jednak nieoficjalnie zarówno jej koleżdy z pracy, jak i mieszkańcy miasteczka liczyli się z nią prawie tak samo jak z komendantem.

Kobieta знаła Gaję od dziecka i zawsze miała do niej słabość, ale odkąd Gaja z Matyldą i Klarą odkryły, kto zamordował licealistkę, zaczęła ją również darzyć szacunkiem, co Gaja bez skrupułów wykorzystywała. Na przykład dziś rano, jadąc do Warszawy, zadzwoniła do Zdzisławy, wtajemniczyła ją w szczegóły sprawy Banach i poprosiła, żeby dyskretnie nadstawiała ucha.

– Kochana, nic dla ciebie nie mam. – Zdzisława mówiła tak cicho, że prawie nie było jej słycać. – Krzysiek Kot wszystko posprawdzał: szpitale, logowania komórki, monitoring. Kawał roboty, ale wyniki żadne.

– A co mówi Lewin? – spytała Gaja.

– Siedzi zamknięty u siebie i myśli – wyszeptala Zdzisława w słuchawkę. – Ale jakoś do tej pory nic nie wymyślił. Za to chłopaki robią zakłady, kto pierwszy namierzy Banach.

– Jak to, kto pierwszy? – nie zrozumiała Gaja.

– No czy wy, czy my – wyjaśniła ciotka. – Muszę iść, bo jak usłyszą, że z tobą rozmawiam...

– A pani na kogo by postawiła?

– No jak to na kogo? – zdziwiła się Zdzisława. – Na ciebie!

Rozłączyła się.

Zanim Gaja zdążyła odłożyć komórkę, rozległ się sygnał przychodzącego połączenia, a na ekranie pojawiło się imię MACIEK.

ROZDZIAŁ 24

Maciek posiadał wiele zalet. Przede wszystkim był optymistą, co bardzo pomagało w codziennym funkcjonowaniu i jemu, i jego rodzinie. Miał też w sobie łagodność, serdeczność i dużą dozę wyrozumiałości.

Potrafił również, czego Matylda bardzo mu zazdrościła, skupiać się w najmniej sprzyjających warunkach. Co prawda do jego pracowni w piwnicy nie dochodziły z mieszkania prawie żadne odgłosy, ale kiedy zostawał sam z dziewczynkami i przenosił się z robotą na górę, działał tak samo wydajnie, odporny na awantury, krzyki, hałasy i rozkręcony na cały regulator telewizor.

Tego dnia jednak nawet ta wyjątkowa umiejętność nie pomogła, kiedy wczesnym popołudniem coś załomotało gwałtownie do piwnicznego okna. Właśnie odkręcał jedną ze śrubek utrzymujących ramkę ekranu starego lenovo i gwałtowny hałas sprawił, że drgnęła mu ręka, a śrubka wysunęła się z otworu i potoczyła po biurku.

Zaskoczony, złapał ją w ostatniej chwili przed sturlaniem się z blatu, odłożył ostrożnie do niewielkiego plastikowego pojemnika i dopiero potem podniósł wzrok.

O szybko w dalszym ciągu coś uderzało, jednak okienko było zbyt małe, by Maciek mógł z tej odległości określić, co to. Zaintrygowany, podniósł się i podszedł bliżej. I choć jego wzrok rozróżnił łapy, brzuch, nos i uszy jakiegoś niewielkiego psa, który próbował dostać się do środka, piszcząc i drapiąc w szkło, mózg mężczyzny przez dłuższą chwilę odrzucał te fakty, uznając ich prawdopodobieństwo za zerowe.

– Nie, przecież to niemożliwe – próbował przekonać sam siebie.

Zwierzę po drugiej stronie prawdopodobnie usłyszało jego głos, bo zintensyfikowało działania, a Maciek nagle sobie uświadomił, że jeżeli zaraz czegoś nie zrobi, stworzenie po drugiej stronie wybiegnie szybko.

Popędził więc na górę, przeskakując po dwa stopnie, i wybiegł do ogrodu.

– Chodź! Chodź tutaj! – krzyknął, a potem na zmianę gwizdząc i cmokając, ruszył na tył domu odszukać sprawcę zamieszania.

Zadanie nie było trudne. Psa, a właściwie szczeniaka znalazł wciąż drapiącego w piwniczne okno. Na widok Maćka psiak porzucił swoje zajęcie, podbiegł do niego i piszcząc, zaczął go obskakiwać.

– Kto ty jesteś? – zapytał skonsternowany mężczyzna, nachylając się nad zwierzęciem. – Skąd się tu wzięłeś?

Odpowiedź przyszła zaskakująco szybko, bo kiedy podniósł wzrok, zobaczył coś, czego z pewnością wcześniej tam nie było, a mianowicie sporą dziurę wygrzebaną pod płotem oddzielającym ich działkę od działki Gai. O tym, że szczeniak miał z tą dziurą coś wspólnego, świadczyły wyraźnie ślady ziemi na jego łapach, pysku i brzuchu.

A jednak odkrycie to niczego nie tłumaczyło. Bo skąd niby pies wziął się w ogrodzie Gai?

Maciek westchnął ciężko i spojrział w dół, gdzie szczeniak wykonywał dalej swój entuzjastyczny taniec.

– I co ja z tobą zrobię? – zapytał skonsternowany mężczyzna.

Nie znał się na psach, a na szczeniakach tym bardziej. Przeszło mu przez myśl, żeby zabrać go ze sobą na dół do pracowni, ale widząc, jak zwierzę roznosi energia, szybko porzucił ten pomysł.

Postanowił więc wykorzystać jedyny trop, jaki miał. Sięgnął do kieszeni swoich ukochanych sztruksowych spodni, wyjął komórkę i wybrał numer Gai.

– Nie uwierzysz... – zaczął niepewnie. – Na twoją działkę ktoś podrzucił psa...

Klara zaparkowała na Lwowskiej. Przez chwilę wahała się, czy wejść do costy po prawej, czy do starbuckska po lewej, w końcu wybrała starbuckska i ich najlepszą w Warszawie caramel macchiato. Zamówiła i usiadła przy stoliku pod oknem.

Lubiła patrzeć na przechodzących chodnikiem ludzi. Wylapywała to, co mieli w sobie charakterystycznego – chód, postawę, strój – i zapamiętywała na wypadek, gdyby kiedyś, w jakichś nieprzewidywalnych na razie okolicznościach, miała to wykorzystać do budowania postaci.

Bo Klara uwielbiała udawać kogoś, kim nie była. I głównie dlatego podobała jej się praca w agencji. Owszem, na początku wyobrażała ją sobie trochę inaczej, bardziej, powiedzmy, dynamicznie, ale kiedy zrozumiała, że szalone pościgi to w tym fachu nie codzienność, a wyjątek, zaczęła szukać jakichś plusów, które pozwoliłyby jej mimo wszystko dobrze się w agencji bawić. I to właśnie wyzwania aktorskie okazały się tym, co dawało dziewczynie satysfakcję oraz dostarczało jakiejś, choć niewielkiej, dozy adrenaliny.

– Klara!

Zdezorientowana rozejrzała się, żeby sprawdzić, kto ją woła, i dopiero po chwili zorientowała się, że to baristka postawiła właśnie na blacie kawę w kubku z wypisanym jej imieniem. Odebrała więc swoje macchiato, wróciła do stolika i wyjęła z plecaka książkę Moniki Banach *O winie i niewinności*, którą Gaja kazała jej jak najszybciej przeczytać.

Telefon Maćka sprzed pół godziny sprawił, że wszystko nagle nabrało dużo szybszego tempa. Kiedy Gaja słuchała męża przyjaciółki, jej twarz pokrywała się brzydkimi czerwonymi plamami.

– Tak... – odpowiadała tylko. – Tak...

A kiedy Maciek skończył, zaczęła mu tłumaczyć sytuację.

– To jest pies Moniki Banach, którym nie bardzo miał się kto zaopiekować. I jakoś tak wyszło, że padło na mnie. Wczoraj był w domu sam przez kilka godzin i zrobił mi jesień średniowiecza, więc go dzisiaj zostawiłam w ogrodzie. Nie wiedziałam, że w naszym płocie jest dziura.

– Bo nie ma – sprostował Maciek. – On się podkopał pod siatkę. Dlatego nie mogę go po prostu przetrzucić do ciebie, bo i tak zaraz tu wróci.

– Dobrze – westchnęła zrezygnowana Gaja. – Już jadę.

Rozłączyła się i wyciągnęła w kierunku Klary egzemplarz książki.

– Przeczytaj, proszę – zarządziła. – Najlepiej na jutro rano, tego nie ma dużo.

W ten sposób zbiór reportaży Moniki Banach znalazł się w dłoniach Klary i leżał teraz przed nią na stoliku w starbucksie. Poglądziła dłonią okładkę. Skoro Nikodem się nie odzywa, przynajmniej będzie miała zajęcie.

Otworzyła książkę. Opuściła sobie wstęp i od razu przeszła do pierwszego rozdziału. Jednak nie zdążyła przeczytać nawet zdania, bo jej komórka brzęknęła sygnałem przychodzącego esemesa.

Bez pośpiechu, z godnością sięgnęła po telefon i otworzyła wiadomość. Była od Nikodema. „Kolacja dzisiaj u mnie?” Żadnego „kochanie”. Żadnego „przepraszam”. Przez chwilę korciło ją, żeby

nie odpisywać. Niech ma nauczkę. Ale potem zadała sobie pytanie, jak chce spędzić ten wieczór: czytając zbiór reportaży czy przytulając się do Nikodema. Wybór nie był trudny.

Dopiła kawę i szybkim krokiem opuściła kawiarnię, kombinując, jak by się tu wymigać od czytania książki.

Kiedy dotarła do motoru, już wiedziała.

Matylda wyszła z pracy z prawdziwą ulgą.

Monter, który pojawił się rano, żeby przygotować drugie stanowisko, spędził w jej pokoju cztery godziny. Co chwila coś mu nie pasowało, wychodził i wracał, zmieniał koncepcję i prosił Matyldę o kawę.

A kiedy w końcu sobie poszedł i Matylda mogła się zabrać do pisania notatki o milanowskim biegu STO-nogi, do którego zapisy właśnie się rozpoczęły, rozległo się energiczne pukanie do drzwi i stanął w nich pan Leszek z pionu technicznego.

– To co, pani Matyldo? Wymieniamy?

– Wymieniamy? – powtórzyła, zdezorientowana. – Ale co, panie Leszku, mamy wymieniać?

Mężczyzna popatrzył na nią, zdziwiony.

– Nie powiedzieli pani? Biureczko przecież!

Matylda jęknęła.

– Nie, błagam! Chce mi pan zabrać moje biurko?

– Nie błażem, ale muszem – zarechotał. – Jest za duże. Musimy je zabrać, bo drugie się nie zmieści. Dostanie pani mniejsze. – Spojrzał na blat zastawiony drobiazgami. – Tylko musi mi pani to opróżnić.

– Teraz? – spytała Matylda bezradnie.

– No teraz, teraz. Za godzinę mam zamówionych chłopaków do noszenia.

Tak więc reszta dnia upłynęła jej na przekładaniu rzeczy z szuflad do kartonowego pudła, które wyzebrała u sprzątaczek, i obserwowaniu, jak pan Leszek z kolegami sprawnie wynosi jej kochane, stare biurko i zamiast niego stawia coś o gabarytach szafki nocnej. Kiedy się w końcu wynieśli, próbowała jeszcze przez chwilę pracować, ale po kilku nieudanych próbach wymyślenia lidu do artykułu poddała się, chwyciła torbę i zmęczona tak, jakby przez cały dzień wykonywała ciężką fizyczną pracę, powlokła się do domu.

Marzyła o odpoczynku. Marzyła o kąpieli. I o tym, żeby to Maciek dzisiaj przygotował kolację. I żeby dziewczynki nic od niej nie chciały. I żeby się wsunąć pod ciepłą koldrę, zgasić światło i pójść spać.

Właśnie miała wille Krysin – stary, zrujnowany budynek, stojący prawie naprzeciwko domu Gai – kiedy najpierw usłyszała huk silnika, a potem zobaczyła, jak pod jej furtkę podjeżdża na motorze Klara.

Dziewczyna zeskoczyła z siodelka i ściągnęła kask, spod którego wysypała się burza rudych, kręconych włosów, a Matylda przypomniała sobie ten moment, kiedy pierwszy raz zobaczyła Klarę i dopóki dziewczyna nie zdjęła kasku, Matylda myślała, że to chłopak. Śmieszne, że mogła się tak pomylić.

– Hej! Super wyglądasz w tym kolorze! – przywitała ją Klara.

Matylda, lekko speszona, popatrzyła na swoją krótką, pikowaną ciemnozieloną kurtkę, w której chodziła właściwie bez przerwy od miesiąca i w której Klara wiele razy już ją widziała.

– Dzięki – powiedziała ostrożnie. – Ty do mnie czy do Gai?

– Do ciebie – odpowiedziała dziewczyna. – Trzymaj! – Podala jej książkę Banach.

Matylda zaczęła ją obracać w dłoniach z taką miną, jakby dostała do ręki kawałek Bursztynowej Komnaty.

– Zdobyłyście ją! – westchnęła z uznaniem. – Tu znajdziemy odpowiedź! Jestem pewna!

– A propos znajdziemy... Byłoby dobrze, gdybyś do jutra ją przeczytała – rzuciła lekko Klara.

Matylda popatrzyła na nią, zaskoczona.

– Do jutra? – upewniła się. – Słuchaj, ja... nie jestem pewna, czy dam radę... To znaczy, czy zdążę...

Wiedziała, że powinna powiedzieć wprost: jestem zmęczona, nie mam siły. Albo: przecież ja oficjalnie nie pracuję w agencji. Ewentualnie: dlaczego nie zrobisz tego sama? Ale nie potrafiła.

– Och, popatrz, jakie to cienkie – zbagatelizowała sprawę Klara. – Przelecisz raz-dwa. Bo rozumiesz, nie ma czasu. Jeżeli rzeczywiście coś tam jest w tych reportażach, to musimy się tego jak najszybciej dowiedzieć. – Klara umiała ją wziąć pod włos. Matylda, gdyby teraz odmówiła, czułaby się jak współniczka w zbrodni.

Klara miała jeszcze w zanadru cały pakiet podobnych argumentów, ale nie musiała po nie sięgać, bo Matylda się poddała.

– Dobrze, postaram się! – obiecała.

– Super! – Klara autentycznie się ucieszyła. – Tylko wiesz co, taki drobiazg – dodała na koniec – gdybyś coś znalazła, dzwoń do mnie, nie do Gai. Ona ma teraz strasznie dużo spraw na głowie. Pa!

Założyła kask i odjechała z hukiem silnika. A Matylda pomyślała ze smutkiem, że znowu dała się komuś w coś wrobić.

ROZDZIAŁ 25

Gaja bardzo nie lubiła sytuacji, na które nie miała wpływu. Niestety od jakiegoś czasu ich liczba w jej życiu niepokojąco wzrosła.

Najpierw nakryła męża na zdradzie. I choć później próbowała rozegrać sprawę po swojemu, to mleko już się rozlało. Wycieranie go ścierką i wyzymanie z powrotem do szklanki nie miało sensu.

Potem pojawił się Paweł, zabierając jej spokój i przestrzeń. Idiotyczna historia, z której nie potrafiła się wyplątać.

Nie potrafiła też zapanować nad agencją, a konkretnie – nad Klarą. Ciągle miała wrażenie, że ta dziewczyna gdzieś się jej wymyka. Nie ufała jej i bardzo ją to irytowało. Bo jak można pracować z kimś, komu się nie ufa?

A teraz do listy tematów, na które nie miała wpływu, niespodziewanie dołączył pies, od dwóch dni dewastujący jej życie. Sytuacja, kiedy musiała rzucać wszystko i wracać do domu tylko dlatego, że ten mały potwór znowu coś zmalował, wydawała jej się irracjonalna.

„Powinam go była dzisiaj odwieźć agentce”, pomyślała ze złością. „Co mnie to obchodzi, czy ma co z nim zrobić?” No właśnie, to też ją denerwowało. Własny brak stanowczości, który nigdy do tej pory jej się nie zdarzał. Czy to, że mimo wszystko zostawiła psa na jeszcze jeden dzień u siebie w domu miało coś wspólnego z tym, że Helena się w nim zakochała?

Mogło mieć.

Ale było też inne, dużo mniej wygodne dla Gai wytłumaczenie.

Wczoraj, kiedy na spotkanie z Pawłem przyprowadziła ze sobą Bruna, mężczyzna pochylił się nad psem, poklepał go po grzbiecie i zapytał:

– Pamiętasz Bandytę?

W tym momencie serce jej na moment stanęło. A potem zaczęło bić tak gwałtownie, że przez chwilę myślała, że zemdleje.

Bandyta. Labrador Pawła. Fragment przeszłości, o której próbowała zapomnieć. Uroczy szczeniak, którego kochała prawie tak mocno jak jego pana. Kiedy przychodziła do nich do domu, nie odstępował jej na krok. Uwielbiała się z nim bawić, uwielbiała też, kiedy zasypiał z łebkiem na jej kolanach. Ostatni raz widziała go dwa tygodnie po pożarze, kiedy Paweł przyjechał z Bandytą do Warszawy, do ciotki, u której zamieszkała, powiedzieć Gai, że wylatuje do Stanów. Dopiero jakiś czas później uświadomiła sobie, że specjalnie zabrał wtedy ze sobą psa, żeby mieć czym zająć ręce. Opowiadał jej wtedy o możliwościach, jakie otworzy przed nim amerykańska uczelnia, poklepując Bandytę po grzbiecie. Tak samo, jak teraz Bruna. Tamtego psa też wtedy straciła.

Czy dlatego teraz nie potrafiła po prostu oddać szczeniaka?

Już sam fakt, że się nad tym zastanawia, był niezbitym dowodem na to, że życie wymyka jej się spod kontroli.

Jakby na potwierdzenie tej tezy zorientowała się, że zamiast skrócić na A2 – droga autostradą do Milanówka zajmowała o połowę mniej czasu – pojechała prosto i wylądowała w Alejach

Jerozolimskich, pełnych zatłoczonych skrzyżowań, zwłaszcza o tej porze. Ze złości aż uderzyła dłonią w kierownicę.

Nie przejechała nawet czterystu metrów, kiedy zatrzymały ją pierwsze światła. Kiedy tak stała i czekała na zielone, kątem oka zauważyła coś znajomego. Zaciekawiona, odwróciła się w stronę pobocza. Na olbrzymim billboardzie, ustawionym na tle kompleksu handlowego, przyciągała wzrok intensywnie czerwona kałuża krwi, rozlewająca się pod literami, które układały się w tytuł książki *Ściernisko*. Niżej widniał tekst: „Porywający debiut! Nic lepszego w tym roku nie przeczytacie! Katarzyna Sośnicka wkracza na scenę!”

„Ciekawe, ile taka reklama musiała kosztować”, pomyślała odruchowo.

Światła się zmieniły, sznur samochodów ruszył i Gaja musiała oderwać wzrok od billboardu. A potem sobie przypomniała, że wcześniej w tym samym miejscu, na tym samym nośniku wisiała reklama najnowszego modelu mercedesa. „Czyli tania przyjemność to to nie jest”, odpowiedziała sama sobie na pytanie i przeskoczyła na lewy pas. Chciała jak najszybciej znaleźć się w domu.

Matylda umieściła ostatni talerz w zmywarce, włożyła tabletkę do pojemnika i z ulgą zamknęła drzwiczki. Ten wieczór nawet w najmniejszym fragmencie nie przebiegał tak, jak sobie wymarzyła, wracając do domu. Głównie dlatego, że Maciek – jedyna pomoc, na jaką mogła liczyć – zabarykadował się w piwnicy. Wyszedł z niej tylko na chwilę, żeby pochłonąć kolację, po czym z paniką w oczach pobiegł z powrotem na dół, żeby zdążyć ze zleceniem, które miało być koniecznie gotowe na jutro.

Niestety, był w pełni usprawiedliwiony – pół dnia, zamiast pracować, zajmował się szczeniakiem, który przelał do nich od Gai i którego nie można było na chwilę spuścić z oczu, bo nawet pilnowany załatwił Matyldzie wszystkie tulipany, które zdążyły właśnie wykiełkować. Na własną zgubę.

Tak więc wszystkie popołudniowe i wieczorne obowiązki spadły na Matyldę, co nie byłoby może takie dobijające, gdyby nie fakt, że czekała na nią jeszcze książka Banach. A to mogło oznaczać nieprzespaną noc.

Matylda uporządkowała kuchnię, wzięła z przedpokoju *O winie i niewinności* i ruszyła na górę. Wprawdzie zaświała jej myśl, że lepiej byłoby usiąść w dużym pokoju w fotelu, gdzie pewnie byłoby jej się łatwiej skupić, ale wizja miękkiego łóżka wygrała.

Dziesięć minut później poprawiła sobie poduszki, umościła się wygodnie i otworzyła książkę. Przebiegła wzrokiem pierwszą stronę, potem drugą. „Bardzo ciekawie się zapowiada”, pomyślała.

I usnęła.

ROZDZIAŁ 26

Budzik zadzwonił jak zwykle o siódmej. Gaja otworzyła oczy i przez chwilę leżała, patrząc w sufit. „Trzeci dzień”, pomyślała. „Trzeci dzień od zaginięcia Banach. Trzeci dzień, a my w dalszym ciągu nie wiemy nic”.

Usiadła na łóżku i sięgnęła po telefon, żeby sprawdzić informacje. Szybki przegląd Facebooka, Instagrama, Wirtualnej Polski i Pudelka potwierdził tylko to, czego Gaja się obawiała – Monika Banach nadal się nie odnalazła.

Gaja poszła więc do łazienki, wzięła szybki prysznic, a potem udała się do kuchni, gdzie o mało nie wdepnęła w zajmującą prawie cały środek podłogi kałużę. Wycierając ją, pomyślała, że mimo wszystko to bardzo miło ze strony psa, że wybrał kafelki. W końcu mógł sobie siknąć na górze, na wykładzinę.

Kiedy skończyła sprzątać, cicho zagwizdała. Po chwili ostre pazurki zastukały na schodach i do kuchni wpadł Bruno. Gaja natychmiast złapała go pod pachę, wyniosła na trawnik i odczekała, aż załatwi wszystkie swoje potrzeby, po czym zabrała go z powrotem do domu. Bała się, żeby nie bryknął znowu do ogrodu Matyldy.

Zaczęła przygotowywać śniadanie, słuchając jednocześnie Tok FM. Nieocenionym plusem tej stacji były częste serwisy informacyjne, a Gaja chciała trzymać rękę na pulsie. Jednak ani o siódmej dwadzieścia, ani o siódmej czterdzieści o zniknięciu Banach nie wspomniano nawet słowem.

Helena pojawiła się na dole za kwadrans ósma, co w sytuacji, kiedy lekcje rozpoczynały się o ósmej piętnaście, nie było takim złym wynikiem. Przywitała się z psem i sięgnęła po tost z awokado.

Gaja obserwowała jedzącą córkę i nagle, trudno powiedzieć, dlaczego akurat w tym zupełnie zwykłym momencie, uświadomiła sobie, że dziewczynka z dziecka zmienia się w młodą damę. I zanim zdążyła się zastanowić i powstrzymać, z jej ust padły słowa, które chyba paść nie powinny.

– Jak tam sprawa z Szymonem? Całowaliście się?

Helena o mało się nie zakrztusiła.

A potem odłożyła tost na talerz i wbiła w matkę niechętnie spojrzenie. Gaja powinna potraktować je jak ostrzeżenie.

– Nie! – odpowiedziała stanowczo Helena. – Mówiłam ci, że to tylko kolega.

– Aha, pewnie. – Gaja nagle poczuła olbrzymią chęć rozmowy z córką, choć widać było doskonale, że Helena rozmawiać nie chce. A już na pewno nie chce się zwierzać. – Widziałam was razem, matki nie oszukasz.

Helena wyglądała przez chwilę, jakby chciała wstać od stołu i wyjść, ale zamiast tego wypaliła:

– Nie chcę zdawać do Czackiego. Chcę iść do liceum na Piasta.

Szklanka po latte, którą Gaja miała właśnie odstawić do zlewu, wysliznęła jej się z palców i roztrzaskała o posadzkę.

– Ty żartujesz, prawda? – spytała, modląc się w duchu, żeby Helena odpowiedziała „tak”.

Ale dziewczynka pokręciła przecząco głową.

– Chcę iść na Piasta – odpowiedziała. – To ma sens! Wszystko ci wytłumaczę!

Kolejna katastrofa. Kolejna sytuacja, kiedy coś, nad czym wydawało się, że panuje, na oczach Gai rozpadało się na kawałki, zupełnie jak ta stłuczona szklanka. Jej ukochane dziecko, jej córka, której przyszłość była dla Gai ważniejsza niż jej własna, chciała ją sobie zniszczyć z powodu jakiegoś chłopaka, z którym nawet oficjalnie nie chodziła?

– Nie ma mowy – oświadczyła, chwytając szczotkę i zamiatając w pośpiechu szkło, żeby czasem pies się w nie nie wpakował. – To w ogóle nie jest temat do dyskusji.

– Tutaj mi będzie dobrze! Blisko do domu! Nie będę tracić czasu na dojazdy! A jak ktoś chce się przygotować do matury, to wszędzie się przygotowuje! W każdej szkole! – tłumaczyła dziewczynka podniesionym głosem.

Tego już było dla Gai za wiele.

– Dość – powiedziała twardo. – Nie kłam. Obie doskonale wiemy, skąd ta zmiana. Chodzi o tego chłopaka! Nie pozwolę, żebyś z jego powodu zrujnowała sobie przyszłość. To niedorzeczne! Nie chcę więcej słyszeć o tym pomysle. – Posłała szybkie spojrzenie na ścienny zegar. – Idziemy, bo się spóźnisz.

Wyszła z kuchni, nie oglądając się na córkę. Dawno nic jej tak nie wyprowadziło z równowagi.

Jakoś tak się najczęściej składało, że faceci, z którymi sypiała Klara, wstawali później od niej. Trudno powiedzieć, na ile świadoma była to selekcja, ale gdyby się nad tym zastanowić, okazałoby się, że większości z nich nie krępowały ani godziny pracy czy nauki, ani żadne inne zobowiązania.

Klara wybierała najczęściej zamożnych i rozrywkowych młodych ludzi, którzy dawali gwarancję tego, że się nie zaangażują. Owszem, czasami zdarzały jej się wpadki, tak jak poprzednio z Damianem, który się niestety wziął i zakochał, a potem chwilę jej zajęło, żeby mu wytłumaczyć, że nie ma przed nimi przyszłości.

Dlatego to, że Nikodem codziennie wychodzi biegać o wpół do siódmej rano, żeby na ósmą zdążyć do szkoły, bardzo Klarze imponowało.

Efektom ubocznym tego procederu były samotne śniadania. Do posiłków spożywanych w pojedynkę Klara przyzwyczaiła się już dawno. Mężczyzn trzymała na dystans, a nic go tak nie skraca jak wspólne jedzenie, natomiast przyjaciółek właściwie nie miała. Wszystkie jej więzi rozpadały się, jeszcze zanim na serio zdołały się zadzierzgnąć, głównie dlatego, że żadna dziewczyna nie wytrzymywała na dłuższą metę obecności w pobliżu kogoś tak atrakcyjnego tej samej płci.

Chwilę po ósmej, kiedy kończyła robić sobie jajecznicę, zadzwoniła jej komórka. Nie musiała nawet sprawdzać, kto to. O tej porze mogła telefonować wyłącznie Gaja.

– Cześć. Co z książką? – zaatakowała Klarę ostrym, nawet jak na siebie, głosem.

Klara przez chwilę nie kojarzyła, o jakiej książce mowa, dlatego zastosowała swoją starą taktykę.

– Gaja? Halo! – powiedziała do słuchawki głośno, tak jakby zwracała się do staruszka z popsutym aparatem słuchowym. – Nic nie słyszysz! Coś z zasięgiem! Halo! Możesz powtórzyć?

– Pytam, czy przeczytałaś książkę! – Szefowa była wyraźnie zirytowana. – Tę, którą wczoraj dostałyśmy w wydawnictwie!!!

No tak. Książka Banach. Trzeba tak było od razu.

– Mam problem z siecią! – krzyknęła Klara do słuchawki, odsuwając ją od siebie na odległość ramienia. – Poczekaj, wyjdę na dwór!

Rozłączyła się i wybrała numer Matyldy, która na szczęście odebrała natychmiast.

– Co z książką? – Klara nie miała czasu na zbędne grzeczności. – Znalazłaś coś ciekawego?

Matylda przez chwilę nie odpowiadała.

– Nie – rzuciła w końcu niepewnym głosem. – Nic nie ma, żadnego tropu. Niestety.

Klarze ta odpowiedź pasowała idealnie.

– Dzięki. Pa! – I natychmiast wybrała numer Gai.

– Teraz powinno być dobrze! – oświadczyła lekko. – O co pytałaś?

– Trzeci raz powtarzam! O książkę! – warknęła Gaja. – Czy coś w niej znalazłaś?!

– Niestety, nie. Strasznie mi przykro, ale nic tam nie ma... – Klara postarała się, żeby te słowa zabrzmiały odpowiednio smutno.

Gaja nie odzywała się przez chwilę.

– No to już nie wiem, co dalej – stwierdziła, a w jej głosie zamiast złości pojawiła się rezygnacja. – Muszę się zastanowić. Dam znać.

Klara odłożyła telefon i zabrała się do jedzenia. Jajecznica wystygła i zrobiła się mocno taka sobie, ale nie chciało jej się robić śniadania po raz drugi, zjadła więc ściętą, nieapetyczną masę, popijając ją letnią herbatą. A potem wzięła kubek, koc i wyszła na taras. Pogoda była tak piękna, a ogród pachniał tak obłędnie wiosną, że siedzenie w domu byłoby grzechem.

Matylda odłożyła telefon i zaczęła się trząść.

Sklamała. Sklamała ze strachu. Bo oczywiście książki nie przeczytała. Zmógł ją sen.

A teraz za bardzo bała się przyznać, że zawałiła. Bo gdyby się przyznała, no cóż, Klara na pewno byłaby na nią zła. I jeszcze, nie daj Boże, przestałaby ją lubić.

Tylko co teraz?

Oczywiście, mogło się okazać, że książka Banach nie zawiera nic, żadnej wskazówki, żadnego tropu. To uratowałoby Matyldzie tyłek.

Ale mogło być też odwrotnie. Tylko żeby to stwierdzić, musiałyby poznać treść.

Instykt samozachowawczy, a może wyrzuty sumienia, kazały jej zabrać książkę ze sobą do pracy. Może jakimś cudem znajdzie czas, żeby do niej zajrzeć?

Kiedy weszła do pokoju, który jeszcze do wczoraj należał wyłącznie do niej, i zobaczyła dwa biurka oraz siedzącego za jednym z nich obcego mężczyznę, cofnęła się odruchowo, żeby sprawdzić numer na drzwiach.

Niestety, to nie była pomyłka.

Mężczyzna poderwał się z miejsca i wyciągnął rękę w jej stronę.

– Pani Matylda, prawda? Rafał. Rafał Bełdowski.

Matylda czasami używała określenia „przystojny do bólu”, i w tym wypadku pasowało ono idealnie. Gdyby mężczyznę do kogoś porównać, chyba najbliżej by mu było do młodego Toma Cruise’a. Z twarzy, bo nie ze wzrostu. Bełdowski miał co najmniej metr dziewięćdziesiąt, jak nie lepiej, co załamało Matyldę. Wysocy mężczyźni kompletnie ją obezwładniali.

Stał tak i patrzył na nią z góry, a ona w tym momencie sobie przypomniała, że już dwa dni temu miała umyć głowę, ale ciągle nie znajdowała czasu na tę prozaiczną, a jak się teraz okazało, niezmiernie ważną czynność.

– Bardzo mi miło – bąknęła, odkładając torbę na swoje nowe biurko i ukradkiem poprawiając grzywkę. – Nie wiedziałam, że pan się tak szybko pojawi.

– Ja też nie wiedziałem. – Uśmiechnął się jakby... przepraszająco? – Widocznie burmistrz uznał, że nie ma co tego przeciągać.

Zapadła między nimi niezręczna cisza.

– Pan wcześniej pracował w ochronie środowiska, prawda? – spróbowała pociągnąć konwersację Matylda.

– Tak. Nudy. Liczę na to, że u pani będzie ciekawiej.

Powiedział to takim tonem, że Matylda prawie się zarumieniła.

– Mam nadzieję, że się pan nie rozczaruje – powiedziała ostrożnie.

I nagle do niej dotarło, że ten mężczyzna do jej pokoju nie wpadł z przelotną wizytą, ale będzie tutaj codziennie. I jakoś trzeba tę ich relację ogarnąć, bo inaczej ucierpi na tym biuletyn. A na to pozwolić nie mogła.

– Może napijemy się kawy na dobry początek? – zaproponowała, rozglądając się za czajnikiem.

– Chętnie. Tylko nie przyniosłem jeszcze swojego kubka.

– Coś zaraz dla pana znajdę. – Matylda, wchodząc w rolę gospodyni, natychmiast poczuła się pewniej. – Może mówmy sobie po imieniu, dobrze? Matylda. – Wyciągnęła do niego rękę.

– Rafał...

Ze zdziwieniem odkryła, że uścisk dłoni Rafała jest słaby i bez wyrazu.

Zajrzała do czajnika. Był pusty.

– Przyniosę wody – powiedziała, ale Rafał zastąpił jej drogę.

– A może ja przyniosę? – zapytał.

– Oczywiście – odpowiedziała. – Bardzo proszę. – I oddała mu czajnik.

Kiedy zniknął za drzwiami, wyjęła z torby książkę Moniki Banach i wrzuciła ją do najwyższej szuflady. Nie będzie łatwo dzisiaj czytać, z Beldowskim nad głową. Ale spróbować musi.

ROZDZIAŁ 27

Krystyna Peszek stała w głębi salonu i przez okno obserwowała dziewczynę swojego syna, Klarę, która właśnie mościła się w wiklinowym fotelu na tarasie.

Naprawdę starała się ją polubić. Zapraszała ją do siebie, karmiła, opowiadała zabawne anegdotki z dzieciństwa Nikodema. Ale nie mogła się pozbyć obawy, że ta śliczna, drapieżna istota w jakiś sposób jej syna skrzywdzi. Choć przecież ich znajomość zaczęła się od tego, że bardzo mu pomogła. To dzięki niej i jej koleżankom z agencji Nikodem został oczyszczony z zarzutu zabójstwa swojej uczennicy, Justyny, odzyskał wolność i dobre imię. Pani Krystyna pamiętała o tym i za każdym razem, kiedy coś ją w Klarze denerwowało, powtarzała sobie, że jej syn tej dziewczynie wiele zawdzięcza.

Również z tego powodu cały czas podejmowała próby nawiązania z nią bliższej relacji. Dlatego teraz podeszła do okna, uchyliła je i powiedziała:

– Klara, kochanie! Może wpadniesz do mnie na kawę? Mam świeże drożdżówki, prosto z piekarni. Co ty na to?

Klara podniosła się z fotela. Miała w ruchach charakterystyczną dla kotów miękkość i grację.

– Chętnie – powiedziała, i zabrzmiało to szczerze. – Już idę.

Dziesięć minut później siedziały na kanapie w salonie, popijając kawę i zajadając drożdżówki. W tle migał telewizor, włączony jak zwykle na TVN 24, choć z okazji obecności gościa maksymalnie wyciszony. Pani Krystyna miała nawyk śledzenia wiadomości i nawet teraz, kiedy rozmawiały, co jakiś czas rzucała okiem na ekran.

– To powiedz, czym się teraz zajmujecie w agencji? – spytała, żeby pociągnąć kulejącą konwersację.

Klara, do tej pory skupiona głównie na jedzeniu, odłożyła bułeczkę.

– Dostałyśmy ostatnio pewną bardzo głośną i medialną sprawę... – zaczęła ostrożnie. – Nie wiem, czy powinnam o tym mówić... – Zawahała się. – Słyszała pani może o zaginięciu Moniki Banach, tej pisarki?

Pani Krystyna nie mogła uwierzyć własnym uszom.

– Oczywiście! Przecież to nasza sąsiadka! Śledzę na bieżąco! – Natychmiast odruchowo spojrzała na telewizor. – Poczekaj, właśnie leci skrót wiadomości.

Chwyliła leżącego na stoliku pilota i włączyła dźwięk. Na ekranie zobaczyły reportera z mikrofonem w dłoni, stojącego przed drzwiami z eleganckim szyldem Chlebem i Solą. Na dole, na pasku pojawiła się informacja: „Zaginięcie Moniki Banach. Słynna pisarka wciąż nieodnaleziona”.

– Znajdujemy się przed restauracją brata zaginionej. Chcemy poprosić go o komentarz do sytuacji...

Reporter poprawił słuchawkę w uchu.

– Prosimy o cierpliwość. Pan Adam Banach właśnie się do nas zbliża.

W oku kamery pojawił się mężczyzna idący szybko ulicą. Na widok reportera zwolnił, jakby wahając się, czy nie zawrócić.

– Panie Adamie! – Dziennikarz podbiegł do niego. – Przygotowujemy materiał na temat zaginięcia pańskiej siostry. Czy jest pan w posiadaniu jakichś nowych informacji? – I podsunął mu mikrofon.

Banach spojrział w kamerę rozbieganym, nieobecnym wzrokiem.

– Nie, nic nowego się nie pojawiło – odpowiedział niechętnie.

Reporter odchrząknął.

– Podobno pański lokal nie najlepiej radzi sobie finansowo. Pracownicy nie otrzymują pełnych wynagrodzeń, pojawiły się zaległości u dostawców. Czy mógłby pan to jakoś skomentować? – W jego głosie pojawiła się twarda nuta.

Banach gwałtownie poczerwieniał.

– Kto panu naopowiadał takich bzdur? – warknął. – Wszystko jest pod kontrolą, nie życzę sobie takich insynuacji.

– Czy to prawda, że pana siostra jest współdziałowcem w Chlebem i Solą? – ciągnął niezrażony dziennikarz. – I czy wiedziała o kłopotach lokalu?

Banach wyminął reportera, otworzył gwałtownie drzwi restauracji i zniknął w środku.

– Jak państwo widzieli, brat zaginionej nie chce odpowiadać na nasze pytania – zwrócił się do kamery dziennikarz. – Będziemy na bieżąco informować o nowych faktach w sprawie...

Dziewczyna Nikodema poderwała się z kanapy.

– Przepraszam! Muszę szybko gdzieś zadzwonić! A drożdżówki przepyszne!

I wybiegła z pokoju.

„Ależ ona ma ciekawą pracę”, pomyślała z uznaniem pani Krystyna. Teraz sprawa zaginięcia Banach wydała się jej jeszcze bardziej interesująca.

ROZDZIAŁ 28

– Proszę! – Matylda położyła na biurku Rafała pokaźny stos biuletynów.

– Sporo tego! – zauważył, zaskoczony.

– Pięćdziesiąt dwa numery – wyjaśniła. – Czyli wszystkie od momentu, kiedy ja przejęłam biuletyn, plus rocznik wcześniejszy. Chciałabym, żebyś się z tym zapoznał. Ale przede wszystkim skup się na swojej działce, czyli na ekologii. Może jakaś stała rubryka by się przydała?

– Dobrze, pani Matyldo... To znaczy, Matyldo. – Uśmiechnął się, a Matylda pomyślała, że nawet zęby ma prawie tak idealne jak Tom Cruise.

Patrzyła, jak bierze pierwszą gazetkę z wierzchu i zaczyna ją przeglądać. Miał ładne dłonie, smukłe, o długich palcach. Znajome dziewczyny oceniały facetów po zupełnie innych częściach ciała. Ile razy słyszała: popatrz, jaki ten gość ma zgrabny tyłek! Ale dla Matyldy najważniejsze były dłonie. Tak zresztą zwróciła uwagę na Maćka. Kiedy przyszła ze swoim laptopem do punktu naprawy komputerów w Pruszkowie, nie widziała za dobrze jego twarzy ani oczu, bo nawet na nią nie spojrzął. Odebrał od niej komputer, otworzył go i jego palce zaczęły tańczyć po klawiszach, a ona się w nich zakochała. A potem w nim. I tak to trwało już ile lat? Trzynaście?

Nagle zreflektowała się, że porównywanie męża do kolegi z pracy jest odrobinę niestosowne. Przesunęła swój monitor tak, żeby odgradzał ją od Bełdowskiego, wyjęła z szuflady książkę Banach i ułożyła ją sobie na kolanach. Czuła się teraz co prawda jak licealistka ściągająca na klasówce, ale to był jedyny sposób, żeby poradzić sobie z wyrzutami sumienia, które od rana wierciły w jej żołądku bolesną dziurę.

Reportaży w książce było pięć. Matylda nie miała pojęcia, czego w nich szukać, musiała zaufać intuicji. Pierwszy odrzuciła, bo historia w nim opowiedziana była za bardzo pozytywna. Na początku drugiego znalazła adnotację, że jego bohater zmarł miesiąc po napisaniu tekstu, więc nawet nie brała się do czytania. Za to trzeci materiał okazał się interesujący. Historia w nim opowiedziana z każdą kolejną kartką stawała się coraz mroczniejsza i Matylda w pewnym momencie uświadomiła sobie, że choć w książce nie padają nazwiska – bohaterowie występowali pod inicjałami – to chyba rozpoznaje sprawę, o którą chodzi. Pamiętała ją głównie dlatego, że dotyczyła pożaru, a od tragicznych wydarzeń w domu Gai Matyldę ten temat w jakiś tajemniczy sposób fascynował.

Włączyła komputer, wrzuciła w Google nazwę miejscowości i odnalazła opis tego, co wydarzyło się tam kilkanaście lat temu. Potem wypisała sobie z internetu nazwiska i daty i porównała je z książką. Tak, wszystko się zgadzało, a w głowie Matyldy pojawiła się koncepcja, kto może stać za zniknięciem Banach.

Złożyła na pół kartkę z notatkami, do kieszeni spódnicy wsunęła telefon i wyszła z pokoju.

Gaja stała w oknie sypialni i obserwowała przez lunetę kowalika skaczącego po pniu sosny głową w dół. Sposób poruszania się tych ptaków zawsze ją śmieszył, jednak tym razem nawet ten zabawny widok nie był w stanie poprawić jej humoru.

Pomysł Heleny, żeby iść do liceum na Piasta był tak idiotyczny, że nie potrafiła o nim myśleć, nie zaciskając pięści. Kiedy córka ją o nim poinformowała, Gaja była pewna, że wystarczy po prostu powiedzieć nie. Potem całą drogę do szkoły obserwowała Helenę w lusterku. Dziewczynka miała obcy, zacięty wyraz twarzy i Gaja z przerażeniem uświadomiła sobie, że jeżeli córka się uprze, to nie ma takiej siły, która by ją zmusiła do wyboru Czackiego. Wystarczy, że zda słabo egzamin ósmoklasisty, odbierając sobie w ten sposób możliwość dostania się do renomowanego liceum.

Czekała ją bardzo poważna rozmowa z dzieckiem, w której logiczne argumenty wcale nie musiały przeważać szali na stronę rozsądku.

Drugim tematem, który ją uwierał, była rozlązająca się w szwach sprawa Banach.

Kiedy przyjmowały zlecenie od Eweliny, wydawało się ono interesującym przerywnikiem między kolejnymi nudnymi sprawami rozwodowymi. I owszem, było ciekawe, ale – nierozwiązywalne. Oczywiście, nie mogła tego wiedzieć, kiedy podpisywała umowę. Za to teraz czuła, że powinna się wycofać, tylko nie za bardzo wiedziała, jak to zrobić.

Jeszcze do dzisiejszego poranka miała nadzieję, że znajdą jakiś punkt zaczepienia w przeszłości Banach, ale telefon Klary rozwiął te nadzieje. Jeżeli w książce nie ma żadnych wskazówek, żadnych śladów, jeżeli nie podsuwa żadnych kierunków poszukiwań, to jedyne, co mogły teraz zrobić, to sobie tę robotę odpuścić.

Z drugiej strony coś jej nie dawało spokoju. Jakaś myśl, jakiś niepasujący, a może właśnie za bardzo pasujący element?

Odsunęła od siebie statyw z lunetą i sięgnęła po komórkę, żeby zadzwonić do Eweliny, ale w tym momencie na ekranie pojawił się esemes od Matyldy: „Mogę zadzwonić?”.

Odpisała „tak” i po chwili usłyszała w telefonie niepewny głos przyjaciółki.

– Nie przeszkadzam ci? Bo Klara mówiła, że jesteś dziś bardzo zajęta.

– Tak ci powiedziała? – zdziwiła się Gaja. – Ciekawe, skąd to wzięła. A w ogóle jak to się stało, że rozmawialiście?

Matylda westchnęła.

– Bo ja... zawałam jedną sprawę. Klara poprosiła mnie wczoraj, żebym przeczytała książkę Banach, tę, którą zdobyłyście w wydawnictwie, no i ja chciałam jej odmówić, bo byłam zmęczona, ale w końcu się zgodziłam i... zasnąłam nad nią. I nie przeczytałam. A dziś rano, kiedy spytała, czy tam jest coś ciekawego, stchórzyłam i skłamałam, że nic nie ma. Bo się bałam przyznać, że w ogóle do niej nie zajrzałam. Ale wzięłam ją do pracy i zaczęłam czytać, i chyba jednak coś znalazłam. Zadzwoniłam do Klary, tylko że ona nie odbiera, więc pomyślałam, że powiem tobie. – Matylda całą tę przemowę wygłosiła na jednym oddechu. – Tak mi głupio... – Chlipnęła na koniec. – Przepraszam!

Gaja wiedziała, że wyrzucenie z siebie tego wszystkiego musiało Matyldę sporo kosztować, i nawet jej trochę współczuła. Ale przede wszystkim była na nią zła.

– Jezu, dziewczyno... Jak mogłaś?! – rzuciła do telefonu ostrym tonem.

Prawdopodobnie za ostrym, bo po drugiej stronie zapanowała pełna przerażenia cisza.

– Ja nie chciałam kłamać! – wydusiła w końcu z siebie Matylda. – Tak jakoś wyszło.

– Daj spokój z tym kłamać! Jak mogłaś dać się zrobić w tę robotę?!

– Nie rozumiem – odezwała się niepewnie przyjaciółka.

Gaja opadła ciężko na łóżko i podłożyła sobie poduszkę pod plecy.

– Posłuchaj. Przeczytanie książki zleciłam Klarze. A wiesz, że ona jest jak dziecko, cały czas sprawdza, gdzie są granice, na ile jeszcze może sobie pozwolić. Widocznie coś jej wypadło na wieczór, więc spróbowała wcisnąć tę robotę tobie. I ty jej na to pozwoliłaś, chociaż byłaś zmęczona. Pomijam taki drobiazg, że formalnie w ogóle nawet nie jesteś w agencji.

– Ja... – bąknęła Matylda. – Nie wiedziałam, że to ona miała zrobić.

– Ale to w ogóle nie jest ważne. Gdybym ja była na twoim miejscu, powiedziałabym wprost: nie zrobię tego, bo chcę odpocząć. Asertywność. Asertywność, skarbie. Powtarzam ci to od tylu lat i ciągle nic.

– To znaczy, że się nie gniewasz, że dopiero teraz to przeczytałam? – Matylda jak zwykle z całego wywodu wylapała tylko emocje.

Gaja jęknęła.

– Czy ty mnie w ogóle słuchasz? Dobra, zostawmy to. Co znalazłaś w książce?

– No właśnie! – ożywiła się Matylda. – Banach opisuje tam taką historię...

ROZDZIAŁ 29

Klara zaparkowała przed restauracją Chlebem i Solą. Przez chwilę przyglądała się eleganckiej, nowoczesnej witrynie, po czym zsiadła z motoru i z kaskiem pod pachą podeszła do drzwi.

Wnętrze lokalu świeciło pustkami, nie wiadomo tylko, czy z powodu wczesnej pory, czy niewielkiej popularności tego miejsca.

Klara najczęściej stawiała na improwizację, zresztą nie tylko w pracy detektywa, i tym razem też nie widziała powodu, żeby działać inaczej. Najpierw wyciszyła telefon, żeby nic jej nie rozpraszało, potem rozpięła motocyklową kurtkę, odsłaniając wydekoltowaną, obcisłą bluzkę, odrzuciła włosy do tyłu i weszła na salę.

Wnętrze było urządzone nowocześnie i surowo. Stoliki z grubych desek, ciężkie, żelazne krzesła ze sznurkową plecionką zamiast siedzeń, fragmenty ścian bez tynku, z odsłoniętą czerwoną cegłą. Taka... kosztowna prostota.

Obok niej natychmiast pojawił się kelner w czarnej koszuli i czarnym, długim fartuchu. Na oko miał koło czterdziestki, podeszły wiek w tym zawodzie.

– Stolik na ile osób?

Pytanie kompletnie nieistotne w sytuacji, kiedy na cały lokal były zajęte zaledwie dwa.

– Jestem sama. – Postarała się, żeby te słowa zabrzmiały jak obietnica.

Kelner uśmiechnął się i uniósł brew.

– W takim razie zapraszam.

Posadził ją w samym rogu, przy oknie, i podał menu. Odłożyła je, nie czytając.

– Proszę mi coś polecić. – Posłała mu swoje najbardziej uwodzicielskie spojrzenie.

Zadziało, jak zwykle zresztą.

Kelner wyjął z kieszeni fartucha notes i długopis, ale chyba tylko po to, żeby czymś zająć ręce.

– To zależy, na co ma pani ochotę...

Kusiło ją, żeby odpowiedzieć: na coś na ostro, ale nie chciała przesadzać. I tak już był jej.

– Może na jakąś sałatkę?

– W takim razie proponuję z serem pleśniowym i gruszką. Jest wyśmienita.

– Brzmi fantastycznie. Poproszę.

Uśmiechnęła się i zatrzepotała rzesami.

– A pan wie, że jesteście sławni? – rzuciła lekko.

Kelner wyraźnie się zmieszał.

– Chodzi pani o to, że byliśmy w telewizji? To nie ma nic wspólnego z restauracją.

– Wiem, wiem. Słyszałam, że zaginęła siostra właściciela. – Klara ściszyła głos i dotknęła lekko rękawka kelnera. – Co się z nią mogło stać, jak pan myśli?

Bała się, czy trochę nie przeszarżowała, ale mężczyzna najwyraźniej nie uważał dyskrecji za cnotę.

– U nas na zapleczu jej nie ma – zażartował, po czym dodał już poważnym tonem. – Takie zniknięcia to się raczej dobrze nie kończą.

Klara pomyślała, że właściwie ma rację.

– A jej brat? – drążyła dalej. – Coś mówił na ten temat?

Kelner wyciągnął z kieszeni fartucha zapalniczkę. Pstryknął nią i przyłożył płomień do tkwiącej w prostym szklanym lichtarzu świeczki. Oboje wiedzieli doskonale, że zapalanie jej o tej porze nie ma sensu.

– Mówić nie mówił. Ale nerwowo się zrobił strasznie.

Gdzieś na zapleczu trzasnęły drzwi. Kelner drgnął, tak jakby ocknął się z letargu.

– Coś do picia?

– Wodę. Niegazowaną.

– Czyli sałatka z gruszką i woda. Kartę zostawiam.

I odszedł.

Na razie trudno było mówić o sukcesie, ale Klara nie zamierzała się poddawać. „Jak wróci z zamówieniem, wycisnę z niego dużo więcej”, pomyślała, sięgając po telefon, żeby jakoś zabić czas. Przy okazji zobaczyła, że ma trzy nieodebrane połączenia od Matyldy i jedno od Gai. Przez chwilę zastanawiała się, czy oddzwonić, ale rozmowa na tematy służbowe w sytuacji, gdy obsługa restauracji mogła ją usłyszeć, nie była wskazana.

Zamiast tego cyknęła sobie kilka fotek na insta – jedno selfie, na którym jak zwykle wyszła wystrzałowo, plus zdjęcia wnętrza. A kiedy ustawiała telefon tak, żeby zrobić jak najlepsze ujęcie całej sali, zauważyła na ekranie coś, co przykuło jej uwagę. Na stoliku kilka metrów dalej, zajęтым przez jakąś parę w średnim wieku, stało danie, które wydało jej się dziwnie znajome. Powiększyła obraz, uzyskując całkiem spore przybliżenie na ułożone fantazyjnie na talerzu mięso. Zmrużyła oczy, zaskoczona, a potem podniosła rękę i kiwnęła na kelnera. Mężczyzna podszedł natychmiast.

– Za moment będzie gotowe. I już nosę wodę...

– Spokojnie, mnie się nie spieszy – uśmiechnęła się. – Chciałam tylko jeszcze zamówić tatara.

Lewin generalnie nie znosił papierkowej roboty, ale czasami, w takie beznadziejne dni jak ten, wykorzystywał ją jako świetny pretekst, żeby się nie mierzyć z aktualnymi problemami. A miał ich sporo. Głównym i najbardziej palącym była niewątpliwie sprawa zaginięcia Moniki Banach, a raczej kompletny brak postępów w sprawie.

Zrobili wszystko, co zwykle się robi w takich wypadkach, z zerowym rezultatem. I nie byłoby w tym nic złego, tak się przecież zdarza, że zaginione osoby przepadają bez wieści, ewentualnie odnajdują się po jakimś czasie w zupełnie nowych konfiguracjach życiowych. Czasami też wypływały, dosłownie, jako zwłoki, taka była kolej rzeczy i normalnie Lewin nie miałby z tym problemu. Ale sprawa Banach była sprawą medialną, a takie potrafią napsuć człowiekowi krwi.

Był jeszcze jeden powód jego frustracji, mniej zawodowy, a bardziej ambicjonalny, mianowicie płacząca mu się przed nosem agencja Czajka z tą całą Gają Stawską na czele. Wolał sobie nie wyobrażać, co by było, gdyby to one pierwsze wpadły na ślad Banach. Zwłaszcza że doszły go słuchy, że na komisariacie robione są zakłady, kto wygra. Niewinna zabawa? Być może, ale komisarz obawiał się, że gdyby Stawska go ubiegła, z szacunkiem swoich podwładnych mógłby się pożegnać.

I właśnie dlatego brak pomysłu, co dalej, był wyjątkowo wkurzający.

Żeby nie oszaleć, poprosił panią Zdzisławę o wszystkie zaległe dokumenty do podpisania, z których każdy najpierw dokładnie czytał. Niestety, niczego nie da się przeciągać w nieskończoność i w pewnym momencie zorientował się, że jeszcze jakieś pięć, może dziesięć minut i sterta na biurku stopnieje do zera. Co wtedy?

Ktoś zapukał do drzwi, a w sercu Lewina pojawiła się nadzieja. Może to Krzysiek Kot z jakimiś ważnymi informacjami?

Ale to była tylko sekretarka.

– Komendancie, ma pan gości! – powiedziała Zdzisława, uśmiechając się w podejrzany sposób.

– Jestem zajęty – odpowiedział.

– To tylko moment. A papiery przecież nie uciekną.

„No tak, nie uciekną”, pomyślał, a głośno powiedział:

– Dobrze, niech wejdzie.

Zdzisława wycofała swoje potężne ciało na korytarz, a przez odblokowane w ten sposób drzwi do gabinetu wsunęła się... Gaja Stawska.

Tylko tej tu brakowało.

– Przyszła pani sprawdzić, co słychać u konkurencji? – zapytał z przekąsem.

Miała na sobie jasne dżinsy i cienką czarną puchówkę, spod której wychylał się czarny golf, otulający jej szyję zamiast szalika. Musiał niechętnie przyznać, że wyglądała interesująco.

Na jego uszczypliwą uwagę nie zareagowała.

– Czytał pan wywiad Banach dla biuletynu miejskiego? – spytała bez wstępu.

– Usiądzie pani? – Tak naprawdę o wywiadzie w biuletynie nawet nie słyszał.

Przysunęła sobie krzesło i przysiadła na jego brzegu, jakby chciała być w każdej chwili gotowa do ucieczki.

– Banach się tam przyznała, że boi się zła z przeszłości. Dokładnie tak to określiła. Zła z przeszłości. A ja chyba wiem, o jakie zło chodzi.

Zaskoczyła go. Spodziewał się raczej, że będzie próbowała czegoś się od niego dowiedzieć niż że przyniesie mu informacje. Pytanie, czy wiarygodne.

– I przychodzi pani z tym do mnie, bo...?

– To chyba jasne? – prychnęła. – Potrzebuję pana pomocy. To znaczy potrzebuję pomocy policji, a pan jest pod ręką.

„Oho, zaczyna się”, pomyślał z jakimś rodzajem satysfakcji. Przepychanki z tą kobietą potrafiły być bardzo ożywcze. Poza tym zdaje się, że znowu to on miał nad nią przewagę, a to zapowiadało dobrą zabawę. Nie liczył na to, że rewelacje, z jakimi przyszła, będą miały jakąkolwiek wartość, ale co się podroczą, to jego.

– Zamieniam się w słuch w takim razie. – Odchylił się w fotelu i wyciągnął przed siebie nogi. Wiedział, że to trochę lekceważąca poza, ale chciał jej utrzcę nosa za tę mijankę sprzed dwóch dni. To, że Stawska i ten rudzielec wyprzedziły go u świadków, i to ważnych świadków, uraziło jego ambicję. A Lewin tak łatwo nie zapominał.

Stawska rozpięła kurtkę i poprawiła się na krześle.

– Monika Banach, zanim zaczęła pisać kryminały, pracowała jako dziennikarka w różnych redakcjach prasowych – zaczęła. – Pisała reportaże, między innymi o osadzonych. W jednym z nich opisała historię chłopaka, który z zemsty za to, że dziewczyna go rzuciła, podpalił jej dom. W pożarze

zginęła jedna osoba. Chłopak dostał wyrok dwudziestu pięciu lat pozbawienia wolności z możliwością ubiegania się o warunkowe zwolnienie po piętnastu latach. A te piętnaście lat właśnie minęło...

Zawiesiła głos odrobinę teatralnie, ale jeżeli spodziewała się, że będzie bił brawo, to jednak się przeliczyła.

– Ale co to ma wspólnego z jej zniknięciem? – zapytał. – Sama pani powiedziała, że tych reportaży było wiele. Dlaczego akurat uważa pani, że chodzi o tego człowieka?

– Rozmawiała z nim. Była u niego na widzeniu. On jej groził. Powiedział wprost, że jak wyjdzie z więzienia, to jej da popalić.

– Czym mu się tak naraziła?

– Nie uwierzyła w to, że jest niewinny.

– Sąd też nie uwierzył.

– Sąd to co innego. A Banach pojechała do miasteczka, z którego pochodził, rozmawiała z jego rodziną i sąsiadami. I zdaje się, że po tej jej wizycie część tych ludzi się od niego odwróciła. Między innymi jego babka. Za to druga część doniosła mu, że Banach mówi o nim jako o zabójcy. No i się wściekł. – Przerwała na chwilę, a potem spytała: – I co pan o tym sądzi?

Lewin zamyślił się. Trochę mu się to wydawało naciągane, ale... przestępstwa popełniano z bardziej błahych powodów.

– Dobrze. Czego pani ode mnie oczekuje?

– Po pierwsze trzeba sprawdzić, czy ten człowiek faktycznie opuścił zakład karny. Jeżeli tak, to kiedy. Namierzyć go. Zatrzymać. Przesłuchać. Takie tam...

Mimo woli uśmiechnęła się.

– Wiem. Drobiazgi poza zasięgiem prywatnego detektywa.

Stawska zmrużyła oczy.

– Gramy do tej samej bramki, pamięta pan? – przypomniała. – Uważam, że w sytuacji, kiedy nie mamy żadnego innego śladu, ten trzeba sprawdzić koniecznie. Aż się dziwię, że pan na niego nie wpadł – dodała złośliwie.

– Może dlatego, że policjanci nie czytają książek...

Wstał.

– Dobrze. Zajmę się tym. Jeszcze tylko nazwisko tego człowieka poproszę.

Stawska również się podniosła.

– Przyniosłam panu cenną informację, więc oczekuję wzajemności – powiedziała, uśmiechając się miło.

– Oczywiście, dam znać, co i jak – zapewnił ją. – Jak on się nazywa?

– Widzę, że pan nie łąpie. Podam panu nazwisko, jak mi pan coś obieca.

– No, ciekawy jestem...

– Że mnie pan ze sobą zabierze.

– Niby dokąd?

– Jeżeli odnajdzie pan tego mężczyznę, zabierze mnie pan do niego.

Niestety, mógł się tego po niej spodziewać.

– Przecież pani wie, że to niemożliwe – powiedział łagodnie, jak do dziecka. – Mogę prosić o to nazwisko?

– Nie.

– W takim razie sam sobie poradzę. – Wzruszył ramionami. – Na szczęście podała pani sporo szczegółów.

– A skąd pan wie, że prawdziwych? – W jej oczach błysnęło rozbawienie.

Zaczynał mieć tego dosyć. Najchętniej by ją oczywiście pogonił, ale znalezienie podpalacza bez niej mogłoby zająć sporo czasu.

– Dobrze – zdecydował. – Zabiorę panią.

– I moją współpracownicę też.

Gdyby był bohaterem filmu animowanego, zgrzytnąłby zębami.

– I pani współpracownicę też. Ale nie dzielimy skóry na niedźwiedziu. Nie wiadomo, czy, tak jak pani twierdzi, ten człowiek w ogóle wyszedł z więzienia... A żeby to sprawdzić, potrzebuję czego? Naz-wis-ka! – przesylabizował ostatnie słowo.

Miał już dość tej zabawy w kotka i myszkę.

Stawska zrobiła krok w jego stronę i położyła mu na biurku kartkę papieru.

– Tu ma pan wszystkie dane: imię, nazwisko, miejscowość, z której pochodził, daty rozpraw. Myślę, że bez problemu uda się panu ustalić, co się z nim teraz dzieje.

Wziął kartkę do ręki i przejrzał wypisane informacje.

– Porządna robota – przyznał, zaskoczony. – Ale to i tak chwilę potrwa. Proszę mi podać swój numer telefonu.

Podyktowała, a on wpisał go sobie do komórki.

– Zadzwonię, jak tylko się czegoś dowiem.

Stawska skinęła głową.

– Świetnie. W takim razie czekamy. – Podeszła do drzwi.

A kiedy była już prawie na korytarzu, Lewin wypowiedział słowo, które z trudem przeszło mu przez gardło:

– Dziękuję.

ROZDZIAŁ 30

Klara natychmiast po wyjściu z restauracji wyluskała z kieszeni komórkę. Kolekcja nieodebranych połączeń powiększyła się o dwa telefony od Gai, jeden od Matyldy i jeden od matki.

- Bosz, jakie one uparte – westchnęła i wybrała numer szefowej.
- Słuchaj, zdobyłam takie informacje, że szok! – oznajmiła z dumą, kiedy tylko szefowa odebrała. Ale Gaja nie wykazała należytego entuzjazmu. Bogiem a prawdą nie wykazała żadnego.
- Jesteś w Milanówku? – spytała.
- Nie, w Warszawie. I właśnie...
- Natychmiast wracaj.
- Ale może posłuchaj, czego się dowiedziałam! – zaprotestowała Klara.
- Opowiesz mi, jak przyjedziesz. Tylko się pośpiesz.

I rozłączyła się, pozostawiając Klarę w pełnej rozczarowania irytacji. „Nie no, tak się nie robi!”, pomyślała dziewczyna, zakładając kask. „Zero szacunku”. Wskoczyła na motocykl i ruszyła w kierunku Milanówka.

Gaję nosiło.

Najpierw pokręciła się trochę po kuchni, potem wyszła do ogrodu, wróciła do domu i znowu wyszła na dwór. W tym czasie nie odstępował jej Bruno, cały czas płacząc się pod nogami, co w innych okolicznościach może uznałaby za urocze, ale teraz obecność psa wyłącznie ją denerwowała. Tym bardziej że komplikowała sprawę wyjazdu z Lewinem.

No dobrze, ewentualnego wyjazdu z Lewinem.

Zwierzak był jak wielka czekoladowa kula u nogi. Słodka, ale ciężka. A Gaja, planując każdy kolejny ruch, musiała teraz uwzględnić nie tylko Helenę, ale też szczeniaka. Na przykład podczas rozmowy z komendantem opiekował się nim sierżant Kot. Załatwiła to sprytnie Zdzisława, uznawszy, że gdyby Gaja weszła do komisarza z psem, raczej nic by nie załatwiła.

I nagle przyszedł Gai do głowy pomysł, odrobinę karkołomny, ale jak na razie jedyny.

Skoro Klara i tak już tu jedzie...

- Ściągałaś mnie tu po to, żebym siedziała z psem? – Klara była zdruzgotana.
- Najpierw myślałam, że pojedziesz ze mną i z Lewinem, ale kto by się wtedy zajął Brunem?
- Miałam jechać z tobą i z Lewinem? Dokąd?
- Do podpalacza.
- Jakiego podpalacza?!
- Tego, o którym Banach napisała reportaż, który ty miałaś przeczytać.

Trafiony, zatopiony. Ale Klara nie miała w zwyczaju przeproszać. Uderzyła za to w ton urażonej niewinności.

– Słuchaj, spotkałam Matyldę i ona się tak ucieszyła, że udało nam się zdobyć tę książkę... – Na poparcie swoich słów zaczęła energicznie gestykulować. – ...że się normalnie zlitowałam i jej oddałam do przejrzenia. Z dobrego serca, rozumiesz.

Gaja jak do tej pory nauczyła się o swojej współpracownicy jednego – im szybciej macha łapami, tym beczelniej kłamie.

– Zresztą co za różnica, która z nas to przeczytała? – ciągnęła dalej, wyraźnie się nakręcając. – Tylko nie rozumiem, bo Matylda powiedziała, że nic tam nie było.

– A jednak! – ucięła Gaja. – I teraz Lewin to sprawdza. Jeżeli się okaże, że gość jest na wolności, to trzeba go będzie odwiedzić.

– Beze mnie?

– Bruno to słodziak, będziesz miała uroczę popołudnie.

W tym momencie trzasnęła furtka. Klara poderwała się z kuchennego krzesła i podbiegła do okna. Ścieżką w kierunku domu nadchodziła Helena.

– No proszę! – Klara uśmiechnęła się triumfalnie. – Rozumiem, że twoje dziecko sobie z tym małym bandytą poradzi?

Na dźwięk słowa „bandyta” Gaja drgnęła, jakby ktoś wbił jej szpilkę w serce. I gwałtownie zatęskniła za czasami, kiedy w jej otoczeniu nie było szczeniaków, dawnych miłości i niewiernych mężów.

Powrót Heleny rozwiązał kwestię opieki nad Brunem, ale potwierdził obawy Gai – jej córka nie wyglądała na osobę skłoną do kompromisu w kwestii wyboru szkoły. Choć przecież nie o kompromis tu chodziło. Nie miały się spotkać w pół drogi. Helena powinna zawrócić ze swojej, i to jak najszybciej. Ale wyraz jej twarzy i ton głosu, kiedy odpowiadała półsłówkami na pytania, nie napawały Gai optymizmem.

Po tym, jak dziewczynka odmówiła obiadu, zabrała psa i poszła do siebie na górę, zostały z Klarą same.

– To kiedy jedziemy? – spytała Klara, wyjmując telefon.

– Przecież nie wiem. – Gaja była naprawdę zirytowana i wcale nie zamierzała tego ukrywać. – Ma zadzwonić.

– Dobra, to teraz ty słuchaj. Byłam w knajpie Banacha...

Zamarła w oczekiwaniu na wyrazy zaskoczenia i uznania, ale Gaja nie potraktowała tej informacji z należytym szacunkiem.

– Po co? – spytała. – Przecież ustaliliśmy, że gość nie ma ze zniknięciem siostry nic wspólnego.

Klara uśmiechnęła się przebiegle.

– Owszem, ale zaszły nowe okoliczności...

I opowiedziała Gai o programie telewizyjnym, który przez przypadek obejrzała, o zadłużeniu restauracji i niechętnej reakcji Banacha.

– Pomyślałam, że może tam jednak coś nie styka, więc się wybrałam na mały rekonesans. No i, moja droga, sprawa wygląda bardzo ciekawie. Wyobraź sobie, oni się kilka dni temu strasznie pożarli!

– Kto? – W głosie Gai wciąż nie było zainteresowania.

– No jak to kto. Brat z siostrą. Czy raczej siostra z bratem, bo podobno to ona zaczęła. Miała do niego pretensje o to, że źle zarządza knajpą, że wpędził ich w długi i że jak tak dalej pójdzie, trzeba będzie zamknąć lokal.

Gaja, zamiast zasypywać Klarę pytaniami, spojrzała na kuchenny zegar. Od wizyty u Lewina minęły już dwie godziny. To chyba wystarczająco dużo czasu, żeby sprawdzić jedno nazwisko. „A jeżeli on mnie oszukał?”, pomyślała nagle. „Wystawił do wiatru? Jeżeli od początku nie miał zamiaru mnie ze sobą zabierać?”

– Halo! – Klara nie zamierzała odpuszczać. – Klócili się! Nie wydaje ci się to ani trochę podejrzanę?

– Masz rodzeństwo? – zainteresowała się Gaja.

– Nie mam, ale co to ma do rzeczy?

– No widzisz, ja też jestem jedynaczką. Ale Matylda ma dwie córki i cały czas się tłuką. Nie tworzyłabym jakichś wielkich teorii na podstawie tego, że brat z siostrą wzięli się nieszkodliwie za łby.

Klara pokiwała głową.

– Teoretycznie masz rację – zgodziła się. – Ale to nie wszystko. Patrz.

Położyła przed Gają swoją komórkę. Na ekranie znajdowało się zdjęcie jakiegoś dania.

– Co to? – spytała Gaja, zdziwiona.

– Tatar! – odpowiedziała Klara z dumą w głosie. – Oryginalny w wyglądzie, zwróć uwagę na te wiórki tutaj, to marynowany topinambur, bardzo charakterystyczny w smaku. I teraz uważaj. Pamiętajsz, jak wpadłam do domu Banach, tuż po jej zaginięciu?

– Pamiętam. Wyżerałaś coś z lodówki.

– Tak! – ucieszyła się Klara. – A wiesz, co to było? Tatar! Ten tatar! To znaczy identyczny! Był tak samo przybrany i identycznie smakował! Oni go polewają wędzonym olejem, to jest nie do podrobienia!

Gaja przyglądała się Klarze nieufnie.

– Dobrze, i co z tego?

– Jak pytałyśmy szanownego braciszka, kiedy się widział z Banach, odpowiedział, że tydzień wcześniej. No więc kłamał. Ten tatar, którego spróbowałam, był świeżutki. Według mnie przyjechał prosto z restauracji. Ale przecież nie sam...

Gaja zmarszczyła brwi.

– Ciekawe... Czyli twierdzisz, że brat Banach był u niej wieczorem, tuż przed jej zaginięciem?

– Tak! Dokładnie tak! – Klara klasnęła. – Ten scenarzysta mówił, że wyprosiła go, bo miała mieć gościa. Według mnie to był właśnie jej brat! Przywiózł ze sobą jedzenie z knajpy, usiedli do kolacji i zaczęli gadać o biznesie. Potem się pokłócili i wiadomo...

– No właśnie że nie wiadomo – przerwała jej Gaja. – Porwał ją? Wywiózł gdzieś? Czy może...

– Mógł ją po prostu zabić. – Klara wyraźnie się rozkręciła. – Nawet nie chcący. W kłótni. Potem ukrył ciało i upozorował porwanie. Takich historii w internetach jest na pęczki.

Gaja pokręciła sceptycznie głową.

– Wiem, ale...

W tym momencie zadzwoniła jej komórka. Numer nieznanym. Chwyciła telefon.

– Stawska, słucham?

Po drugiej stronie usłyszała najpierw chrząknięcie, a dopiero potem lekko zachrypnięty głos Lewina.

– Ten człowiek rzeczywiście wyszedł z więzienia miesiąc temu. Wrócił do swojej rodzinnej miejscowości, mieszka u matki. Mamy adres.

– Jestem u pana za dziesięć minut – oznajmiła. A potem, napotkawszy oburzony wzrok Klary, dodała: – To znaczy jesteście. Z koleżanką.

– Dobrze – zgodził się Lewin. – Tylko jedna rzecz. Nie mogę was zabrać radiowozem. Musi pani jechać swoim autem, za nami.

– Jasne. Do zobaczenia.

Gaja skinęła na Klarę.

– Idziemy. Namierzyl go.

– Ale jakim cudem ty zmusiłaś komendanta, żeby on nas wziął ze sobą? – spytała, zaskoczona.

– Nie cudem, tylko szantażem – wyjaśniła Gaja, zmieniając szybko domowe klapki na półbuty.

– Mów, co chcesz, ale według mnie on ma do ciebie słabość – stwierdziła Klara, a widząc wzrok Gai, dorzuciła szybko: – Myślisz, że będą jacyś fajni antyterrorysty?

ROZDZIAŁ 31

Minęli nowoczesny, bardzo brzydki kościół, okrążyli niewielki rynek i wjechali w jedną z odchodzących od niego ulic. Im dalej się posuwali, tym domy stawały się niższe, elewacje bardziej obdrapane, jezdnia bardziej dziurawa, a bramy krzywe.

– Numerów nie uświadczysz – powiedział pod nosem Lewin.

– Za dwieście metrów twój cel będzie po prawej stronie – podpowiedziała usłużnie nawigacja.

Po chwili usłyszeli:

– Jesteś na miejscu.

Sierżant Kot nacisnął hamulec. Budynek, przed którym się zatrzymali, był parterowy, wąski i przypominał starego jamnika z przetrąconym kręgosłupem. Kiedyś ktoś wpadł na wątpliwy pomysł i pomalował ściany na szaro, teraz kolor wyblakł, przechodząc w bury, a wylażająca spod odprysków czerwień cegły sprawiała wrażenie świeżych strupów. Dach mniej więcej w połowie załamywał się, jakby ktoś zdzielił go z całej siły gigantyczną pałką, a podwórko zawałone wrakami aut wyglądało jak warsztat szalonego naukowca, próbującego stworzyć własną wersję transformatorów. Po taniości.

– Dobra, idziemy – zarządził Lewin i wysiadł z samochodu.

Chudy pies, przypięty łańcuchem do przerdzewiałej beczki, która służyła ma za budę, rzucił się w jego stronę, ujadając chrapliwie. Kilka metrów za nimi zatrzymał się land rover Stawskiej. Przez całą drogę z Milanówka Lewin obserwował ten wielki czerwony samochód w lusterku i zastanawiał się, jak można jeździć takim smokiem, prowadząc agencję detektywistyczną. Land rover miał tyle wspólnego z dyskrecją, co Lewin z pływaniem synchronicznym.

Począł, aż kobiety do niego podejść.

– My wchodzimy na podwórko, panie zostają przy radiowozie – zarządził.

– Moment – zaprotestowała Stawska. – To po co myśmy tutaj z panem jechały?

– No właśnie? – zainteresował się komisarz. – Po co?

Kobieta przymknęła na chwilę oczy, a jej wargi zaczęły się poruszać bezgłośnie.

– Dziesięć – powiedziała i wzięła się pod boki. – Chcę być przy rozmowie z tym człowiekiem!

– Ale pani nie może! – zdenerwował się. – Pomijając wszystko inne, to kwestia bezpieczeństwa.

A jeżeli on jest uzbrojony?

– No właśnie! – włączyła się do rozmowy ta ruda. – Ma pan kamizelkę kuloodporną?

– Szefie, szef tam spojrz – przerwał im sierżant Kot, wskazując głową na dom, gdzie za firanką widać było wyraźnie czyjaś sylwetkę.

– Idziemy! – zdecydował natychmiast Lewin. – My tam, wy tu. – Pogroził palcem Stawskiej jak niegrzecznemu dziecku i popchnął powyginaną, zardzewiałą furtkę.

Skrzypienie, które z siebie wydała, przewierciło im bębenki na wylot.

Ruszyli w kierunku domu. Pies na szczęście przestał szczekać, widocznie uznał, że rola alarmu skończona.

Lewin obejrzał się dyskretnie i z ulgą odnotował, że obie kobiety zostały grzecznie po drugiej stronie płotu. Teraz mógł się już skupić wyłącznie na zadaniu.

Od furki do drzwi wejściowych było jakieś pięćdziesiąt metrów. Szli bardzo wolno, rozglądając się uważnie po podwórku. Czy to możliwe, że Monika Banach jest gdzieś tutaj przetrzymywana? Tylko gdzie? Dom ewidentnie nie był podpiwniczony, nie miał też strychu, ale w rogu posesji stał murowany garaż o szerokich, podwójnych drzwiach, zamkniętych na okazałych rozmiarów kłódkę. Korciło go, żeby to sprawdzić, ale się powstrzymał.

Trochę żałował, że jego pomysł wejścia tutaj z oddziałem antyterrorystycznym nie wypalił. Mieliby wtedy przynajmniej pewność, że gość nie zwieje. Niestety, w komendzie powiatowej ktoś pochylił się nad dowodami, czy raczej nad ich brakiem, i orzekł, że nie ma żadnych podstaw, żeby wprowadzać antyterrorystów do gry.

Podeszli z sierżantem do drzwi. Po dzwonku nie było nawet śladu, więc Kot uderzył w nie pięścią. Po chwili ze środka dał się słyszeć stłumiony kobiecy głos.

– Kto tam?

„Tak jakby nie wiedziała”, pomyślał Lewin.

– Policja – oznajmił. – Proszę otworzyć.

Drzwi lekko się uchyliły. W szparze zobaczyli niską, krępa kobietę w dresowych spodniach i rozciągniętym swetrze. Miała krótkie szpakowate włosy, a sieć popękanych naczynek krwionośnych na policzkach świadczyła o tym, że od alkoholu raczej nie stroni.

Obrzuciła ich niechętnym spojrzeniem.

– A kto to się pofatygował w nasze skromne progi? – spytała kwieciście. – I po co?

– Lech Głowacki? Szukamy go.

Kobieta zmrużyła oczy ze złością.

– Mało wam, że tyle lat za niewinność przesiedział, to jeszcze teraz za nim łączcie? Spokoju nie dajecie? – Odwróciła się i krzyknęła za siebie: – Synek, władza przyszła sprawdzić, czyś grzeczny!

Gdzieś w głębi domu rozległo się stuknięcie. Potem drugie i kolejne. Lewin spojrzał pytająco na sierżanta. Stukanie narastało. Kobieta otworzyła drzwi szerzej i oczom policjantów ukazał się kuśtykający korytarzem mężczyzna. Był niski, umięśniony jak kulturysta i ubrany tylko w T-shirt i slipki. Podpierał się na dwóch kulach, trzymając przed sobą wyprostowaną prawą nogę, zagipsowaną od stopy aż za kolano. Kiedy przenosił ciężar ciała przed siebie, stopa uderzała o podłogę, a stukot dodawał obrazowi dramatyzmu. Lewina na myśl o tym, że wchodzą tutaj z antyterrorystami, przeszedł dreszcz zażenowania.

Mężczyzna zatrzymał się i spojrzał mu wyzywająco w oczy.

– O co chodzi? – zapytał.

– Lech Głowacki? – Lewin nie zamierzał pokazywać po sobie zaskoczenia. – Komisarz Lewin. Mam kilka pytań.

Mężczyzna poprawił uchwyt na kulach.

– A niech pan sobie pyta. Jak będę wiedział, to odpowiem.

– Kojarzysz Monikę Banach?

Głowackiemu nawet nie drgnęła powieka.

– Kojarzę sukę. Podobno gdzieś ją wciągnęło.

– A ty się przypadkiem nie orientujesz gdzie?

– Niestety, nie. – Uśmiechnął się złośliwie.

– I nie widziałeś się z nią po wyjściu z więzienia? – brnął dalej Lewin, choć ta rozmowa prowadziła donikąd.

– Nie – odpowiedział twardo. – Dlaczego miałbym się widzieć?

– Kiedyś przeprowadzała z tobą wywiad. Groziłeś jej.

– Głupoty o mnie gadała, to postraszyłem. Zresztą czego się z nudów w więzieniu nie robi. – Wzruszył ramionami.

„Dobra, kończmy to”, pomyślał Lewin. Była już tylko jedna kwestia, o którą musiał zapytać.

– Co ci się stało w nogę?

Głowacki spojrzął na gips, jakby dopiero teraz go zauważył.

– Z dachu spadłem. Kiedy to było, matka?

– Z tydzień temu – odpowiedziała kobieta. – Mówiłam mu, żeby uważał, ale on się uparł, że papę zaimpregnuje. I co? I trzeba było pogotowie wzywać ze Skierniewic. Niezły początek na wolności. – Nagle kobieta zauważyła coś za plecami komisarza. – A co to jest? – rzuciła ze złością. – Widziałeś, synuś, tę rudą małpę? Przez lornetkę się na nas gapi! – Podniosła rękę i pogroziła pięścią w kierunku furtki. – Poszła stąd, bo psem poszczuję!

Pies poczuł się w obowiązku i znowu zaczął czekać, a Lewin zamarł. Nie musiał się odwracać, żeby wiedzieć, kim jest ruda małpa z lornetką. Miał teraz do wyboru albo zareagować, albo udawać, że z zaistniałą sytuacją nie ma nic wspólnego. Wybrał drugą opcję.

– Właściwie to wszystko – oświadczył ugodowym tonem. –Gdybyś miał jakieś informacje na temat Banach, dzwoń. – Podał Głowackiemu wizytówkę, odwrócił się i ruszył w kierunku furtki.

Za plecami miał porażkę.

Przed sobą również.

ROZDZIAŁ 32

– Załatwił nas na szaro – wycedziła Gaja przez zaciśnięte zęby. – Kłamliwa szuja.

– A ja wiedziałam, że tak będzie. – Klara miała do tej sytuacji dużo luźniejsze podejście. – Od początku było wiadomo, że nam nie pozwoli porozmawiać z tym Głowackim. Przecież gdyby gość wyciągnął spluwę i zaczął strzelać, nasz pan komisarz miałby przechlapane.

Patrzyły, jak policjanci podchodzą do drzwi wejściowych.

– Za daleko – zauważyła zdeglustowana Klara. – Nawet podsłuchać się nie da.

– Podsłuchać nie, ale może...

Gaja pobiegła do auta, zanurkowała w bagażniku i po chwili wynurzyła się stamtąd z dwoma futerałami. Wróciła do Klary i podała jej jeden z nich.

– Trzymaj. Lornetka.

Ze swojego wyjęła aparat fotograficzny.

– Widzisz coś? – spytała, przykładając aparat do oka.

– Moment. – Klara ustawiła ostrość. – Otworzyła im jakaś kobieta.

– Matka – domyśliła się Gaja. – A ten gość?

– Właśnie idzie.

W otwartych drzwiach stanął jakiś mężczyzna z nogą w gipsie.

– Kurwa! – skomentowała krótko Klara.

– Pierwszy i jedyny podejrzany w gipsie do pasa – westchnęła Gaja, dla porządku cykając zdjęcie. – Po prostu mega!

Nagle Klara zorientowała się, że stojąca w drzwiach kobieta patrzy prosto na nią.

– Ja pierdołę – syknęła. – Zobaczyła nas. Chowaj się!

Gaja skuliła się za plecami Klary.

Kobieta zmrużyła oczy i przyłożyła dłoń do czoła, żeby lepiej widzieć, a potem zaczęła im wygrażać pięścią.

– Poszła stąd, bo psem poszczuję! – usłyszały.

– Co się dzieje? – spytała szeptem Gaja.

– Lewin wraca.

Gaja ukryła aparat pod kurtką i wychyliła się zza Klary. Lewin był już przy nich, a wyraz jego twarzy nie wróżył nic dobrego.

– Przesadziłyście – powiedział.

Wyminął je i podszedł do radiowozu.

– Ten z gipsem to był Głowacki? – Gaja postanowiła zachowywać się tak, jakby się nic nie stało.

– Owszem – odpowiedział Lewin, otwierając drzwiczki.

– Od kiedy go ma?

– Od tygodnia.

– Czyli to nie on?

– Nie. Coś jeszcze? Jakież pomysły? Propozycje?

Był naprawdę zły.

Gai prawie zrobiło się go szkoda.

– Przecież sam pan uznał, że to ciekawy trop – zaczęła się bronić, choć teoretycznie nikt jej nie atakował. – Dużo wskazywało na niego.

– Ależ ja nie mam do pani pretensji o ten cynk – powiedział łagodnie. – Obiektywnie muszę przyznać, że wyglądał interesująco.

– Więc...

– Nie musiały panie robić z siebie idiotek. I ze mnie przy okazji. Dorosła kobieta wisząca na płocie z lornetką? Żaloszne. No nic, mam nauczkę na przyszłość. Żadnych układów z cywilami. Żadnych.

Wsiadł do radiowozu. W tym czasie Krzysiek Kot wskoczył za kierownicę, zapalił silnik i odjechali.

– Dobra, czyli musimy zrobić krok wstecz. – Gaja nie zamierzała się poddawać. – Co mówiłaś o tym bracie Moniki Banach? Że się pokłócił z siostrą o pieniądze?

Lech Głowacki odprowadził wzrokiem odchodzących policjantów.

Czyli jednak nie są tacy głupi. Namierzyli go. Wiedział, że prędzej czy później to nastąpi, liczył się z tym od momentu, kiedy opuścił zakład karny, dlatego teraz poczuł ulgę. Pierwszy atak odparty i nic nie wskazuje na to, żeby miał być następny.

Oparł się mocno na kulach. Były drewniane, staroświeckie, z drewnianymi poprzeczkami pod ramiona, które boleśnie wbijały mu się w pachy.

– Szybko poszło – zauważyła matka. – Myślisz, że wrócą?

Lech pokręcił przecząco głową.

– Po co? – zaśmiał się. – Do inwalidy?

Zmiał wizytówkę, którą dał mu policjant, i cisnął na podwórko. Potem z trudem zawrócił w wąskim korytarzyku i ruszył z powrotem w kierunku pokoju. Kiedy dotarł do przykrytej brudną kapą wersalki, opadł na nią ciężko i odłożył kule.

Przesunął rękę na tył uda i zaczął macać gips, aż w końcu znalazł to, czego szukał – przymocowane do gładkiej powierzchni zapięcie na rzep. Rozerwał je, a na powierzchni gipsu pojawiła się cienka szpara. Wsunął w nią palce, rozszczelnił „opatrunek” i po chwili gipsowa forma cicho chrupnęła, a potem – otwarła się niczym futerał wiolonczeni. Głowacki ostrożnie wyciągnął nogę z gipsu i zgiął ją kilka razy w kolanie. Potem podniósł się energicznie, chwycił gipsową atrapę i odstawił w kącie. Miał kupę szczęścia, że zdążył ją sobie zorganizować.

Wziął do ręki komórkę i wybrał numer, a kiedy po kilku sygnałach włączyła się poczta głosowa, powiedział:

– No hej stary, dzięki za rekwizyt! Bardzo się przydał. Jutro ci podrzucę razem z kasą. Siema.

Rozłączył się i odłożył telefon.

Wolność. Nie do końca tak ją sobie wyobrażał.

Komisarz Grzegorz Lewin siedział na ławce przed domem i obserwował, jak jego pies, kiedyś puszysty i biały, rozkopuje energicznie świeży kopiec kreta, którego jeszcze rano tutaj nie było. Małe łapki wyrzucały w górę fontanny ziemi, która częściowo lądowała na trawniku, a częściowo na psiej sierści, w drastyczny sposób zmieniając jej barwę.

„Powiniennem pójść z nim do fryzjera”, pomyślał.

Gdzie się podziało to białe jak śnieg, eleganckie zwierzę, które odziedziczył po Ani? Jeszcze do niedawna udawało mu się utrzymać Bezę w całkiem niezłym stanie, poświęcał naprawdę dużo czasu na pielęgnację jego sierści. I za każdym razem, kąpiąc go, myślał, że żona byłaby z niego dumna. Tym bardziej że kiedy żyła, pies był jej. A Lewin właściwie za nim nie przepadał.

Tak, jeszcze do niedawna jakoś dawał sobie ze wszystkim radę, ale teraz... Od kilku dni, może tygodni czuł się zmęczony. Zmęczony tą samą pracą, która jeszcze niedawno sprawiała mu radość, zmęczony ostatnimi miesiącami samotności i smutku, unoszącego się cały czas gdzieś wokół. Ta wiosna...

Wiosna bez Anki była za trudna. Miał wrażenie, że przez te kilka miesięcy od jej śmierci udało mu się jakoś wziąć w garść, że najgorsze ma już za sobą. Nowa praca absorbowała go na tyle, że nie miał czasu na analizowanie tego, co zrobił źle albo czego nie zrobił w ogóle podczas tej krótkiej, dramatycznej walki o życie osoby, którą kochał ze zmiennym natężeniem przez dwadzieścia lat. Nie miał czasu na obwinianie się. Naprawdę próbował zapomnieć. Ale ta cholerna wiosna go rozwalila.

W dodatku pojawił się jeszcze jeden element, który mógł mieć wpływ na jego samopoczucie. Ten element był kobietą, i to najbardziej irytującą ze wszystkich, jakie znał. Upartą, bezczelną i inteligentną. Kiedy ją zobaczył po raz pierwszy, wydała mu się całkowicie bezpieczna, bo tak bardzo różna od tej, którą stracił. Więc co się takiego stało, że nagle zaczął zwracać uwagę na to, w co jest ubrana i jak pachnie?

Za każdym razem, kiedy łąpał się na tym, że zaczyna mu się podobać, choć może „podoobać” na tym etapie było słowem na wyrost, odgrzebywał w sobie najgłębsze pokłady złośliwości i ironii, używając ich jako broni przed nią. A tak naprawdę przed sobą. Ale dzisiaj nie musiał się nawet specjalnie wysilać, zdenerwowała go naprawdę.

Był dobrym policjantem. Uważał, że jego praca ma sens. Szanował ludzi i szanował procedury. Dlatego twór o nazwie „Agencja detektywistyczna Czajka” wydawał mu się żartem, kpiną po prostu. Jeszcze pół biedy, gdyby te domorosłe detektywki trzymały się od niego z daleka. Ale już drugi raz w krótkim czasie ich drogi się skrzyżowały. I chociaż za pierwszym razem całkiem nieźle sobie poradziły ze skomplikowaną sprawą, tak teraz, no cóż, zachowywały się jak rozbawione nastolatki.

Nigdy więcej żadnych z nimi kontaktów, obiecał sobie. Zyska na tym nie tylko jego zawodowy prestiż, ale również jego emocje.

– Beza, wracamy do domu – zakomunikował psu, podnosząc się z ławki.

Zrobił krok w kierunku ganku i nagle jego prawa stopa natrafiła na niewielki kamień. Noga lekko mu się wygięła, poczuł ból w kostce. Ostrożnie pokręcił stopą, żeby sprawdzić, czy nie ma żadnego uszkodzenia, na szczęście podczas ruchu prawie nic nie poczuł. Ot, taki drobny incydent, który jednak o czymś mu przypomniał.

Sięgnął po komórkę i wykręcił numer sierżanta Kota.

– Krzysiek, mam zadanie dla ciebie na jutro, zapisz sobie, żebyś nie zapomniał – rzucił do telefonu.
– Chodzi o Głowackiego.

– To my go jeszcze sprawdzamy? – zdziwił się sierżant. – Myślałem, że jak ma ten gips...

– Właśnie o gips mi chodzi. Pamiętasz, co mówiła jego matka? Że jak spadł z dachu, to skąd wzywali pogotowie? Ze Skierniewic?

– Tak. Na pewno ze Skierniewic. Stamtąd najbliżiej.

– Zadzwoń do szpitala i dowiedz się, czy był taki pacjent i co u niego zdiagnozowali. Aha, i dokładnie kiedy mu ten gips założyli.

– Jasne, szefie – zapewnił Kot. – Wszystkiego się dowiem.

Lewin rozłączył się, gwizdnął na psa i wszedł do domu. Prawdopodobnie się okaże, że wszystko gra. Ale z doświadczenia wiedział, że na niesprawdzonej informacji lepiej się zbyt pewnie nie opierać. Zupełnie jak na skręconej nodze.

ROZDZIAŁ 33

Budzik zadzwonił o siódmej, rozpoczynając kolejny poranek, w którym tuż po otwarciu oczu Gaja chwyciła telefon, żeby sprawdzić, co z Banach. Z dnia na dzień tej czynności towarzyszył coraz większy lęk.

Kiedy agentka pisarki je wynajęła, Gaja była pewna, że sprawa rozwiąże się w przeciągu dwudziestu czterech godzin. Podejrzewała, że Monika Banach znajdzie się sama w jakimś niezbyt odległym zakątku Polski i cała ta afera, rozpętana na dość błahej podstawie, skończy się, zanim w ogóle na dobre się rozpoczęła.

A jednak kobieta zapadła się pod ziemię i im dłużej jej nie było, tym bardziej Gaja bała się rano zajrzeć do internetu.

„I znowu nic”, pomyślała dzisiaj z mieszaniną ulgi i zawodu, odkładając komórkę po dwudziestu minutach sprawdzania portali informacyjnych, mediów społecznościowych i wpisów pod postem o zaginięciu pisarki. Brak wiadomości utwierdził ją w decyzji, że najwyższy czas porozmawiać poważnie z agentką.

W końcu to Ewelina wiedziała najwięcej o swojej klientce, a do tej pory nie udało im się jeszcze porządnie jej przesłuchać. Teraz miały konkretny cel – uzyskać informacje o Adamie Banachu i jego relacjach z siostrą, tych prywatnych i tych biznesowych.

Ale był jeszcze jeden powód, dla którego Gaja zamierzała odwiedzić dzisiaj Ewelinę. Powód miał cztery łapy, czarny nos i ogon – kolejny dzień psiej ekwilibrystyki zdecydowanie Gaję przerastał. Jedyne, o czym marzyła, to oddać szczeniaka agentce. Jak najszybciej.

– Jezu, przecież ci mówiłam przez telefon, żebyś go nie przywoziła! Ja nie mam co z nim zrobić! – Na twarzy Eweliny, wpatrującej się w trzymanego przez Gaję psa, malowało się obrzydzenie.

Gaja postawiła Bruna na błyszczącym parkiecie gabinetu.

– Widzę, że masz dobry lakier – zauważyła. – To powinno pomóc.

– On tu nie może zostać! – oświadczyła histerycznym tonem agentka.

– Może. I zostanie. – Gaja była niewzruszona. – Nie miałam w umowie wycierania psich siuszków.

Ewelina obrzuciła Gaję niechętnym spojrzeniem i usiadła za biurkiem, starając się nie zwracać uwagi na szczeniaka, który ruszył obwąchać nowy teren. Gaja usiadła również, a Klara zaczęła kręcić się po pokoju, oglądając porozstawiane wszędzie w eleganckich ramach zdjęcia.

– Nie rozumiem, co ci szkodzi przetrzymać go jeszcze te dwa dni – burknęła obrażona agentka.

Te z pozoru niewinne słowa zaskoczyły Gaję.

„Jak to »jeszcze te dwa dni«?”, pomyślała zdziwiona. „Dlaczego dwa? Dlaczego »te«?” Coś było w tej wypowiedzi takiego, że nagle w głowie Gai pewne elementy zaczęły się łączyć w zaskakującą całość.

Pies uwalił się na podłodze i zaczął obgryzać nogę biurka. Można było zignorować ten widok, ale odgłosu już nie.

– No to są jakieś jaja – warknęła agentka, podrywając się gwałtownie.

Na widok poruszających się nóg szczeniak natychmiast oderwał się od mebla i ruszył w podskokach za Eweliną. Agentka podeszła do drzwi i wyjrzała do holu, gdzie przy biurku tkwiła znudzona sekretarka.

– Stella, zajmij się nim – powiedziała stanowczo, wypychając szczeniaka z gabinetu.

Klara podeszła do Eweliny z fotografią w ceramicznej ramce.

– To ty i Kate Middleton? – spytała z niedowierzaniem w głosie.

– Była na Londyńskich Targach Książki. – Agentka wyjęła ostrożnie ramkę z rąk Klary i odstawiła na biurko. – Czy oprócz psa macie jeszcze coś?

– Adam Banach – rzuciła Klara, siadając na jednym z dwóch foteli dla gości. – Myślisz, że byłby zdolny zabić siostrę?

– Zwariowałaś? – zachnęła się Ewelina. – Adam? Skąd ci to przyszło do głowy?

Klara założyła nogę na nogę.

– Powęszyłam tu i ówdzie.

– Przecież on jest jej bratem! – Ewelina zaczynała być naprawdę zła.

– Historia zna wiele bratobójczych zbrodni – wyjaśniła spokojnie Klara. – Pytam, bo podobno się kłócili o pieniądze.

– Bzdury! To znaczy może i się kłócili, ale co z tego? Ona traktowała Adama tak, jak się traktuje młodszego brata, opiekowała się nim, troszczyła się o niego. Namówił ją na finansowanie knajpy, została udziałowcem, i nawet jeżeli jemu ten biznes nie szedł jakoś specjalnie, to na litość boską, co to za pomysł, że on mógłby jej coś zrobić?

Gaja słuchała nieuważnie, zastanawiając się nad sposobem, w jaki mogłaby sprawdzić teorię, która pojawiła się w jej głowie kilka minut wcześniej

– Rzeczywiście, pomysł karkołomny – zgodziła się z Eweliną, wprawiając tym Klarę w osłupienie.

– Ale jeżeli to nie on stoi za zniknięciem Banach, to kto? Czy ona nie miała czasem jakiegoś faceta?

Ewelina wzruszyła ramionami.

– Od śmierci męża z nikim się nie związała. Miewała różne przygody, takie na noc albo dwie, ale nikogo na stałe.

– Może w takim razie trzeba poszukać wśród jej kontaktów zawodowych? – ciągnęła Gaja. – Czy tego dnia, w którym zniknęła, była z kimś umówiona?...

– Owszem. Ze mną! – W głosie agentki pojawiła się irytacja.

– Jasne! – Gaja natychmiast się z nią zgodziła. – Ale może coś zmieniła, przesunęła... Masz dostęp do jej kalendarza?

– Owszem, mam – potwierdziła niechętnie Ewelina. – A co?

– Sprawdź, proszę, co miała wpisane na ten dzień, w którym zaginęła.

Bała się, że prośba jest zbyt ostantacyjna, ale agentka włączyła komputer i kliknęła kilka razy myszką.

– Nic tu nie widzę – burknęła.

Gaja szybkim ruchem podniosła się z miejsca i zanim Ewelina zdążyła zareagować, już stała za jej plecami i wpatrywała się w ekran z otwartym kalendarzem Moniki Banach na kwiecień.

– Przecież ci mówię, że nic tu nie ma! – zdenerwowała się agentka, szybkim kliknięciem minimalizując okno programu.

– Fakt – przyznała Gaja, której wystarczył jeden rzut oka, żeby się przekonać, że jej teoria może być prawdziwa. – W takim razie szukamy dalej. Nie denerwuje cię, że ciągle nie mamy żadnych wyników? – zagadnęła agentkę. – Że nie udało nam się niczego dowiedzieć?

Ewelina za bardzo się jej słowami nie przejęła.

– Oczywiście wolałabym, żeby Monika była już z powrotem z nami, ale jest, jak jest – powiedziała lekko. – Wy jej szukacie, policja jej szuka, niedługo na pewno wszystko się wyjaśni. Taką mam nadzieję.

– Odbiło ci? – spytała Klara, kiedy tylko zamknęły się za nimi drzwi agencji. – Jeszcze trochę samokrytyki i nas zwolni!

– Nie sądzę – odpowiedziała Gaja spokojnie. – Przez dwa dni nie zdąży.

– O czym ty mówisz? Jakie dwa dni?

– Takie, że za dwa dni pani pisarka cudownie się odnajdzie.

Klara parsknęła śmiechem.

– Widzę, że ktoś tutaj ma zadatki na proroka. Skąd to wzięłaś?

– Moment, muszę zadzwonić.

Gaja sięgnęła po telefon i wybrała jakiś numer.

– No hej! Masz teraz chwilę, żeby się spotkać? Na mieście albo u ciebie, jak wolisz. Dobra, to jesteśmy za piętnaście minut. Do zo.

Wrzuciła telefon z powrotem do torebki.

– Jedziemy do Natalii. Tam ci wszystko opowiem.

ROZDZIAŁ 34

Alarm w telefonie odezwał się o godzinie szóstej czterdzieści pięć. Matylda namacała komórkę, a wyłączając budzik, zorientowała się, że był nastawiony o piętnaście minut wcześniej niż zwykle. Chwilę zajęło jej przypomnienie sobie, po co jej był ten dodatkowy kwadrans, a kiedy sobie wreszcie uświadomiła, że chodziło o umycie głowy przed pracą, poderwała się z łóżka i pobiegła do łazienki.

Pochylona nad wanną, wcierając szampon we włosy, myślała o zaginięciu Moniki Banach.

Kiedy poprzedniego dnia przeczytała reportaż o Lechu G., była absolutnie pewna, że to on stoi za zniknięciem pisarki. Miał swoje powody, żeby żywić do niej niechęć, może nawet nienawiść, bo pobyt w więzieniu sprzyjał eskalacji negatywnych emocji.

Gaja podchwyciła ten pomysł. Skontaktowała się z Lewinem, a komisarz zgodził się sprawdzić tego człowieka. Potem przez cały dzień Matylda czekała w napięciu na wyniki wyprawy do niewielkiego miasteczka pod Skierniewicami, gdzie mieszkał Głowacki. Dopiero koło szesnastej Gaja zadzwoniła z lakoniczną informacją, że to jednak nie on.

W ten sposób Matyldę znowu wyrzuciło poza główny nurt wydarzeń. Trochę było jej z tego powodu przykro, ale przecież sama wybrała. Kiedy miesiąc temu Gaja zaproponowała jej dołączenie do agencji, Matylda stanowczo odmówiła. Pewna, stabilna praca w ratuszu była jej naprawdę potrzebna. Ale teraz, no cóż... Kiedy dziewczyny były zaangażowane w różne ciekawe akcje, żałowała, że w nich nie uczestniczy. Z drugiej strony nie porzuciłaby przecież swojego ukochanego biuletynu, więc te wszystkie dywagacje i tęsknoty były, jak mawiała jej matka, psu na budę.

„Ciekawe, jaki Gaja ma pomysł na dalsze poszukiwania”, pomyślała Matylda, owijając głowę ręcznikiem. Dobrze znała przyjaciółkę i wiedziała, że ta nie odpuści. Zazdrościła jej tej cechy, podobnie jak wielu innych – czasami czuła się przy Gai jak wybrakowany towar z promocji.

Stała przed lustrem. Owinięta ciasno szlafrokiem z Pepco, czerwonym w złote gwiazdki, który kupiła sobie pod choinkę za całe trzydzieści złotych, wyglądała jak wielka czerwona bombka i ten widok nagle ją zmartwił. Zawsze była puszysta i nigdy aż tak bardzo jej to nie przeszkadzało, ale akurat dzisiaj spojrziała na siebie oczami obcego mężczyzny, który będzie przez cały dzień oglądał jej pełne kształty. I ta wizja naprawdę ją zaniepokoiła.

Spojrziała na zegarek w telefonie. Do obudzenia dzieci zostało jej jeszcze siedem minut, więc postanowiła ten czas sensownie wykorzystać.

O wpół do ósmej dziewczynki zbiegły do kuchni, jak zwykle się przepychając, i usiadły do śniadania. Chwilę później Matylda poczuła na sobie badawczy wzrok starszej córki.

– Mama, ty się umalowałaś? – spytała Ala, zbulwersowana.

Matylda bardzo rzadko malowała się do pracy. Wszystkie koleżanki nosiły mniej lub bardziej dyskretny makijaż, ale Matylda najczęściej używała jedynie błyszczyka. Jednak dzisiaj... no cóż, świadomość, że najbliższe osiem godzin spędzi z Rafałem, zmobilizowała ją do trochę bardziej radykalnych działań.

– Tak ledwo, ledwo – rzuciła bagatelizującym tonem.

– Bardzo ładnie wyglądasz – orzekła Ula, a Matylda z ulgą odnotowała fakt, że Maciek postanowił dzisiaj pospać dłużej i nie siedzi teraz z nimi przy stole.

Jakoś tak się złożyło, że jeszcze mu nie powiedziała o nowym koledze z pracy. Brak czasu? Chyba tak. Na pewno tak. Bo jaki mógłby być inny powód?

Matylda wyrzuciła dziewczynki pod szkołą, następnie podjechała na parking na tyłach urzędu i przed wyjściem z auta dyskretnie przejrzała się w lusterku. Poprawiła włosy – po umyciu robiły, co chciały, nieważne ile balsamu w nie wtarła – sprawdziła, czy oko jej się nie rozmazało, choć przecież nie miało ku temu żadnego powodu, i sięgnęła na siedzenie pasażera po siatkę z plastikowym pojemnikiem z Ikei. Chwyciła ją, wysiadła i ruszyła na spotkanie z kolejnym dniem.

Rafał już był.

Siedział za biurkiem, ale na widok Matyldy poderwał się z miejsca i manewrując między meblami, przeprawił się na jej stronę pokoju.

– Poproszę. – Wyciągnął ręce w jej kierunku i dopiero po chwili uświadomiła sobie, że chce odebrać od niej płaszcz.

Zdjęła go więc i podała mężczyźnie, a on uśmiechnął się do niej, błyskając swoim idealnie wypięlegnowanym uzębieniem, i zapytał:

– To co, może kawkę na dobry początek dnia?

– Kawa koniecznie! – zgodziła się.

Postawiła plastikowy pojemnik na biurku i zdjęła wieczko.

– Możesz podać talerzyki? – poprosiła.

Zajrzał zaciekawiony do pudełka i aż cmoknął na widok dwóch kawałków sernika pokrytych błyszczącą czekoladową polewą.

– Mmmm... jak pachnie! – zachwycił się. – Sama piekłaś?

– Oczywiście – odpowiedziała urażona, że ktoś mógłby ją posądzić o przyniesienie ze sobą kupnego ciasta. – Uwielbiam piec.

Zajęła się wykładaniem sernika na talerzyki. Przez chwilę przyglądała się obu porcjom, po czym swoją przepiłowała łyżeczką na dwie części i tę większą zsunęła na talerzyk Rafała.

– Proszę – podała mu.

– Hej, a ty co tak skromnie? – zapytał. – Jesteś na diecie?

Przez chwilę zastanawiała się, jak zareagować. W końcu postanowiła obrócić jego pytanie w żart.

– A kto dziś nie jest? – rzuciła lekko.

– I bardzo dobrze – pochwalił ją. – Warto się trochę pomęczyć, żeby dobrze wyglądać! U nas w ochronie środowiska była dziewczyna z nadwagą, taką mniej więcej jak twoja, od nowego roku wzięła się za siebie, schudła dziesięć kilogramów i nagle nowa jakość.

Auć.

Czy to możliwe, że nowy kolega z pracy właśnie jej powiedział, że jest za gruba i powinna się zacząć odchudzać?

Podeszła do parapetu i wzięła czajnik do ręki.

– Idę po wodę – bąknęła i prawie wybiegła z pokoju, bojąc się, że się za chwilę porczy.

Przeleciało jej co prawda przez myśl, że gdyby na jej miejscu była Gaja, toby Bełdowskiego tym czajnikiem walnęła w głowę, no ale Gaja jest chuda jak patyk, jej nikt by nie kazał przechodzić na dietę...

A potem przez cały dzień towarzyszyło jej przygnębiające poczucie porażki. Co z tego, że się umalowała, skoro zbędnych kilogramów zamalować się nie da?

ROZDZIAŁ 35

Mieszkanie Natalii było wysokie, jasne i oszczędnie umeblowane, co dawało wrażenie dużo większej przestrzeni niż w rzeczywistości. Scenarzystka otworzyła im ubrana w czarny szlafrok o kimonowym kroju i z kubkiem kawy w dłoni.

– Jestem nieprzytomna, pisałam do piątej – wyjaśniła, wpuszczając je do środka. – Mam nadzieję, że macie jakieś dobre wiadomości...

Posadziła je na kanapie w intensywnie szmaragdowym kolorze, a sama przysunęła sobie głęboki fotel, w który zapadła się z westchnieniem ulgi.

– Słuchajcie – zaczęła Gaja. – Mam pewną teorię, która może wam się wydać na początku dziwna, ale bardzo mi zależy na tym, żebyście jej wysłuchały. Pamiętacie może ten wywiad, który z Banach zrobiła Matylda?

– Ten w tej lokalnej gazecie? Pamiętam, oczywiście – potwierdziła scenarzystka.

– Wyobraź sobie, że ja też! – Klara się ożywiła. – Znalazłam biuletyn u Nikodema i z nudów łyknęłam.

– W tym wywiadzie Banach twierdzi, że jej ukochaną pisarką jest Agatha Christie, a na szafce nocnej przy jej łóżku widziałam *Autobiografię* Agathy. Mówiła też, że ceni ją nie tylko jako pisarkę, ale też jako człowieka. I że była silną, pomysłową kobietą. Nie uważacie, że to trochę dziwne połączenie: silna i pomysłowa?

– Musiała być pomysłowa, skoro napisała tyle kryminałów – zauważyła Natalia.

– Oczywiście. Ale może Banach wcale nie chodziło o jej pisanie?

– A o co innego? – Klara była sceptyczna.

– Słyszałyście o tym, że w grudniu tysiąc dziewięćset dwudziestego szóstego roku Christie zaginęła?

Klara i Natalia pokręciły przecząco głowami.

– Miała wtedy trzydzieści sześć lat, męża i dziecko. Pewnego wieczora wyszła z domu i ślad po niej zaginął. Nie było jej jedenaście dni. Szukała jej cała Anglia. Odnalazła się w jakimś hotelu, twierdząc, że nie pamięta, co się z nią działo.

Natalia zrzuciła kaptcie i podciągnęła kolana pod brodę.

– Ktoś to próbował wyjaśnić?

– Oczywiście. Wielu jej biografów uważa, że Christie całą tę historię zaplanowała i przeprowadziła z absolutnym rozmysłem.

– Jak kobieta robi taki cyrk, to musi chodzić o faceta – zauważyła Klara.

– Tak, to była jedna z teorii. Jej mąż miał wtedy kochankę, a Christie w hotelu, w którym ją znaleziono, zameldowała się pod jej nazwiskiem. Ale jest też inna koncepcja – że to zniknięcie miało służyć promocji jej najnowszej książki. Brzmi znajomo?

– Myślisz, że Monika to od niej ściągnęła? – Natalia pokręciła głową z niedowierzaniem.

– Dlaczego nie? Gdybyś chciała wypromować książkę i szukała jakiegoś pomysłu, to nie skorzystałaśbyś z takiego gotowca?

Natalia wpatrywała się w Gaję w napięciu.

– Coś mi się przypomniało... Na tym spotkaniu z Banach i z Wojtkiem o żadnej konkretnej pracy nie mogło być mowy, bo nie znaleźliśmy treści książki. Ale Wojtek się uparł, próbował od Banach wyciągnąć cokolwiek. I ona nam wtedy wspomniała, że w tej książce znika bohaterka, która jest pisarką!

– No to nie mam pytań. – Klara aż klasnęła. – Jak ty na to wpadłaś? – zwróciła się do Gai.

– Dzięki psu. Kiedy go oddawałyśmy Ewelinie, powiedziała: co ci szkodzi przetrzymać go jeszcze te dwa dni. TE DWA DNI. Zabrzmiało to tak, jakby dokładnie za dwa dni problem miał się rozwiązać. Wtedy pomyślałam, że skoro ona wie na pewno, że za dwa dni Banach wróci, to znaczy, że to razem zaplanowały. A żeby się upewnić, sprowokowałam ją, żeby otworzyła jej kalendarz.

– No i?

– Pierwszy tydzień kwietnia miała pustawy, bo jeszcze kończyła książkę. Ale potem po kilka spotkań dziennie, napchane na maksa. I nagle w dniu zniknięcia – nic. Pusto.

– Czekaj, Ewelina mówiła, że były umówione na dziesiątą?

– Nie były. W ogóle nie ma tej godziny zaznaczonej. Żadnego wpisu. I dokładnie tak samo wygląda kolejnych pięć dni. A potem nagle co? Znowu termin na terminie: wywiady, sesje, nagrania. Sorry, ale to nie może być przypadek, że się akurat ze zniknięciem wstrzeliła w taką dziurę w swoich zawodowych aktywnościach.

– Oczywiście, że ona wiedziała, że wyjedzie! Miała kompletnie pustą lodówkę! – przypomniało się Klarze. – Poza tym tatarem, którego próbowałam, praktycznie nic tam nie było. Dokładnie tak wygląda lodówka moich rodziców, jak wyjeżdżają na urlop! Musiała to zaplanować, bez dwóch zdań!

– Żaden Głowacki, żaden brat, nikt w tym nie maczał palców. To jest po prostu bardzo przemyślana akcja reklamowa – podsumowała Gaja.

A potem odwróciła się do Natalii i złożyła ręce w błagalnym geście.

– Wody, plis!

– Szczerze? Jestem pod wrażeniem – stwierdziła Natalia, przynosząc Gai szklanke. – To wszystko do siebie pasuje. Ale że ty połączyłaś te wszystkie kropki...

– Wiesz co, ja od początku nie mogłam skumać, co jest nie tak z tą Ewelina – przyznała Gaja. – Taka niby przyjaciółka Banach, no i agentka, powinno jej mega zależeć na tym, żeby kobieta wróciła, prawda? A ona najpierw wpadła w panikę, postawiła na nogi policję, puściła plotkę o porwaniu, wrzuciła temat w internet, nawet nas wynajęła, co, uważam, było majstersztykiem...

– Właśnie tego nie rozumiem – zauważyła Klara. – Przecież to dla niej musiało być ryzykowne. Mogłyśmy się zorientować, że to przekręt.

– Myślę, że wcześniej planowała wynająć jakąś porządną, dużą agencję, która by dobrze wyglądała w telewizji. Może nawet tego całego Rutkowskiego? A to po to, żeby ludzie myśleli, że sprawa jest naprawdę poważna. Myśmy jej spadły jak z nieba, bo chociaż jesteśmy mniej medialne, to tańsze, a ciągle mogła się chwalić, że z troski o Banach wynajęła agencję detektywistyczną. No, w każdym razie potem, jak już rozpętała burzę na całą Polskę, to nagle zaczęła się tak zachowywać, jakby jej kompletnie nie zależało. Przecież to ja musiałam do niej dzwonić, ona się w ogóle nie odzywała, nie dopytywała, nie poganiała, nic. Jedynie, na czym jej zależało, to żeby jej nie zostawiła psa.

– Jak one planowały to potem odkręcić? – zainteresowała się Natalia.

– No właśnie tego nie wiem – przyznała Gaja. – Mogły pójść albo w kierunku amnezji, tak jak Christie, albo się przyznać, że to było specjalnie, że zaplanowały taką promocję. Zresztą nieważne, i tak jestem pewna, że to zaginięcie Banach było zaplanowaną od początku do końca akcją. Zero nakładów, a reklama na cały kraj.

– Ale mnie korci, żeby je zdemaskować – rzuciła Klara z błyskiem w oku. – I żeby zagrać tej całej agentce na nosie.

– Ciekawe! – Gaja również się ożywiła. – Tylko jak to zrobić? Musiałybyśmy znaleźć Banach, a ona może być wszędzie.

– No właśnie nie wszędzie! – oświadczyła Klara. – Komunikaty o jej zaginięciu śmigają w telewizji bez przerwy, cały internet jest pełen zdjęć i apeli do ludzi, żeby jej szukali. To jasne, że się nie zatrzymała w żadnym hotelu ani pensjonacie, bo natychmiast ktoś by ją skojarzył. W ogóle raczej nie w mieście, boby nie mogła wyjść na ulicę...

– Czyli co, szukamy samotnej chatki w głuszy? – zażartowała Gaja.

– Samotna chatka w głuszy? – powtórzyła z namysłem Natalia. – Przecież Ewelina ma taką chatkę! To znaczy letni dom nad Zalewem Zegrzyńskim, w Arciechowie! Straszne zadupie!

– Serio? – Klara nachyliła się gwałtownie w jej kierunku. – Skąd wiesz?

– Byłam tam u niej kiedyś. Wytłumaczę wam, jak trafić.

ROZDZIAŁ 36

– Za trzysta metrów skręć w prawo – wyrecytował mechanicznie kobiecy głos.

Natalia nie знаła dokładnego adresu letniego domu Eweliny – była tam tylko raz, w dodatku autem z koleżanką – ale zapamiętała sporo szczegółów, więc kiedy usiadły do komputera, maksymalnie powiększyły mapę w Google i zmieniły ją na zdjęcie satelitarne, bez problemu wskazała konkretną działkę. Resztę roboty zrobiła za nie nawigacja.

Dom stał w środku lasu, jakieś pięćset metrów od wyboistej polnej drogi, którą właśnie jechały. Pierwszy raz wielki terenowy samochód Gai naprawdę się przydawał.

– To tutaj! – ożywiła się Klara na widok wąskiej przecinki między drzewami. – Skręcaj!

Gaja gwałtownie zakręciła kierownicą i auto wjechało między sosny rosnące tak blisko drogi, że ich gałęzie co chwila uderzały o karoserię. Po chwili ich oczom ukazał się niewielki drewniany dom z gankiem, spadzistym dachem, błękitnymi drzwiami i stolarką okienną w tym samym kolorze.

– Jeżeli chcemy ją zaskoczyć, to chyba lepiej nie pchać się bliżej. Zaparkuj tutaj – stwierdziła Gaja, zatrzymując samochód.

Wysiadły.

Teren przed chatą został wyłożony ażurowymi betonowymi płytami, przez których otwory przeciskała się trawa. Dach ganku podtrzymywały drewniane filary, a na zalanej słońcem ławce pod oknem wygrzewał się duży rudy kot, który na ich widok czmychnął w las.

Klara weszła po dwóch schodkach na ganek i zatrzymała się przed drzwiami.

– To co, sprawdzamy? – wyszeptwała, podekscytowana, a kiedy Gaja skinęła twierdząco głową, zapukała energicznie. Zamarły, nasłuchując, ale ze środka nie dobiegł ich żaden dźwięk.

Klara zapukała znowu i znowu po drugiej stronie odpowiedziała im cisza.

Nie tego się spodziewały.

– Nie ma jej – stwierdziła niechętnie Gaja. – Może to jednak za proste? Letni domek agentki?

– Albo jest, tylko nie otwiera – zasugerowała Klara. – Albo poszła na spacer i zaraz wróci.

Odruchowo nacisnęła klamkę, a drzwi otworzyły się z lekkim skrzypnięciem.

– Ale jaja – wyszeptwała, uradowana. – Chodź!

I włądowała się do środka.

We wnętrzu powiał je zapach środka do impregnacji drewna i eleganckie, granatowe kalosze Hunter, stojące pod pustym wieszakiem na ubrania.

– Hop, hop! – krzyknęła Gaja. – Jest tu kto?

Przez chwilę nasłuchiwały, ale ponieważ w domu nadal panowała cisza, ruszyły dalej.

Kuchnia wyglądała tak, jakby ktoś z niej całkiem niedawno korzystał. Co prawda, zlew był pusty, ale na suszarce stały talerz i biały ceramiczny kubek z napisem: „Kto czyta książki, ten żyje podwójnie”. Przez półprzeźroczystą klapę pojemnika na pieczywo dostrzegły pół bochenka chleba

i jakieś bułki, na blacie leżała rzucona ściereczka do naczyń, a Gaja o mało się nie potknęła o stojącą na ziemi miskę pełną kocich chrupek.

Połączony z kuchnią pokój dzienny zdominowała żeliwna koza, obok której stał kosz pełen polan, a Gai przypomniało się, że na zewnątrz, pod okapem, leżała cała pryzma drewna. W pokoju, tak jak w kuchni, również widać było ślady czyjejs obecności – książka o niepokojącym tytule *Jak człowiek staje się mordercą*, leżąca na kanapie, obok koc przerzucony niedbale przez oparcie, a na nim pilot od niewielkiego telewizora, zawieszzonego na ścianie naprzeciwko. Kanapowe poduszki ułożone tak, żeby oprzeć się na nich wygodnie, kubek z resztką herbaty, kilka zużytych chusteczek higienicznych obok pudełka...

– Ewidentnie ktoś tutaj mieszka – orzekła Gaja. – I to raczej nie Ewelina...

Prosto z salonu przechodziło się do sypialni, niewielkiej i jasnej. Jej wyposażenie stanowiły podwójne łóżko, niestarannie zasłane, z szafką nocną tylko po jednej stronie, wiklinowy fotelik i ozdobna drewniana szafa, stylizowana na ludową, pomalowana w kolorowe kwiaty i motyle. Klara ruszyła w jej stronę, żeby do niej zajrzeć, kiedy nagle z dworu dobiegł odgłos silnika samochodowego. Spojrzały po sobie z Gają. Ukrywanie się nie miało sensu, zawróciły więc do drzwi i wyszły na zewnątrz.

Pod ganek podjechało zielone mini countryman i wysiadła z niego Ewelina.

I natychmiast zaczęła krzyczeć:

– A wy skąd się tu wzięliście? Co tu robicie? Czego chcecie?

Klara uniosła rękę pojednawczo.

– Już, już, nie denerwuj się. My tu w pracy jesteśmy – wyjaśniła. – Szukamy Banach, sama nam zleciłaś tę robotę. I tak nam się wydaje, że gdzieś tu w okolicy ją znajdziemy.

Konrad Popowicz, emerytowany warszawski motorniczy, miał sześćdziesiąt siedem lat, żonę, dwóch dorosłych synów i narastającą z każdym rokiem potrzebę samotności. Kochał swoją rodzinę, przynajmniej tak mu się wydawało, ale musiał jakoś odreagować lata prowadzenia tramwaju pełnego ludzi po zatoczonych warszawskich ulicach. Więc zamiast spędzać czas z żoną, która ciągle czegoś od niego chciała, czy z kilkuletnią, pełną energii wnuczką, wolał się zaszyć nad wodą, najlepiej w miejscu, gdzie nie było innych wędkarzy, i połowić sobie w spokoju.

Dzisiaj wybrał się aż nad Zalew Zegrzyński, do Ryni. Dojechał autem tak blisko plaży, jak się dało, i w dwóch turach przeniósł rzeczy nad wodę. Ustawił krzeselko pod rosnącą przy brzegu brzozą, w plastikowym wiaderku po kiszanej kapuście wymieszał zanętę, uformował z niej trzy spore kule i wrzucił do wody niedaleko brzegu. Potem przygotował wędkę, swoją ulubioną bolonkę Mistrall Aqua, i ustawił grunt. W tym miejscu było dość głęboko, przy brzegu ponad dwa metry, przeciągnął więc splot w górę żyłki tak, żeby haczyk znajdował się tuż nad dnem. Na przynętę wybrał białe robaki, zarzucił wędkę i oddał się swojemu ulubionemu zajęciu, czyli obserwowaniu pomarańczowej końcówki splota.

Minęła godzina. Przez ten czas splot nie drgnął ani razu, za to pochmurne rano niebo się przetařło i nieoczekiwanie pojawiło się słońce. Popowicz lubił słońce, przeniósł się więc razem z fotelikiem na srodek otwartej trawiastej przestrzeni. A kiedy przesunął wędkę, haczyk nagle o coś zawadził, pociągając splot w dół.

Mężczyzna szarpnął delikatnie wędziskiem, ale poczuł opór. Odblokował kołowrotek, potem zablokował go i znowu pociągnął.

Tym razem spławik wrócił na powierzchnię. Popowicz, uspokojony, usiadł wygodnie i już miał sięgnąć po pudełko z kanapkami, kiedy tuż pod powierzchnią wody coś zauważył.

Podniósł się zaciekawiony i zbliżył do brzegu. Pomimo wieku miał bardzo dobry wzrok, a jednak przez chwilę nie mógł zrozumieć, na co patrzy. Tuż pod lustrem wody pojawiło się coś dużego i białego. Najpierw pomyślał, że to sum, ale szybko zdał sobie sprawę, że nawet sumy nie osiągną takich rozmiarów.

Podszedł jeszcze bliżej... i nagle dotarło do niego, że patrzy na unoszące się w wodzie ciało kobiety. Miała otwarte, martwe oczy i rozłożone ręce, a wokół jej ciała falował biały materiał. Dopiero po chwili Popowicz uświadomił sobie, że topielica ma na sobie suknię ślubną.

ROZDZIAŁ 37

– No dobra, to teraz mów, co to za ściema z tym zniknięciem.

Siedziały na tarasie na tyłach chaty, czekając na powrót Moniki Banach, która prawdopodobnie spacerowała sobie w tym czasie po okolicy.

Ewelina westchnęła.

– Monika przyszła do mnie z tym pomysłem jakiś miesiąc temu. Właśnie kończyła pisać książkę, w której jednym z głównych motywów było zaginięcie. Spytała, czy chciałabym zrobić coś niestandardowego, co by wypromowało ten tytuł. Kiedy mi opowiedziała, jaki ma plan, najpierw nie chciałam się zgodzić. Ale tak mnie namawiała, że w końcu obiecałam pomóc. Była taka... podekscytowana tą książką i kolejną serią. To miało być dla niej nowe otwarcie.

– Nowe otwarcie? – spytała zaskoczona Gaja. – Monika Banach potrzebuje nowego otwarcia?

– Niestety, tak. Pierwsze tomy serii z komisarz Berg sprzedawały się fantastycznie, ale przy kolejnych zainteresowanie zaczęło spadać. Oczywiście, Banach cały czas trafiała na topki, ale to już nie była, tak jak na początku, pierwsza dziesiątka.

– Zaczęła gorzej pisać? – zdziwiła się Klara.

– A skąd. Píše coraz lepiej. Ale pamiętajcie, że proces wydawania książki trochę trwa, między kolejnymi tomami zawsze są przerwy, dlatego potem, kiedy ukazuje się następny, trzeba jakoś czytelnikom o serii przypomnieć. I to już jest kwestia reklamy, która leży po stronie wydawnictwa. A Seryjne ostatnio mocno przycięło budżet na promocję Moniki. Pewnie uznali, że ma już wyrobione nazwisko i nie trzeba na nią wydawać aż tyle. Z tego, co wiem, zaczęli pompować środki w nowych autorów, teraz na przykład bardzo promują tę swoją nową gwiazdę, Sośnicką. No i niestety odbiło się to na wynikach sprzedaży. Dlatego Monika postanowiła, że nową serię wypromuje sama. Właśnie w taki sposób – znikając.

– Jak Christie... – zauważyła Gaja.

– Jak Christie – potwierdziła agentka. – A że w fabule książki też mamy motyw zniknięcia, więc to ze sobą gra idealnie. Założenie mamy takie, żeby zrobić jak najwięcej zamieszania wokół tego tytułu. Temu miało na przykład służyć to spotkanie scenariuszowe. Zorganizowałam je po to, żeby potem w mediach społecznościowych napisać: „Ruszyły prace nad ekranizacją powieści”. A nic tak nie podbija zainteresowania książką jak informacja, że zostanie zekranizowana. Tak naprawdę nie mamy jeszcze producenta ani żadnych podpisanych umów, więc wynajęłam scenarzystów, którzy się mieli zająć przygotowaniem projektu. I w ten sposób obeszliśmy fakty.

– Sprytnie – przyznała Klara. – Sorry, muszę siku.

Podniosła się z fotela i weszła do domu.

– Owszem, to wszystko było bardzo sprytnie – przyznała Ewelina. – Zadbaliśmy o wszystko, o najmniejsze detale i rekwizyty. Na przykład pies...

– Pies był rekwizytem? – zdziwiła się Gaja.

– Oczywiście. Monika nie znosi psów. Ale chcieliśmy jakoś dodać tej historii dramatyzmu, podzielać na emocje. A przecież nic tak nie wzrusza jak szczeniak labradora. Poza tym był nam potrzebny, żeby przeforsować wersję o porwaniu. Inaczej, no cóż, mogłoby to tak wyglądać, jakby Monika gdzie wyjechała. Mogła sobie przecież zrobić wakacje, wrócić za tydzień i się dziwić, że w ogóle ktoś się jej zniknięciem interesował. Dlatego wymyśliłyśmy szczeniaka. Planowałyśmy go zostawić zamkniętego w domu. Przecież Banach nie wyjechałaby z własnej woli, porzucając na pastwę losu takie słodkie maleństwo.

– To chyba coś poszło nie tak, skoro ja go o mało nie przejechałam kilka ulic dalej? – zauważyła Gaja.

– Uciekł jej. Przyjechałam po Monikę o piątej rano, żeby ją przewieźć tutaj. Ten dom to idealne miejsce, żeby się ukryć, zresztą ona po każdej książce tu odpoczywa. No i kiedy wychodziła, taka zaspana, ten mały szczył zwał jej między nogami, a potem śmignął przez bramę i tyle go widziałyśmy.

– Czyli gdyby nie my, cały plan z psem byłby na nic? – zauważyła Gaja.

– Tak. Paradoksalnie bardzo nam pomogłyście – przyznała agentka. – Przywiozłam Monikę tutaj, wróciłam do Milanówka, niby na spotkanie, i rozpętałam aferę.

– Nie bałyście się, że ktoś się zorientuje?

– Ale jak? – zdziwiła się Ewelina. – Tutaj nikt by jej nie zobaczył. O tej porze roku nikogo tu w okolicy nie ma. A policja działa, jak działa, wiadomo...

W drzwiach tarasowych stała Klara.

– To po co nas wynajęłaś? Przecież mogłyśmy się zorientować, że to ściema.

– I zorientowałyście się – przyznała agentka. – Ale prawdę mówiąc, miałam o was podobne zdanie jak o policji. To znaczy, że nie jesteście zbyt bystre. Poza tym założyłam, że pieniądze, które na was wydaję, zwrócą się z nawiązką.

– A telefon? A komputer? – chciała wiedzieć Gaja. – Nie bałyście się, że ktoś ją namierzy?

– Telefon zostawiła w domu, komputer też. Tutaj wzięła ze sobą tylko tablet i porozumiewała się przez Messengera z fejkowego konta.

– Jestem pod wrażeniem! – w głosie Gai zabrzmiało uznanie. – Świetnie to wszystko zorganizowałyście. A uprzedziłyście wydawcę, co planujecie?

– Nie. Monika nie chciała, żeby Kamil wiedział. Bała się, że nie będzie potrafił wiarygodnie udawać, nie będzie wystarczająco przekonujący. Ludzie musieli uwierzyć, bez tego cała ta akcja nie miałyby sensu. Poza tym twierdziła, że to ma być też niespodzianka dla niego. Że jak się dowie co i jak, to padnie. – Ewelina zamknęła na chwilę oczy i potarła dłońmi policzki. – Tak... Wszystko miałyśmy zaplanowane w najdrobniejszych szczegółach.

Zza rogu domu wyłonił się kot, ten sam rudzielec, którego zastały po przyjeździe, wygrzewającego się na ławce. Miał krótką sierść, szeroki łeb i uszy całe w bliznach. Poruszał się ostrożnie, czujny i w każdej chwili gotowy do ucieczki.

– Kici, kici, Bazyl! – Ewelina wyciągnęła rękę w jego stronę.

Kot podszedł do niej niespiesznie i wskoczył kobiecie na kolana.

– Twój? – zainteresowała się Klara.

– Nie, sąsiadów. Mieszkają przy następnym zjeździe, jeszcze głębiej w lesie. To straszny łazęga, często mnie tu odwiedza. Pozwoli się pogłaskać, zje i sobie idzie. – Pogłaskała kota, a on zaczął

mruczeć. – Monika musi przed nim zamykać dom, bo ma alergię na sierść. Swoją drogą ciekawe, dokąd ona poszła, że tak długo jej nie ma. Mówiłam jej, żeby nie odchodziła za daleko.

W tym momencie zadzwonił telefon Gai. Spojrzała na wyświetlacz: „Adwokat Peszka”. Czyli Paweł. Podczas poprzedniej sprawy, kiedy Paweł reprezentował ich klienta, zapisała sobie w komórce jego numer w ten sposób z całkowitym rozmysłem. Po prostu gdyby wpisała imię, za każdym razem, kiedy widziałyby je na ekranie, bolałoby ją serce.

Co nie znaczy, że hasło „Adwokat Peszka” nie wywoływało żadnych emocji...

Teraz, choć była szczerze ciekawa, z czym dzwoni, zrzuciła rozmowę. Nie zdążyła jednak odłożyć komórki, kiedy zadzwonił ponownie. Musiał mieć coś naprawdę ważnego.

Nacisnęła zieloną słuchawkę.

– Jestem na spotkaniu – powiedziała ściszym głosem. – Mów szybko.

– Masz tam telewizor? – W głosie Pawła wyczuła napięcie.

– Mam... – odpowiedziała ostrożnie. – Dlaczego pytasz?

– Znalazła się twoja Banach. Włącz TVN24 – polecił.

– Jak to? – zdziwiła się Gaja. – Już dzisiaj? Miała dopiero za dwa dni!

– Nie wiem, o czym mówisz. Włącz telewizję.

Gaja odwróciła się do Eweliny.

– Znajomy twierdzi, że Banach się odnalazła, właśnie to pokazują w TVN24. Coś się chyba nie dogadałyście? – zauważyła.

Ewelina pokręciła przecząco głową.

– To raczej niemożliwe. Miała się ujawnić jutro.

Gaja poczuła w brzuchu skurcz niepokoju.

– Chodźmy zobaczyć, o co chodzi.

Weszły do domku. Ewelina sięgnęła po pilota i włączyła telewizor.

Na ekranie zobaczyły tego samego dziennikarza, który wcześniej przepytował Banacha przed restauracją Chlebem i Solą. Teraz stał na poboczu drogi, na tle tablicy z napisem „Arciechów”.

– Od kilku dni cała Polska śledziła w napięciu poszukiwania popularnej autorki kryminałów Moniki Banach, która zniknęła ze swojego domu z Milanówka – mówił pełnym napięcia głosem dziennikarz. – Niestety, wszystko wskazuje na to, że właśnie spełnił się najczarniejszy scenariusz. Dwie godziny temu w wodach Zalewu Zegrzyńskiego zostały znalezione zwłoki kobiety. Ich tożsamości jeszcze nie potwierdzono, ale wiele wskazuje na to, że jest to właśnie zaginiona pisarka.

Zaszokowane, bez słowa wpatrywały się w ekran.

– Fiu, fiu! – pierwsza odezwała się Klara. – Jak na promocję książki to nieźle pojechałyście!

Kamera odsunęła się, pokazując stojącego obok dziennikarza starszego mężczyznę w wędkarskiej kamizelce nałożonej na sweter. Pomimo okoliczności wyglądał na bardzo zadowolonego z faktu, że występuje w telewizji.

– Jest tutaj ze mną pan Konrad Popowicz, który znalazł ciało. – Dziennikarz podsunął mężczyźnie mikrofon. – Panie Konradzie, proszę nam opowiedzieć, jak to było...

Mężczyzna odchrząknął i przeczesał palcami włosy.

– Pojechałem rano na ryby. Ja na emeryturze jestem, mam dużo czasu, lubię tak sobie posiedzieć z wędką. No i w pewnym momencie zaczęłam o coś haczykiem. I to właśnie było to ciało. Kobieta w takiej długiej białej sukni, jak panna młoda. – Aż się wzdrygnął. – Przykry widok, bardzo przykry.

Kamera przeniosła się z powrotem na dziennikarza. Jego twarz na zbliżeniu była blada i napięta.

– Wielka tragedia. Wszyscy mieliśmy nadzieję, że Monika Banach odnajdzie się żywa. Na razie jest za wcześnie, żeby spekulować, jaka była przyczyna śmierci. Wszystkie informacje w tej sprawie będziemy państwu przekazywać na bieżąco. Oddaję głos do studia.

Gaja nagłym ruchem sięgnęła po pilota i wyłączyła telewizor.

– Nie... To nie może być prawda – wydusiła z siebie Ewelina. – Oni się musieli pomylić! To na pewno nie Monika. Przecież nie mogła być w sukni ślubnej!

– Nie puszczaliby na antenie takich informacji, gdyby tego nie sprawdzili – powiedziała cicho Gaja.
– Strasznie mi przykro, naprawdę...

Ewelina zaczęła nerwowo chodzić po pokoju.

– Nie rozumiem – powtarzała cicho. – Nic nie rozumiem. I co teraz?

ROZDZIAŁ 38

Matylda była bardzo dobrą podwładną. Nieustannie zabiegając o uznanie zwierzchników, łąpała w lot ich sugestie, skrzętnie wykonywała polecenia, ale też wykazywała się kreatywnością, była odpowiedzialna, uważna i dokładna. Jednak w momencie, w którym sama została szefową, wszystkie te zalety obróciły się na jej niekorzyść. Natychmiast się bowiem okazało, że delegowanie obowiązków nie jest jej najmocniejszą stroną.

Rafał skończył przeglądać roczniki biuletynu już poprzedniego dnia i dzisiaj trzeba mu było znaleźć kolejne zajęcie. Gdyby Matylda miała wymyślić je sama dla siebie, zrobiłaby to błyskawicznie. Ale kiedy miała zlecić coś komuś innemu, w jej głowie pojawiało się nagle tysiące wątpliwości... Czy Rafał nie uzna tego zadania za głupie albo zbyt proste dla niego, a może jednak – za zbyt skomplikowane? Czy ten temat mu się spodoba? Czy...

W końcu postanowiła zaproponować mu napisanie materiału o lokalnych pomnikach przyrody.

– Mieszkańcy chętnie dowiedzieliby się więcej na ten temat – mówiła, obserwując uważnie jego reakcję. – Trzeba by było zrobić listę, wytypować te bardziej interesujące, prześledzić ich historię... Co o tym sądzisz?

Uważała, że to dobry pomysł, i liczyła na to, że Rafał chętnie go podchwyci, jednak mężczyzna nie wykazał przesadnego entuzjazmu.

– Nie wiem. Pewnie masz rację – powiedział tylko, zostawiając Matyldę z poczuciem lekkiego rozczarowania.

„No nic, może z następnym tematem trafię lepiej”, pomyślała, włączając komputer. Kliknęła myszką w Google i w okienku otworzyła się historia ostatnich wyszukiwań. Prawie wszystkie strony dotyczyły albo Banach, albo Głowackiego, i Matylda po raz kolejny poczuła, jak ważna jest dla niej sprawa zaginięcia pisarki. Być może dlatego, że była jedną z ostatnich osób, które ją widziały przed zniknięciem? Natychmiast przypomniwała sobie swoją wizytę u niej – to, jak pisarka pochwaliła wywiad, płaczącego się pod nogami szczeniaka, kobietę z mopem...

Kobieta z mopem! Matylda aż się wyprostowała. Przecież nikt nie wie więcej o domu niż ten, kto w nim sprząta! Pierwszą myślą było zadzwonić do Gai i poprosić, żeby zdobyła namiary na sprzątaczkę przez agentkę Banach. Już nawet sięgała po komórkę, ale cofnęła rękę. A może wcale nie musi nikogo prosić o pomoc?

Potarła palcami nasadę nosa. Te włosy, to charakterystyczne siwe pasmo... Była pewna, że gdzieś już wcześniej widziała tę kobietę. Tylko gdzie? I nagle w zaskakującym przeblysku pamięci zobaczyła ciemne, ciasne wnętrze, pochyloną głowę z białym kosmykiem włosów i dłoń kobiety, sięgającą do torebki po portfel...

Już wiedziała, jak ją odszukać.

– Wychodzę na pół godziny – zakomunikowała Rafałowi, przerażona własną odwagą. – Muszę zrobić kilka fotek na mieście, potrzebuję do materiału.

I nie czekając, aż Rafał zorientuje się, że skłamała, wybiegła z pokoju.

Sklep rodziców Matyldy znajdował się po drugiej stronie torów, w samym centrum miasta. Kiedyś sprzedawali w nim same warzywa, ale kilka lat temu poszerzyli asortyment o nabiał, pieczywo, wędliny i napoje, tak że klient przychodzący po pomidory mógł sobie do nich dokupić razowy chleb na zakwasie, większą śmietaną albo wyśmienitą pieczoną szynkę domowej produkcji. Sklep cieszył się tak dużym powodzeniem, że czasami ustawiały się do niego kolejki, bo niewielkie wnętrze nie było w stanie pomieścić więcej niż cztery osoby.

Droga z ratusza do sklepu normalnie zajmowała Matyldzie osiem minut, ale dzisiaj udało jej się ten dystans pokonać w pięć.

– Mamo, mam ważną sprawę – wyrzuciła z siebie zdyszana od progą. – Możemy porozmawiać na zapleczu?

Matka podała dwie cukinie eleganckiej czterdziestolatce w jasnym płaszczu, podliczyła jej rachunek i podsunęła kobiecie terminal.

– Dziękuję, do widzenia! – rzuciła za wychodzącą klientką. – A nie możemy tutaj?

Matylda posłała szybkie spojrzenie Misi – młodej, krótko ostrzyżonej dziewczynie z kolczykiem w nosie, która od kilku miesięcy pracowała w sklepie rodziców Matyldy jako ekspedientka, i pomyślała, że w sumie ją też dobrze by było uczulić.

– Możemy – zgodziła się. – Chcę was prosić o pomoc. Poszukuję sprzątaczkę Moniki Banach. Nie znam jej nazwiska ani nie wiem, gdzie mieszka, ale jestem pewna, że widziałam ją kiedyś u was w sklepie. Jest średniego wzrostu, taka dość przy kości...

– Kochanie – przerwała jej matka. – A nie masz czasem zdjęcia? Inaczej to my jej nie rozpoznamy...

– No chyba gdybym miała, tobym wam pokazała? – zirytowała się Matylda. – Ale ta kobieta ma bardzo charakterystyczne włosy, ciemne, prawie czarne, i z przodu, o, tutaj, takie siwe pasmo, jakby pomalowane białą farbą.

Matka pokręciła przecząco głową.

– Bardzo mi przykro, dziecko, ale ja nikogo takiego nie kojarzę.

– A ja owszem – odpowiedziała ekspedientka z kolczykiem w nosie. – Jak ktoś jest inny, to zawsze zwracam uwagę. Tę panią już dwa razy obsługiwałam.

Matylda miała ochotę ją ucałować.

– Jak się tylko znowu pokaże, to macie natychmiast do mnie zadzwonić! I najlepiej dać mi ją do telefonu.

– Ale ona może nie chcieć z tobą rozmawiać – uświadomiła Matyldzie matka.

– To wtedy musisz ją tutaj zatrzymać. A jak nie będzie chciała zostać, to zamknij drzwi na klucz i przytrzymaj ją do mojego przyjazdu.

Matka patrzyła na Matyldę z niedowierzaniem.

– Przecież za takie coś ona by nas mogła podać do sądu.

– Żartuję. – Matylda machnęła ręką. – Po prostu musisz zrobić wszystko, żeby ją jakoś ze mną skontaktować. Czuję, że ona naprawdę może nam pomóc w odnalezieniu Banach.

– W odnalezieniu? – zdziwiła się Misi. – Ale przecież już ją znaleźli!

Matylda aż się oparła o ladę.

– Znalazła się? Ale jak to? Skąd wiesz?

– Z radia. Wyłowili jej zwłoki z Zalewu Zegrzyńskiego!

ROZDZIAŁ 39

Ewelina siedziała na krześle ogrodowym, zgarbiona, i kawałkami papierowego ręcznika, który dziewczyny znalazły w kuchni, wycierała mokre od łez policzki.

– Jak myślisz, czy ona... mogła popełnić samobójstwo? – spytała Gaja.

Agentka popatrzyła na nią zaczerwienionymi od płaczu oczami.

– Monika? Na pewno nie. Była totalnie podekscytowana tym, że napisała świetną książkę, bardzo się cieszyła na to swoje „nowe otwarcie”. Cały czas powtarzała, że „będzie się działo” i że na tę chwilę czekała od lat. Nie, nie miała powodu, żeby się targnąć na życie.

– Jesteś pewna? – włączyła się Klara. – A może przeżyła jakiś miłosny zawód? Może w tej historii jest jakiś facet?

– Nic nie wiem o żadnym facecie, nic nie wiem o żadnym miłosnym zawodzie. – Ewelina westchnęła. – Monika, jakby to powiedzieć... nie była przesadnie emocjonalna. I to raczej ona wykorzystywała mężczyzn niż oni ją.

– A suknią ślubną, w której ją znaleziono? – Klara nie odpuszczała.

– Nie mam pojęcia, o co chodzi z tą suknią. – Agentka popatrzyła na nie bezradnie. – Przecież ona nie zamierzała wychodzić za mąż! Jedyne, z czym mi się kojarzy, to motyw ślubu w jej najnowszej książce.

– Dobrze. Czyli samobójstwo wykluczamy – podsumowała Gaja. – Zostały dwie możliwości. Wypadek albo morderstwo.

W tym momencie chmura przesłoniła słońce, a Ewelina zatrzęsa się z zimna.

– Morderstwo – powiedziała cicho. – Straszne... Kto mógłby chcieć ją zabić? I dlaczego? Przecież to bez sensu...

Gaja pogłaskała ją po ramieniu.

– Musisz zadzwonić na policję – powiedziała. – Powiedzieć im, że się tutaj ukrywała. W ogóle powiedzieć im wszystko.

– Wiem – skinęła głową Ewelina. – To takie trudne...

Gaja ruchem głowy dała Klarze znak, że powinny się zbierać.

– Zostańcie jeszcze – próbowała je zatrzymać agentka.

– Lepiej, żeby nas tu nie było, kiedy przyjadą. – Gaja pochyliła się nad Eweliną i uściśniła ją mocno. – Szkoda, że nasze zlecenie kończy się w ten sposób.

Chciała się wyprostować, ale Ewelina przytrzymała ją za ramię.

– Nie kończy się! Chcę, żebyście dalej dla mnie pracowały – powiedziała. – Jeżeli to rzeczywiście morderstwo, musicie odkryć, kto to zrobił.

Gaja miała tuż przed sobą jej twarz, która w ciągu ostatnich kilkudziesięciu minut postarzała się o dekadę. Ból, który widziała w jej oczach, nie był udawany.

– To chyba nie jest dobry pomysł – powiedziała ostrożnie, próbując uwolnić się z uścisku Eweliny. – My... nie zajmujemy się morderstwami...

– Moment – przerwała jej Klara. – A sprawa tej uczennicy?

– To był wyjątek – zaprotestowała Gaja. – I nasze pierwsze zlecenie. Nie miałyśmy wtedy pojęcia, na czym ta praca polega.

– No właśnie! – Klara wyraźnie się ożywiła. – A teraz wiemy! Jesteśmy bardziej doświadczone, mądrzejsze... Co może pójść nie tak?

– Co może pójść nie tak? Wszystko! – Gaja naprawdę się zdenerwowała. – To nie jest śledzenie niewiernych mężów, gdzie co najwyżej można zmarznąć w aucie. Morderstwo to poważna sprawa, bez dostępu do policyjnych danych nic nie wskóramy. To by było nieuczciwe w stosunku do Eweliny, naciągając ją na pieniądze za pracę, której nie będziemy w stanie wykonać.

– A jednak nie mając do niczego dostępu, domyśliłyście się, że sprawa z porwaniem była ściemną, prawda? – zwróciła jej uwagę agentka. – Policja jakoś na to nie wpadła. Szczerze mówiąc, dużo bardziej ufam wam niż im. Dlatego proszę, żebyście się tym zajęły. Koszty absolutnie nie grają roli. Monika zasługuje na prawdę, tak do tego podejście.

Gaja wzięła głęboki oddech.

– Klara, jakie jest twoje zdanie? – spytała.

– Co tak oficjalnie? To jakiś podstęp? – zdziwiła się dziewczyna. – Przecież nigdy się mnie nie pytasz o zdanie.

– No to teraz pytam.

– Żeby w razie czego móc na mnie zwalić, jak coś pójdzie nie tak? – upewniła się.

– Dokładnie. Więc jak uważasz?

Klara odrzuciła włosy do tyłu wojowniczym gestem.

– No przecież już mówiłam. Bierzemy to. Nie ma innej opcji.

Szły już w stronę samochodu, kiedy usłyszały za sobą krzyk Eweliny.

– Gaja! Poczekaj!

Dogoniła je, lekko zdyszana.

– Jest jeszcze jedna rzecz, którą musimy ustalić. Chodzi o psa. Czy ty... mogłabyś go wziąć? Ja go naprawdę nie mogę u siebie zostawić. Zwłaszcza teraz. To już nawet nie jest kwestia kotów. Po prostu cały czas przypominały mi o Monice, byłby jak wyrzut sumienia. Proszę!

Gaja chciała odmówić, ale nie potrafiła. Pomyślała o Helenie, o tym, jak wielką radością był dla niej ten szczeniak.

– Dobrze – powiedziała. – Pewnie będę żałować, ale go wezmę.

Posiadanie domu letniego w głuszy wydawało się Klarze kompletnie bez sensu. Owszem, wpadała czasem do znajomych na działki, zaliczała wieczorne imprezy, płonące ogniska, alkohol, kąpiel nago w jeziorze, czasami seks pod gwiazdami, ale żeby tak siedzieć w jednym miejscu przez kilka dni, nie mając nic do roboty poza opalaniem się, przygotowywaniem posiłków, a jesienią – zbieraniem grzybów? Idiotyczne.

Zwłaszcza na myśl o grzybach Klara dostawała dreszczy. To było ulubione zajęcie jej ojca. Kazał im z matką wstawać o piątej rano, wkładać koszmarnie niewygodne kalosze, upychał je obie w aucie i wywoził do Cierpic – co za adekwatna nazwa swoją drogą – gdzie potem przez kilka godzin musiała

się snuć po lesie i udawać, że szuka tego brudnego badziewia. W dodatku patrząc pod nogi, nie mogła jednocześnie patrzeć przed siebie, więc bez przerwy włąziła w rozsнутę między gałęziami pajęczyny. Nienawidziła pajęczyn. Nienawidziła pajaków. Nienawidziła wyjazdów na grzyby. Nienawidziła...

No dobrze, na razie była wiosna, drzewa zaczęły dopiero wypuszczać liście, domek w tej świeżej, czystej zieleni prezentował się bardzo dobrze, a historia z Moniką Banach przyspieszyła tak gwałtownie, że nawet Klara musiała zapiąć pasy. Bo choć poszukiwania najpierw przebiegały niemrawo i jedynym ciekawszym momentem okazała się wycieczka z Lewinem do podpalacza, która zresztą i tak nic nie dała, to znalezienie zwłok wywróciło stolik. A Klara uwielbiała takie zwroty akcji.

Uwielbiała też być w centrum wydarzeń, a dzisiejszy dzień od rana jej to zapewniał. Całkiem niezłe współpracowało jej się z Gają, miała poczucie, że zaczynają działać jak niezły team. Jedyne, czego jej brakowało, to jakiegoś indywidualnego sukcesu.

Nie wiedziała, że czeka on na nią mniej więcej w połowie drogi między domkiem Eweliny a zaparkowanym w krzakach land roverem. Szła właśnie ze spuszczoną głową – zupełnie, jakby była na tych nieszczęsnych grzybach – pochłonięta myślami o tym, jak mogliby spędzić dzisiejszy wieczór z Nikodemem, kiedy nagle kątem oka wyłapała na poboczu coś zaskakującego, coś, czego zdecydowanie nie powinno tam być.

Zatrzymała się gwałtownie i podeszła do jedynego w tym miejscu fragmentu nieporośniętego trawą. Był to spory placek czarno-żółtej, gliniastej ziemi, prawdopodobnie efekt pracy nadgorliwego kreta, z odcisniętym śladem opony tak charakterystycznym, że o żadnych wątpliwościach nie mogło być mowy.

– Gaja! – krzyknęła. – Chodź tutaj!

Gaja, która była już prawie przy aucie, zawróciła natychmiast. Zelektryzowana okrzykiem podbiegła do nich również Ewelina.

– Patrzcie na to! – Klara, podekscytowana, pokazała im ślad bieżnika. – Był tutaj ktoś na motocyklu!

– Tak, ten ślad wygląda na świeży... – przyznała Gaja.

– Tak, ale to nie wszystko! – Klarę duma aż rozpierała. – To opona Pirelli Angel! – Wyszarpnęła z kieszeni komórkę, otworzyła galerię zdjęć i wybrała jedno. – I to też! – Podesunęła Gai i Ewelinie zdjęcie odcisku, które zrobiła przed czterema dniami w ogrodzie Banach.

– Wydają się identyczne – powiedziała Gaja, porównując w skupieniu oba ślady. – Gdzie zrobiłaś to zdjęcie?

– Przed domem Banach w Milanówku! – odpowiedziała triumfalnie Klara.

Gaja popatrzyła na nią z uznaniem.

– Brawo! Czyli ktoś był u niej tuż przed jej zniknięciem, a potem przyjechał tutaj... Słuchajcie, czy brat Moniki nie jeździ czasem motorem?

– Nie wiem – odpowiedziała Ewelina. – Ale na pewno motorem jeździ ten scenarzysta, Wojtek.

ROZDZIAŁ 40

O tym, że znaleźli ciało, dowiedział się, siedząc w Nero na placu Konstytucji. Często umawiał się tu na spotkania albo wpadał na kawę tak po prostu, bez konkretnego powodu. Siadał sobie w części dla palących, otwierał laptop i przeglądał media społecznościowe – zajęcie, za którym nie przepadał, ale żeby utrzymać liczbę obserwujących na Instagramie i znajomych na fejsie, musiał systematycznie wykonywać różne działania, choćby były żmudne i głupie. W jego zawodzie, w którym liczyły się nie tylko umiejętności, ale też, a może przede wszystkim, znajomości, trzeba było trzymać rękę na pulsie.

Czytał właśnie post pewnego kiepskiego, ale świetnie funkcjonującego w branży reżysera, w którym tenże reżyser wyrażał się entuzjastycznie na temat najnowszego Bonda, kiedy jego komórka kliknęła sygnałem Messengera, a na ekranie telefonu pojawiło się zdjęcie profilowe Natalii.

Otworzył wiadomość.

Banach nie żyje. Znaleźli ciało. Co za spektakularny koniec naszego projektu. Jakbyś miał jakąś robotę, pamiętaj o mnie.

Wpatrywał się w telefon, nie wierząc w to, co przeczytał. Znaleźli ciało? I co teraz? Zaczął się gorączkowo zastanawiać, co ma zrobić. Pierwszy impuls, żeby uciekać, jakoś udało mu się opanować.

Otworzył Onet, nic. Za to na WP znalazł krótką notatkę o śmierci znanej pisarki. I spekulacje, czy to samobójstwo, czy morderstwo. Zamknął laptop, wrzucił go do plecaka i wyszedł na dwór. Chłodne wiosenne powietrze wdarło mu się do płuc. Odetchnął głęboko i dopiero teraz zdał sobie sprawę, że przez ostatnie kilka minut się dusił.

Jego motor stał na parkingu po drugiej stronie Marszałkowskiej. Zatrzymał się na przejściu dla pieszych, przestępując z nogi na nogę i zastanawiając się, kiedy wpadną na jego ślad.

A może nie wpadną? Może jednak nikt go z tą historią nie połączy?

Banach kontaktowała się z nim tylko raz. Zadzwoiła do niego przez Messengera, ale nawet jeżeli jakimś cudem policja trafi na to połączenie, wystarczy powiedzieć, że omawiali scenariusz.

Natomiast jeśli chodzi o odciski palców pozostawione w chacie, to na nic się nikomu nie przydadzą, skoro nie będzie ich z czym porównać. Innego sposobu, żeby dotrzeć do Wojtka, nie było.

Mimo wszystko nie potrafił się uspokoić. Śmierć tej kobiety była tak nagła i niespodziewana, że wydawała się nieprawdziwa. „Takie rzeczy zdarzają się w filmach – pomyślał – nie w życiu”.

Światło zmieniło się na zielone. Przeszedł na drugą stronę ulicy, a kiedy wsiadał na motocykl, zadzwoniła jego komórka. Kusiło go, żeby nie odbierać, tylko wskoczyć na siodełko i z hukiem silnika ruszyć w miasto, ale rozsądek zwyciężył.

Wyjął telefon i spojrzał na wyświetlacz. Numer nieznany. Czy to możliwe, że już go namierzylisi?

Na moment spanikował, ale potem uświadomił sobie, że przecież oficjalnie bierze udział w pracach nad serialem według książki Banach i o tym może rozmawiać bez lęku. A o niczym innym wiedzieć nie mają prawa.

Odebrał.

– Cześć, tu Klara – usłyszał głos, który wydał mu się znajomy.

– Klara? – czekał, aż powie coś więcej, żeby mógł ją skojarzyć.

– Ciągłe masz taki bałagan w mieszkaniu? – spytała lekko.

Ten ton przypomniał mu prześliczną rudą dziewczynę, która wypytywała go o Banach przed dwoma dniami.

– Pytasz służbowo czy prywatnie?

– A jeżeli prywatnie?

– To wpadnij sprawdzić. – Miał nadzieję, że jej wizyta pomoże mu się skutecznie odstresować.

– Jestem za pół godziny.

„Ciekawe, czy już wie”, pomyślał. Jeśli nie, to na pewno nie będzie jej uświadamiał.

Od poprzedniej wizyty w tym domu kondycja obu kobiet się nie poprawiła – znowu, kiedy dotarły na najwyższe piętro, były zdyszane. Klara nacisnęła dzwonek i zbliżyła twarz do otworu wizjera. Usłyszały ze środka jakiś hałas i stłumione „O kurwa...”.

Przeskoczyła zasuwka i drzwi stanęły otworem.

– Jesteś o pięć minut za wcześnie – wypomnił Wojtek, rozbierając Klarę wzrokiem. – Aż tak ci się spieszy?

Zrobił krok do przodu i wyciągnął ręce, jakby chciał chwycić dziewczynę w tali, i w tym momencie zobaczył stojącą trochę z boku Gaję.

– Nożę kurwa! – wściekł się. – Nie będę z wami gadać! Do widzenia!

Cofnął się, chcąc zamknąć drzwi, ale w tym momencie odezwała się Gaja:

– Czyli wolisz gadać z policją?

Przez chwilę się wahał, rozważając wszystkie za i przeciw. Za przeważało, więc jednak je wpuścił.

Mieszkanie wyglądało prawie identycznie jak poprzednio, z tą niewielką różnicą, że jeden ze stosów książek przewrócił się, prawdopodobnie przed chwilą, i teraz trudno się było przedostać w głąb pokoju. Gaja przesunęła delikatnie nogą leżące najbliżej tomy i jakoś dotarła do jednego z dwóch nieobrośniętych ciuchami krzeseł.

– Z czego chcecie? – zapytał mężczyzna niezyczliwie.

Gaja musiała przyznać, że z lekkim zarostem i podkrążonymi oczami wygląda naprawdę interesująco.

– Wpadłyśmy ci powiedzieć, że Monika Banach nie żyje – poinformowała go grzecznie. – I zapytać, czy może coś wiesz na ten temat.

– To może zapytacie wprost, czy ją zabiłem! – Nachylił się w ich stronę i machnął Gai ręką tuż obok twarzy tak gwałtownie, że odruchowo odchyliła się do tyłu.

– Czy ja wspomniałam, że została zabita? – zastanowiła się Gaja.

Wojtek przewrócił oczami.

– O Banach wiem tyle, ile przeczytałem w internecie. Byłem u niej w Milanówku, pracowaliśmy razem, to wszystko. Dlaczego nie pomęczycie Natalii? Wie dokładnie tyle samo, co ja!

– Serio? – zdziwiła się Klara. – To znaczy, że była z tobą nad zalewem?

Wojtka zatkało. Ramiona mu opadły, zgarbił się i poszarzał na twarzy, nagle starzejąc się o dziesięć lat. Patrzył na nie, mrugając żałośnie, a potem opadł na kanapę, oparł łokcie na kolanach i opuścił głowę. Nie był w stanie wydusić z siebie słowa.

– Naprawdę myślałeś, że się nie wyda? – Gaja pokręciła z niedowierzaniem głową.

– Jak się dowiedziałyście?

– To twój motor stoi na dole na parkingu? – upewniła się Klara.

– Tak...

– Sprawdziłyśmy opony. Masz Pirelli Angel. A przed letnim domem znalazłyśmy odcisk opony motocyklowej. Zgadnij jakiej? To prawie jakbyś tam zostawił swoje DNA.

Scenarzysta potarł twarz dłońmi.

– Kurwa, kurwa... – powtarzał. – Ja pierdołę.

– Fascynująco bogate słownictwo jak na kogoś, kto pisze zawodowo, nie uważasz? – powiedziała Gaja do Klary.

– Może pisze dla Vegi? – zasugerowała dziewczyna. – Dobra, dosyć tego cackania się. Kiedy u niej byłeś?

– Dwa dni temu – jęknął. – Dlaczego ja jej się dałem namówić!

– Czyli to ona ci zaproponowała spotkanie?

– Oczywiście, że ona! Zadzwoiła do mnie na Messengerze następnego dnia po zaginięciu. Zatkąło mnie. Cała Polska jej szuka, a ona do mnie dzwoni, jak gdyby nigdy nic.

– Zadzwoiła i co?

Przez dłuższą chwilę nie odpowiadał i Gaja się przestraszyła, że nic już więcej od niego nie wyciągną.

– Nudziła się – wyduśił z siebie w końcu. – Siedziała tam już drugi dzień, nie mogła wychodzić, żeby jej nikt nie zobaczył, i stwierdziła, że możemy skończyć to, co zaczęliśmy w Milanówku. Tylko kazała mi przysiąc, że nikomu nic nie powiem. Pomyślałem, co mi szkodzi. Wolałem być miły, w końcu jeszcze nie podpisaliśmy umowy, wiadomo. A ten serial to mogła być żyła złota. Więc wsiałem, kurwa, na motor i pojechałem. – Zamknął oczy, tak jakby przypominał sobie tamtą sytuację. – Mieliśmy fajny seks, na tyle fajny, że zostałem na noc. Następnego dnia się zabrałem i tyle.

– Nie mówiła nic o ślubie? Albo sukni ślubnej? – dopytywała Klara.

– Nie wiem, czy załapałaś – nasza znajomość jeszcze się tak daleko nie posunęła.

– Czyli wyjechałeś od niej przedwczoraj rano? – upewniła się Gaja.

– Tak. Była cała i zdrowa. Planowała pracować nad książką. Tyle wiem.

– Pracować nad książką? – zainteresowała się Klara. – Przecież podobno ją skończyła.

– Tak, pisać skończyła, ale wzięła ze sobą wydruk, żeby przed wysłaniem do wydawnictwa jeszcze ostatni raz przeczytać całość i nanieść poprawki. Swoją drogą świetna ta książka jej wyszła. Jak na ironię.

– Pozwoliła ci przeczytać?

– Była ciekawa mojej opinii, więc przejrzałem. Duże wrażenie na mnie zrobiła. Zaznaczyłem jej tam jakieś dwie albo trzy drobne nieścisłości, które mi akurat wpadły w oko, ale generalnie poziom bardzo wysoki. To było literacko dużo lepsze niż jej poprzednie książki. Dużo lepsze.

Chciał jeszcze coś powiedzieć, ale w tym momencie odezwała się komórka Gai. Dzwoniła Natalia.

– Coś ważnego? Bo nie bardzo mogę teraz rozmawiać – uprzedziła Gaja.

– Znowu mówili o Banach. – W głosie Natalii wyczuła napięcie.

– Czekaj, dam cię na głośnik...

– Dotarli do kogoś, jakiegoś lekarza czy patologa, który twierdzi, że zginęła wczoraj przed północą. Ale przyczyny śmierci ciągle nie podali. Czekają na wyniki sekcji.

– Wczoraj przed północą? – powtórzył za nią Wojtek. – I to jest najlepsza informacja dzisiejszego dnia!

– To Wojtek? Dobrze słyszę? – zdziwiła się Natalia. – Gdzie wy jesteście?

– Wy tłumaczę ci wszystko później. Coś jeszcze się pojawiło ciekawego?

– Nie, w sumie to wszystko. Ale myślałam, że ten czas zgonu wam się przyda. Bo wy ciągle jesteście w grze, prawda?

– Prawda. Ewelina przedłużyła nam zlecenie. Dzięki, kochana. Odezwę się!

Gaja odłożyła komórkę.

– Dlaczego najlepsza informacja dnia? – spytała, przyglądając się uważnie Wojtkowi.

– Bo to znaczy, że mam alibi jak złoto. – Mężczyzna wyraźnie się odprężył. – Wróciłem od niej koło południa, trochę popisałem, a potem kumpel mnie wyciągnął na wieczór filmowy.

– Wieczór filmowy? – Klara zrobiła wielkie oczy. – Chyba kpisz?

– Jezu, czego ty się czepiasz, dziewczyno? – zirytował się. – Zajmuję się zawodowo pisaniem scenariuszy. Oglądam dużo filmów. Robimy sobie czasami ze znajomymi takie nasiadówki. Dwa, trzy tytuły, klasyka kina. Wczoraj wzięliśmy na warsztat Sidneya Lumeta i leciało po kolei: *Dwunastu gniewnych ludzi*, *Serpico* i *Pieskie popołudnie*. Byłem z piątką osób, nie wychodziłem dłużej niż na sikanie. Na ostatnim filmie zasnąłem. Przekiwnąłem na kanapie do rana, do domu wróciłem koło ósmej. Sorry, moje drogie. To nie ja. – Patrzył na nie triumfalnym wzrokiem. – Nie macie wrażenia, że tracicie czas?

Tak perfekcyjnego alibi rzeczywiście nie mogły się spodziewać. Gaja z ociąganiem podniosła się z miejsca.

– Potrzebujemy w takim razie namiarów na tego kolegę od filmów, w końcu ktoś to musi potwierdzić – powiedziała spokojnie. – Imię, nazwisko, numer telefonu. – Wzięła komórkę do ręki, żeby wpisać nowy kontakt, ale Wojtek tylko prychnął.

– Nie zamierzam wam niczego ułatwiać. Namiary mogą podać policji, o ile będą chcieli, rzecz jasna. A teraz żegnam. Robota czeka.

– Mam nadzieję, że ci przetrzepią tyłek! – Gaja zrozumiała, że nic tu więcej nie wskórają. – Klara, idziemy!

Kiedy stały już w drzwiach, Klarze coś się przypomniało.

– To jest twoje mieszkanie czy twojej dziewczyny? – spytała.

– A co to za różnica? – zdziwił się Wojtek.

– Taka, że jeżeli jej, to na twoim miejscu już bym się zaczęła pakować. Bo jak wyjdzie na jaw, co robiłeś u Banach, a wyjdzie, to lepiej, żebyś miał wszystko w walizkach. Pa! – Posłała mu buziaka i ztrasnęła drzwiami tak mocno, że aż się zatrzęsła futryna.

– Brawo! – Gaja uniosła kciuk.

– Lepiej stąd chodźmy, zanim obleje nas wrzątkiem.

– Albo gorącą smołą...

– Albo smołą.

Były dwa piętra niżej, kiedy Gaja nagle się zatrzymała.

– Już wiem, co mnie cały czas męczy – powiedziała. – Obejrzałyśmy tę chatę. Widziałas gdzieś wydruk książki? Bo ja nie...

– Ja też nie – przyznała Klara. – Za to widziałam to.

Zdjęła z ramienia skórzany plecak, z którym prawie nigdy się nie rozstawała, i wyciągnęła z jego czeluści książkę.

– *Jak człowiek staje się mordercą?* – Gaja przeczytała tytuł z niedowierzaniem. – Wzięłaś to stamtąd? Tak po prostu? – spytała wstrząśnięta.

– Uczę się od najlepszych. – Klara uśmiechnęła się bezczelnie.

Rzeczywiście, akurat Gaja nie miała prawa zwracać jej uwagi. Sama wyniosła kiedyś z domu ofiary list od mordercy i oddała go policji dopiero po tym, jak Matylda natarła jej uszu.

– Dobrze, już nic nie mówię – poddała się. – Ale po co ci to?

– Nie wiem – odpowiedziała szczerze Klara. – Taki impuls. Myślałam, że może tam będą jakieś podkreślone fragmenty, rozumiesz, taki szyfr, tajny przekaz, który wskaże sprawcę.

Kiedy Gaja wzięła od niej książkę i zaczęła przeglądać, spomiędzy kartek coś się wysunęło i opadło na schody. Klara nachyliła się i podniosła ze stopnia pocztówkę z kolorowym napisem „Pozdrowienia z Milanówka”.

– „Serdeczne pozdrowienia dla wielbicielki krokusów. Lech Głowacki” – przeczytała zdziwiona. – Adresowane do Banach... Ciekawe, kiedy to wysłał. I skąd. – Sprawdziła datę na stemplu. – Czwartny kwiecień, Milanówek.

– Krokusy! – przypomniało się Gai. – U niej cały trawnik był w krokusach! A to znaczy, że...

– Że musiał ją obserwować!

Na chwilę obie zamilkły.

– Dobra, chodźmy do samochodu – zdecydowała Gaja. – Coś czuję, że mi się komórki w mózgu pozwijają w supelki.

Ale to, że usiadły w land roverze, niewiele pomogło.

– Ta kartka świadczy o tym, że niedługo po wyjściu z więzienia pojechał do Milanówka, że kręcił się koło jej domu i chciał ją nastraszyć. Myślę, że spokojnie mógł się posunąć jeszcze dalej – zastanawiała się głośno Gaja.

– Tylko pamiętaj, że on nie wiedział, gdzie jest Banach – przypomniała jej Klara. – Nikt nie wiedział.

– Mógł przyjechać rano pod dom, zobaczyć, jak Banach z walizką wsiada do auta Eweliny, i z ciekawości za nimi pojechać.

– Otóż nie mógł, bo miał nogę w gipsie. Tego się nie da przeskoczyć.

– Wszystko się da przeskoczyć – oświadczyła sentencjonalnie Gaja, po czym wysiadła z samochodu, otworzyła bagażnik i po chwili wróciła do auta z aparatem.

Włączyła go i zaczęła przeglądać zdjęcia. Zrobiła ich zaledwie kilka, i tylko na jednym widać było całą sylwetkę mężczyzny. Gaja przyglądała mu się przez dłuższą chwilę.

– Lewin mówił, że założyli mu ten gips tydzień wcześniej, a popatrz, jaki jest uświniony. Jakby w nim chodził z rok.

Podsunęła ekranik Klarze.

– Fakt. Właściwie jest bardziej szary niż biały. Ale jeżeli on chodzi w tym gipsie dłużej, to raczej świadczy na jego korzyść, nie uważasz?

– Nie – pokręciła głową Gaja. – To znaczy, że coś kręci.

Włączyła silnik.

- Dokąd teraz? – zainteresowała się Klara. – Do Lewina, powiedzieć mu o pocztówce?
- Nie będę drugi raz robić z siebie idiotki – powiedziała Gaja, wyjeżdżając z parkingu. – Nic mu nie powiem, zanim się sama nie upewnię.
- Więc?
- Sprawdźmy, w jakiej formie jest pan Głowacki – oznajmiła z błyskiem w oku. – O ile rzecz jasna Matylda zgodzi się zawieźć moje dziecko na basen.

ROZDZIAŁ 41

Helenie wyraźnie się nie spieszyło. Szła ścieżką powoli, noga za nogą, lekko zgarbiona i oczywiście – w słuchawkach. Matylda aż się wzdrygnęła na myśl, że jej córki za kilka lat będą w podobnym stanie – stanie bycia na nie.

Z trudem się powstrzymała, żeby nie otworzyć okna i nie krzyknąć w stronę dziewczynki, że jeżeli będzie się poruszać w tym tempie, to się spóźnią na trening.

Chociaż na pierwszy rzut oka wydawać by się mogło, że Helena nie ma w sobie żadnej energii, zamknęła furtkę z taką siłą, że aż się zatrzęsło ogrodzenie. Matylda, matka dwóch córek, wyczulona na każdy przejaw focha jak rekin na krew, wzdrygnęła się.

– No cześć! – Odwróciła się do Heleny, która opadła na tylne siedzenie jak worek kartofli. – Wszystko wzięłaś?

– Tak – odpowiedziała dziewczynka niechętnym tonem.

– Super. To jedziemy!

Matylda przekreśliła kluczycz i toyota rażno wystartowała w kierunku autostrady.

– Moje panny казаły cię pozdrowić. Nawet chciały z nami jechać, ale Ala ma sporo lekcji na jutro, a przecież gdybym wzięła samą Ulę, toby była afera na pół miasta – nawijała, nie bardzo potrafiąc znieść ciszę.

Kiedy Gaja zadzwoniła z prośbą o zawiezenie Heleny na basen, Matylda zgodziła się natychmiast, chociaż dopiero wróciła z pracy, była zmęczona i chciała sobie na spokojnie przemyśleć całą tę przedziwną historię z Moniką Banach. Ale przyjaciółkom się nie odmawia.

Zresztą Matylda uwielbiała czuć się potrzebna. Na początku, kiedy Gaja wróciła do Milanówka i zamieszkała w domu po rodzicach, bardzo często korzystała z pomocy Matyldy, która dzięki temu czuła, że żyje. Potem Gaja okrzepla, przestała się tak miotać i poszła do pracy, a Matylda skupiła się na swojej własnej rodzinie i również zaczęła pracować. Ale od kilku tygodni, odkąd Artur się wprowadził, Gaja znowu potrzebowała wsparcia przyjaciółki. Wróciły stare, dobre czasy.

Helena dalej się nie odzywała, wyglądając przez okno z naburmuszoną miną. Nietrudno się było zorientować, że ma jakiś problem. A ponieważ muchy w nosie nastolatek mają najczęściej związek z ich rodzicami, Matylda pomyślała, że warto zgłębić temat.

– Twoja mama ma dzisiaj mnóstwo roboty – rzuciła od niechcenia, obserwując dziewczynkę we wstecznym lusterku. – Musiały pojechać z Klarą do Skierniewic. Bardzo dużo się dzieje w tej sprawie, którą prowadzą.

– Nigdy nie opuściłam treningu – mruknęła niechętnie Helena. – Odkąd zaczęłam pływać, nigdy nie opuściłam treningu – powtórzyła. – A teraz agencja jest ważniejsza.

Przynęta chwyciła. Tyle tylko że kiedy Matylda ją zarzucała, nie spodziewała się, że wyciągnie wieloryba. Bo temat, który nagle się pojawił, do prostych nie należał.

– No ale zobacz... – zaczęła ostrożnie. – Dzisiejszego treningu też nie opuścisz. Mama tak to zorganizowała, że ja cię zawożę. Kiedy do mnie zadzwoniła, powiedziała od razu, że jeżeli ja nie będę

mogła, to ona sobie te Skierniewice odpuści i po ciebie przyjedzie. Nie pozwoliłaby, żebyś z jej powodu nie była na zajęciach.

Helena oderwała wzrok od migającego za szybą pobocza.

– Może – powiedziała bez przekonania. – Ale czasami myślę, że woli być detektywem niż moją mamą.

Gdyby nie to, że jechały już autostradą, Matylda zjechałaby na pobocze i zatrzymała auto. Ale ponieważ nie mogła tego zrobić, zwolniła tylko, rozmyślając gorączkowo, co odpowiedzieć na tak bolesne oskarżenie.

Miała na końcu języka słowa: Jak możesz! To niesprawiedliwe! Mama cię kocha! Jesteś dla niej najważniejsza!, jednak instynkt jej podpowiedział, że w ten sposób może tylko pogorszyć sytuację.

– Czujesz, że mama cię zaniedbuje? – zapytała zamiast tego.

I choć wydawało jej się, że ten tekst brzmi zupełnie jak z jakiegoś oklepanego podręcznika wychowywania dzieci, okazało się, że jednak zadziałała, bo dziewczynka wyrzuciła z siebie to, co ją, jak się okazało, gryzło najbardziej.

– Ja już nie chcę zdawać do Czackiego – wyznała. – Chcę iść do naszego liceum. A ona mi nie pozwala.

„Boże, co za ulga”, pomyślała Matylda. „A więc to tylko to. I aż to...”

Minęły znak zjazdu na Pruszków. Matylda wrzuciła kierunkowskaz i skręciła w prawo.

– Kiedy jej powiedziałaś? – To było absolutnie neutralne pytanie.

– Przedwczoraj. Od tamtej pory nie rozmawiamy.

– Czyli to świeża sprawa. – Matylda mówiła powoli, zastanawiając się nad każdym kolejnym słowem. – Musiała być zdziwiona, że podjęłaś taką decyzję. Daj jej się z tym oswoić. Była pewna, zresztą ja też, że Czacki to twoje marzenie...

– Zmieniłam zdanie – powiedziała zaczepnym tonem Helena. – Chyba mi wolno?

– Oczywiście – przytaknęła Matylda. – Ale pamiętaj, ty się nad tą zmianą zastanawiałaś jakiś czas, prawda? Oswajałaś temat. A twoja mama tego czasu nie miała. Jej bardzo zależy, żebyś trafiła do jak najlepszej szkoły. Myślę, że dlatego ci zabroniła...

Czuła, że zaczyna wchodzić w rolę rodzica i że Helenie może się to nie spodobać. Nie pomyliła się.

– Ona mi nie może niczego zabronić – rzuciła hardo dziewczynka. – Nie jest moją matką.

Matylda poczuła, jakby ktoś z całej siły kopnął ją w brzuch. Bo choć i Helena, i Gaja zawsze otwarcie poruszały temat adopcji, takiego postawienia sprawy się nie spodziewała.

– Po pierwsze Gaja JEST twoją matką. Nie urodziła cię, ale cię wybrała, a to najważniejsze. I kocha cię nad życie. A po drugie namawiałabym cię, żebyś jeszcze raz przemyślała sprawę. – Miała wrażenie, że zaraz się popłacze. – To jest bardzo poważna decyzja i nie powinno się jej podejmować pochopnie.

Przez chwilę jechały w milczeniu, w końcu Matylda nie wytrzymała.

– A dlaczego zmieniłaś zdanie? Dlaczego chcesz iść do gorszej szkoły, zamiast do lepszej, która da ci więcej możliwości i po prostu jest fajna?

Widziała we wstecznym lusterku, że Helena patrzy na nią z mieszaniną niechęci i politowania.

– Zupełnie jakbym słyszała mamę – powiedziała dziewczynka.

– A jej powiedziałaś dlaczego?

– Nie musiałam. Sama uznała, że wie – prychnęła Helena. – Ona uważa, że dlatego, że... – zawahała się – ... że chcę chodzić do tej samej szkoły co Szymon. Ale to nieprawda!

Helena zamilkła gwałtownie i znowu odwróciła twarz do okna.

Matylda zadrżała. To wszystko wydawało się zbyt skomplikowane jak na dwudziestominutową jazdę z córką przyjaciółki na basen.

– Więc co jest prawdą? – zapytała.

Bała się, że nie usłyszy odpowiedzi. Ale po dłuższej chwili Helena odezwała się cicho:

– Nie chcę jej zostawiać samej.

Matylda poczuła, że ściska ją w gardle.

– Nie chcesz zostawiać mamy samej?

– Gdybym jeździła do szkoły do Warszawy, to prawie by mnie nie było w domu. Wychodziłabym rano, a wracała wieczorem. Teraz, jak ojciec się wyprowadził... Byłoby jej smutno. Tak myślę. Ale ona uważa, że chodzi o Szymka i już.

Matylda musiała z całej siły zaciskać dłonie na kierownicy, żeby się nie popłakać.

Zatrzymała się na światłach, a potem skręciła w lewo. Zza bloków wyłoniła się najpierw błękitna serpentyna basenowej zjeżdżalni, a po chwili – reszta budynku.

– Jesteśmy – powiedziała zachrypniętym ze wzruszenia głosem.

Zatrzymała samochód przed wejściem.

– Po treningu odbierze cię mama. Myślę, że musicie porozmawiać. Jeżeli chcesz, mogę...

– Nic jej nie mów, ciociu – zareagowała stanowczo Helena. – Dzięki za podwózkę.

Kiedy wysiadła z samochodu i zatrasnęła za sobą drzwiczki, Matylda położyła dłoń na mostku i kilka razy odetchnęła głęboko. „Jakie to wszystko trudne”, pomyślała. „I piękne”.

ROZDZIAŁ 42

Gaja już drugi raz objeżdżała rynek, próbując znaleźć miejsce do parkowania. Nie chciała zostawiać samochodu blisko domu Głowackiego. Wiedziała z doświadczenia, że każdy mężczyzna, który choć raz zobaczy jej land rovera, zapamiętuje go na długo. Lepiej było nie ryzykować.

– Co ci ludzie tu robią o tej porze? – irytowała się. – Chyba nie siedzą wszyscy u fryzjera ani w spożywczym, a tu nic innego nie ma.

W jednym z aut na parkingu przed kościołem zapaliły się światła cofania. Gaja odczekała, aż samochód odjedzie, i z pewnym trudem wcisnęła swoje wielkie auto na zwolnione miejsce.

– Idziemy! – powiedziała do Klary. – Idziemy! – powtórzyła do siedzącego między jej nogami Bruna.

Wyjeżdżając z Warszawy, wstąpiły do biura agentki Banach i odebrały szczeniaka od wymęczonej nim sekretarki. A skoro już go miały w samochodzie, Gaja postanowiła z tego skorzystać.

Szczeniak, wypuszczony na trawę, natychmiast przykucnął i sobie siknął. Gaja przypięła mu smycz i lekko pociągnęła. Pies ruszył za nią, ale kilka metrów dalej zainteresowała go latarnia. Zatrzymał się tak gwałtownie, że obroża zsunęła mu się z szyi. Nie przejął się tym kompletnie, tylko zaczął obwąchiwać słupek, a Gaja zdała sobie sprawę, że pies, oprócz karmy i szczepień, wymaga również wychowania.

Z rynku do domu Głowackiego miały pięć minut szybkim krokiem, a z psem na smyczy – kwadrans. Bruno zatrzymywał się co chwila, wachał, poszczekiwał i wyglądał na najszcześniejszego psa świata.

Na rogu ulicy, przy której mieszkał Głowacki, Gaja przekazała Klarze smycz.

– Wiesz, co masz robić – powiedziała.

Znaleźli ją. Kurwa, znaleźli.

Dowiedział się o tym koło południa, przynajmniej taki zysk z leniwej matki, która cały dzień spędza przed włączonym telewizorem, i od tamtej pory śledził wszystkie kanały informacyjne, nawet kilka razy włączył radio. Ale nie mówili za wiele. Właściwie cały czas powtarzali te same informacje: że zmarła przed północą, że jest prawdopodobieństwo, że odebrała sobie życie, ale konkretnie o przyczynie zgonu policja wypowie się dopiero po sekcji.

Więc czekał.

Nerwy, nerwy. Trochę go nosiło, całe szczęście, że miał w domu parę piw. Jak je kupował, to myślał, że mu wystarczą na dwa, trzy dni, ale kiedy usłyszał informację o Banach, od razu wepchnął wszystkie do lodówki. A i tak nie był pewien, czy mu przed wieczorem nie zabraknie.

Właśnie siedł po kolejną butelkę, kiedy na podwórku rozszczekał się pies. Głowacki go nie znosił. Gnojek, chowany przez matkę od szczeniaka, wiedział, że należy do niej i tylko do niej. Lecha nie znał i gdyby nie łańcuch, już kilka razy by go pogryzł. Ale funkcję ostrzegawczą spełniał dobrze.

Ten rodzaj szczekania oznaczał, że ktoś się kręci blisko ich posesji. Głowacki wyjrzał przez kuchenne okno. Pod furtką stała jakaś kobieta i wyglądało na to, że usiłuje się dostać do środka.

Mężczyzna tak szybko, jak tylko potrafił po trzech piwach, wrócił do pokoju i szarpnął za ramię drzemiącą na wersalce matkę. Kobieta ani drgnęła. Spróbował ją obudzić jeszcze raz, ale tylko coś zamamrotała przez sen i machnęła na oślep ręką, jakby chciała odgonić napastliwą muchę. Wściekły, ruszył do drzwi.

Otworzył je tak gwałtownie, że kobieta przy furtce aż podskoczyła.

– Och, przestraszył mnie pan! – krzyknęła. – Dzień dobry! Mogę wejść?

Przyglądał się jej, naprawdę zaskoczony. Nie wyglądała na idiotkę, a jednak tak się zachowywała.

– Tu nie wolno – odpowiedział. – Teren prywatny. Nie widzi pani?

– Widzę, oczywiście! – Była wyraźnie przejęta. – Ale wie pan, uciekł mi pies, piesek właściwie, szczeniak, głupiutki strasznie, i wydaje mi się, że się jakoś przedostał na pana działkę.

– Jak wszedł, to i wyjdzie – warknął Głowacki. – Niech się pani stąd zabiera.

– Nie mogę go tak zostawić! – W jej głosie zabrzmiały rozpaczliwe nuty. – A jak pana pies go pogryzie?

Miał jej szczerze dość. Dla świętego spokoju rozejrzał się po podwórku, ale nawet gdyby biegało tam stado szczeniąt i tak by ich nie zauważył wśród porzecznych maszyn rolniczych i wraków aut zawalających większą część terenu.

– Nie ma go – warknął. – Proszę iść.

Z każdą minutą nabierał większej pewności, że baba coś kręci. Dlatego kiedy na ulicy pojawił się szczeniak i piszcząc, puścił się biegiem w jej kierunku, poczuł ulgę. Czyli naprawdę szukała psa...

Patrzył, jak schyla się do zwierzęcia i bierze je na ręce.

– Już jest! Znalazł się! – krzyknęła w kierunku mężczyzny. – Przepraszam, że zawracałam głowę!

Z olbrzymią ulgą zamknął drzwi i natychmiast wrócił do niego główny problem tego dnia, dużo poważniejszy niż wariatka szukająca szczeniaka. Wszedł do kuchni, wyjął z lodówki kolejne piwo, a otwierając je, mimochodem wyrzwał przez okno.

Kobieta ze szczeniakiem pod pachą odeszła kawałek od bramy, jednak zwierzak tak strasznie się wyrwał, że postawiła go na ziemi. Dziwnie znajomo wyglądał ten pies...

I nagle sobie przypomniał ten sam gest, tego samego psa, ale inną kobietę. Tę, której śmierć mogła mieć dla niego brutalne konsekwencje.

„To przecież niemożliwe”, próbował sobie wmawiać, nie mogąc oderwać oczu od zwierzęcia. Patrzył, jak biegnie chodnikiem, w kierunku... zaraz, moment...

Głowacki przycisnął policzek do szyby, żeby widzieć pod większym kątem. Na końcu ulicy stała kobieta o tak charakterystycznym wyglądzie, że rozpoznałby ją zawsze i wszędzie. Długie, rude, kręcone włosy i figura modelki. Kiedy ją widział ostatnim razem, stała przy płocie i obserwowała go przez lornetkę. I, co dużo gorsze, rozmawiała z tym gliniarzem, który przyjechał go sprawdzić.

– O kurwa... – zaklął, zaciskając palce na szyjce butelki.

Takie zbiegi okoliczności nie istnieją.

Wypadł z kuchni, wsunął buty na gołe nogi, narzucił kurtkę i wybiegł z domu.

Jeżeli chciał je dogonić, musiał się spieszyć.

Droga do Milanówka zajęła im czterdzieści minut. Prawie się nie odzywały, ogłuszone tym, co odkryły.

Gaja zaparkowała pod komisariatem i odwróciła się do Klary.

– Ty zostajesz.

– Jak to?

– Przecież nie wezmę ze sobą psa. A sam w aucie zostać nie może.

Wysiadła z samochodu i już chciała ruszyć w stronę wejścia, kiedy otworzyły się drzwiczki po stronie pasażera i Klara z Brunem pod pachą zeskoczyła na ziemię.

– Masz rację, nie można go zostawiać samego – oznajmiła.

– Klara...

– Nie przegapię tego przedstawienia. Idziemy?

Tuż za drzwiami komisariatu zatrzymał je dyżurny.

– Panie w jakiej sprawie? – zapytał, przyglądając się im podejrzliwie.

Na szczęście w tym samym momencie pojawiła się przy nich Zdzisława.

– Do mnie przyszy! – huknęła.

A ponieważ dyżurny wiedział, że ze Zdzisławą się nie zadziera, przepuścił je.

Ciotka poprowadziła je w głąb budynku. Przed drzwiami pokoju Lewina zatrzymała się.

– Jest u niego Krzysiek Kot, ale nim się nie musicie przejmować. I dajcie mi tego psa – zlitowała się – po co niepotrzebnie podgrzewać atmosferę...

Gaja zapukała i nie czekając na odpowiedź, zajrzała do środka. Lewin stał za biurkiem, oparty rękami o blat, i rozmawiał z podwładnym. Zanim zdążył w jakikolwiek sposób zareagować, Gaja i Klara znalazły się w gabinecie. Na twarzy Lewina pojawiło się zdziwienie, które prawie natychmiast zastąpiła wściekłość. Otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale Gaja nie dała mu dojść do słowa.

– On nie ma żadnego gipsu! Głowacki nie ma gipsu! Chodzi normalnie, ma zdrową nogę! – wyrzuciła z siebie.

Myślała, że go zaskoczy, ale komisarz na tę sensacyjną informację zareagował zaskakująco obojętnie.

– Po pierwsze nie wchodzi się bez pukania...

– Pukałyśmy!

– A po drugie wiem. Sprawdziliśmy go. W szpitalu w Skierniewicach nikt o Głowackim nie słyszał. Właśnie planujemy dalsze działania, więc byłbym wdzięczny... – I nagle coś go tknęło. – A wy skąd wiecie?

– Widziałyśmy. Na własne oczy! – odpowiedziała Klara z dumą w głosie.

– Byłyście tam? – Lewin zbladł. – Byłyście u niego?

– Oczywiście – fuknęła Gaja. – A jak inaczej?

Lewin opadł ciężko na fotel.

– Nie wierzę – jęknął. – Krzysiek, trzymaj mnie... – Szok ustąpił, pojawiła się furia. A furia ze słowami się nie liczy. – Kompletnie wam odwaliło?!

– Przepraszam, ale o co panu chodzi? – spytała Gaja zaczepnym tonem. – Miałymy swoje powody.

– No jestem ciekaw – warknęła Lewin.

– A proszę! – Gaja z hardą miną rzuciła na biurko pocztówkę znaną z książki. – Głowacki to wysłał do Banach, jak tylko wyszedł z więzienia!

Komisarz przez chwilę przyglądał się kartce, w końcu wziął do ręki długopis i ostrożnie przysunął nim pocztówkę do siebie.

– „Serdeczne pozdrowienia dla wielbicielki krokusów” – przeczytał.

– To znaczy, że był pod jej domem w Milanówku – wyjaśniła Gaja łaskawie. – I że ją obserwował. A potem, jak pojechała ze swoją agentką do letniego domku, prawdopodobnie ruszył za nimi.

– Stop! – Lewin podniósł gwałtownie rękę, przerywając jej. – Jak to „z agentką”? Do jakiego „letniego domku”?

W tym momencie Gaja sobie uświadomiła, że śmiercią pisarki tak naprawdę zajmuje się zupełnie inna ekipa. Ta, która rozpoczęła czynności śledcze nad Zalewem. I to, że Ewelina opowiedziała policji całą historię rzekomego porwania, wcale nie znaczy, że te informacje dotarły do Lewina.

Ciekawe, czy dałoby się to jakoś wykorzystać?

– No cóż – rzuciła nonszalancko. – Odkryliśmy, że Banach sama zorganizowała swoje zniknięcie.

A potem uśmiechnęła się miło i dodała.

– Mogłabym to panu wszystko opowiedzieć po drodze do Skierniewic...

Lewin wybuchnął śmiechem. Takim szczerym, prawdziwym, z głębi brzucha. A kiedy się uspokoił, powiedział:

– Po moim trupie.

ROZDZIAŁ 43

Gaja głaskała palcem pasiaste pióro puszczyka, tkwiące w szparze deski rozdzielczej. Znalazła je kilka miesięcy temu w Kampinosie. Biało-brązowe, w regularne poprzeczne pasy, wyglądało, jakby należało do zebry, o ile oczywiście zebry byłyby opierzone.

Już od dawna nie była w terenie na ptakach i bardzo jej tego brakowało. A jednocześnie wiedziała, że to jeszcze nie czas. Że jest za bardzo w środku rozbita, pełna wątpliwości i niepokojów, żeby wytrzymać kilka godzin w samotności i skupieniu.

Nawet teraz, siedząc w samochodzie na basenowym parkingu, nie mogła sobie poradzić z natłokiem myśli, a to, że większość z nich dotyczyła pracy, było tylko częściowym pocieszeniem.

Głowacki. Czowała, że coś z tym gipsem jest nie tak, i miała rację. Pojechały, sprawdziły dyskretnie, a komendant zamiast im podziękować, zrobił z tego aferę. Miała już trochę tego dosyć. Który to już raz się spięli? Lepiej nie liczyć.

Najgorsze, że prowadząc agencję na jego terenie, była w jakimś sensie na niego skazana. Gdyby miała teraz pomyśleć jedno życzenie, poprosiłaby o to, żeby jej kolejne sprawy nie wymagały kontaktów z Lewinem. Ten człowiek drażnił ją jak nikt inny. Nie znosiła być traktowana z wyższością, a on miał do niej taki właśnie stosunek – protekcyjny.

Mimo to w kwestii Głowackiego musiała go dopingować, nie miała innego wyjścia.

Szklane drzwi rozsunęły się i z budynku pływalni wyszła Helena. Gaja natychmiast się zorientowała, że dziewczynka ma jeszcze mokre włosy, i poczuła złość.

To była jedna z niewielu rzeczy, których Gaja bezwzględnie wymagała od córki: żeby nie wychodziła z basenu z mokrą głową. Nigdy. Dlatego teraz tak ostentacyjne naruszenie tej zasady błyskawicznie wyprowadziło ją z równowagi.

Kiedy dziewczynka otworzyła drzwi auta, Gaja, choć jeszcze kilka minut wcześniej planowała pojednanie, zwróciła się do niej ostro:

– Masz mokre włosy!

– Jest ciepło! – odpowiedziała Helena hardo.

I w tym momencie zobaczyła psa.

Gaja obserwowała w tylnym lusterku, jak córka chwyta Bruna w objęcia i z całej siły przytula.

– Czy on może być nasz? – spytała wzruszona. – Mamo, proszę...

Nie wiedziała, co ją podkusiło. To było takie prymitywne, tak żenujące zagranie, że w każdej innej sytuacji po prostu by się go wstydziła. Ale teraz czuła tak wielkie zmęczenie przedłużającym się konfliktem z córką, a jednocześnie tak bardzo chciała wrócić do tego błogiego, bezpiecznego stanu, kiedy wybór liceum nie był problemem, że palnęła bez zastanowienia:

– Pod warunkiem że złożysz papiery do Czackiego.

Wzrok Heleny, który napotkała we wstecznym lusterku, o mało go nie przepalił.

– Żartowałam! – zareagowała natychmiast, ale było za późno.

Helena wtuliła twarz w sierść Bruna i zaczęła mu coś szeptać do ucha.

Do Gai przez całą drogę nie odezwała się ani słowem.

Matylda wróciła z Pruszkowa wykończona. Przede wszystkim rozmową z Heleną. A że na to nałożył się jeszcze stres całego dnia spędzonego z Beldowskim i napięcie związane ze sprawą Banach, weszła do domu i padła. W bardzo dosłownym sensie – wzięła laptop i poszła na kanapę przed telewizor.

Najpierw sprawdziła, czy są jakieś newsy na TVN24, a potem zaczęła przeczesywać internet, jednocześnie cały czas zerkając w stronę komórki. Podczas krótkiej rozmowy z Gają przyjaciółka poprosiła ją o zawieszenie Heleny na basen i obiecała, że zadzwoni później i opowie o wszystkim, co się tego dnia wydarzyło.

Matylda nie mogła się już doczekać. Najbardziej była ciekawa, co wyjdzie w sprawie Głowackiego. Gdyby okazało się, że to on zamordował Banach, agencja odnotowałaby na swoim koncie kolejny sukces. I to dzięki niej, dzięki Matyldzie.

To przecież w wywiadzie, który przeprowadziła, pojawił się motyw „zła z przeszłości”. I to Matylda dogrzebała się do informacji o pierwszej książce Banach, a potem na podstawie reportażu namierzyła Głowackiego. Tak, miała olbrzymie zasługi, dlatego tym bardziej jej zależało, żeby to on okazał się sprawcą.

Ale Gaja milczała, więc Matylda, żeby zająć czymś głowę, weszła na Facebooka. Scrollowanie social mediów było najgłupszą, a jednocześnie najbardziej pochłaniającą czynnością, jaką знаła. No może oprócz łuskania słonecznika.

Na swoim wallu nie znalazła nic interesującego, przeskoczyła więc na stronę autorską Moniki Banach. Przez kilka ostatnich dni zaglądała tutaj w poszukiwaniu informacji i za każdym razem, kiedy ją otwierała, liczyła, że zobaczy post w stylu: Kochani, to ja, wróciłam, wszystko w porządku, dziękuję, że tak się o mnie martwiliście, wszystko wyjaśnię w następnym wpisie.

Ale dzisiaj już wiedziała, że nic takiego się nie pojawi, i przeglądała stronę bardziej z sentymentu niż z potrzeby uzyskania informacji.

Strona autorki była prowadzona starannie i przejrzyście, prawdopodobnie przez kogoś z wydawnictwa, bo wpisy pojawiały się z regularnością, na którą żaden pisarz pozwolić sobie nie mógł. Zresztą podczas wywiadu Banach wspomniała, że nie ma cierpliwości do mediów społecznościowych, gdzie cały czas trzeba być obecnym i aktywnym, a dla niej jest to nie do przeskoczenia, gdy pisze. Za bardzo ją to rozprasza i zabiera za dużo czasu (tej wypowiedzi Matylda oczywiście nie dała do druku).

Przewijając posty, dotarła do fotorelacji ze spotkania w bibliotece w Milanówku. Zdjęcia robione przez innego fotografa niż te wyeksponowane w gablocie mniej się skupiały na publiczności, bardziej – na autorce. Matylda oglądała je ze ściśniętym sercem, ciągle nie mogąc zrozumieć, jak mogło dojść do tej tragedii. Na fotografiach widziała uśmiechniętą, odprężoną kobietę, tak jak w opisie postu „czerpiącą energię od swoich czytelników”. To takie dziwne, kiedy umiera ktoś, kto wydaje się wspólną własnością tyłu osób.

Na jednym ze zdjęć widać było kolejkę po autografy, ciągnącą się przez całą długość sali. „Ci wszyscy ludzie czują dzisiaj smutek, ci wszyscy ludzie kogoś dzisiaj stracili”, pomyślała Matylda, błędząc wzrokiem po obecnych na zdjęciu osobach. Wśród wielu sąsiadów i znajomych wyłowiała też postać eleganckiego mężczyzny w muszce, którego widziała wcześniej na zdjęciach w bibliotece.

Mniej więcej w tym samym czasie, co spotkanie w Milanówku, odbyły się jeszcze trzy inne: w Olsztynie, Starachowicach i w Warszawie. Na zdjęciach z tego ostatniego Matylda ze zdziwieniem

również odkryła tego samego mężczyznę, znowu eleganckiego, znowu pod muszką. Siedział na widowni w pierwszym rzędzie, wpatrzony w Banach, znalazł się też na wspólnym zdjęciu zrobionym po spotkaniu – stał tuż za pisarką, w bardzo poufalej pozie, trzymając rękę na jej ramieniu. „Wspaniale mieć takich wiernych fanów”, pomyślała, i w tym momencie rozległ się sygnał komórki. Chwyliła ją szybko, pewna, że to Gaja, ale nie. To była ciotka Zdzisława.

– Kochana, dzwoniłam do Gai, ale ma zajęte, więc pomyślałam, że dam znać tobie. Wy i tak się co chwila ze sobą widzicie. Powiedz jej, że im uciekł!

– Ciociu, moment! – przerwała jej Matylda. – Kto uciekł? I komu?

– No jak to kto? – Teraz to Zdzisława była zaskoczona. – Głowacki! Nasz komendant razem z ludźmi z powiatowej pojechali po niego, a on przepadł. Szukaj wiatru w polu.

– I to jest bardzo dobra informacja – ucieszyła się Matylda.

– Że uciekł? – zdziwiła się ciotka.

– Tak! Bo to znaczy, że ma nieczyste sumienie! Czyli to on jest mordercą!

Podniosła się z kanapy i podeszła do okna, żeby sprawdzić, czy Gaja już wróciła.

– Lewin uważa tak samo – przyznała Zdzisława. – Ale znowu cięty na Gaję, że strach – westchnęła.

– Zaraz, moment. Przecież to ona mu powiedziała o Głowackim? – obruszyła się Matylda. – Chyba powinien jej być wdzięczny?

– Najpierw powiedziała, a potem spłoszyła. Czy odwrotnie, nieważne. Jak komendant usłyszał, że one tam pojechały do niego, to dostał piany.

– Ich trzeba izolować – westchnęła Matylda. – Bo to się kiedyś źle skończy.

ROZDZIAŁ 44

Zawsze wchodząc na posesję Nikodema, czy raczej jego matki, Klara czuła się odrobinę niezręcznie. Jej wszystkie wcześniejsze, przelotne związki, rządziły się zupełnie innymi prawami. Ich dynamika nie wymagała od niej osvajania obcej przestrzeni, co najwyżej pilnowania, żeby jej własna nie została za bardzo oswojona przez aktualnego partnera.

Teraz jednak wszystko wyglądało inaczej. Zaskakujące było już samo to, że po intensywnym, pełnym emocji dniu zamiast do swojej kawalerki, wchodziła do mieszkania mężczyzny, z którym była w związku ponad miesiąc. A jeżeli dodać do tego fakt, że za ścianą, pod tym samym dachem rezydowała jego matka, poziom szoku zbliżał się niebezpiecznie do czerwonej linii, powyżej której była już tylko ucieczka.

W oknie pokoju, który Nikodem nazywał swoim gabinetem, choć był tylko niewielką klitką z biurkiem i dwoma regałami, świeciła się lampa i coś podkuśiło Klarę, żeby zapukać w parapet. Przez chwilę czekała, uśmiechnięta, aż do niej wyjrzy. I tak się stało – rozsunał zasłony i zbliżył twarz do okna. Zanim się zorientowała, że nie patrzy na nią z radością, tylko z wściekłością, wesoło mu pomachała. Spiorunował ją wzrokiem i zniknął. Zaskoczona, weszła do domu.

Czekał na nią w kuchni, rozeźlony. A rozeźlonych mężczyzn Klara unikała jak ognia.

– Hej, o co chodzi? – spytała dla porządku.

– Ostatni raz, jak ktoś zapukał w parapet, dostałem w twarz kotem – przypomniał jej z pretensją w głosie, pocierając odruchowo policzek, na którym do niedawna miał ślad po kocich pazurach. – Mogłabyś sobie darować takie żarty.

No tak, faktycznie. Tamta sytuacja nie była przyjemna, zwłaszcza że podrapane policzki miały być dowodem na to, że zamordował swoją uczennicę. Ale czy to powód, żeby robić Klarze wyrzuty? To ją tylko upewniło, że podjęła słuszną decyzję.

– Jadę do siebie – powiedziała, uśmiechając się miło.

Nie zamierzała się kłócić, nie zamierzała konfrontować, nie zamierzała tracić na niego energii.

– No właśnie, cała ty. Nie wolno ci zwrócić uwagi, od razu się obrażasz – podsumował gorzko Nikodem.

– Ja się nie obrażam – wyjaśniła mu. – Muszę nakarmić kota. Pa!

Wzięła z komody w sionce kask i wyszła.

Kiedy chwilę później wyprowadziła motocykl na ulicę i wróciła, żeby zamknąć bramę, poczuła, że w kieszeni na ramieniu wibruje jej telefon. Nie miała żadnych wątpliwości, że dzwoni skruszony Nikodem. Kusilo ją, żeby go zignorować, ale z drugiej strony... Trochę była ciekawa, jak ją będzie przeproszał. No i dostanie punkty za to, że zdecydował się tak szybko, a nie czekał, jak ostatnio, pół dnia. Układając w głowie jakiś dowcipny, a jednocześnie dosadny komunikat, wyłowila komórkę z kieszeni i ze zdziwieniem odnotowała, że wcale nie dzwoni Nikodem, tylko – jej matka. „Co się stało?“, pomyślała, zaskoczona.

Ostatnio była u rodziców jakiś miesiąc temu i wytrzymała dwie godziny, co biorąc pod uwagę, że sama podróż do Torunia (w jedną stronę) zajęła jej tyle samo czasu, nie było jakimś wielkim wyczynem.

Klara ciągle nie mogła sobie poradzić z faktem, że wyjazd z rodzinnego domu na studia nie był jednoznaczny z definitywnym zerwaniem więzi. Każda rozmowa, każda wizyta tak dużo ją kosztowała, że unikała ich jak tyłko mogła. Ale nie zawsze się dało.

Odebrała ze sztucznym uśmiechem, choć przecież matka i tak jej w tym momencie nie mogła zobaczyć.

– No cześć, mamo! – Starła się, bardzo się starała brzmieć jak stęskniona córeczka.

– Kochanie, dzwonię do ciebie od rana, co się dzieje? – Matka była naprawdę zatroskana.

– Nic, po prostu pracuję – wyjaśniła, rozpaczliwie próbując sobie przypomnieć, o jakiej pracy wspominała matce ostatnio. – Coś się stało?

– Nic wielkiego. Ale jesteśmy z ojcem w Warszawie...

Klara przełknęła nerwowo ślinę.

– Jesteście w Warszawie? – powtórzyła, pełna najgorszych przeczuć.

– Ojciec ma jutro z samego rana badania w Instytucie Kardiologii, więc zdecydowaliśmy, że przenocujemy – mówiła matka, a Klara w coraz większym napięciu czekała na pointę. – I tak sobie pomyślałam, że może byśmy do ciebie wpadli?

Klara poczuła, że robi jej się słabo.

– Mamo, tylko że mnie nie ma! – próbowała się bronić.

– No ale przecież kiedyś będziesz. Wzięliśmy sobie hotel niedaleko ciebie, to na chwilę wieczorkiem podskoczmy. Bardzo byśmy chcieli go poznać – dokończyła tajemniczo.

Z fazy omdlenia Klara w okamgnieniu przeszła w fazę dygotu.

– Kogo? – jęknęła. – Kogo poznać?

– Kotek, nie żartuj sobie ze starej matki. Damiana przecież! Tyle o nim ostatnio opowiadałaś...

Klara uderzyła się otwartą dłonią w czoło z taką siłą, że zabolą ją i dłoń, i czoło. No tak, kiedy ostatni raz była u rodziców, spotykała się z Damianem. I to o nim opowiadała im niestworzone rzeczy.

– Och, oczywiście! – zreflektowała się. – Ale on jest ostatnio strasznie zajęty. Wątpię, czy da rade zajrzeć.

To było bardzo ryzykowne zagranie, bo nie pamiętała, czy powiedziała matce, że mieszkają razem, czy nie. Choć znając ortodoksyjne podejście rodziców, czy raczej ojca, do spraw obyczajowych, o wspólnym mieszkaniu raczej by nie wspomniała.

– Powiedz mu, że bardzo, bardzo nam zależy. – W głosie matki pojawiły się błagalne tony. – Wiesz, ojciec ma z tym sercem poważne kłopoty. Nie mówiłam ci wcześniej, bo cię nie chciałam niepokoić, ale, no cóż, powinien unikać wszelkich wstrząsów. I wzruszeń. Gdyby się dowiedział, że twój narzeczony...

– Myśmy się jeszcze nie zaręczyli – sprostowała Klara.

– Nieważne, i tak ojciec bardzo chce go poznać. Do tej pory nie przedstawiłaś nam żadnego swojego chłopaka. Myślę, że przed śmiercią chciałby wiedzieć, że jesteś w dobrych rękach.

Klara miała ochotę krzyknąć.

– Dobrze – zgodziła się, doskonale wiedząc, że będzie tego żałować. – Tylko muszę mieć chwilę, żeby coś przygotować.

– Kochanie, nie fatyguj się! – ożywiła się matka. – Ja ugotowałam wszystko w domu i przywiozłam, trzeba będzie tylko odgrzać.

To brzmiało jak kiepska komedia.

– W takim razie dwudziesta pierwsza – powiedziała, wściekła na siebie za to, że nie udało jej się odmówić.

– Cudownie, już się nie mogę doczekać!

– Damian, cześć. Potrzebuję cię.

– Szok. Jestem pod wrażeniem. Miło cię słyszeć, Klara. – Ton jego głosu wcale nie korespondował z ostatnim zdaniem.

– Możesz być u mnie za godzinę?

– Jeżeli masz na myśli usługę seksualną, to jakiś inny numer wykręć.

– To nie ma nic wspólnego z seksem – uświadomiła mu. – Awaria rodzinna. Mój ojciec ma kłopoty z sercem i przed śmiercią zażyczył sobie poznać narzeczonego córki. Jeżeli nie przyjdiesz, to dostanie zawału, a ty będziesz musiał żyć z poczuciem winy – wyjaśniła.

– A odkąd to ja jestem twoim narzeczonym? – zapytał z przekąsem.

– Uproszczenie. Na razie jesteś tylko chłopakiem.

Przez chwilę się zastanawiał.

– Dobrze. Będę. Ale tylko dlatego, że mam bardzo wrażliwą naturę i wyrzuty sumienia by mnie zabiły.

Klara odetchnęła z ulgą.

– Super. Ubierz się przyzwoicie. Do zo.

Szanse, że się jakoś przez tę historię bezboleśnie prześlizgnie, znacząco wzrosły.

Damian patrzył z niedowierzaniem na telefon. Zadzwońska do niego! Tak po prostu! Prawdę mówiąc, już dawno stracił nadzieję, że coś się tutaj wydarzy, a jednak... Nie żeby bardzo czekał. Przez te niecałe dwa tygodnie, kiedy byli ze sobą, poznał ją bardzo dobrze. Typ nieangażujący się. Przerabiał to już kiedyś, wiedział, że takich dziewczyn lepiej unikać, a jednak się zakochał. I nawet kiedy go rzuciła, nie potrafił o niej myśleć inaczej jak z czułością. Bo wiedział, że to w jakimś sensie nie jest jej wina. Wiedział też, że nic nie zdziała na siłę. Może dziewczyna dojrzeje kiedyś do związku, może nie. Czekanie na ten moment byłoby jakimś idiotycznym aktem masochizmu. A jednak teraz, kiedy się odezwała, ucieszył się. Oczywiście, był jej potrzebny. Oczywiście, wykorzysta go i rzuci, klasyka. Ale to może być bardzo miłe spędzić z nią wieczór. Nie napinać się. Zobaczyć, jak to się dalej potoczy. A może spróbować przejąć inicjatywę?

Wybrał numer Aldony, swojej siostry. Odezwała się po trzech sygnałach.

– Cześć, mała – powiedział. – Jesteś w domu? Bo chciałbym coś od ciebie pożyczyć...

ROZDZIAŁ 45

– Cześć, stary. Obce numery odbierasz? Ryzykant.

– Kurwa, Lechu! Nie myślałem, że dożyję! Kiedy cię puścili?

– Będzie z miesiąc.

– To co, wbijasz do nas na rejon?

– Jak się tylko ogarnę. Na razie sprawę mam. Czaisz może taką brykę, wyjebana w kosmos, land rover czerwony, wielki jak czołg. Jeszcze ma takie reflektory na dachu, że możesz małe miasto oświetlić. Chyba od ciebie z terenu jest, bo właścicielka się koleguje z waszymi psami.

– Czy ja czaję? Nie obrażasz mnie czasem? Bez mojej wiedzy mucha się w Milanówku nie wysra. Tym wozem strażackim całkiem fajna babeczka jeździ. Mieszka na Modrzewiowej, naprzeciwko takiego starego domu, co w nim teraz remont jest. Chcesz jej skroić to auto? Trochę trefny towar, ale jakby co, pomogę.

– Nie, dzięki, chciałem tylko laskę namierzyć.

– Jak dla mnie trochę za chuda.

– Jak dla mnie też. Biznes mam do niej, to wszystko. Odezwę się, ziom! Tylko uważaj, żeby cię znowu nie zapuszkowali.

– Mnie? W życiu! Trzym się, Lechu!

– Trzym się!

Głowacki wsunął komórkę do kieszeni spodni i rozejrzał się po rynku. Musiał się teraz jakoś dostać do Skierniewic. Ruszył w stronę przystanku autobusowego. Ktoś zerwał rozkład, na tablicy zostały tylko smętne paski papieru, ale pod wiatą stały dwie osoby, jakaś dziewczyna w słuchawkach na uszach i starsza kobieta w płaszczu.

– O której coś będzie? – zapytał.

– Za dziesięć minut – odpowiedziała kobieta.

Głowacki wyciągnął z kieszeni kurtki paczkę papierosów i zapalił. Jak dobrze pójdzie, za godzinę dotrze do Milanówka. Tego się po nim raczej nikt nie spodziewa.

Przed wszystkim musiała ogarnąć mieszkanie. To, że od jakiegoś czasu pomieszkiwała u Nikodema, miało swoje plusy, bo nie bałaganiła na bieżąco, ale miało również minusy – na przykład naczynia w zlewie były tak zaschnięte, że zamiast je myć, wyrzuciła do kosza. Kolejnym minusem był zapach, wynik zbyt rzadko czyszczonej kuwety. Nie pomogło otwarcie okien na przestrzzał, przeszła się więc po pokoju, psikając na prawo i lewo odświeżaczem do toalet.

Pozbierała też porozrzucane ciuchy, wytarła kurze tam, gdzie najbardziej widać, odkurzyła dywan i zamiotła podłogę, a na stół zamiast obrusa rzuciła jedyne czyste prześcieradło.

Z gumką.

Pół godziny przed przybyciem rodziców udało jej się osiągnąć stan, który na przyjęcie znajomych byłby całkiem przyzwoity. No ale nie oczekiwała wizyty znajomych. Oczekiwała wizyty Najwyższej

Izby Kontroli.

Rzuciła się więc jeszcze do regału w poszukiwaniu książek, które jej ojciec mógłby uznać za wywrotowe, a potem zebrała z parapetu kadzidełka i zielony malachitowy posążek Buddy i ukryła je głęboko w szufladzie. Teraz do ideału brakowało jej już tylko jednego rekwizytu. Wyciągnęła z szuflady ze sztukami dwa komplety chińskich pałeczek, odpięła od kluczy smycz Orange i za jej pomocą połączyła pałeczki, tworząc niezbyt kształtny, ale jednak – krzyż.

Przystawiła krzesło do drzwi, wdrapała się na nie i powiesiła swoje dzieło na gwoździu wbitym tuż nad futryną. Stała potem obok stołu i z ulgą stwierdziła, że z tej odległości pomarańczowy wzór na smyczy, utrzymanej w ryzach skrzyżowane pałeczki, jest prawie nie do rozpoznania.

Chwilę później do drzwi zadzwonił Damian.

– Mów jak najmniej – poinstruowała go od progu. – Ja pociągnę konwersację, ty tylko przytakuj. Patrz na mnie tak, jakbyś był zakochany. Raz możesz mnie nawet pocałować. W sensie w policzek. Oni są bardzo konserwatywni, więc żadnych uwag o robieniu dzieci. Mają przywieźć kolację, więc po prostu jedz. I chwał.

Damian słuchał, a po jego ustach błąkał się ironiczny uśmiechek.

– Co ze ślubem? – zapytał. – Na kiedy planujemy? Gdzie? Ilu gości?

To był najbardziej śliski fragment tej układanki. Najchętniej w ogóle nie poruszałyby tematu ślubu, ale wiedziała, że rodzice nie odpuszczą. Musieli więc teraz przyjąć jakąś wiarygodną, a jednocześnie mało konkretną wersję.

– Ze ślubem nam się nie spieszy – zdecydowała. – Ty czekasz na awans w pracy...

– W jakiej pracy?

No tak. Damian nie pracował. Damian studiował. Tylko kompletnie nie pamiętała co.

– Przypomnij mi, proszę, kim ty zamierzasz zostać?

Damian przewrócił oczami.

– Zapomniałaś czy nie zwróciłaś uwagi?

– Nie mamy czasu...

– Kończę dziennikarstwo. Możesz powiedzieć, że czekam na angaż do „Wyborczej”.

– Tego tytułu w ogóle przy nich nie wymawiaj. Zwłaszcza przy ojcu. Wyrzuciłby cię z domu i nie pozwolił na ślub.

– Oj, chyba bym się nie pozbierał.

– „Nasz Dziennik”?

– Nie żartuj. „Rzeczpospolita” ewentualnie.

– Niech będzie. Aha, i pamiętaj, nie mieszkasz tutaj.

– Pamiętam. Bardzo dobrze pamiętam.

Nawet gdyby Gaja pragnęła przeprowadzić teraz rozmowę z Heleną na temat szkoły, i tak nic by z tego nie wyszło – jej córka była tak zaabsorbowana szczeniakiem, że wszelka próba przyciągnięcia jej uwagi była z góry skazana na niepowodzenie. Odpuściła więc, tym bardziej że nie czuła się na siłach. Ten dzień był tak intensywny, tak trudny, że dokładanie na koniec ciężkiego emocjonalnie elementu pociągnęłoby ją na dno.

Pozwoliła, żeby dziewczynka wzięła psa ze sobą na górę, a sama poszła do kuchni, wyjęła z szafki kieliszek, a z lodówki – butelkę białego wina. Kiedy je sobie nalewała, w holu zaterkotał dzwonek,

a sekundę później trzasnęły drzwi wejściowe. Gaja sięgnęła więc do szafki po drugi kieliszek.

– Kiedy ty się nauczysz zamykać te drzwi? – skrytykowała ją od progu Matylda. – Zobacysz, ktoś w końcu wejdzie i cię okradnie

– Białe czy czerwone? – spytała Gaja w odpowiedzi.

– A jakie ty pijesz?

Gaja pomachała jej przed nosem butelką białego.

– Może być. – Matylda opadła na krzesło przy kuchennym stole. – Dzwoniła ciotka. Kazała ci powiedzieć, że Głowacki uciekł.

Gaja odstawiła butelkę i odwróciła się do przyjaciółki.

– Słucham?! Co ty gadasz?

– Uciekł. Zmył się. Szukaj wiatru w polu.

– Ale przecież ja go dzisiaj widziałam! Siedział w domu. Nie wyglądał na kogoś, kto się gdzieś wybiera. Nie rozumiem.

– No właśnie. Lewin twierdzi, że go wypłoszyłyście – wyjaśniła Matylda. – Jest wkurzony na maksa.

Gaja opadła na krzesło.

– Czyli to jednak on ją zabił.

– To samo powiedziałam! Ciekawe, kiedy go dopadną.

– Na to my już nie mamy wpływu – stwierdziła Gaja, i to rzeczywiście była prawda. – Najważniejsze, że sprawa jest jakby skończona. Zrobiliśmy swoje, zamykamy temat i od jutra wracamy do naszych zwykłych zajęć. Gratuluję ci! – Gaja stuknęła kieliszkiem o kieliszek przyjaciółki. – Bez ciebie to by się nie udało.

– No tak, faktycznie trochę się przydałam – przyznała Matylda. – A jak to się w ogóle stało, że znowu się zainteresowałyście Głowackim?

Wtedy Gaja opowiedziała Matyldzie o fałszywym porwaniu i o tym, jak to odkryła, o letnim domku i rozmowie z agentką, wreszcie o kartce pocztowej i sztucznym gipsie.

– Ja sobie powinnam chyba notatki robić – zauważyła w pewnym momencie Matylda. – Naprawdę tyle się wydarzyło przez jeden dzień?

– A jeszcze ci nie opowiedziałam o tym, czego Klara się dowiedziała w restauracji Banacha. Ale teraz to już i tak nieistotne, skoro mamy wytypowanego sprawcę. Jednego tylko nie rozumiem. Co Głowacki miał wspólnego z tą suknią ślubną, w której ją znaleziono...

Matylda rozłożyła bezradnie ręce. Ona też nie potrafiła odpowiedzieć na to pytanie.

Kiedy wyszła, Gaja poszła na górę do pokoju Heleny. Dziewczynka spała, obejmując szczeniaka, który na widok Gai zaczął merdać ogonem i skamleć. Wyjęła go więc delikatnie z ramion córki i wyniosła na dwór. Drżąc z chłodu, patrzyła, jak Bruno kuca na ścieżce.

W kępie rosnących w rogu ogrodu świerków coś zaszeleściło. Gaja zmrugała oczy, żeby lepiej widzieć. Wydawało jej się, że gałęzie jednego z drzew poruszyły się, ale to równie dobrze mogło być złudzenie. Otoczona przez ciemność rozpraszaną jedynie mdłym światłem ulicznych lamp, poczuła lęk.

– Chodź. – Gwizdnęła na psa. – Idziemy spać.

Schyliła się, wzięła szczeniaka na ręce i weszła do domu.

Gdyby się odwróciła, być może zauważyłaby pochyloną postać, przemykającą przez trawnik w kierunku tylnych drzwi willi. Ale była za bardzo zajęta psem. I swoimi myślami.

ROZDZIAŁ 46

Rozstanie z mężem zmieniło w życiu Gai wiele rzeczy. Od tych zasadniczych, jak odejście z pracy i założenie agencji, po codzienne i zwykłe. Zauważyła na przykład, że połowa małżeńskiego łóżka, na której wcześniej sypiał Artur, wspaniale się sprawdza jako dodatkowa, wygodna i pojemna szafka nocna. Zaczęła odkładać tam książki, czasopisma i paczki chusteczek, czasami również tacę z kawą, a kiedy, tak jak teraz, zabierała do łóżka laptop, mogła go odstawiać na bok bez obaw, że Artur się na nim przez nieuwagę położy.

Poprawiła poduszki, otworzyła komputer i po raz pierwszy od dłuższego czasu zamiast wpisywać w wyszukiwarkę „Monika Banach zaginięcie” wystukała „szczeniak w domu porady”. Z kilkudziesięciu linków, które wyskoczyły w odpowiedzi, wybrała „pierwsze dni szczeniaka w nowym domu”, ale nie zdążyła go otworzyć, bo zadzwoniła komórka.

Zaskoczona, że ktoś dzwoni do niej o tej porze, sięgnęła po telefon.

„Artur” – ukłulo ją z ekranu.

Choć od ich rozstania minął już ponad miesiąc, ciągle rozmowy z nim były dla niej problemem. Tym bardziej dzisiaj, po tak trudnym i wyczerpującym dniu. Żałowała, że nie może go po prostu zrzucić.

– Cześć – odezwała się niechętnie. – O co chodzi?

Nauczyła się już, że jedynym sposobem, żeby wyjść z kontaktu z mężem jak najmniej poturbowaną, jest obojętność. Musiała udawać, również sama przed sobą, że Artur jej kompletnie nie obchodzi. Ale czasami obojętności udać się nie dało.

– Chcę wziąć jutro Helenę do siebie. Po szkole. Na cały weekend – oznajmił.

Zaskoczył ją. Odkąd się wyprowadził, Helena ani razu u niego nie była. W Gai natychmiast obudził się bunt.

– Pytanie, czy ona będzie chciała.

– Raczej tak, skoro do mnie w tej sprawie dzwoniła.

Zabolało. Cholernie zabolało.

Choć Artur wiele razy zapraszał Helenę do siebie, dziewczynka konsekwentnie mu odmawiała, pokazując w ten sposób, że stoi po stronie matki. A dzisiaj tak po prostu sama do niego zadzwoniła? I poprosiła o spotkanie? Gaja uświadomiła sobie natychmiast, że córka chciała jej w ten sposób zrobić przykrość, zranić ją w odwecie za to, co stało się w samochodzie.

– To nie jest dobry pomysł.

– Dlaczego?

Gaja miała już na końcu języka coś w stylu: bo sobie tego nie życzę, ale wiedziała, że takie słowa nie zamykają dyskusji, tylko ją rozpoczynają. A ona była za bardzo zmęczona, żeby się kłócić.

– Bo ma psa – wymyśliła na poczekaniu. – To szczeniak. Musi się nim zajmować. Nie może ot tak sobie wyjechać na dwa dni.

– Wiem, że ma psa – odpowiedział Artur obojętnym tonem. – Pozwoliłem, żeby go zabrała ze sobą.

– Słucham?!

– Może przyjechać z psem – powtórzył spokojnie Artur.

– Ten pies... – Gaja zaczęła szukać jakiegoś solidnego argumentu – ...ten pies powinien mieć spokój! Ostatnio naprawdę wiele przeszedł...

– Helena też wiele przeszła – przypomniał jej. – Będę po nią jutro po południu, odstawię w niedzielę wieczorem. Niech weźmie kostium, pójdziemy na basen – zaordynował i się rozłączył.

Gaja jeszcze przez chwilę patrzyła bezmyślnie w ekran komputera, a potem nagle podjęła decyzję. I nie, to nie był odwet. A przynajmniej bardzo chciała w to wierzyć.

Sięgnęła po komórkę i wybrała numer Pawła.

– Gaja? – Był naprawdę zaskoczony. – Coś się stało?

Z trudem powstrzymała się przed komentarzem w stylu: czy musi się coś stać, żebym do ciebie dzwoniła?

– Nie, nic – odpowiedziała. – Chciałam ci tylko powiedzieć, że ten szczeniak chyba u nas zostanie.

– Cieszę się. – W jego głosie pojawiła się nuta czułości.

Bardzo niebezpieczne. Dlatego natychmiast zmieniła temat.

– No i namierzyliśmy zabójcę Moniki Banach – dorzuciła.

– Brawo! Gratuluję! Widzę, że macie stuprocentową wykrywalność! Tak z ciekawości: kto to?

– Taki jeden człowiek, któremu podpadła. Groził jej i niedawno wyszedł z więzienia. A teraz, kiedy policja pojechała go zgarnąć, uciekł. To jasne, że jest sprawcą.

– Jesteście naprawdę niezłe.

– Jesteśmy świetne.

– Ty jesteś świetna... – Zawiesił głos, a potem przeszedł do rzeczy. – Kiedy się spotkamy? Tak normalnie? Nie z twoją córką w sąsiednim pokoju. Nie w zatłoczonej kawiarni. Kiedy?

Przełknęła ślinę. To, że to ona zadzwoniła, najwyraźniej go osmieliło. Ale przecież tego chciała. Nie rozmowy. Nie wspomnień. Chciała teraźniejszości.

– Jutro.

– Wspaniale. Zapraszam cię na kolację.

– Dokąd?

Roześmiał się.

– Do mnie. Lubisz owoce morza?

– Nie jem owoców morza. Obejrzyj film *Czego nauczyła mnie ośmiornica*, a też przestaniesz.

– Dobrze. Wymyślę coś innego.

– Tylko bez mięsa.

– Oczywiście. Ósma?

Gaja zamknęła na chwilę oczy. Kolacja o ósmej u niego w domu mogła oznaczać tylko jedno. Czy była gotowa?

– Dobrze, ósma.

– Prześlę ci adres. Do zobaczenia.

Odkładając telefon, pomyślała, że teraz, zamiast martwić się naprawdę ważnymi sprawami, takimi jak zbiegły zabójca Moniki Banach czy kwestia szkoły Heleny, będzie sobie rozmyślać o zbliżającym się spotkaniu. Naprawdę sprytnie.

Zamknęła laptop.

Ostatni punkt jutrzejszego dnia już знаła, ale wcześniej czekało na nią kilka innych spraw do załatwienia. Przede wszystkim powinna umówić się z Ewelina i podpisać rachunek. Wskazały zabójcę, sprawa zamknięta. Potem powinna przejrzeć pocztę, sprawdzić, czy nie zgłosiły się jakieś nowe klientki, a jeśli tak, umówić spotkanie. No i pojechać do hurtowni zoologicznej i kupić wyposażenie dla psa – jedzenie, posłanie, miski, zabawki i przede wszystkim klatkę kennełową. Bez niej nie dadzą rady funkcjonować.

Wyciągnęła rękę, żeby zgasić lampkę nocną, kiedy na korytarzu coś stuknęło. Raz, potem drugi i trzeci.

Odkąd Artur się wyprowadził, nie zamykała na noc drzwi do sypialni, zostawiała je uchylone, żeby mieć kontakt z resztą domu. Chciała mieć pewność, że nic nie umknie jej uwadze. „Co to?” pomyślała.

Bo na pewno nie Bruno – odgłos bardziej przypominał ciche kroki niż stukanie psich pazurów o podłogę.

– Helena? – spytała.

Ale odpowiedzi nie było.

Wstała z łóżka i ruszyła do wyjścia. Ustawiła się tuż obok drzwi, a potem szarpnęła za klamkę, otwierając je gwałtownie na całą szerokość.

Zwykle zostawiała na klatce schodowej palącą się lampkę, ale tym razem na zewnątrz było ciemno. Nabrała powietrza i zrobiła zdecydowany krok w czerń korytarza. Kilka sekund później poczuła obok siebie ruch. Jakaś postać doskoczyła do niej od tyłu i zarzuciła jej na szyję coś miękkiego. Ale ta miękkość była złudna, bo kiedy napastnik zacisnął materiał, Gaja zaczęła się dusić. Szarpnęła się raz, potem drugi, ale nie miała dość siły, żeby się wyrwać. Jednocześnie instynkt podpowiadał jej, że musi zachować ciszę. Hałas mógłby wywabić z łóżka Helenę, a jedyne, na czym jej teraz zależało, to nie dopuścić, żeby napastnik zrobił krzywdę jej dziecku.

Wyrwała się więc i kopała w zupełnej ciszy, próbując jednocześnie dosięgnąć paznokciami twarzy napastnika. Był jednak dużo od niej silniejszy i dużo bardziej doświadczony.

Ale skoro tak, to dlaczego jeszcze żyła?

Uścisk na szyi, zamiast odciąć jej powietrze do końca, zelżał.

– Cicho, nic ci nie zrobię – usłyszała tuż obok ucha chrapliwy głos. – Masz powiedzieć temu glinię, że jej nie zabiłem. Chciałem postraszyć, ale nie zabiłem.

Gaja przestała się wyrwać.

– Za nic nie wrócę do pierdła! Kurwa, za nic. Jeszcze z recydywą. Powiedz mu tak: gdybym zabił Banach, tobym tu do ciebie nie przychodził, tylko spierdalał, jasne? Więc niech się ode mnie odpiardoli!

Popchnął ją do przodu, puszczając zacisnięty wokół jej szyi materiał. Upadła na kolana i zaniósła się kaszlem. A kiedy udało jej się uspokoić oddech i wstała, mężczyzny już nie było.

ROZDZIAŁ 47

– No i jak panu smakuje, panie Damianie? – pytała co chwila matka.

Zwracając się do niego, za każdym razem używała jego imienia, wymawiając je tak miękko i starannie, że Klara dostawała dreszczy.

– Przepyszne! – odpowiadał Damian i uśmiechał się tak, że widać mu było zęby mądrości.

No teatr.

Klara była tym spektaklem totalnie zde gustowana, ale ponieważ sama go zaaranżowała, musiała przynajmniej udawać, że biorąc w nim udział, nie cierpi.

Rodzice pojawili się punktualnie o dwudziestej pierwszej z niebieską ikeowską torbą pełną pojemników z jedzeniem. Na stole pojawił się pasztet, faszerowane, lekko sfatygowane drogą jajka, sałatka jarzynowa i nożyki w galarecie. Ojciec, jak zwykle w garniturze, z gładko zaczesanymi siwymi włosami, prawie się nie odzywał, ale za to dokładnie obejrzał mieszkanie. Klara, widząc, jak przegląda tytuły książek, liczy ręczniki w łazience i sprawdza czystość lustra, obiecała sobie solennie, że ich pierwsza wizyta u niej w domu będzie też ostatnią.

– Bardzo oryginalny – zareagował na krzyżyk z pałeczek nad drzwiami. – Skąd to?

– Znajomi przywieźli z Tajlandii – wymyśliła na poczekaniu.

– Z Tajlandii? – zdziwił się. – To tam sprzedają krzyże?

– Panie Damianie – zaczęła matka – a gdzie pan zamierza pracować po studiach?

– Myślałem o „Rzeczpospolitej”. To duży, solidny tytuł i całkiem niezłe zarobki. Co jest bardzo ważne, kiedy się myśli o założeniu rodziny. – Posłał Klarze rozbawione spojrenie.

Nachyliła się do niego i ściskając mu boleśnie ramię, szepnęła do ucha:

– Nie szarżuj.

W oku matki dostrzegła niepokojący błysk.

– Z tym zakładaniem rodziny to nie tak szybko – próbowała wylać olej na wzburzone fale matczynych emocji, ale już było za późno.

– Panie Damianie! – Matka znowu dotknęła jego ręki. – Czyli to już tak na poważnie?

Klara miała ochotę zsunąć się pod stół i tam przeczekać do końca kolacji. A jednak poziom zenady, i tak już wysoki, został chwilę później przekroczony. Właściwie wybuchł poza skalę.

– Przepraszam na moment... – Damian wstał od stołu i zniknął w przedpokoju, a kiedy wrócił, miał w dłoni czerwone welurowe pudeleczko. Klara przełknęła ślinę.

– Nie, nie, Damian! – próbowała go powstrzymać.

Chłopak ukląkł przed nią na jedno kolano i otworzył pudełko. W uchwycie z białej gąbki tkwił złoty pierścionek z całkiem sporym kamieniem. „To są jakieś jaja”, pomyślała Klara, przetykając ślinę.

– Przygotowałem sobie na tę okazję specjalne przemówienie, ale jestem tak wzruszony... Więc po prostu zapytam: Klaro, wyjdziesz za mnie?

Matka poderwała się z miejsca, ojciec również wstał. Wpatrywali się w Klarę, w napięciu oczekując odpowiedzi, a ona miała ochotę z całej siły przyłożyć Damianowi kolanem w szczękę.

– Kochanie, tak czy nie? – szepnęła matka, zdezorientowana tym, że każe im tyle czekać na odpowiedź.

Klara musiała się zastanowić. Miała do wyboru: odpowiedzieć „tak” i przynajmniej chwilowo mieć to z głowy albo odpowiedzieć „nie” i przez dalszą część kolacji, a może i życia, znosić oburzenie i rozczarowanie rodziców. Nie miała wątpliwości, co wybrać.

– Tak! Oczywiście, że tak! – powiedziała, uśmiechając się sztucznie i wyciągnęła w stronę Damiana lewą dłoń.

– Prawą, kotku! Prawą! – pouczyła ją matka. – Na lewą przełożysz po ślubie!
„Zaraz się porzygam”, pomyślała Klara.

Damian wsunął jej pierścionek na palec, poderwał się z kolan, objął Klarę i pocałował. I choć jego pocałunek okazał się niebezpiecznie kuszący, musiała się z całej siły powstrzymać, żeby go od siebie nie odepchnąć.

Kiedy w końcu sam się od niej odsunął, chwyciła ją w objęcia matka, a na koniec ojciec odchrząknął, poklepał ją po plecach i powiedział:

– Gratuluje!

A potem zwrócił się do Damiana i dodał:

– No cóż, młody człowieku, trzymam kciuki.

Zabrzmiało to trochę tak, jakby mu współczuł.

– Wspaniała niespodzianka, wspaniała! Zaskoczył nas pan, panie Damianie! – ekscytowała się matka.

– Mnie też – warknęła Klara, ale nikt na nią nie zwracał uwagi.

– Szkoda, że nie mamy szampana. Klara, czy tutaj gdzieś w pobliżu jest monopolowy? – Matka podeszła do okna i wyjrzała na zewnątrz, jakby spodziewała się sklepu po drugiej stronie ulicy.

– Nie ma – skłamała Klara. – Zresztą już późno. Oblejemy następnym razem.

Jednego była pewna – żadnego następnego razu nie będzie.

Niestety, zwrócenie uwagi na późną porę okazało się zbyt subtelne, rodzice wcale nie zamierzali zbierać się do wyjścia. Klara zebrała więc talerze, zaniosiła do zlewu i zaczęła zmywać, ostentacyjnie odwrócona plecami do gości.

– Jeszcze to. – Damian podał jej salaterkę po sałatce.

Posłała mu spojrzenie, które mogło zabić. I w założeniu miało to zrobić.

– Pojechało cię? – syknęła. – Co to za cyrk? I skąd wzięłeś pierścionek?

– Pierścionek? Pożyczyłem od siostry. Mieszka tu niedaleko.

– Przegiąłeś – szepnęła Klara, czując cały czas na swoich plecach wzrok matki. – Już nigdy więcej...

– Co, kochanie? – zapytał, obejmując ją w talii i przyciągając do siebie. – Już nigdy więcej nie przyjmiesz moich oświadczeń?

Wściekła, wyrwała mu się, zakręciła wodę i wróciła do stołu.

– Pan, mam nadzieję, wierzący? – zapytał ojciec, patrząc badawczo na Damiana.

Chłopak usiadł na swoim miejscu i odchrząknął.

– Właściwie...

– Bierzmowanie pan ma?

– Mam...

– I bardzo dobrze. To można spokojnie dawać na zapowiedzi.

– Na jakie zapowiedzi? – jęknęła Klara. – Tato...

– Nie martw się, wszystko ustalimy. – Matka poklepała Klarę po dłoni. – Niedaleko nas zbudowali salę weselną, podjadę tam wypytać o terminy. Popatrz, jak dobrze, że się zabrałeś do remontu domu – zwróciła się do ojca. – Goście przyjadą, wstydu nie będzie. Tylko żebyś zdążył przed ślubem, bo na razie wszystko rozgrzebane. – Roześmiała się, grożąc mężowi palcem.

– Mamo, jeszcze jest czas. Mówiłam ci, nam się nie spieszy – próbowała protestować Klara, ale niewiele to dało.

– Jakby się nie spieszyło, toby cię Damian o rękę nie prosił – zbyła ją matka.

A ojciec dodał:

– Tak, tak, załatwmy to szybko, żeby nam się czasem narzeczony nie rozmyślił.

Prawdopodobnie to miał być żart, ale nikt się nie zaśmiał.

– Mamo, ojciec ma tego lekarza rano? – Klara postanowiła zakończyć tę farsę. – Bo już się późno zrobiło, jutro nie wstaniecie.

Matka wcale nie miała zamiaru przerywać sobie tak miłego zajęcia jak snucie planów dotyczących ślubu jedynej córki, ale u ojca rozsądek zwyciężył.

– Zbieramy się! – zarządził, wstając z miejsca. – Klara, musisz przywieźć pana Damiana do nas do Torunia, porozmawiamy o szczegółach.

Klara bała się, że jeśli otworzy usta, żeby odpowiedzieć, wyrwie jej się coś niecenzuralnego, skineła więc tylko głową.

– Panie Damianie, zamawiamy taksówkę. Może pana podwieziemy? – zaproponowała matka.

– Tak, tak, jedź z rodzicami! – podchwyciła skwapliwie Klara, choć najchętniej wyrzuciłaby go przez okno.

– Bardzo dziękuję, ale ktoś musi Klarci pomóc posprzątać! – Objął ją ramieniem i przyciągnął do siebie.

– Tylko jak w przyszły weekend będziecie do nas jechać, nie zapomnij zabrać pudełek – pouczyła ją matka.

– Czekamy, panie Damianie! – dorzucił ojciec. – I niech pan weźmie jakieś robocze ciuchy, to mi pan pomoże w malowaniu! Pomoc bardzo się przyda, a na córkę za bardzo liczyć nie mogę, niestety.

Kiedy tylko odgłos ich kroków ucichł na korytarzu, Klara rzuciła się na Damiana z pięściami.

– Idiota! Debil! Kretyn! – wyrzucała z siebie, zacietrzewiona, uderzając chłopaka w klatkę piersiową. – Oszalałeś? Jak mogłeś?

Damian przez chwilę przyjmował jej ciosy, w końcu chwycił ją za nadgarstki i przytrzymał.

– Uspokój się! Kto mnie tu ściągnął na siłę? Kto mi kazał wiarygodnie udawać, że jesteśmy parą?!

No to się wywiązałem.

Przez chwilę patrzyli na siebie, a potem nagle oboje w jednym momencie zaczęli się śmiać.

– Dobra – powiedziała Klara, kiedy się już uspokoili. – Przynaję, odegrałeś się. Tylko jak ja to teraz odkręcę?

– Nie musisz odkręcać. – Damian wzruszył ramionami. – Po prostu weźmiemy ślub i tyle.

– Idź już. – Klara popchnęła go lekko w stronę drzwi. – Jestem wykończona.

Damian położył rękę na klamce, a potem odwrócił się do Klary.

– Masz bardzo miłą mamę – powiedział.

– Tak. Mamę mam miłą – przyznała. – Chociaż tyle. Znikaj.

Zatrzasnęła za chłopakiem drzwi, oparła się o nie plecami i patrzyła przez dłuższą chwilę na stół, przy którym jeszcze pięć minut temu siedzieli. „Co za historia”, westchnęła. „Tyle fatygi tylko po to, żeby tatuś był zadowolony. Nie na długo, ale jednak”.

O nogę Klary otarła się Scarlett, która przezornie całą wizytę gości przesiedziała za kanapą, i wydała z siebie ciche, ponaglące miauknięcie, które oznaczało: daj jeść. Klara nachyliła się i pogłaskała kota, żałując, że z rodzinnego domu do Warszawy jest zaledwie dwieście pięćdziesiąt kilometrów, a nie tysiąc. „Powinnam się była wynieść do Nowego Jorku”, pomyślała. „Albo do Sydney. Tam by raczej nie wpadali do mnie niezapowiedziani”.

ROZDZIAŁ 48

Komisarz Lewin zatrzymał się przed furtką domu Gai i nacisnął dzwonek. Był zdyszany, bo biegł całą drogę, w dodatku z psem pod pachą.

Kiedy zadzwoniła, wyprowadzał właśnie Bezę na spacer. Gdyby nie późna pora, w ogóle by nie odebrał, ale telefon o północy, w dodatku od wroga, zaintrygował go. Trochę nie wiedział, czego się spodziewać, ale gdzieś pojawiła się nadzieja, że Stawska dzwoni, żeby go przeprosić. A ponieważ nie sądził, żeby była do tego zdolna na trzeźwo, rozmowa mogła się okazać całkiem zabawna.

Ale nie usłyszał przeprosin. Za to dwadzieścia sekund później już biegł w kierunku jej domu, próbując jednocześnie wybrać na komórce numer do sierżanta Kota.

Nieźle się narobiło.

Rozległ się brzęczyk przy furtce. Popchnął ją i ruszył w kierunku wejścia, rozglądając się uważnie, choć przecież Głowacki na pewno już dawno uciekł. Kiedy mu otworzyła, ubrana w piżamę, w kapturach na bosych stopach i z lekko zmierzwionymi włosami, wydała mu się delikatna i bezbronna, przez chwilę poczuł nawet jakiś rodzaj współczucia i troski, ale wtedy się odezwała i złudzenie delikatności natychmiast znikło.

– Co tak długo? Biegł pan z Warszawy?

– Trzeba było zadzwonić na dziewięć dziesięć siedem. Miałaby ich pani tutaj już jutro koło południa. – Jak ona to robiła, że potrafiła go zirytować jednym zdaniem?

Zaprowadziła go do dużego, jasno oświetlonego salonu. Zwrócił uwagę, że w całym domu pozapalane są wszystkie światła. Usiadł. W tym przestronnym, eleganckim wnętrzu, przytrzymując na kolanach wrywającego się psa, poczuł się dziwnie nie na miejscu.

– Nic się pani nie stało? – zapytał dla porządku, choć Stawska nie wyglądała na specjalnie poszkodowaną.

– Nie. On mi nie chciał zrobić krzywdy. Chciał tylko przekazać panu wiadomość.

– Ciekawe. Niby jaką?

– Że to nie on zabił Banach.

Komisarz zaśmiał się serdecznie.

– I pani mu uwierzyła?

Stawska popatrzyła na niego z wyższością.

– Oczywiście, że tak.

– Muszę powiedzieć, że jestem w szoku. Przecież Głowacki to był pani pomysł. Od początku do końca. Kilka godzin temu przekonywała mnie pani, że na sto procent jest zabójcą. Ten gość ma już jedno życie na koncie i za to trafił na piętnaście lat do paki. A tam raczej na świętych nie wychowują. Miał z Banach na pieńku, obserwował ją. To są wszystko pani słowa! Jak pani może teraz twierdzić, że jest niewinny?

Stawska sięgnęła po leżący na oparciu kanapy koc i okryła się nim.

– Potrafię się przyznać do błędu – powiedziała spokojnie. – To bardzo pożyteczna umiejętność, panu by się też przydała.

– Dziękuję, poradzę sobie bez niej. – Lewin poklepał Bezę po grzbiecie. – Czyli właściwie po co mnie pani ściągnęła? Żeby wygłosić samokrytykę?

– Nie. Żeby panu uświadomić, że trzeba szukać dalej.

Lewin wstał i poprawił psa pod pachą. Stawska wstała również.

– Głowackiego? Absolutnie się zgadzam.

– Mam na myśli szukanie prawdziwego sprawcy.

– Przekażę kolegom z powiatowej w Wyszku. To oni prowadzą sprawę Banach.

– Czyli żeby mi zrobić na złość, pozwoli pan uciec zabójcy?

Jej słowa go dotknęły.

– Po pierwsze: moje sympatie i antypatie nie mają żadnego wpływu na moją pracę. Po drugie: skąd to przypuszczenie, że chcę pozwolić uciec zabójcy? Sprawę Głowackiego zacząłem i skończę. To, czy jest zabójcą, czy nie, okaże się, jak go złapię. A za działania Wyszku nie odpowiadam. Po trzecie: ma pani bardzo wysokie mniemanie o sobie. Za wysokie.

Wstał i wyszedł z pokoju, nie żegnając się. Ale dopiero kiedy zamknął za sobą drzwi wejściowe, poczuł ulgę.

Postawił wrywającego się psa na ziemi i pociągnął go w kierunku furtki. Był zły na siebie, że w ogóle tu przyszedł. Równie dobrze to wszystko, co mu powiedziała przed chwilą, mogła przekazać przez telefon. Niepotrzebnie się przejął.

Wyprowadził Bezę na ulicę i ruszył w kierunku domu. Jedno musiał przyznać: spotkania z tą kobietą zawsze mu podnosiły poziom adrenaliny. Zawsze.

Klara leżała w łóżku z laptopem i z kieliszkiem wina, które zostało po kolacji z rodzicami. Teraz, kiedy emocje już opadły, stwierdziła, że właściwie nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Owszem, wizyta nie była miła, ale dzięki obecności Damiana ciężar zainteresowania rodziców przeniósł się na niego, co Klara przyjęła z ulgą.

No i najważniejsze – chłopak skutecznie zneutralizował ojca. Od wielu lat każdy jej kontakt z nim kończył się mniejszą lub większą awanturą, a dzisiaj, o dziwo, do żadnej poważniejszej konfrontacji nie doszło. Zaczęła czuć coś w rodzaju wdzięczności do Damiana.

Doceniła nawet numer z oświadczeniami. Owszem, był karkołomny, ale przecież też w jakiś sposób zabawny. W dodatku przywiezionego przez matkę jedzenia wystarczy na tydzień. Same plusy. No, może poza tymi rzucanymi mimochodem uwagami ojca... „Żeby się narzeczony nie rozmyślił”. Za każdym razem, kiedy się widzieli, ojciec musiał pokazać, że nie jest z niej zadowolony. Dlaczego?

Chyba dlatego, że nie urodziła się chłopcem. Wszystko inne wydawało się tego pochodną. Jako dziewczynka nie mogła na przykład zostać ministrem, co było dla ojca olbrzymim rozczarowaniem. Sam stanowił jeden z filarów miejscowej parafii. Podczas niedzielnych mszy, ubrany w albę, czytał Pismo Święte, śpiewał psalmy, nosił baldachim nad księdzem podczas procesji Bożego Ciała, został nawet szafarzem Komunii Świętej. Całe życie modlił się o syna, który pójdzie w jego ślady i może wstąpi kiedyś do seminarium, więc kiedy Bóg zesłał mu dziecko płci żeńskiej, poczuł wielkie rozczarowanie. I choć oficjalnie się przecież nie buntował, z roku na rok wzbierała w nim coraz większa frustracja.

Jedynie, do czego udało mu się zmusić Klarę, to wstąpienie do chóru parafialnego. Niestety, kiedy siostra zakrytka przyłapała ją na paleniu papierosów w toalecie na plebanii, kariera chórzystki została gwałtownie przerwana, a ojciec nie dość, że musiał przeżyć jej nieposłuszeństwo, to jeszcze był zmuszony znosić zaciekawione spojrzenia parafian i niechętnie komentarze księdza proboszcza. Zdecydowanie ojcu z Klarą nie było po drodze.

Jej z nim również.

Otworzyła komputer i odruchowo zaczęła szukać informacji na temat śmierci Banach, ale na nic nowego się nie natknęła. Nie znalazła też ani słowa o aresztowaniu Głowackiego, ale to jej akurat nie zdziwiło. Lewin na pewno przypilnował, żeby nic nie przeciekło do prasy, zanim nie będą mieli pewności, że złapali zabójcę.

„Ależ on musiał się zdziwić na widok glin”, pomyślała Klara ze złośliwą satysfakcją i natychmiast pożałowała, że Lewin nie pozwolił im pojechać ze sobą. W końcu nieczęsto uczestniczy się w zatrzymaniu zabójcy.

Klara przesunęła palcem po touchpadzie i w świetle lampy na jej palcu zamigotał pierścionek zaręczynowy. Tak swoją drogą całkiem ładny. Złota obrączka, spory kamień... „Mam nadzieję, że to cyrkonium”, pomyślała. I nagle przypomniał jej się moment, kiedy Damian klęczał przed nią na podłodze i wsuwał jej pierścionek na palec. I patrzył na nią takim dziwnym wzrokiem.

„Nie, nie, to idiotyczne!” Gdyby mogła, dałaby swoim emocjom po łapach. A żeby je ostudzić, natychmiast pomyślała o ojcu. Czy on naprawdę liczy na to, że Klara i Damian przyjadą do nich do Torunia z wizytą? Aż się wzdrygnęła. Ta cała sytuacja była taka żenująca... I ten jego pomysł, żeby Damian mu pomógł przy malowaniu...

Nagle w jej głowie pojawiło się jakieś odległe skojarzenie z remontem, z farbą, z pędzlami... Biuro! To biuro na Kruczej, do którego trafiły z Gają! Z Gają, która tak bardzo chciała zrozumieć, skąd wzięto się tam prawo jazdy jej ojca, a jednocześnie tak gwałtownie broniła się przed jakąkolwiek wiedzą na ten temat. A odkąd stamtąd wyszły, nie wspominała o sprawie ani słowem!

Klara zaczęła sobie przypominać rozmowę z chłopakiem, którego tam spotkały. Mówił, że lokal był wynajmowany różnym firmom. I że, być może, prawo jazdy wyleciało z jednego z wynoszonych na śmietnik biurek.

Czego jeszcze można by się było dowiedzieć, nie mając żadnych danych poza adresem?

Kiedy pracowała jako sekretarka w agencji zajmującej się zbieraniem informacji z internetu, czyli tak zwanym białym wywiadem, adres stanowił najczęściej punkt wyjścia do śledztwa – każda firma przy rejestracji musi go podać. I to właśnie po adresie docierali dalej.

Odstawiła komputer, wstała z łóżka i podeszła do regału, gdzie na jednej z półek stały stare kalendarze. Nie darzyła ich jakimś specjalnym uczuciem, trzymała je po prostu dlatego, że głupio je było wyrzucić. Odnalazła ten sprzed dwóch lat, z czasów, kiedy pracowała w agencji, i zaczęła go kartkować. Miała tu sporo notatek – zapisane spotkania, zadania na kolejny tydzień i dyspozycje szefa. Na to, czego szukała, trafiła we wpisie z piątego maja.

Wróciła do komputera, otworzyła stronę informatora gospodarczego Lex i kliknęła „zaloguj się”. Następnie wpisała swój adres mejlowy, a w okienku pod nim – znalezione w kalendarzu hasło.

Nie była pewna, czy zadziała. Mogło zostać zmienione albo ktoś mógł wykreślić jej mejla ze spisu adresów uprawnionych. Czekwała więc w napięciu, obserwując kręcące się kółeczko sieci...

Po denerwujących trzech, może czterech sekundach otworzyła się wyszukiwarka. Klara, żeby to uczcić, dopiła wino, a potem w odpowiednie okienko wpisała nazwę ulicy: Krucza, numer domu: 13,

i numer mieszkania: 7. Chwilę później na ekranie pojawiły się wyniki: pięć podmiotów, które w ciągu ostatnich dwudziestu lat miały siedzibę pod tym adresem.

Klara uśmiechnęła się z satysfakcją, zrobiła zdjęcie strony i wysłała je esemesem do Gai. Na to, co szefowa dalej z tym zrobi, już nie miała wpływu.

Gaja długo nie mogła usnąć. Co chwila dotykała dłonią szyi i nabierała głęboko powietrza, jakby miała się znowu zacząć dusić. A jednak, paradoksalnie, nie bała się. Była pewna, że napastnik już się więcej nie pojawi. Wierzyła, że nie zabił Moniki Banach. I zrobiła wszystko, żeby Lewin też w to uwierzył. Nie jej wina, że jest przemądrzałym bucem o wielkim ego.

Ze spotkania z nim, poza kolejną refleksją, że nie znosi mężczyzn, którzy w tak zaczepny sposób jak Lewin eksponują swoją łysinę, wyniosła przekonanie, że na policję nie ma co liczyć. W sumie nic nowego. Przy sprawie Peszka, którą prowadziły, sytuacja wyglądała w zasadzie identycznie. I wtedy, i teraz policja miała swojego podejrzanego, zwyczajnie nie chciało im się szukać dalej. A to oznaczało, że znowu cały ciężar dochodzenia do prawdy spocznie na barkach agencji Czajka.

Jeżeli miały się jednak dalej tą sprawą zajmować, potrzebowały planu. A żeby ten plan ułożyć, przydałaby się jakaś koncepcja, kierunek poszukiwań, a najlepiej – podejrzany. Tyle że kandydatów na podejrzanego na tym etapie nie było zbyt wielu. Właściwie po wykreśleniu Głowackiego jedyną osobą, którą przychodziła Gai do głowy, był brat Banach. Nie przyznał się do wizyty u siostry w wieczór przed jej zniknięciem. Miał z nią otwarty konflikt, pracownik twierdził, że ostro się pokłócili. Tak ostro, że o mało nie doszło do rękoczynów. Banach była zła na brata, że wpędził ich wspólny biznes w długi, a pieniądze to idealny motyw zbrodni.

„Musimy go sprawdzić”, pomyślała Gaja, uklepując poduszkę. A potem nagle sobie uświadomiła, że dwie godziny wcześniej miała w planie zamknięcie zlecenia i gdyby nie pojawienie się w jej domu Głowackiego, tak by zrobiła. Właściwie powinna być mu wdzięczna.

Z tą myślą usnęła.

Nie usłyszała cichego kliknięcia sygnalizującego przyjscie esemesa od Klary. I bardzo dobrze, bo gdyby go otworzyła przed snem, prawdopodobnie nie zmrząłyby tej nocy oka.

ROZDZIAŁ 49

Matylda, ubrana w zamazystą fioletową spódnicę i żółty sweter w czerwone romby, stała przed lustrem i przyglądała się sobie krytycznie. Lubiła kolory. Lubiła wzory. Jej garderoba była pełna ciuchów radosnych i bez trosk. Ale kiedy teraz obracała się raz w lewo, raz w prawo, powoli do niej docierało, że, no cóż, nie wygląda szczupło.

Nie miała złudzeń co do swojej wagi, dlatego chodziła w luźnych, za dużych rzeczach, w których czuła się lekko i swobodnie i które sprawiały, że o swojej nieco puszystej figurze na co dzień prawie nie myślała. A teraz jedna rzucona mimochodem uwaga Rafała sprawiła, że Matylda natychmiast wydała się sobie grubsza o dodatkowe kilka kilo.

Wyprostowała się i wciągnęła brzuch, ale niewiele to dało. Te wzory optycznie nie pomagały. Kolory też nie. I nagle przypomniało jej się, że przecież czarny wyszczupla...

Ponownie otworzyła szafę i wyjęła z niej czarny sweter, który matka zrobiła na drutach dla ojca. Matylda pożyczyła go kiedyś, wracając wieczorem od rodziców, potem wrzuciła na półkę i tak już został, choć przecież go nie używała. Sweter był na nią o kilka rozmiarów za duży i idealnie maskował sylwetkę, której nie miała odwagi pokazać światu. A już na pewno nie miała odwagi pokazać jej Rafałowi.

– I jak ci idą pomniki przyrody? – zapytała, kiedy wypili poranną kawę i usiedli do swoich komputerów.
– Skończysz dzisiaj?

W spojrzeniu Rafała, które posłał jej znad monitora, była panika.

– Nie, coś ty! Sama widziałaś, ile tego jest. Będę miał gotowe najwcześniej na wtorek.

Matylda patrzyła na niego niepewnie.

– Czekaj, to ty rozpisujesz wszystkie? – spytała.

– No tak. Tak mówiłaś.

Matylda próbowała sobie przypomnieć, jakie dokładnie polecenie wydała Beldowskiemu.

– Wydaje mi się, że prosiłam, żebyś wybrał tylko kilka tych najbardziej interesujących – powiedziała ostrożnie.

Czy jej się wydawało, czy Rafał wzruszył ramionami?

– Jeżeli tak, to widocznie nie usłyszałem. – Uległość, którą wcześniej Matylda wychwyliła w jego głosie, gdzieś zniknęła.

– Mógłbyś mi przesłać to, co zrobiłeś do tej pory? – poprosiła.

Po chwili w jej skrzynce pojawił się mejl od Rafała. Otworzyła załącznik i aż jęknęła.

– Tutaj są cztery strony. Cztery strony opisów drzew!

Beldowski uśmiechnął się skromnie.

– Nieźle, co? Przyłożyłem się.

„Jak ja mam mu to powiedzieć?“, zastanawiała się gorączkowo Matylda. Nagle ją olśniło. Nacisnęła „drukuj dokument” i po chwili miała w ręku cztery kartki pokryte ciasno tekstem. Wstała i podeszła do

Rafała.

– Popatrz na to. – Położyła przed nim wydruk. – I na to. – Ze stosu biuletynów, który wciąż leżał na biurku mężczyzny, wzięła najnowszy numer i podsunęła Rafałowi.

Bełdowski pokręcił głową.

– Nie wiem, o co ci chodzi...

– O objętość – wyjaśniła Magda. – Popatrz, gdyby wydrukować twój tekst, a przecież jeszcze nawet nie jest skończony, zajęłoby nam mniej więcej połowę gazetki. A my nie wydajemy przewodnika po pomnikach przyrody, tylko kolejny numer biuletynu. Twój tekst może zająć tyle – obrysowała palcem pół strony. – To wszystko.

– Tak, w tym numerze tyle – przyznał mężczyzna. – Ale pomyślałem sobie, że jak już się do tego wzięłem, to możemy z tego zrobić cykl – po dwa, trzy pomniki w każdej kolejnej gazetce. Co ty na to?

– Dobrze – zgodziła się, czując, że zaczyna tracić grunt pod nogami.

I że wcale nie jest tak łatwo być szefową.

Gaja zapukała do pokoju Heleny i nie czekając na pozwolenie, nacisnęła klamkę. Natychmiast tuż przy niej znalazł się Bruno, więc wzięła go na ręce, żeby znieść psa na dół i wypuścić do ogrodu.

Helena już nie spała. Siedziała po turecku na łóżku, z telefonem w dłoni, i z kimś pisała. Nawet nie spojrziała na matkę.

– Dzwonił ojciec. – Gaja starała się, żeby jej głos brzmiał obojętnie. – Podobno chcesz jechać do niego na weekend?

– Tak – odpowiedziała Helena, nie odrywając wzroku od telefonu.

– I mówił, że zabierasz psa...

– Tak.

Gaja czuła, że powinna powiedzieć coś więcej. Coś, co oczyści atmosferę jeszcze przed wyjazdem Heleny do ojca. Nie chciała się rozstawać z córką w złości. Ale w tym momencie telefon dziewczynki zadzwonił. Gaja drgnęła. „Kto może do niej dzwonić o tej porze?”, pomyślała.

Helena nie odbierała rozmowy, tylko patrzyła wyczekująco na matkę.

– Mamo? – powiedziała ponaglącym tonem.

Gaja wyszła, ale zanim zamknęła drzwi, usłyszała jeszcze ściszony głos Heleny:

– Cześć, tato.

Gdyby miała teraz jednym słowem określić swój stan, powiedziałaby: bezradność. Poczula się bezradna, samotna i zagubiona.

Wyniosła Bruna na dwór i obserwowała, jak siusia.

„Czy gdybym wiedziała, jak to wszystko będzie wyglądało po naszym rozstaniu, zdecydowałabym się mimo to?”, zadała sobie pytanie.

Jeszcze kilka dni temu nie miała żadnych wątpliwości. Dzisiaj odpowiedź wcale nie była taka prosta.

Telefon od Gai obudził Klarę o ósmej pięć. Szefowa dzwoniła z samochodu, pewnie właśnie odwiozła Helenę do szkoły. Na samą myśl, że można być tak uwiązaną do dzieciaka, Klara poczuła dreszcze i po raz kolejny obiecała sobie: żadnego rozmnażania. Opieka nad kotem wystarczy.

Z zainteresowaniem wysłuchiwała opowieści szefowej o ucieczce Głowackiego, o tym, jak włamał się do Gai, wreszcie – o wizycie Lewina. Wyglądało na to, że sprawa wcale się tak szybko nie skończy.

I super!

– Musimy zdecydować, co dalej. Proponuję pójść tropem brata – podsumowała Gaja. – Co ty na to?

– Dobry pomysł, zwłaszcza że brat jest jakby mój, bo to ja go zaczęłam sprawdzać – podkreśliła Klara. – Jak to zrobimy?

Gaja przedstawiła jej plan, który nie był może zbyt oryginalny, ale mógł zadziałać.

Już miały kończyć rozmowę, kiedy Klarze coś się przypomniało.

– Znalazłaś mojego esemesa? Z wynikami?

– Wynikami czego? – zdziwiła się Gaja.

– Wyszukałam ci nazwy firm, które miały siedzibę w tej kamienicy na Kruczej.

Czekała na pochwałę, ale w odpowiedzi usłyszała ostre:

– Czy ja cię o to prosiłam?

Atak kompletnie ją zaskoczył.

– Myślałam, że będziesz chciała wiedzieć – powiedziała, odrobinę urażona.

– Gdybym chciała wiedzieć, tobym sobie sama sprawdziła – rzuciła Gaja, wyraźnie zirytowana, po czym się rozłączyła.

„Dziwna ona jest”, pomyślała Klara, wygrzebując się z łóżka. „Zamiast podziękować, robi cyrki. Bez sensu”.

Gaja zjechała w prawo, na podjazd pod czyjąś bramą, i wyłączyła silnik. Potrzebowała chwili, żeby się uspokoić.

Jak Klara mogła tak się wtrącać w jej życie? Najpierw prawie siłą zaciągnęła ją do kamienicy na Kruczej, potem – do remontowanego mieszkania. I jeszcze naciskała, żeby wypytać majstra. Co ją to, kurczę, obchodzi?!

Spojrzała na umieszczony w uchwycie telefon. Tak, faktycznie wśród symboli na górnym pasku ekranu zauważyła teraz kopertę oznaczającą nieodebranego esemesa. Niechętnie wyciągnęła rękę po komórke.

„Patrz, co znalazłam! Te firmy wynajmowały kiedyś ten remontowany lokal na Kruczej”, przeczytała. Pod spodem znajdowało się zdjęcie, a na nim – pięć nazw.

Pierwsza – jakieś biuro rachunkowe, zapewne to, które było ostatnim wynajmującym – nic jej nie powiedziała. Druga, trzecia i czwarta również nie.

Za to kiedy zobaczyła piątą, ostatnią, jej serce na moment stanęło.

Bo zrozumiała, że wyjaśnienie tej sprawy będzie ją naprawdę dużo kosztowało. Zwłaszcza teraz, kiedy w jej życiu znów pojawił się Paweł.

ROZDZIAŁ 50

Ciotka zadzwoniła w momencie, kiedy Matylda wychodziła z łazienki.

– I jak się ta nasza biedna Gaja czuje? Wiesz coś? – W głosie Zdzisławy brzmiała autentyczna troska.

– Nie wiem. Pewnie w porządku. Dlaczego pytasz? – zdziwiła się Matylda.

– Bo mi Krzysiek Kot właśnie opowiedział o tym nocnym ataku i pomyślałam, że się od ciebie czegoś dowiem.

W pierwszej chwili Matyldzie słowo „atak” skojarzyło się z woreczkiem żółciowym i o mało nie zatarła sobie komórek mózgowych, próbując połączyć ból wątroby Gai z sierżantem Kotem.

– Jaki atak? – spytała niepewnie. – Bo nie rozumiem?

– Och, to ona ci nie powiedziała? – zmartwiła się ciotka Zdzisława. – W nocy włamał się do niej Głowacki.

Matyldzie zakręciło się w głowie, aż się musiała oprzeć o ścianę.

– To jakiś koszmar! – jęknęła.

– Ano koszmar – zgodziła się ciotka. – Podobno chodziło mu tylko o to, żeby przekazała komendantowi, że on nie ma nic wspólnego ze śmiercią Banach.

– Czyli nic jej nie zrobił? – upewniła się Matylda.

– Tylko trochę poddusił, nic wielkiego.

Matylda poczuła w całym ciele nieprzyjemne mrowienie. Rozłączyła się i natychmiast wybrała numer Gai, ale odpowiedział jej komunikat: „Abonent chwilowo niedostępny”. Roztrzęsiona, ruszyła do swojego pokoju. „Ta zabawa w agencję naprawdę kiedyś źle się skończy”, pomyślała.

Restauracja Chlebem i Solą otwierała swoje podwoje dla gości o jedenastej.

Gaja pojawiła się na miejscu pół godziny później. Choć obejrzała sobie wcześniej wnętrze w internecie, musiała przyznać, że na żywo robiło jeszcze lepsze wrażenie.

Nie czekając, aż zjawi się kelner, podeszła do biegnącej pod ścianą lady, na którą młoda, ładna dziewczyna w czarnym T-shircie z nadrukowaną nazwą restauracji właśnie wystawiała ciasta.

– Dzień dobry – rzuciła Gaja. – Szukam pana Banacha.

Dziewczyna popatrzyła na nią czujnie. Widocznie personel został poinstruowany, żeby nie udzielać żadnych informacji na temat szefa.

– Nie ma go – odpowiedziała obojętnie. – I nie wiadomo, kiedy będzie.

Jej wzrok na ułamek sekundy pobiegł w kierunku drzwi na zaplecze, co upewniło Gaję, że Banach musi być gdzieś na terenie restauracji.

– Czyli jego samochód przyjechał do pracy sam? – rzuciła lekko.

Blefowała, ale co tam.

– Niech pani zapyta auta. – Dziewczyna wzruszyła ramionami.

Gaja nie zamierzała dłużej tracić czasu.

– Nazywam się Gaja Stawska, jestem z Agencji Detektywistycznej Czajka i muszę porozmawiać z szefem – oświadczyła kategorycznie. – Umówmy się tak: pani go zapyta, czy mi poświęci kwadrans. A jeżeli nie będzie chciał się ze mną widzieć, grzecznie sobie pójdę.

Dziewczyna zastanawiała się przez chwilę, po czym odstawiła półmisek z szarlotką, wytarła ręce w papierowy ręcznik i zniknęła na zapleczu.

Wróciła po trzech minutach.

– Dobrze – powiedziała. – Szef się z panią zobaczy. Proszę za mną.

Klara czekała w aucie Gai, tak zaparkowanym, żeby można było z niego obserwować przez szybę wnętrze restauracji. Widziała, jak jej szefowa wchodzi do środka, rozmawia z jakąś dziewczyną, dziewczyna na chwilę znika, a potem wraca.

Uznała, że to jest ten moment. Wyskoczyła z samochodu, podeszła do drzwi knajpy i dokładnie w chwili, w której Gaja ze swoją towarzyszką zniknęły na zapleczu, Klara wparowała do środka. Miała niewiele czasu. W końcu porządnej awantury nie da się rozbijać w minutę.

Rzuciła szybkie kontrolne spojrzenie na swoje odbicie w wiszącym przy wejściu lustrze i uśmiechnęła się z satysfakcją. Wyglądała jak nie ona. Żadnych motocyklowych kombinezonów, żadnych rozpuszczonych rudych włosów, po których mógłby ją rozpoznać kelner. I, co najważniejsze, po których mógłby ją rozpoznać Banach. Prawdę mówiąc, sama siebie nie poznawała.

Klara miała bowiem na sobie czarną, wąską spódnicę do kolan, białą bluzkę i żakiet, a na jej ramieniu kołysała się elegancka czarna torebka. Włosy zebrała w ciasny kok, a na nos założyła okulary w grubych oprawkach. Zerówki, ale przecież nikt sprawdzać nie będzie. Do tego bardzo mocno się umalowała, zmieniając konturowaniem rysy tak, że nie tylko przestała być do siebie podobna, ale i wyglądała o dziesięć lat starszej. Całkiem udana maskarada.

Szczęśliwie tego dnia kelnera, który ją obsługiwał poprzednio, nie było, a ten, który do niej poszedł, był młody i niedoświadczony, co idealnie wpasowywało się w jej plan.

Poprosiła o stolik dla czterech osób i chłopak wskazał jej miejsce w rzędzie biegnącym przez środek sali. Po prostu idealnie.

Zdjęła z ramienia torebkę, otworzyła zamek i położyła ją na stoliku. A potem poprosiła kelnera o wodę, niegazowaną, z cytryną. I czekała.

Wrócił trzy minuty później, niosąc na tacy butelkę i szklanekę.

– Już, już, robię miejsce! – zaszczebotała Klara.

Chwyliła torebkę, przesunęła ją na brzeg stołu i przechyliła, a cała jej zawartość wysypała się na podłogę.

– O, nie... – jęknęła. – Jaka ze mnie gapa...

– Proszę się nie martwić, ja posprzątam!

Kelner odstawił tacę na sąsiedni stół, ukucnął i zaczął zbierać rzeczy. A było tego mnóstwo: kosmetyki, perfumy, szaszetki, klucze, szczotka do włosów, etui na okulary, długopisy, paczka chusteczek, breloczki, cukierki, gumy do żucia i batoniki – aż dziw, że w tak niewielkim wnętrzu pomieściło się tego aż tyle.

Kładł rzeczy na stoliku, a Klara umieszczała je z powrotem w torebce. Kiedy podał jej ostatni drobiazg i podniósł się z kłęczek, zaczęła mu wylewnie dziękować.

– Jak to miło z pana strony, naprawdę – mówiła. – Przepraszam, że musiał się pan fatygować.

– Ależ to drobiazg – powiedział chłopak, stawiając przed nią szklanę z plasterkiem cytryny i małą butelkę wody. – Czy mogę jeszcze coś zaproponować?

– Na razie dziękuję – uśmiechnęła się Klara. – Ale proszę zostawić kartę, przejrzę ją i się namyślę.

Chłopak odszedł. Klara odczekała chwilę, po czym podniosła rękę i kiwnęła na obsługującą sąsiednie stoliki kelnerkę.

– Czy mam poprosić kolegę, który panią obsługuje? – zapytała dziewczyna z uśmiechem.

Klara pokręciła przecząco głową.

– No właśnie o tego kolegę chodzi – powiedziała, ścisząc głos. – Zdaje się, że mnie okradł.

– Proszę siadać. – Banach podsunął Gai krzesło, a sam wrócił za biurko i opadł na czarny skórzany fotel, w którym jego drobna sylwetka wydawała się jeszcze szczuplejsza i bardziej chłopięca niż w rzeczywistości. – No i nie udało się pani odnaleźć mojej siostry na czas – powiedział gorzko.

– To prawda – przyznała Gaja. – Ale dalej pracujemy nad sprawą.

– Nie rozumiem. Monika nie żyje. Co tutaj więcej można zrobić?

Od wejścia do gabinetu Gaja uważnie obserwowała mężczyznę. Na pewno był zdenerwowany. Jego dłonie drżały lekko, prawie niezauważalnie, był błady i miał rozbiegane spojrzenie. Pytanie, czy tak przeżywał śmierć siostry, czy po prostu się bał.

– Dowiedzieć się, kto ją zabił – odpowiedziała Gaja spokojnie.

– No cóż... – Banach potarł dłońią policzek. – Jeżeli pani liczy, że się dołożę do pani honorarium, to muszę panią rozczarować. Nie dysponuję wolnymi środkami. Zresztą chyba lepiej zostawić tę sprawę profesjonalistom. Dochodzenie prowadzi policja i uważam, że to wystarczy.

– Ciekawe, że poruszył pan wątek pieniędzy – podchwyciła Gaja.

W tym momencie rozległo się energiczne pukanie do drzwi i do pokoju zajrzała ta sama dziewczyna, która ją tu przyprowadziła.

– Szefie, mogę prosić na chwilę? – Była wyraźnie zdenerwowana.

– Przecież widzisz, że jestem zajęty – odpowiedział z wahaniem, tak jakby zastanawiał się, czy woli dalszą rozmowę z Gają, czy nieznaną problem poza gabinetem. – Co się takiego stało?

– Klientka się awanturuje, że została okradziona.

– Okradziona? U nas w lokalu?

– Tak. I chce się widzieć z właścicielem, inaczej wezwie policję.

Banach podniósł się z miejsca.

– Tak jakbym miał mało problemów. Zaraz wracam – rzucił do Gai zirytowany i wyszedł z gabinetu.

ROZDZIAŁ 51

Klara uwielbiała być w centrum zainteresowania. A teraz była w samiułkim centrum, i to w bardzo dosłownym sensie. Dookoła jej stolika zebrał się prawie cały personel restauracji, na czele z bladym z nerwów kelnerem, którego dziesięć minut wcześniej bezczelnie oskarżyła o kradzież.

– Proszę pani, naprawdę nic nie wzięłem – mówił drżącym głosem. – Przysięgam! Niech pani sprawdzi jeszcze raz.

– Ależ bardzo proszę. – Klara z rozmachem wysypała zawartość torebki na stół. – Możesz sam przeszukać. Portfel z czerwonej skóry. W środku moje dokumenty, karty kredytowe i trzysta złotych gotówką.

Wszyscy zgromadzeni w napięciu przyglądali się, jak chłopak przerzuca drżącymi rękoma rzeczy leżące na stole.

– A jest pani pewna, że miała ten portfel przy sobie? – zapytała jedna z kelnerek.

Klara popatrzyła na nią niechętnie.

– Przepraszam, czy ja wyglądam na osobę z demencją? – prychnęła. – No chyba że pani sugeruje, że kłamię? – W jej głosie zabrzmiały ostre nuty. – To już jest skandal. Nie dość, że zostałam okradziona, to jeszcze próbuje mi się wmawiać, że jestem oszustką! Żądam rozmowy z właścicielem tego miejsca! Natychmiast. Inaczej będę zmuszona zadzwonić na policję!

Włożyła w to przedstawienie cały swój aktorski talent i rzeczywistość, efekt był piorunujący, bo chwilę później na sali pojawił się Banach. Pracownicy rozstąpili się przed nim, dopuszczając do stołu, przy którym siedziała Klara.

Banach obrzucił nieuważnym wzrokiem porozrzucane na obrusie drobiazgi, zdenerwowanego kelnera i samą Klarę, której na szczęście nie rozpoznał.

– Podobno zarzuca pani mojemu personelowi kradzież?

Poprawiła zjeżdżające z nosa okulary.

– Owszem. Miała miejsce bardzo nieprzyjemna sytuacja...

Zaczęła opowiadać przebieg zdarzenia najbardziej szczegółowo, jak się dało.

Mężczyzna na początku słuchał nawet z zainteresowaniem, ale po pięciu minutach zaczął nerwowo bębnić palcami po stole.

– Nie musi mi pani wymieniać tych wszystkich rzeczy, które miała pani w torebce – przerwał jej w pewnym momencie. Był już wyraźnie u szczytu wytrzymałości.

– Jest pan dla mnie bardzo niemiły – zwróciła mu uwagę Klara. – Żądam przeprosin. Oraz zwrotu mojej własności. Proszę go przeszukać. – Wskazała głową kelnera. – A jeżeli pan sobie z tym nie potrafi poradzić, proszę wezwać policję. Ja poczekam.

Banach miał już dosyć.

– Prawda jest taka – zaczął – że mamy pani słowo przeciwko słowu mojego pracownika. Jego znam, pani nie znam. I jeżeli mam być szczerzy, to bardziej wierzę jemu niż pani.

Klara, choć cała historia była jedną wielką ściemą, naprawdę poczuła się urażona.

– Skandal! – powiedziała ze złością i gwałtownie podniosła się z miejsca.

Zbyt gwałtownie. Klamra przytrzymująca kok puściła i wspaniałe rude włosy opadły jej na ramiona niepokromioną falą.

„Jasna cholera”, pomyślała.

Banach zamrugał.

– Moment... – powiedział wolno. – Czy my się skądś nie znamy?

Klara zaprzeczyła ruchem głowy, ale było już za późno. Proces skojarzeniowy w głowie Banacha ruszył pełną parą.

– No oczywiście! – warknęła. – Była pani u mnie z tą drugą... O kurwa! – I wybiegł z sali.

Kiedy tylko Banach wyszedł ze swojego gabinetu, Gaja poderwała się z krzesła. Miała mało czasu, więc musiała go dobrze wykorzystać. Przeszła na drugą stronę biurka i rozejrzała się. Tak jak myślała, Banach nie wziął ze sobą komórki. Leżała na blacie, ciemna i martwa. Ale był na to prosty sposób. Gaja wyciągnęła swój telefon i wybrała numer. Dwie sekundy później komórka Banacha ożyła, a na ekranie pojawił się napis „detektywka”. Doceniła feminatyw i odebrała rozmowę tylko po to, żeby natychmiast ją odrzucić. Jednak dzięki temu trikowi telefon stanął przed nią otworem. A przynajmniej tak jej się wydawało. Bo kiedy chciała wejść w rejestr połączeń, zażądał od niej odcisku palca.

– Cholera jasna! – zdenerwowała się.

I co teraz? Przychodząc tutaj, nie miała sprecyzowanego planu. Liczyła, że uda jej się sprawdzić telefon, choć przecież Banach równie dobrze mógł go zabrać ze sobą. Grzebanie w papierach nie miało sensu – żeby się zorientować w dokumentach, potrzebowałyby kilku dni oraz pomocy księgowego. Komputer?

Poruszyła myszką i na ekranie otworzyła się ostatnia używana przez Banacha strona, czyli Facebook. Akurat fejs Gai nie interesował – Banach miał publiczną stronę i równie dobrze mogła ją przejrzeć u siebie. Weszła więc w Google i otworzyła historię przeglądania.

– Wow! – wyszeptała. – Ale czad!

Chwyliła swoją komórkę, jednak nie zdążyła zrobić zdjęcia, bo w tym momencie gwałtownie otworzyły się drzwi i do gabinetu wpadł Banach.

– Wiedziałem! – wrzasnął. – Wiedziałem, że coś kombinujecie!

Był naprawdę wściekły.

Gaja nie widziała nikogo tak wkurzonego od... właściwie od wczoraj, bo kiedy Lewin dowiedział się, że były z Klarą u Głowackiego, wyglądał podobnie.

– Proszę odejść od mojego komputera! Proszę się stąd wynosić! – Banach, czerwony na twarzy, cały się trząsał.

Kiedy nie zareagowała, ruszył w jej kierunku i przez chwilę przestraszyła się, że chce ją odepchnąć. Odsunęła się więc od biurka, ale wynosić się z pokoju nie zamierzała.

Mężczyzna dopadł do komputera i zaczął gorączkowo sprawdzać jego zawartość.

– Czego tu szukałaś?! – krzyknął.

– Dowodów na to, że zabił pan siostrę – wyjaśniła.

Opadł na fotel i patrzył na nią z przerażeniem i odrazą.

– To jest chore – stwierdził, kręcąc głową z niedowierzaniem. – Jak mógłbym ją zabić?

– Jak, to się dowiemy, kiedy policja ujawni wyniki sekcji – zauważyła Klara, stając w otwartych drzwiach.

Na jej widok Banach aż jęknął.

– Jeszcze ta tutaj! Nie mam siły, naprawdę... – ukrył twarz w dłoniach. – Idźcie sobie – powiedział stłumionym głosem. – To nie jest dobry moment na takie zabawy.

– To nie jest zabawa – odpowiedziała Gaja. – Na pewno nie po tym, co znalazłam w pana komputerze.

Banach wyprostował się gwałtownie.

– No ciekawe – warknął. – Co niby?

– Miał pan wpisaną w wyszukiwarkę następującą frazę: „Po jakim czasie od zaginięcia osobę można uznać za zmarłą?” – odpowiedziała Gaja triumfalnie.

Banach przeczesał palcami włosy.

– I co z tego? – spytał, autentycznie zdziwiony.

– To z tego, że restauracja miała problemy finansowe. Siostrze, która włożyła w to miejsce sporo kasy, to się najwyraźniej nie podobało. Przez pana straciła sporo pieniędzy. Może zagroziła, że sprzeda swoje udziały komuś, kto będzie mniej pobłażliwy dla pana niekompetencji? Albo odwrotnie, chciała pana wyrzucić z tego biznesu? – zastanawiała się głośno Gaja.

A Klara dodała:

– No i okłamał nas pan. Twierdził pan, że nie widział siostry od kilku dni. A my jesteśmy pewne, że był pan u niej w wieczór przed jej zniknięciem. Znalazłam w jej lodówce tatarą z tej knajpy, musiał go pan wtedy przywieźć. I dlatego panu nie wierzymy – zakończyła.

Banach siedział przy biurku, patrząc to na Gaję, to na Klarę, a w jego oczach narastało przerażenie.

– Wyście powariowały – jęknął. – Serio. Co to za idiotyczna teoria! To wszystko jest tak głupie, że nawet nie mam wam siły tłumaczyć.

– W sumie nie musi pan – oświadczyła łaskawie Gaja. – Po co gadać dwa razy. Wystarczy, że wytłumaczy pan policji.

Banach nie wytrzymał i z całej siły uderzył otwartą dłonią w blat biurka. Zrobił to tak mocno, że się aż skrzywił z bólu.

– Dostyc tego – wycodził. – Wczoraj dowiedziałem się o śmierci mojej siostry. To dla mnie wstrząs, jestem w naprawdę kiepskim stanie. A wy macie chelność przychodzić tutaj i zarzucać mi, że ją zabiłem, bo w jej lodówce był tatar? Powinni wam zabrać te licencje czy co wy tam macie, detektywki od siedmiu boleści.

Gaja poczuła się jego wywodem dotknięta.

– To po co była panu informacja, kiedy można osobę zaginioną uznać za martwą? Słucham?

– Naprawdę, nie chce mi się z wami gadać – westchnął. – Jesteście kompletnie na bakier z logiką, ot co. No i niestety jesteście też na bakier z faktami. Wydaje wam się, że wszystko wiecie, a nie wiecie nic. Tak, owszem, restauracja ma problemy finansowe. I tak, to była moja wina. Ale nie zrobiłem tego specjalnie, nie zdefraudowałem tych pieniędzy. To jest po prostu trudny i nieprzewidywalny biznes. I Monika świetnie sobie z tego zdawała sprawę.

– Tak? – spytała kpiącym tonem Gaja. – To dlaczego w takim razie się kłóciliście? O pieniądze? I to tak, że podobno się o mało nie pobiliście?

Banach przewrócił oczami.

– Chciałem sprzedać restaurację. Byłem podłamany. Czułem, że sobie nie radzę, miałem szczerze dość tej harówki. Uważałem, że powinniśmy się tego biznesu pozbyć. Monia na mnie nawrzeszczała strasznie, że jestem słaby, że jestem tchórz, że w siebie nie wierzę. I że na pewno dam radę, tylko muszę się jeszcze trochę przyłożyć. No i udało jej się mnie zmotywować. Poszedłem do znajomego, który już kiedyś mi proponował, że wejdzie w ten interes, i się dogadaliśmy. Rzeczywiście byłem u Moniki wieczorem przed jej zaginięciem. Tak, przyniosłem jej tatara, uwielbiała go. Ale nie przyjechałem po to, żeby się dalej kłócić, tylko żeby jej powiedzieć, że będę walczył. I że do restauracji wejdzie nowy inwestor. A potem ona zniknęła i cały mój plan legł w gruzach. Byliśmy współnikami, więc żeby zrobić cokolwiek z firmą, potrzebny był też jej podpis. Załamałem się. I tak, szukałem w internecie odpowiedzi na pytanie, po jak długim czasie można uznać osobę zaginioną za zmarłą. Ale to był raczej akt desperacji.

Klara i Gaja milczały. Niestety, to wszystko, co mówił, brzmiało sensownie.

Banach zaczął przeszukiwać stertę papierów leżącą na biurku, wyjął jeden z dokumentów i podał Gai.

– Co to? – spytała niechętnie.

– Porozumienie między mną a nowym inwestorem. Czyli dowód na to, że nie kłamię.

Gaja przebiegła dokument wzrokiem, po czym podała go Klarze. Obie były głęboko rozczarowane tym, czego się dowiedziały.

– No i ostatnia rzecz – odezwał się Banach. – Czy możecie mi wytłumaczyć, po jaką cholerę miałbym jej przed zamordowaniem wkładać suknię ślubną?

ROZDZIAŁ 52

Koło południa u Matyldy i Rafała pojawił się burmistrz Skorupski.

– No i proszę, ile miejsca! – ucieszył się, rozglądając się po pokoju. – Może by się nawet trzecie biurko zmieściło! Żarcik taki... I jak, pani Matyldo? Zadowolona pani z pomocnika?

Matylda uśmiechnęła się niepewnie.

– Bardzo – odpowiedziała, choć wcale nie była przekonana, czy to prawda. Wyczuła jednak, że szef oczekuje dokładnie takiej odpowiedzi. – Pracujemy razem nad nowym numerem i jestem pewna, że będzie dużo lepszy niż poprzedni.

– To wspaniale! Tak trzymać! – Burmistrz uniósł kciuk. – A ja przychodzę do pani z poleceniem. Bardzo smutna sprawa. – Pokręcił głową tak, jakby ciągle nie mógł uwierzyć w to, co się stało. – Potrzebujemy do biuletynu wspomnienia o Banach.

– Oczywiście – przytaknęła skwapliwie Matylda.

– Ważne, żeby podkreślić, że była ważnym filarem społeczności Milanówka. Aspekt promocyjny, rozumie pani, gdyby nas gdzieś cytowano. I proszę mi koniecznie pokazać materiał przed drukiem – zaznaczył Skorupski i wyszedł.

Ledwo zniknął za drzwiami, Rafał poderwał się z miejsca i włączył czajnik.

– Kawa! – powiedział, podekscytowany. – Z tą Banach to afera na całe miasto – ciągnął, wsypując neskę do kubków. – Co ja mówię! Na cały kraj! Jak myślisz, kto ją zabił? Ten wędkarz?

Matylda spojrzała na niego, zaskoczona.

– Nie pomyślałabym... Ciekawa koncepcja – przyznała.

– No wiesz, słucha się trochę tych podcastów kryminalnych. – Rafał puścił do niej oko. – Na przykład sprawcy podpaleń często wracają, żeby obejrzeć pożar. Nawet do kamery potrafią się wypowiadać. Taki typ lubi się tą swoją zbrodnią pochwalić. Może ten też?

– Może...

– A jak nie wędkarz, to mam drugi pomysł. – Mężczyzna postawił przed Matyldą kubek z kawą. – Kojarzysz film *Misery*? Fanka więzi pisarza i każe mu zmienić zakończenie książki? No więc kiedy Banach zniknęła, to tak sobie pomyślałem, że mógł ją porwać jakiś psychofan. Serio. A potem, jak odnaleziono zwłoki i się okazało, że ona była w sukni ślubnej, to pomyślałem: zakochany psychofan. Zamknął ją gdzieś, przetrzymywał, chciał ją zmusić, żeby za niego wyszła, ona nie chciała, więc z tej namiętności ją zabił. Niezłe, co?

– Tak, tak, bardzo ciekawe – powiedziała Matylda w zamyśleniu, bo ta jego teoria, kompletnie wydawałoby się szalona, z czymś jej się skojarzyła.

Otworzyła autorską stronę Banach na Facebooku i zaczęła przewijać posty.

– Popatrz! – Odwróciła monitor w kierunku Rafała. – To jest spotkanie w Warszawie. Widzisz tego człowieka w muszce? Był też na spotkaniu w naszej milanowskiej bibliotece, dosłownie kilka dni wcześniej. Zupełnie, jakby za nią jeździł.

Rafałowi wystarczył jeden rzut oka.

– Wygląda megadziwnie! – orzekł. – Może powinniśmy to zgłosić policji?

– Wolałabym to najpierw sprawdzić – zastrzegła Matylda. – Obecność na dwóch spotkaniach jeszcze nie kwalifikuje do bycia psychofanem.

– To co, przeczesujemy social media? – ożywił się Rafał.

„Nęcące”, pomyślała Matylda. Ale ponieważ termin oddania biuletynu do druku zbliżał się wielkimi krokami, poczucie odpowiedzialności zwyciężyło.

– My nie. Ale mam pomysł, kto mógłby to zrobić.

I po raz kolejny tego dnia wybrała numer Gai.

W Green Caffè Nero przy placu Unii było pustawo. Wzięły po kawie i kawałku tarty cytrynowej i zapadły w wysokie, wygodne fotele w rogu sali. Z głośników leciała jakaś leniwa, senna muzyka, ale z każdym otwarciem drzwi do środka wdzierał się uliczny hałas i pobrzękiwanie szyn tramwajowych. Przez szybę widziały zaaferowanych, spieszących chodnikiem ludzi...

Im nigdzie się nie spieszyło, niestety.

Klara upiła łyk kawy i odstawiła filiżankę na spodek.

– I co robimy? Bo szczerze mówiąc, ja jakoś nie widzę dla nas pola do popisu. Żarło, żarło i zdechło. Przynajmniej kawa dobra, to tyle.

W jej głosie pojawiła się silna nuta pretensji, a Gaja po raz nie wiadomo który zaczęła się zastanawiać, jak to możliwe, że od miesiąca widują się prawie codziennie i jeszcze jej nie udusiła.

– Musimy sobie wszystko na spokojnie przeanalizować – powiedziała, na co Klara zrobiła zde gustowaną minę.

– Wolałabym działać – powiedziała z wyrzutem.

– Posłuchaj, nasza praca nie polega tylko na bieganiu po mieście – uświadomiła jej Gaja. – Czasami trzeba też skorzystać z małych szarych komórek mózgowych. Przynajmniej tak twierdzi Poirot.

– Kto?

– Przecież czytałaś *Morderstwo w Orient Expressie*. Pożyczyłam ci.

– A, ten mały wąsaty. Naprawdę uważasz, że jest moim idolem?

Telefon Klary brzęknął sygnałem ememesa. Rzuciła okiem na zdjęcie, które przyszło, i przewróciła oczyma.

– Podoba ci się? – spytała, podsuwając Gai pod nos fotkę ślubnej sukni, za którą każda księżniczka Disneya oddałaby nerkę.

– Jęku, co to? – zdziwiła się Gaja. – O czymś nie wiem?

– Wczoraj się zaręczyłam i moja matka zaczyna świrować – wyjaśniła Klara. – Biega po salonach i szuka dla mnie sukni.

– Wspaniale! Gratuluję! – Gaja nachyliła się do Klary i cmoknęła ją w policzek. – Gdzie masz pierścionek?

– W domu. – Machnęła ręką. – Trochę za duży, nie chcę go zgubić.

– Jasne. Zresztą pierścionek nie jest najważniejszy. Powiedziałaś „tak” i to się liczy. Bardzo się cieszę. Nikodem wydaje się całkiem w porządku.

– Po pierwsze „wydaje się” jest absolutnie adekwatnym określeniem – stwierdziła Klara. – A po drugie to nie Nikodem mi się oświadczył.

Gaja patrzyła na Klarę zdezorientowana.

– Nic nie rozumiem, ale może nie muszę.

– Wy tłumaczę ci kiedyś. A teraz dawaj, uruchommy te nasze szare komórki.

Gaja poprawiła się w fotelu, a jej wzrok powędrował w stronę okna. W ogródku kawiarni, w pierwszym wiosennym słońcu siedziało kilka osób. Jakiś mężczyzna opierał się plecami o szybę, przyciskając do niej kompletnie łysą głowę. Gaja patrzyła zafascynowana na fałdy skóry regularnie ułożone między jego czaszką a szyją. Wzdrygnęła się. Nie dość, że nie wyglądało to dobrze, to jeszcze przypominało jej wiadomo kogo.

– Przede wszystkim – zaczęła – zaginięcie Banach i jej śmierć to dwie różne historie. Swoje zniknięcie wymyśliła i zorganizowała sama i nikt poza agentką nie wiedział, gdzie jest. Co nam drastycznie ogranicza pole manewru, jeśli chodzi o podejrzanych. Bo skoro wykluczyliśmy Wojtkę, to na placu boju zostaje tylko Ewelina.

– A jesteś pewna, że to nie ona?

– Nie jest głupia. Banach była jej najlepszą autorką.

– No chyba że miała inny motyw niż finansowy. Zazdrość na przykład? – zastanawiała się Klara. – Bo wiesz, ta ślubna suknia mnie intryguje. To sugeruje jakieś uczucie, namiętność... Może zdradę?

– Jesteś chyba jedyną osobą na świecie, której się suknia ślubna kojarzy ze zdradą – zauważyła Gaja. – A jeśli chodzi o Ewelinę, to ja bym ją wyeliminowała z jeszcze jednego powodu – płaci nam za znalezienie zabójcy.

– Czyli ktoś obcy? Zupełnie przypadkowy? – podrzuciła Klara.

– Tylko że wtedy znowu wraca pytanie o suknię. Ona musi mieć związek z tą zbrodnią, a to wyklucza przypadkowość. O ile oczywiście nie mamy do czynienia z seryjnym mordercą panien młodych.

– I to jest argument, żeby pod żadnym pozorem nie wychodzić za męża. – Klara zachichotała.

Klik. Na jej komórkę znowu przyszedł esemes.

– Ciekawe, co za cudo tym razem – westchnęła.

Ale wiadomość nie była od matki, tylko od Matyldy.

– „Czy z Gają wszystko w porządku?” – przeczytała. – „Nie mogę się do niej dodzwonić. Odezwijcie się”.

Gaja sięgnęła po swój telefon. Oczywiście, od czasu wizyty u Banacha był ściszony i teraz czerwone cyferki nieodebranych połączeń i esemesów mrugały do niej natarczywie z ekranu.

Oddzwoniła natychmiast.

Matylda odebrała po pierwszym sygnale.

– Boże, nareszcie! Tak strasznie się martwiłam! Mów, jak się czujesz? I co z tym Głowackim? – W jej głosie czuć było jednocześnie napięcie i ulgę.

– Wszystko w porządku – uspokoiła ją Gaja. – Opowiem, jak wrócę.

– No właśnie, kiedy będziesz? Bo Maciek nie wie, czy wyprowadzać psa drugi raz.

– Niech wyprowadzi – poprosiła Gaja, która rano wepchnęła mężowi Matyldy swoje klucze i uprosiła go, żeby pod jej nieobecność zajął się Brunem. – My jeszcze jesteśmy z Klarą w Warszawie i próbujemy ustalić, co dalej. Aha, wcześniej sprawdziliśmy brata Banach, to nie on. Więc szukamy nowego punktu zaczepienia...

– No właśnie ja też z tym dzwonię! – zreflektowała się Matyllda. – Myśmy się tutaj zastanawiali z Rafałem...

– Z Rafałem? – zdziwiła się Gaja. – Kto to Rafał?

– Nowy kolega z pracy. – Matyllda ściszyła głos. – Nieważne. Chodzi o to, że Banach była bardzo znaną pisarką. A znani pisarze miewają psychofanów...

ROZDZIAŁ 53

Gaja bardzo nie lubiła poruszać się swoim samochodem po Warszawie, zwłaszcza w godzinach szczytu. Land rover miał wiele zalet, ale z całą pewnością nie był autem stworzonym do parkowania w zatłoczonym mieście.

A jednak tym razem miały wyjątkowe szczęście – kiedy podjechały pod wydawnictwo, z ciasnego rzędu samochodów ustawionych obok siebie na chodniku właśnie wycofał się taki sam land rover jak Gai, nawet z identycznym rzędem reflektorów na dachu, tylko czarny, i odjechał w stronę centrum.

– Powiem ci, że to jednak nie jest ładne auto – stwierdziła Klara. – Wielkie i toporne. Wygląda normalnie jak czołg.

Gaja wzruszyła ramionami i zaparkowała swój samochód na świeżo zwolnionym miejscu.

– Nie mój wybór – wyjaśniła. – Dostałam w prezencie od Artura.

– Hmm. – Klara posłała jej uważne spojrzenie. – To dlaczego jeszcze się go nie pozbyłaś?

– Zabroniła mi moja prawniczka. Ale masz rację, jak tylko będę mogła, to je sprzedam.

Ta krótka wymiana zdań uświadomiła Gai, że nadciągają dalsze zmiany. I że dobrze by się było do nich przygotować.

Kiedy tylko przekroczyły próg wydawnictwa Seryjne, poczuły, jak bardzo zmieniła się atmosfera tego miejsca. Fotografia Moniki Banach, wisząca naprzeciwko wejścia, została przewiązana szeroką czarną wstążką, przez co autorzy sportretowani na sąsiednich zdjęciach jakby posmutnieli. Dziewczyna siedząca w recepcji, poprzednio ubrana w jakieś bajecznie kolorowe ciuchy, dziś miała na sobie czarną workowatą sukienkę, a na ładzie, w wysokim, prostym wazonie, stał bukiet białych kalii.

– Bosz... – jęknęła Klara. – Co oni tu mają? Wystawienie zwłok?

– Daj spokój. Stracili swoją najbardziej rozpoznawalną autorkę. Mają prawo do żałoby.

– Chcesz powiedzieć, że oplakują Banach, nie utracone zyski? – Klara nonszalanckim krokiem podeszła do recepcjonistki.

– Chciałyśmy się zobaczyć z panem Wójcickim – powiedziała.

– Panie były umówione? – spytała recepcjonistka.

– Próbowałyśmy się dodzwonić, ale cały czas mieliście zajęte. – W głosie Klary zabrzmiała pretensja.

– Agencja Detektywistyczna Czajka. – Do rozmowy włączyła się Gaja. – To jest dość pilna sprawa, związana ze śmiercią pani Banach. Proszę mu dać znać, że jesteśmy. Może znajdzie chwilę.

– Tyle że szefa nie ma – wyjaśniła recepcjonistka. – Musiał wyskoczyć na chwilę na miasto. Wróci za pół godziny. Jeżeli mogą panie poczekać...

Gaja nachyliła się do dziewczyny.

– Możemy, ale nie musimy, jeżeli nam pani pomoże. Czy wydawnictwo ma jakieś archiwum? Chodzi mi o zdjęcia ze spotkań autorskich, festiwali literackich, targów książki...

Dziewczyna pokręciła przecząco głową.

– Archiwum papierowego nie mamy. Ale cyfrowe jak najbardziej. Wszystkie fotki, i te oficjalne, i te prywatne, lądują u Ewy. To ona się u nas zajmuje promocją i social mediami.

– Dokładnie o to mi chodziło. A jest teraz w pracy?

– Jest. Ale na spotkanie musi wyrazić zgodę pan Kamil – ostudziła ich zapał recepcjonistka.

– No to co za problem? – zdziwiła się Klara. – Niech pani do niego zadzwoni!

Dziewczyna podniosła słuchawkę telefonu. Gaja przyglądała się zafascynowana jej przypominającym szpony, krwistoczerwonym paznokciom, które w połączeniu z czarną sukienką wyglądały dziwnie niepokojąco.

Rozmowa recepcjonistki z Wójcickim trwała zaskakująco krótko.

– Załatwione – powiedziała, odkładając słuchawkę. – Proszę za mną.

Ewa, z którą miały rozmawiać, zajmowała jedno z biurek ustawionych w dużym, jasnym pomieszczeniu, zaadaptowanym na open space. Recepcjonistka zaprowadziła je do oddzielnego niskim przepierzeniem boksu, w którym siedziała szczupła, blada dziewczyna w okularach, w zawrotnym tempie uderzając w klawisze.

– Masz chwilę? – zwróciła się do niej recepcjonistka. – Panie chcą ci zadać kilka pytań na temat Moniki. Szef wie.

Dziewczyna przerwała pisanie, zdjęła okulary i potarła palcami nasadę nosa.

– Co chcecie wiedzieć i w jakim celu? – zapytała rzeczowo.

– Prowadzimy śledztwo w sprawie śmierci pani Banach. – Gaja zdążyła się już nauczyć, że zwrot „prowadzimy śledztwo”, sugerujący, że reprezentują raczej policję niż agencję detektywistyczną, bardzo ułatwia życie. – Próbujemy zlokalizować człowieka, który się przy niej kręcił. Chciałybyśmy przejrzeć zdjęcia z państwa archiwum.

Dziewczyna skinęła głową, a jej palce znowu zatańczyły na klawiaturze. Po chwili na ekranie pojawił się folder „Monika Banach”.

– Z jakiego okresu?

– Ostatnie dwa lata – zdecydowała Gaja.

– Moment... to będzie szesnaście imprez. Dziesięć spotkań autorskich w bibliotekach, reszta to festiwale i promocje książek.

– Nawet nie tak dużo – zauważyła Klara.

– Monika miała taki system, że kiedy pisała, to ograniczała inne działania. Nie jeździła nigdzie, tylko siedziała w domu przy komputerze. Dopiero kiedy kończyła książkę, ruszała w trasę. Ostatnie spotkanie odbyło się w grudniu w Stalowej Woli. Potem Monika usiadła do pisania najnowszej powieści. Skończyła w kwietniu, następne terminy miała zarezerwowane na połowę maja.

Kobieta kliknęła w folder i na ekranie pojawiła się mozaika kilkudziesięciu fotografii.

– Najczęściej dostajemy zdjęcia od organizatorów. Do mediów społecznościowych wybieramy kilka, reszta zostaje w archiwum. Wygląda, że jest tego sporo, ale to w większości podobne ujęcia. Poczekajcie, puszczę was tutaj.

Dziewczyna wstała z fotela, a na jej miejsce wśliznęła się Gaja. Klara przewiesiła się nad nią, żeby lepiej widzieć.

– Gdybyście czegoś potrzebowały, będę w kuchni. To na końcu tamtego korytarza. – Ewa machnęła ręką, wskazując kierunek. – Kończycie jeden folder, wychodzicie z niego i otwieracie następny. Powodzenia!

I wyszła, zostawiając je w otoczeniu czytelniczek i czytelników miejskiej biblioteki w Stalowej Woli.

– Kogo my właściwie szukamy? – spytała Klara, kiedy zostały same.

Gaja otworzyła na telefonie zdjęcie przesłane przez Matyldę. Postawny, lekko otyły mężczyzna, który się na nim znajdował, charakteryzował się nienagannym, odrobinę staroświeckim wyglądem. Pomyślała, że nie będzie trudno go zlokalizować.

– Weź, kto teraz nosi muchę? – Klara powiększyła obraz na telefonie. – Dziwny typ. Ale jak na moje oko nieszkodliwy.

– Uważasz, że morderca powinien mieć zaplamione krwią ubranie? – zdziwiła się Gaja.

– Nie, raczej krzaczaste brwi i niskie czoło.

– Słucham?

– Teoria atawizmu Lombroso. Gdzieś czytałam. Dobra, nieważne. Sprawdzamy.

Na początku przeszukiwanie wzrokiem zdjęć, jednego za drugim, było nawet zabawne – Klara czuła się jak pies policyjny, który próbuje złapać trop. Ale po jakichś stu fotkach zaczęła mieć dosyć.

– Muszę do kibelka – oznajmiła. – Zaraz wracam.

Wyszła z boksu i ruszyła w kierunku korytarza, po chwili orientując się, że właściwie nie ma pojęcia, w którą stronę ma się skierować.

– Hej, gdzie tu jest łazienka? – zapytała siedzącą najbliżej dziewczynę, która w szalonym tempie, nie patrząc na klawiaturę, przepisywała jakiś maszynopis.

Dziewczyna wstukała jeszcze kilka słów, po czym oderwała wzrok od kartki z tekstem i przeniosła go na Klarę.

– O co chodzi? – spytała, jakby zdziwiona tym, że Klara nie jest pokryta literkami.

– Możesz mi pokazać, gdzie jest łazienka?

– Och, oczywiście! Łazienka jest tam. – Okręciła się gwałtownie, żeby wskazać Klarze kierunek, w tym momencie oparcie krzesła zahaczyło o brzeg maszynopisu i nagle cały stos kartek wylądował na ziemi.

– Niezły bajzel – podsumowała Klara, patrząc na rozsypane arkusze, zaściewające podłogę. – Czekaj, pomogę ci!

Ukucnęła z pewnym trudem, bo spódnica, którą miała na sobie, była naprawdę wąska, i zaczęła zbierać kartki. Zorientowała się szybko, że ma w ręku wydruk jakiejś książki z naniesionymi na tekst ręcznymi dopiskami. Kolejna strona, którą wzięła do ręki, okazała się stroną tytułową.

– Monika Banach *Gra pozorów* – przeczytała, zaskoczona. – Zaraz, moment, czyli to jest...

– Pani Klara, prawda? – usłyszała za sobą męski głos.

Odwróciła się. Tuż za nią stał Kamil Wójcicki. Wyglądał identycznie jak poprzednim razem – czarne spodnie, czarny golf, teraz miał jeszcze na sobie krótki czarny płaszcz – ale w jego wzroku nie czaiło się już to ożywione zainteresowanie, co wtedy. Miał spojrzenie zmęczone i puste.

– Dostałyście te materiały, o które wam chodziło?

– Tak, koleżanka właśnie je przegląda. Czy to jest ta nowa książka Banach, którą właśnie skończyła pisać? – spytała, oddając mu kartki.

– Tak. To miał być pierwszy tom serii, wstrząsające, że będzie jednocześnie ostatnim.

Pogładził papier czułym gestem, który wydał się Klarze sztuczny i przesadzony. I nasunął oczywiste pytanie:

– Nie mają jej państwo w pliku?

Wójcicki odłożył kartki.

– Nie. Monika miała taki zwyczaj, że po skończeniu książki drukowała ją, nanosiła poprawki na papier i potem wprowadzała je do komputera. Dopiero na koniec wysyłała plik do nas. Tym razem nie zdążyła... A ponieważ policja zajęła jej komputer i nawet agentka nie ma do niego dostępu, przepisujemy z wydruku. Chcemy to jak najszybciej wydać, to będzie rodzaj hołdu dla Moniki.

Klara pomyślała, że raczej nie chodzi o hołd, tylko o wyniki sprzedaży, ale – co rzadko jej się zdarzało – ugryzła się w język.

Wójcicki pochylił się nad maszynistką.

– Jak ci idzie?

– Dzisiaj powinnam skończyć – odpowiedziała dziewczyna, układając maszynopis tak, żeby się zgadzała kolejność stron.

– Świetnie. Uprzedzę grafika, że jutro dostanie tekst. Chcę mieć jak najszybciej projekt okładki – wyjaśnił Klarze. – A jak sytuacja ze śledztwem? Wiedzą panie coś więcej? Nam policja nie chce nic mówić.

– Nam też nie. – Klara wzruszyła ramionami. – Ale działamy. Te zdjęcia od państwa powinny pomóc.

– W jaki sposób? – zainteresował się Wójcicki.

– Bardzo możliwe, że Banach miała psychofana. Próbujemy go namierzyć. A teraz muszę do toalety, bo zaraz się normalnie posikam.

ROZDZIAŁ 54

Nie odstępował jej. Był na ośmiu z dziesięciu spotkań autorskich, znalazły go też na zdjęciach z Warszawskich Targów Książki, stojącego w kolejce po autograf. Gaja zebrała w jeden plik wszystkie fotografie, na których się znajdował, i wysłała go na adres Eweliny, agentki Banach. Zaraz potem do niej zadzwoniła.

– Mamy pewien trop – powiedziała. – Ale same nie damy rady pociągnąć go dalej. Masz na mejlu zdjęcia człowieka, który według nas miał na punkcie Banach obsesję. Tam są daty i miejsca, gdzie się pojawiał. Czy mogłabyś się skontaktować z policją, tymi śledczymi, którzy cię przesłuchiwali? Przekaż im te foty i poproś, żeby go spróbowali zidentyfikować. Bardzo możliwe, że to on jest zabójcą.

– Jasne – zgodziła się Ewelina. – Ale powiedz mi, skąd ten gość mógł wiedzieć, że ona jest w domku letnim? I jaki mógłby mieć motyw?

Gaja popatrzyła na stojącą kawałek dalej Klarę, opartą łokciami o parapet okna i zajęętą przeglądaniem Instagrama.

– Nie wiem – odpowiedziała szczerze. – I nie wiem. Ale to nie jest normalne, żeby jeździć za autorką po całej Polsce. Nawet jeżeli się kocha jej książki. Ten człowiek ewidentnie ją prześladował. A od prześladowania do przemocy rzut beretem.

Wyłączyła komputer i jeszcze przez chwilę siedziała, wpatrując się w czarny ekran.

Z jednej strony czuła satysfakcję, że trop, którym ruszyły, zaprowadził je w tak obiecujące miejsce. Ale była też zła, że nie dysponują odpowiednimi narzędziami, żeby doprowadzić tę sprawę do końca. Gdyby tylko miały dostęp do materiałów ze śledztwa... Gaja lubiła sprawczość, lubiła skuteczność. A tym razem czuła się bezsilna.

I nagle zdała sobie sprawę, że chociaż w kwestii psychofana Moniki Banach już nic więcej nie uda jej się zrobić, to istnieje pole, na którym może, a nawet powinna zadziałać. Pole tym ważniejsze, że prywatne.

Otworzyła wczorajszy ememes od Klary i przez chwilę wpatrywała się w nazwę jednej z pięciu firm, tak bardzo znajomą. Dość tego, postanowiła. Najwyższy czas przestać odsuwać od siebie ten temat. Najwyższy czas zacząć działać.

Wstała od komputera i podeszła do Klary.

– Koniec na dzisiaj – powiedziała. – Idziemy.

Klara oderwała się od parapetu.

– A może byśmy się pożegnały z Wójcickim? – spytała, chowając telefon do torebki.

Kiedy po dłuższej chwili kluczenia korytarzami wydawnictwa znalazły się wreszcie pod gabinetem naczelnego, poczuły się jak w Dniu Świstaka – ze środka dobiegały, dokładnie tak jak poprzednio, podniesione głosy, damski i męski. Spojrzały na siebie porozumiewawczo i zamiast zapukać, przysunęły się do drzwi, żeby jak najwięcej podsłuchać. Kłótnie potrafią być niebywale interesujące.

– Jak to już ci się skończyły środki? Przecież jeszcze niedawno mówiłeś, że reklama mojej książki to będzie największa kampania promocyjna w historii Seryjnego!

– I dalej to podtrzymuję. Przecież ci obiecałem, że zrobię z ciebie gwiazdę...

– Jak na razie robisz idiotkę!

– Nic nie rozumiesz! Muszę teraz wszystkie siły i środki zaangażować w książkę Moniki.

– Ona nie żyje!

– I właśnie dlatego.

– Nienawidzę jej!

– Tak jakbym nie wiedział...

– Wiesz, jak ja się czułam, kiedy mi odmówiła napisania blurba? Wiesz, jakie to było dla mnie upokorzenie? I w dodatku nazwała mnie grafomanką! Wielka mi pisarka. Nie potrafiła się pogodzić z tym, że już nie jest najważniejsza!

– Kaśka, uspokój się! Ona nie żyje! Wydamy szybko *Grę pozorów*, zarobimy wielkie pieniądze, a potem skupimy się już tylko na tobie. Obiecuję!

– Ty zawsze tylko obiecujesz!

– Jesteś niesprawiedliwa!

Awantura, sądząc po ilości decybeli, dalej eskalowała. Gaja położyła rękę na ramieniu Klary.

– Idziemy – szepnęła. – Jakoś nie mam ochoty się z nim widzieć.

Dzień, choć słoneczny, wcale nie był przesadnie ciepły. Wyszły z budynku wydawnictwa i zatrzymały się na chwilę, obserwując wyginające się na wietrze topole.

– Jedziesz ze mną do Milanówka? – spytała Gaja.

– Po co? – zdziwiła się Klara.

Gaja popatrzyła na nią zaskoczona.

– Pomyślmy... Bo tam mieszka twój chłopak?

– A, o to ci chodzi... – Klara roześmiała się beztrudnie. – No więc robimy sobie przerwę. Pomieszkam trochę u siebie i zobaczę, jak to się dalej będzie rozwijało. Albo związało.

– Czyli ty serio przyjechałaś oświadczyć kogoś innego? – Gaja patrzyła na Klarę z mieszaną zdegustowania i podziwu.

– Serio. Ale jak masz chwilę, to możesz mnie podrzucić do mnie do domu. Komunikacja miejska mnie frustruje.

Po drodze Gaja próbowała wydobyć z Klary historię zaręczyn, ale dziewczyna nie była specjalnie skora do rozmowy.

– Żebyś zrozumiała, o co chodzi, musiałabym ci opowiedzieć o moich rodzicach. A to by mnie wykończyło.

Przez chwilę milczały, każda pograżona we własnych myślach. Nagle Gaja, zupełnie nie wiedząc dlaczego, rzuciła:

– Idę dziś do Pawła na kolację.

Słowa zawisły w niewielkiej przestrzeni auta jak chmura zdezorientowanych komarów, a Gaja zdała sobie sprawę, że jak się tylko ogarną, zaczną kąsać. Wypuszczanie ich było ryzykownym zagranieniem.

Póki co Klara bardzo się ucieszyła.

– Nareszcie! Brawo! – Aż klasnęła. – Już myślałam, że nic z tego nie będzie. Dlaczego to tyle trwało?

– Nie ufam mu – wyznała Gaja. – Złamał mi serce. Zachował się jak dupek. Na razie tyle mi przychodzi do głowy.

– Bez przesady! – prychnęła Klara. – Ile to było? Dwadzieścia lat temu? On był młody i głupi, ty tak samo. Opuść mu! Zobaczysz, to może być jak w filmie, takie romantyczne! Pierwsza miłość, rozstanie, spotkanie po latach...

Chmara komarów obsiadła Gaję i zaczęła kąsać.

– Zwłaszcza że ja jeszcze nie mam rozwodu – zwróciła uwagę Klarze. – Romantyczne jak cholera.

– Dżizas, kobieto! – zirytowała się Klara. – A co ma rozwód z tym wspólnego? No chyba żebyś w ciąży zaszła, to wtedy może być problem prawny, jedna moja koleżanka tak miała. Wiesz, dziecko innego poczęte w trakcie trwania małżeństwa...

– Ty naprawdę jesteś szalona – stwierdziła z podziwem Gaja. – Ale nie bój się, w żadną ciążę nie zajdę – uspokoiła ją. – Nie mam macicy.

– Nie masz macicy? – Klarę zatkało. – Dlaczego nic nie mówiłaś?

– Bo to raczej nie jest temat do towarzyskiej konwersacji. Dzień dobry, jestem Gaja Stawska, nie mam macicy...

Klara przyglądała się Gai z coraz większym zainteresowaniem.

– A dlaczego nie masz?

– Bo mi ją wycięli. – Wzruszyła ramionami. – Razem z mięśniakiem. Rozrósł się tak, że trzeba go było usunąć, i macica też poleciała.

– Och, no to teraz kumam. Bo się zastanawiałam, dlaczego adoptowaliście Helenę. W sensie, które z was nie może.

– Myślisz stereotypami – wytknęła jej Gaja. – Nawet gdybym mogła mieć swoje, i tak bym adoptowała. Ja po prostu bardzo tego chciałam. Chciałam dać komuś samotnemu rodzinę, czyli to, co sama straciłam. Bo wiem, jakie to jest bolesne, nie mieć nikogo.

Gaja zamilkła, a Klara patrzyła na nią zafascynowana. Tłumaczenie, że Gaja adoptowała dziecko nie po to, żeby je mieć, tylko po to, żeby mu coś dać, trochę ją przerastało.

– Słuchaj, ale z tym brakiem macicy to niezła akcja. Nie dość, że się nie męczysz z miesięczką, to jeszcze się możesz bezkarnie bzykać – zauważyła, przenosząc rozmowę na swój ulubiony grunt. – Sama bym tak chciała!

Gaja zahamowała przed domem Klary.

– Pomyśl czasami, zanim coś powiesz – powiedziała łagodnie.

– Ty nie wiesz, co ja bym mówiła, gdybym nie myślała. Jak jutro? – spytała, kładąc dłoń na klamce.

– Nic. Odpoczywamy.

– Wolny weekend brzmi dziwnie – zauważyła Klara.

– Zgadzam się. Ale w sprawie Banach nie mamy już nic do roboty. Temat psychofana przekazałyśmy przez Ewelinę policji, nic więcej nie zdiagnozowałyśmy. A na poniedziałek coś wymyślę. Czekają dwie sprawy...

Kiedy Klara wysiadła, Gaja zawróciła i pojechała z powrotem w stronę centrum. Miała tam jeszcze jedną rzecz do załatwienia. Ważną.

ROZDZIAŁ 55

Budynek, przed którym się zatrzymała, robił wrażenie. Nowoczesna bryła, dwanaście pięter, przeszklona fasada – lokalizacja budząca zaufanie. Gaja odetchnęła głęboko i ruszyła w stronę wejścia.

Obrotowe drzwi wessały ją do wyłożonego beżowym marmurem, budzącego respekt holu. Naprzeciwko, pod ścianą, ciągnęła się długa lada recepcji z kilkoma stanowiskami obsługiwanymi przez ładne dziewczyny w identycznych czarnych kostiumach. Gaja wybrała tę, która na pierwszy rzut oka wyglądała na najbardziej zaaferowaną. Dawało to szansę, że nie będzie zadawać zbyt wielu pytań.

– Ja do Urban Cosmetics. Chciałam się zobaczyć z prezesem – powiedziała, opierając łokcie o chłodny kamień. Dziewczyna wybrała odpowiedni numer.

– Pani nazwisko? – rzuciła, przygotowując długopis.

– Gaja Stawska. Nie jestem umówiona, ale bardzo mi zależy na spotkaniu. Proszę powiedzieć, że znamy się z panem prezesem prywatnie.

Recepcjonistka obrzuciła ją zaciekawionym spojrzeniem, a potem zaczęła tłumaczyć komuś przez telefon całą sytuację.

– Moment – powiedziała do Gai, zasłaniając dłonią słuchawkę. – Sprawdzają. – I po chwili dodała, zaskoczona: – Tak, prezes się z panią spotka.

Urban Cosmetics zajmowało całe dziesiąte piętro. Po wyjściu z windy Gaja skierowała się do kolejnej lady recepcyjnej, za którą siedział klon dziewczyny z dołu i uśmiechał się do niej serdecznie.

– Pani Stawska? Bardzo proszę, pan prezes czeka.

Dziewczyna zaprowadziła ją przed imponujące, szerokie podwójne drzwi z matowego szkła, które zamiast klamki miały długie, metalowe uchwyty.

Nie zdążyła jednak za nie pociągnąć, bo w tym momencie jedno ze skrzydeł otworzyło się i stanął przed nią przysadzisty mężczyzna koło siedemdziesiątki, z grzywą przydługich siwych włosów i starannie wypielegnowaną brodą. Na widok Gai otworzył ramiona szerokim, trochę teatralnym gestem.

– Córeczko! Tak się cieszę, że cię widzę!

Chciał ją objąć, ale odruchowo się cofnęła.

– Ja też się cieszę, ojcze chrzestny – odpowiedziała, ale w jej głosie nie było ani wzruszenia, ani radości.

Pierwsze wspomnienie? Łąka nagrzana słońcem, koc rozłożony na trawie, a na nim, na tekturowych talerzach ćwiartki pieczonego kurczaka, w słoiku ogórki małosolne, termos z herbatą nalewaną do plastikowej zakrętki w kształcie kubka, tak gorącą, że parzyła wargi. Zapach mięsa mieszał się z zapachem kwitnącej koniczyzny i rumianku, a kiedy zawiewał wiatr, od strony zaparkowanych kilka metrów dalej samochodów nadlatywała ostra woń benzyny. Pamiętała śmiech matki, ojca pochylonego

nad mapą i chrzestnego, który łaskotał ją źdźbłem trawy po szyi. Jego syna nie zapamiętała. Może pobiegł nad płynący kawałek dalej strumień, żeby się wspinać na rosnące nad wodą drzewa?

Jechali wtedy na wakacje do Bułgarii. Gaja miała trzy lata, krótkie włosy i białą koszulkę w granatowe paski, była też bardzo pulchna, o czym nie pozwalało jej zapomnieć czarno-białe zdjęcie, stojące w ramce na regale ciotki Julii. Miała też wtedy poczucie totalnego bezpieczeństwa, które dawali jej rodzice i ojciec chrzestny.

Ich rodziny były nierozłączne. Spędzali razem wakacje, jadali niedzielne obiady, jeździli na wycieczki rowerowe, hucznie obchodzili urodziny Gai i imieniny dorosłych. Ojciec przyjaźnił się z Oskarem od studiów, potem przez kilka lat pracowali razem w jakimś państwowym zakładzie, aż w końcu Górski założył własną firmę, w której zatrudnił przyjaciela, i obaj bardzo dobrze na tym wyszli, bo dzięki talentowi biznesowemu Górskiego i chemicznemu ojca Gai coraz lepiej radzili sobie na rynku.

Tak, chrzestny przez siedemnaście lat był jednym z najważniejszych elementów jej życia. Po pożarze zaopiekował się nią, jakby była jego własną córką. Była mu wdzięczna, choć nie potrafiła tego ani nazwać, ani wyrazić. Garnęła się do ich rodziny w naturalny sposób, nie spodziewając się katastrofy. A potem nagle... Decyzja chrzestnego o wysłaniu Pawła na studia za granicę wstrząsnęła jej światem. Kolejny dramat w tak krótkim czasie prawie zmiotł ją z powierzchni ziemi. To, że nic sobie nie zrobiła, było tylko i wyłącznie zasługą ciotki Julii. Został jej ogromny żal do Pawła i chyba jeszcze większy do jego ojca.

Od tamtej pory widywali się sporadycznie. Wuj Oskar na początku próbował utrzymywać z Gają kontakt. Pomagał finansowo, pamiętał o urodzinach, kupował prezenty. Jednak czując z jej strony niechęć i chłód, w końcu przestał zabiegać o tę relację. Gdyby nie wizyta w kamienicy na Kruczej i lista firm, którą Gaja otrzymała od Klary, do tego spotkania by nie doszło.

Siedział naprzeciwko niej na nowoczesnej szaro-żółtej kanapie i nie spuszczał wzroku z chrześnicy. Bardzo źle się z tym czuła.

– To ile to już będzie? – spytał. – Jedenaście lat? Dwanaście?

– Trzynaście – poprawiła go. – Ostatni raz widzieliśmy się na pierwszych urodzinach Heleny.

Znowu przez chwilę nic nie mówili.

– Nie chce mi się wierzyć – westchnął. – Ten czas za szybko leci. Co u ciebie? Jak w pracy? Jak z Arturem?

Przez chwilę korciło ją, żeby udawać, że wszystko jest w najlepszym porządku. Ale ponieważ chciała się od niego dowiedzieć prawdy, nie mogła sama kłamać.

– Rozstaliśmy się miesiąc temu.

Posmutniał.

– Przykro mi. Bardzo mi przykro. Jest jakaś szansa, że się jeszcze zejdziecie?

Pokręciła przecząco głową.

– Zdradził mnie.

– To może jeszcze nie wszystko stracone? Znam małżeństwa, które sobie wybaczyły zdradę. – Choć akurat tego małżeństwo nie było tego przykładem.

Ale Gaja nie przyszła tutaj, żeby rozmawiać o związkach. Wyjęła z portfela prawo jazdy ojca i podała Górskiemu.

– Poznajesz?

Chrzestny wziął od niej dokument, otworzył go i na widok zdjęcia przyjaciela pokręcił z niedowierzaniem głową.

– Prawo jazdy Janka... – powiedział miękko. – Pamiętam, jak zdawał egzamin. Trzy razy oblał plac manewrowy. Instruktor nie mógł już na niego patrzeć i w końcu za czwartym razem przepuścił z litości. Potem całe życie miał kłopoty z parkowaniem. Pewnie przez te okulary. Wyczucie odległości nie to.

Gaja przez chwilę dała się uwieść tej historii. Natychmiast stanęły jej przed oczami sytuacje, kiedy ojciec próbował zmieścić auto między innymi, ustawionymi zbyt blisko siebie, w końcu wysiadł i zamieniał się z matką, a ona kilkoma ruchami kierownicy umieszczała samochód w dowolnym miejscu.

– Tylko nie rozumiem, dlaczego mi to pokazujesz? – spytał.

– Jakiś człowiek znalazł je w kamienicy przy Kruczej trzynaście... – zawiesiła głos.

Górski zaczął pocierać czoło, jakby chciał zmobilizować komórki mózgowe do szybszego działania.

– Na Kruczej wynajmowaliśmy kiedyś biuro. Dawno temu... Twój ojciec jeszcze wtedy żył.

– No właśnie. Myślałam, że może będziesz wiedział, skąd to się tam wzięło. Bo ja nie mam żadnego pomysłu.

Rozłożył bezradnie ręce.

– Tak szczerze, to nie wiem. Ale na pewno da się to jakoś logicznie wytłumaczyć. Gdzie ten człowiek to znalazł? W tym lokalu, w którym mieliśmy biuro?

– Tak. Ekipa remontowa usuwała stamtąd stare meble, prawdopodobnie wypadło z któregoś z nich.

Górski pstryknął palcami.

– No i jest odpowiedź. Twój ojciec musiał zostawić to prawko, kiedy był u nas. Ktoś je schował do biurka czy szafy i tam te wszystkie lata przeleżało. Nic sensacyjnego.

– Tak, to by miało sens – zgodziła się Gaja. – Gdyby nie jeden drobiazg. Kiedy ojciec odwoził mnie w góry, miał to prawo jazdy ze sobą. Tego samego dnia późnym wieczorem wrócili z mamą do Milanówka, a w nocy... – przełknęła ślinę – był pożar. Nie ma takiej możliwości, żeby w międzyczasie pojawił się na Kruczej.

Górski nachylił się do niej, jakby chciał ją pogłodzić po ramieniu.

– Czasami wydaje nam się, że jesteśmy czegoś pewni... – zaczął współczująco.

– Mnie się nie wydaje, ja jestem pewna – przerwała mu Gaja stanowczo. – Na sto procent ojciec miał wtedy prawo jazdy przy sobie. Widziałam, jak je pokazywał policjantowi. Dlatego bardzo chciałabym się dowiedzieć, skąd się wzięło w waszym biurze.

Górski zamyślił się.

– W tym momencie nie jestem w stanie ci pomóc – powiedział. – Ale z całą pewnością musi być na to jakieś banalne wytłumaczenie. Porozmawiam z tymi pracownikami, którzy wtedy siedzieli na Kruczej. Może ktoś będzie coś pamiętał... Zostaw mi, proszę, swoje namiary, odezwę się, jak tylko się czegoś dowiem.

Zabrzmiało to jak koniec audycji, i Gaja tak to potraktowała. Podniosła się z kanapy, wyjęła z torebki wizytówkę i podała Górskiemu.

– Pracujesz w agencji detektywistycznej? – zdziwił się, obracając kartonik w palcach.

– Założyłam agencję detektywistyczną – sprostowała.

– O ile pamiętam, kierowałaś wcześniej jakąś fundacją?

– Tak. Należała do Artura.

Pokiwał głową ze zrozumieniem.

– I jak ci idzie?

– Dziękuję, nie narzekam – ucięła.

Nie chciała z nim rozmawiać ani o swoich sukcesach, ani o porażkach. W ogóle nie chciała z nim rozmawiać.

Górski odprowadził ją do drzwi. Odczekała, żeby położył rękę na klamce i rzuciła, pozornie lekkim tonem:

– A co słyhać u Pawła?

Mężczyzna ściągnął brwi, a jego twarz stężała.

– U Pawła? – powtórzył, jakby chciał zyskać na czasie. – No cóż... Ożenił się, rozwiódł, bardzo dużo pracuje... A przynajmniej tak mówi za każdym razem, kiedy mu proponuję lunch. – Roześmiał się odrobinę nieszczerze. – To tak w dużym skrócie.

– Proszę go ode mnie pozdrowić – powiedziała i wyszła.

To była bardzo interesująca wizyta. Bardzo.

ROZDZIAŁ 56

Kolejny dzień pracy zbliżał się ku końcowi i Matylda znowu miała poczucie, że zrobiła połowę tego, co mogłaby zrobić, gdyby nie obecność Rafała.

Rozpraszał ją. Po prostu ją rozpraszał. Bardzo trudno było jej się skupić, kiedy miała świadomość obecności tuż obok przystojnego mężczyzny. W dodatku nie mogła się pozbyć wrażenia, że Rafał cały czas ją obserwuje, więc zamiast myśleć, starała się wyglądać. A to się na wydajność pracy nie przekładało.

Nie przekładało się na nią również wspólne picie kawy i gadanie o niczym, najczęściej inicjowane przez Bełdowskiego, które coraz bardziej Matyldę irytowało. Uznawała je za wyjątkową stratę czasu, a jednocześnie nie potrafiła odmówić, kiedy mężczyzna podnosił się zza swojego biurka i pytał tonem prawie uwodzicielskim:

– To co? Kawkę?

Zaczynała być coraz bardziej zła na tę sytuację, w wyniku której znowu się dzisiaj nie wyrobiła z robotą i teraz powinna zostać dłużej w pracy, żeby nadgonić materiał do biuletynu. Dlatego kiedy punkt szesnasta Rafał pożegnał się i wyszedł, Matylda odetchnęła z ulgą. Zadzwoiła do Maćka, poprosiła, żeby odgrzał sobie i dziewczynkom obiad, a sama zabrała się do opracowywania kolejnego artykułu, tym razem dotyczącego przychodni zdrowia.

Zdążyła otworzyć dokument z materiałami i nowy plik tekstowy, kiedy jej telefon zaczął wibrować. Dzwoniła matka.

– Hej, co tam?

– Jest ta kobieta. – Matka mówiła do mikrofonu tak cicho, że ledwo ją było słycać.

– Jaka kobieta? – Matylda nie skojarzyła.

– No ta, o którą pytałaś! Z tym siwym puklem! Gosposia Banach!

Matylda już dawno zdążyła zapomnieć, że prosiła matkę o pomoc w tej sprawie. Nie była też pewna, czy na tym etapie informacje, jakie może uzyskać od sprzątaczk, jeszcze się do czegośkolwiek przydadzą. Ale ponieważ poczuła przyjemne, podniecające mrowienie w całym ciele, które towarzyszyło jej za każdym razem, kiedy w jakiś sposób mogła włączyć się do śledztwa, odpowiedziała:

– Zatrzymaj ją! Będę za pięć minut!

Bez żalu wyłączyła komputer, zebrała swoje rzeczy i wybiegła z pokoju.

Kiedy dotarła do sklepu rodziców, kobiety już nie było.

– Mamo! – jęknęła, zawiedziona. – Przecież cię prosiłam!

– Nic nie poradzę, spieszyla się do domu, żeby rosół wstawić.

Matyldę zawsze bawiło i wzruszało jednocześnie, że w takich małych miejscowościach jak Milanówek granice prywatności zacierają się w niezauważalny sposób, dzięki czemu ekspedientka w sklepie doskonale wiedziała, co która klientka gotuje na obiad, czego dodaje do zupy, żeby lepiej

smakowała, i jak mocno wysmażoną jajecznicę lubi jej mąż. Ale tym razem informacja o rosolu wyłącznie ją zdenerwowała.

– Naprawdę, pięć minut by jej nie zbawiło – stwierdziła z wyrzutem.

– Nie pięć minut, tylko co najmniej pół godziny – odpowiedziała matka. – Bo jakbyście zaczęły rozmawiać, toby zeszło.

A potem podała Matyldzie złożoną na pół kartkę.

– Tu masz jej nazwisko i adres. Powiedziała, że jak chcesz, to możesz do niej teraz przyjechać. Bardzo życzliwa i sympatyczna kobieta.

Matylda cmoknęła matkę w policzek i wybiegła ze sklepu. Nie spodziewała się po tym spotkaniu zbyt wiele, ale uważała, że trzeba sprawdzić każdy trop.

Nina Dębska mieszkała w niewielkim, parterowym domu na pograniczu Milanówka i Grodziska. Budynek był skromny, ale bardzo schludnie utrzymany, jego otoczenie również. Prawdę mówiąc, Matylda dawno nie widziała tak idealnie uporządkowanego ogrodu.

Nacisnęła dzwonek tkwiący w słupku furtki i czekając na reakcję domowników, przyglądała się z podziwem betonowej, świeżo zamiecionej ścieżce, na której nie sposób było dostrzec ani jednego zabłąkanego kamyka, starannie wytyczonym kwiatowym grządkom i idealnie przystrzyżonym bukszanom.

Przypomniały jej się natychmiast szkody, jakie rok wcześniej wyrządziła w ich ogrodzie ćma bukszanowa, która jednak ogródek pani Niny najwyraźniej ominęła. Może przestraszyła się, że każą jej tutaj myć zęby po każdym posiłku?

Po chwili śnieżnobiałe drzwi domu otworzyły się i stanęła w nich sprzątaczką Moniką Banach. Wyglądała dokładnie tak, jak Matylda ją zapamiętała: luźna, przydługa bluza, czarne legginsy i tenisówki. No i to pasmo siwizny we włosach.

– Dzień dobry pani! – krzyknęła Matylda w jej stronę. – Matylda Żukowska! Zostawiła mi pani adres w sklepie!

– Proszę wchodzić, otwarte!

Przywitały się i kobieta zaprosiła ją do środka. W całym domu czuć było rosolem i Matylda nagle się zorientowała, że jest zwyczajnie głodna.

Usiadły w kuchni, przy stole nakrytym białą ceratą w brązową kratę.

– Przepraszam, że tak nalegałam na to spotkanie – odezwała się Matylda, ale kobieta natychmiast jej przerwała:

– Może kawy? Albo herbaty? Rosółkiem bym panią poczęstowała, ale niegotowy jeszcze.

Matylda pokręciła przecząco głową.

– Nie, dziękuję. Chciałam porozmawiać o Monice Banach. Współpracuję z lokalną agencją detektywistyczną i prowadzimy śledztwo w sprawie jej śmierci...

– Wiem, pani mama mówiła – przerwała jej kobieta. – Bardzo bym chciała pomóc, ale co ja mogę? Prawie się z panią Moniką nie widywałam. Kiedy pisała, to zamykała się w gabinecie i w ogóle do mnie nie wychodziła. Nawet mi drzwi nie otwierała, tylko zostawiała klucz w doniczce przy wejściu. A jak już skończyła książkę, to zaczynała jeździć na spotkania, wywiady, rzadko miałyśmy kontakt. Jak rozmawialiśmy, to o tym, jaki płyn do podłóg kupić. Czasami pani Monika mnie zapytała o rodzinę, to wszystko. – Sprzątaczką smutno westchnęła. – Ja naprawdę nic nie wiem.

Wyglądało na to, że kobieta rzeczywiście nie orientuje się w sprawach swojej pracodawczyni. A jednak Matylda postanowiła poruszyć temat, z którym tu przysłała.

– Ja w sumie nie chciałam pani wypytywać o jej życie prywatne... – wyjaśniła. – Ale jest pewien trop, który chciałam sprawdzić. Coś pani pokażę.

Odnalazła w telefonie zdjęcie mężczyzny w muszce i podsunęła kobiecie.

– Kojarzy pani tego człowieka?

Sprzątaczką popatrzyła na Matyldę zaskoczona.

– Kojarzę! Oczywiście, że kojarzę! Dlaczego pani o niego pyta?

Matylda przełknęła ślinę.

– To jest właśnie nasz podejrzany – wyjaśniła. – Był na zdjęciach z wielu spotkań z panią Banach, jeździł za nią po całej Polsce. Zupełnie jakby miał na jej punkcie jakąś obsesję.

– Bo miał! – Sprzątaczką westchnęła, wyraźnie poruszona. – On się na zabój zakochał w pani Monice. Wiem, bo mi kiedyś pokazała jego zdjęcie, właśnie z jakiegoś spotkania autorskiego, i uprzedziła, że gdyby się kiedyś pojawił w Milanówku, to żeby go do domu pod żadnym pozorem nie wpuszczać. No a potem zaczęły od niego przychodzić te paczki z ciuchami.

– Paczki z ciuchami?! – Matylda poczuła, że z tego wszystkiego zaczyna się pocić. – Jakimi ciuchami?!

– Ten człowiek jest krawcem. – Pani Nina poprawiła się na krześle. – I z okazji każdej nowej książki szły dla pani Moniki coś specjalnego, co jakoś z tą książką było związane. To podobno były stroje bohaterki, Poli Berg, które opisywała. Raz dostała taką piękną spódnicę w kratę, innym razem bluzkę koszulową, była nawet koszula nocna. A najśmieszniejsze jest to, że te rzeczy idealnie na panią Monikę pasowały.

Matylda kręciła głową z niedowierzaniem.

– Zupełnie niewiarygodna historia. Chodziła w tych ubraniach?

– A skąd! Jak przysłała pierwsza paczka, akurat byłam w pracy. Takie piękne pudełko, gruba wstążka, pani Monika myślała, że to od jakiegoś wielbiciela. W środku była sukienka. Prześliczna, biała w czarne grochy. Taka, wie pani, tutaj na górze dopasowana, na dole puszczona, z paskiem, jak kiedyś kobiety chodziły. Pani Monice to się aż na jej widok oczy zaświeciły. Natychmiast ją przymierzyła, pasowała idealnie. Pamiętam, jak się w niej kręciła przed lustrem... – Znowu westchnęła. – No ale potem znalazła w pudełku liścik od tego człowieka, on miał zdaje się na imię Tadeusz? Czy Teodor? Jakoś na T w każdym razie. Napisał, że ją uwielbia, że ona jest jego muzą, boginią, już nie pamiętam dokładnie. I panią Monikę szlag trafił. Zaczęła krzyczeć, że co on sobie myśli, że jest bezczelny i że jak on chce komuś wysyłać sukienki, to niech Bondzie wyśle. Zerwała ją z siebie i kazała natychmiast wyrzucić. Jak się spytałam, o co chodzi, to mi wytłumaczyła, że to jest prezent od tego faceta, przed którym mnie ostrzegęła, że on jest naprawdę nienormalny. Długo się nie mogła uspokoić. Powiedziała, że sobie nie życzy, żeby ktoś wkraczał w ten sposób w jej intymną strefę. Mówiła coś nawet, że pójdzie z tym na policję, ale chyba odpuściła. Później po każdej książce przychodziła paczka, pani Monika je otwierała, sprawdzała, co ten człowiek tym razem wymyślił, ale już nigdy nic nie włożyła. Za każdym razem kazała mi te rzeczy wyrzucać.

Matylda czuła, że robi jej się słabo.

– Czyli jednak ten człowiek naprawdę ją prześladował! Krążył cały czas blisko niej! – Nie mogła uwierzyć, że to, co sobie wymyśliły na podstawie zaledwie kilku zdjęć, okazało się prawdą. – Pamięta pani, jak on się nazywał?

Sprzątaczką rozłożyła bezradnie ręce.

– Nie tyle, że nie pamiętam, co w ogóle nie wiem. Pani Monika nigdy o nim z nazwiska nie mówiła, a na tych paczkach nie było nadawcy. Zresztą one nie przychodziły pocztą, znajdowałam je na trawniku, przerzucone przez płot.

Matylda na chwilę zamknęła oczy. Jeszcze przed chwilą wydawało jej się, że rozwiązanie jest w zasięgu ręki... Poczula tak wielkie rozczarowanie, że zachciało jej się płakać.

– Bardzo mi przykro. – Sprzątaczką pogłaskała ją współczująco po ramieniu. – Ale ja już naprawdę nic więcej pani nie pomogę. – A po chwili zastanowienia dodała: – No chyba że chciałaby pani zobaczyć te rzeczy, które on dla niej uszył.

Matylda popatrzyła na kobietę z niedowierzaniem.

– Zaraz, moment. Przecież mówiła pani, że Banach kazała te ubrania wyrzucać?

– Kazała, owszem. Ale one takie ładne, tak starannie wykończone, szkoda mi było. – Pani Nina uśmiechnęła się niepewnie. – Uznałam, że nic się nie stanie, jak wezmę dla córki. Ona też mała i chuda, jak pani Monika. Wszystko wisi w szafie, u niej w pokoju. Mogę pani pokazać, jak pani chce.

ROZDZIAŁ 57

Drzwi do pokoju córki pomalowano na żółto. Kolor był stonowany, wpadający w pomarańcz, ale i tak na tle szaro-beżowego wnętrza domu sprawiał ekstrawaganckie wrażenie.

Pani Nina nacisnęła klamkę i wpuściła Matyldę do środka.

– Córka uczy się w Warszawie. – W głosie kobiety zabrzmiała duma. – W technikum hotelarskim. Świetnie sobie radzi. W przyszłym roku matura – opowiadała, a Matylda próbowała zrozumieć, jak to możliwe, żeby w pokoju nastolatki panował tak idealny porządek.

– Chyba przyślę do pani moje córki na turnus wychowawczy – zażartowała, patrząc z podziwem na puste biurko, posłane łóżko i książki na regale ułożone według wielkości.

– Ona tak ma sama z siebie. – Pani Nina machnęła ręką, bagatelizując sprawę. – Żeby pani zobaczyła pokój syna...

Podeszła do szafy i otworzyła ją na oścież. Tak jak się można było spodziewać, ubrania wisiały na wieszakach w idealnym porządku, posegregowane kolorami, wyprasowane i pachnące. Gospodyni przeszukała je szybko.

– O, na pewno to jest od tego człowieka. – Podała Matyldzie białą koszulową bluzkę. – Podobno w jednym z tomów bohaterka nosi właśnie taką bluzkę, o, widzi pani, ze stójką zamiast kołnierzyka. – Kobieta przejechała po stójce palcem. – Tak mi powiedziała pani Monika, kiedy to przyszło.

Matylda pogłaskała materiał dłonią. Był miękki i delikatny, musiał się wspaniale układać na ciele. Ale to nie materiał ją najbardziej interesował, ani nie sposób, w jaki bluzka została uszyta. Pełna obaw odgięła stójkę, odsłaniając miejsce, gdzie zwykle w ubraniach wszywa się metki...

Niestety, tutaj metki nie było.

No cóż, można się było tego właściwie spodziewać. Mało prawdopodobne, żeby zwykły krawiec, być może amator – choć rzecz, którą miała w rękę, nie wyglądała na uszytą przez amatora – dorobił się własnej metki.

Już miała oddać bluzkę pani Ninie, kiedy nagle coś sobie uświadomiła. Mężczyzna włożył w uszycie tej rzeczy mnóstwo wysiłku i serca. Na pewno chciał, żeby służyła jego ukochanej autorce jak najdłużej. Biały, delikatny materiał... Czy nie powinien w jakiś sposób przekazać informacji, jak się tę bluzkę powinno prać? W jakiej temperaturze i tak dalej...

Szybkim ruchem sprawdziła palcami szwy. I rzeczywiście, przy tym po lewej stronie coś wyczuła. Odgięła połę bluzki i zobaczyła tasiemkę, a na niej symbole oznaczające sposób pielęgnacji i napis...

– Pracownia krawiecka Tymoteusz Kluge – przeczytała drżącym ze wzruszenia głosem.

– A tak, Tymoteusz! – ucieszyła się kobieta. – Mówiłam, że coś na T!

Gaja krążyła po domu podminowana. Denerwowało ją wszystko, a już najbardziej – zacięta mina córki. Może w normalnej sytuacji spróbowałyby z nią porozmawiać – przez ostatnich kilka dni tyle się między nimi nawarstwiło. Ale za chwilę miał przyjechać Artur. Sama świadomość tego, że się pojawi na JEJ terenie, była stresująca. W dodatku zabierał Helenę na weekend pierwszy raz, odkąd się wyprowadził.

I choć przecież Gai zależało na tym, żeby nie tracili ze sobą kontaktu, żeby się spotykali, żeby wypracowali sobie relacje na nowo, to jednak gdzieś w niej narastała złość. I cicha, uwierająca pretensja do Heleny, że dzwoniąc do ojca, w jakiś sposób ją zdradziła.

Wiedziała, że powinna te wszystkie złe uczucia przepracować, ale dzisiaj nie miała siły.

Artur uprzedził, że będzie o piątej, i rzeczywiście, punktualnie o siedemnastej jego mercedes zatrzymał się przed bramą. Liczyła się z tym, że będą musieli porozmawiać, dlatego tuż przed jego przyjazdem zrobiła lekki makijaż i przeczesała włosy. Ale on nawet nie wysiadł z samochodu.

– Pomóc ci? – spytała córkę, która właśnie przypinała smycz psu.

– Nie, poradzę sobie – odpowiedziała dziewczynka, chwyciła torbę z rzeczami i wyszła, a Gai pozostało tylko obserwować ją przez kuchenne okno.

Kiedy odjechali, poczuła się dziwnie. Cisza nie różniła się przecież w żaden sposób od tej, która tu panowała w ciągu dnia, kiedy Helena była w szkole. A jednak nagle, w przeciągu kilku minut, zyskała wymiar definitywny.

Żeby jakoś sobie z tym poradzić, Gaja poszła na górę, do łazienki, napuściła do wanny wody i zanurzyła się w niej po brodę. Liczyła na to, że napięcia, które pojawiły się w jej ciele, rozpuszczą się i przestaną ją uwierać.

Właśnie zamknęła oczy i zaczęła się powolutku odprężać, kiedy ktoś zadzwonił do drzwi.

„Nie otwieram”, postanowiła. Po chwili z dołu dobiegł ją okrzyk:

– Hej, to ja! Gdzie jesteś?

Minutę później Matylda siedziała na brzegu wanny i trajkotała jak nakręcona.

– Nie rozumiem, dlaczego ty się nie zamykasz. Zwłaszcza po tej historii z Głowackim. Ale dobra, twoja sprawa. Za to ja znalazłam tego psychofana! Nie uwierzysz, co za historia!

Woda powoli stygła, a Matylda zasypywała ją informacjami o sprzątaczkach, krawcu, ubraniach szytych na miarę i wreszcie o tym, że udało jej się odnaleźć tego człowieka w internecie.

– To co? Pójdziemy z tym do Lewina? – zakończyła swoją przemowę, patrząc wyczekująco na przyjaciółkę.

– Na pewno nie – odpowiedziała Gaja spokojnie. – Żaden Lewin, żadna policja. To jest zdecydowanie temat dla nas.

– Błagam, ty znowu swoje! Przecież same go nie złapiecie!

– Zgadzam się – przyznała Gaja z rozbijającą szczerością. – Ale kto mówi o łapaniu?

Matylda już otwierała usta, żeby coś powiedzieć, ale Gaja ją uprzedziła.

– Wymyślę coś, obiecuję. Tylko błagam, nie teraz. Muszę chwilę odpocząć.

– W takim razie przyjdź do nas na kolację, pomyślimy razem. Mogę też Klarę ściągnąć.

Gaja sięgnęła do kranu, żeby dolać sobie gorącej wody.

– Nie mogę – powiedziała niewyraźnie. – Jestem umówiona na kolację z Pawłem.

Matylda wyprostowała się zaskoczona.

– No coś ty? – Patrzyła na przyjaciółkę z mieszaniną przejęcia i niedowierzania. – Nareszcie! – I nagle coś jej się przypomniało. – A co z Heleną? Może niech nocuje u nas?

– Pojechała do ojca na weekend. – Ta informacja z trudem przeszła Gai przez usta. Ale kiedy już to z siebie wydusiła, emocje związane z córką zaczęły się z niej wylewać jak wodospad. – Sama do niego zadzwoniła. Poprosiła, żeby ją zabrał. Nie chciała tu ze mną zostać. Chciała mnie ukarać... Nie masz

pojęcia, jakie to trudne. Odkąd mi powiedziała, że nie chce iść do Czackiego, wszystko się między nami popsuło.

Matylda poklepała ją po wilgotnym ramieniu.

– Kochana... Jakie wszystko? Nawet nie wiesz, jak jej na tobie zależy!

– Jej zależy teraz tylko na Szymonie.

Matylda odchrząknęła.

– No więc się mylisz. Rozmawiałam z nią. Prosiła, żebym ci tego nie mówiła, ale widzę, że inaczej się nie dogadacie. Ona postanowiła zdawać do Milanówka nie ze względu na tego chłopaka, tylko na ciebie. Nie chce cię zostawiać samej.

Gaja poczuła jednocześnie wzruszenie i ulgę.

– Jesteś pewna?

– Oczywiście. Tylko błagam, nie mów jej, że wiesz. Musisz to jakoś delikatnie rozegrać.

Gaja przytuliła policzek do dłoni przyjaciółki.

– Dziękuję. Co ja bym bez ciebie zrobiła?

ROZDZIAŁ 58

Dawno nie czuła tak silnej wewnętrznej presji, żeby wybrać odpowiedni strój. Była absolutnie pewna, że to, co na siebie włoży, będzie miało istotny wpływ na przebieg wieczoru.

Stała przed szafą, kompletnie obojętna na odpowiedzialność. Przesuwała na wieszakach sukienki mniej lub bardziej wydekoltowane, krótsze i dłuższe, obcisłe i luźne, nie mogąc się zdecydować. I nagle ją olśniło. Wzięła z półki dzinsy, a z wieszaka – zwykłą, białą koszulową bluzkę. Tak, to był bardzo dobry i niezobowiązujący zestaw. Żadnych sugestii, żadnych ułatwień.

Wieszkała właśnie na szyi złoty łańcuszek z wisiorkiem w kształcie jaskółki, kiedy zadzwoniła jej komórka.

Na ułamek sekundy w głowie Gai pojawiła się myśl, że to Helena, że się nie dogadała z Arturem i że wraca. Najpierw poczuła ulgę, że będzie miała pretekst, żeby odwołać kolację, a zaraz potem straszny żal na myśl, że musiałyby to zrobić.

Spojrzała na wyświetlacz. Numer nieznan. Po chwili wahania odebrała.

– Tak, słucham? – powiedziała.

– Gaja? – Rozpoznała ten głos natychmiast. – Ojciec chrzestny z tej strony.

Nie spodziewała się, że zadzwoni tak szybko.

– Chciałem cię uspokoić – powiedział łagodnym tonem, jak do dziecka. – Udało mi się odnaleźć panią Martę, była szefową naszego biura w tamtym okresie. Rozmawiałem z nią, jest już na emeryturze, ale wyobraź sobie, doskonale pamięta historię prawa jazdy twojego ojca. Kilka miesięcy przed śmiercią został okradziony. Zabrali mu portfel, właściwie to była taka saszetka na rękę. Twój tata zgłosił to na policję i dostał duplikat prawa jazdy. A kilka tygodni później ktoś podrzucił jego dokumenty do nas do biura. Widocznie złodziej musiał wiedzieć, że u nas bywa. Ale ponieważ Janek miał już nowe prawo jazdy wyrobione, to tego starego od nas nie odebrał. Ot i cała historia.

Rzeczywiście, zabrzmiało to uspokajająco. Gaja poczuła ulgę.

– Dziękuję – powiedziała. – To rzeczywiście wyjaśnia sprawę.

– Cieszę się, że mogłem pomóc.

Zapadła niezręczna cisza.

– Muszę kończyć – przerwała ją Gaja. – Jeszcze raz dziękuję.

I rozłączyła się. Choć przecież korciło ją, żeby powiedzieć: właśnie idę do twojego syna na kolację. Pozdrowić go od ciebie?

– Dlaczego nie powiedziałeś ojcu, że się widzimy? – zaatakowała Gaja od wejścia.

Paweł odebrał od niej żakiet.

– Bo nie uznałem tego za stosowne.

Stał i patrzył na nią bez skruchy.

– Dlaczego w takim razie nie uznałeś tego za stosowne?

– Bo nie mam pięciu lat i nie muszę mu się opowiadać z tego, co robię i z kim się spotykam.

– Dobrze wiesz, że nie o to mi chodzi! – Gaja zaczynała się denerwować.

Stali w holu mieszkania Pawła. Przez szerokie drzwi widziała jadalnię i przygotowany stół, nakryty na dwie osoby, czuła zapach wina i czosnku, słyszała dochodzący gdzieś z oddali delikatny jazzowy szum. Intymność tej sytuacji była tak przerażająca, że jedyną obroną wydawał się atak.

– A o co? – zapytał Paweł, robiąc pół kroku w jej stronę.

Teraz stał tak blisko, że czuła we włosach jego oddech.

Zanim zdążyła odpowiedzieć, pocałował ją.

Myślała, że wróć wspomnienia, ale ten mężczyzna nie był już tamtym chłopakiem sprzed dwudziestu lat. Wszystko było inne, ale zaskakująco do siebie pasowało.

– Jesteś głodna? – zapytał, rozpinając jej bluzkę.

– W ogóle nie – odpowiedziała.

Zjedli dopiero po północy.

Nalegał, żeby została do niedzieli.

Kusiło ją. Kusiło bardzo.

Ale ponieważ kontrola nad życiem stała się ostatnio jej obsesją, postanowiła tę pokusę zwalczyć. Dlatego w sobotę zaraz po śniadaniu, które zjedli w łóżku, i po seksie, który sprawiał jej coraz większą frajdę, wsiadła do samochodu i wyruszyła z powrotem do Milanówka.

Skręcała właśnie z autostrady w Grodzisku, kiedy zadzwonił Lewin.

Zawahała się, czy w ogóle odbierać. Początek dnia miała tak dobry, że teraz trochę nie warto było tego psuć. Z drugiej strony, jeżeli się do niej odzywał, to musiał mieć naprawdę ważny powód. A z trzeciej nagle sobie uświadomiła, że jego ten telefon z całą pewnością kosztuje dużo więcej niż ją.

– Słucham – spróbowała włożyć w to jedno słowo zarówno obojętność, jak i niechęć.

– Złapaliśmy go – powiedział Lewin.

Przez chwilę nie wiedziała, o kogo chodzi.

– Głowacki został zatrzymany przez patrol na Centralnym – ciągnął policjant. – Właśnie skończyłem go przesłuchiwać i muszę zwrócić pani honor.

„Szkoda, że tego nie nagrywam”, pomyślała Gaja.

Lewin odchrząknął.

– On rzeczywiście nie zabił Banach. Okazało się, że na czas jej śmierci ma absolutnie niepodważalne alibi.

– O, to ciekawe. A jakie?

– Takie, które nie bardzo mu było na rękę. – Lewin wydawał się jakby... rozbawiony. – Nagrała go kamera, jak się włamywał do jednego domu w Skierniewicach.

Ta informacja Gaję również rozbawiła.

– Czyli widzi pan, mojej intuicji warto słuchać.

Ciekawe, że po nocy spędzonej z Pawłem Lewin jakby ją mniej denerwował. I nagle coś jej się przypomniało.

– Skoro już rozmawiamy, to czy ja mogłabym mieć do pana prywatną prośbę?

Przez chwilę się nie odzywał i Gaja wyobraziła sobie, jak drapie się po лысеj głowie, kombinując, jak by jej tutaj odmówić.

– Jeżeli tylko to nie wymaga użycia broni...

„Co się dzieje?”, pomyślała Gaja, zaskoczona. „Rozmawiają sobie ot tak, żartując?”

– Nie, oczywiście, że nie. To jest drobiazg, właściwie administracyjny.

I wyłuszczyła mu swoją sprawę.

– Myślę, że to nie powinien być problem – odpowiedział. – Dam znać, jak się czegoś dowiem.

Kiedy się rozłączył, wybrała numer Klary, a ponieważ Klara nie odebrała, nagrała jej wiadomość:

– Matylda zdobyła bardzo ciekawe informacje na temat naszego psychofana. Powinniśmy się spotkać i ustalić, co robimy.

I nagle sobie uświadomiła, że dzisiaj jeszcze ani razu nie pomyślała o Helenie. Nie była pewna, czy to dobrze, czy źle. Ale nie zamierzała się nad tym zastanawiać.

Klara tego dnia również obudziła się obok mężczyzny, ale nie był to Nikodem.

Po ich ostatnim spięciu zrozumiała, że nic z tego nie będzie. Po prostu. Nikodem wymagał od niej, żeby się do niego dostosowywała. A dostosowywanie się do kogokolwiek było ostatnią rzeczą, na jaką Klara miała ochotę.

Śpiący obok niej chłopak przewrócił się na bok, jego twarz znalazła się tuż obok twarzy Klary. Zaczynał się budzić. Poruszył kilka razy nosem jak królik i ten znajomy widok w jakiś dziwny sposób Klarę rozczulił. Pocałowała go w policzek, a Damian otworzył oczy i uśmiechnął się do niej.

„Powie »cześć, kocie«”, pomyślała.

– Cześć, kocie – powiedział ciepło.

Dziwne, ale tym razem nie wzbudziło to w niej chęci ucieczki.

ROZDZIAŁ 59

Tymoteusz Kluge od kilku dni czuł się tak, jakby miał zaraz umrzeć.

Nieszczęście, jakie na niego spadło, było przytłaczające, duszące i tak bolesne, że odczuwał je każdą, nawet najmniejszą komórką swojego ciała. Nie mógł normalnie żyć, w ogóle nie był w stanie funkcjonować. Jedyne miejsce, które dawało mu ukojenie, to był TEN pokój. Najchętniej w ogóle by z niego nie wychodził. Tylko tutaj mógł sam przed sobą udawać, że nic się nie stało, że ona ciągle gdzieś jest, cieszy się życiem, odpoczywa i zbiera siły do pisania kolejnej genialnej książki.

„Jak to się mogło stać?“, myślał, analizując minuta po minucie tamten wieczór, tamto spotkanie, ich rozmowę, jej irytację i jego decyzję, której skutkiem była śmierć.

Nie mógł sobie tego wybaczyć. Jeszcze nigdy nie zrobił czegoś, co miałoby aż tak katastrofalne skutki. Niestety, tego błędu nie uda się naprawić, choć wiele by dał, żeby cofnąć czas, zmienić jego bieg, nie dopuścić śmierci do głosu. No ale było za późno.

Podobno czas leczy rany, powtarzał sobie, otwierając pracownię, przyjmując klientki, uśmiechając się do nich i prawiąc komplementy. Ale w momencie, kiedy zamykały się za nimi drzwi, opadał na podłogę i płakał, płakał, aż ze zmęczenia zasypiał.

Prawie nic nie jadł, i już po trzech dniach poczuł, że spodnie zrobiły się na niego za luźne. Po raz pierwszy od wielu lat sięgnął po pasek, choć przecież mógłby kilkoma ruchami zwięzić materiał. Czuł jednak, że nie zasługuje na żadną troskę, na nic dobrego.

Wieczory spędzał przed telewizorem, przeskakując z kanału na kanał w poszukiwaniu informacji o jej śmierci. Czekał na magiczne słowa „przełom w śledztwie“, które jednak wciąż nie padały. Wiedział, że powinien się zgłosić na policję, ale po prostu nie miał siły. Pozostawało mu czekać, aż sami go znajdą.

Powoli jego serce zaczęła wypełniać obojętność. Jego życie tak naprawdę się skończyło. A już na pewno – nie miało sensu. Czy warto ciągnąć dłużej tak marną vegetację? Ale na popelnienie samobójstwa nie miał odwagi. Więc próbował żyć, choć marnie mu to wychodziło.

Kobieta, która weszła do jego pracowni, sprawiała wrażenie zagubionej i niepewnej siebie. Była bardzo ładna, ale na widok tego, co miała na sobie, aż się wzdrygnęła. Kiedyś może by się nawet ucieszyła. Kiedyś lubił wyzwania. Ale dzisiaj pierwszą myślą, jaka mu przyszła do głowy, była ucieczka.

– Dzień dobry, witam szanowną panią! – Uśmiechnął się, starając się nie okazywać zbyt ostentacyjnej niechęci. – W czym mogę pomóc?

Kobieta rozejrzała się po pomieszczeniu, jakby szukając wsparcia w manekinach.

– Chciałam uszyć sobie u pana sukienkę – oznajmiła.

– Wspaniale. A jaka ona ma być, ta sukienka?

– Letnia. Taka... żebym się w niej dobrze czuła.

Kiedy ma się za sobą setki uszytych sukienek, zaczyna się rozumieć, że to nie krój jest najważniejszy, ale coś niewidzialnego, nić-widmo, która łączy krawca i jego klientkę. Kiedyś

Tymoteusz Kluge potrafił tkąć te nici bez żadnego wysiłku, otaczał nimi kobiety jak kokonem, z czułością i wycuciem. To dlatego wychodziły od niego zadowolone i to dlatego do niego wracały. Ale teraz... teraz było mu tak naprawdę obojętne, co uszyje, co powie i jaki uzyska efekt.

– Ma pani już jakiś pomysł? Wzór? Zdjęcie? – pytał, wyglądając na ulicę przez witrynę z namalowanym ozdobnym napisem „Krawiectwo damskie”.

Akurat tuż przed jego zakładem zatrzymał się motocykl. Tymoteusz Kluge nie znał się na takich maszynach, jednak ta wyglądała na nowoczesną i szybką. Obiektywnie podziwiał motory, doceniał sztukę ich wykonania i ogromne możliwości, ale tak jak większość kierowców był ich przeciwnikiem na drogach i w jakimś sensie po prostu się ich bał. A tych, którzy nimi jeździli, uważał za nieodpowiedzialnych idiotów.

Tym motorem przyjechała kobieta. Miała idealną figurę, marzenie każdego projektanta. A kiedy zdjęła kask, okazało się, że rysy twarzy również ma idealne. Oparła się o motocykl, wyglądała, jakby na kogoś czekała.

– Nie mam zdjęcia. Chciałabym tylko, żeby była luźna.

Z trudem oderwał wzrok od dziewczyny przy motocyklu i popatrzył na stojącą przed nim klientkę. Miała tak nieszczęśliwy wzrok, jakby ktoś ją zmusił do przyjścia tutaj.

Kluge westchnął.

– Tylko to jest dla pani ważne? Żeby była luźna?

Posłała mu spłoszone spojrzenie.

– Tak – odpowiedziała niepewnie.

– A dlaczego?

– Bo... – szukała jakiegoś sensownego argumentu – ...bo lubię luźne sukienki – oświadczyła w końcu.

– Droga pani... Powiem tak: szycie na miarę luźnych sukienek nie ma sensu. Luźną sukienkę może pani kupić w każdej sieciówce. Pani przyszła do krawca. Do kogoś, kto dopasowuje materiał do ciała. Dopasowanie to jest absolutnie najważniejsza kwestia. U mnie nie ma miejsca na luźne, za duże, byle jakie.

Z każdym słowem, które wypowiadał, zapalał się bardziej. Sam był zdziwiony, jakie odruchowe zachowania uruchomiła w nim ta kobieta. Poczł się nagle jak kiedyś, zupełnie jakby w międzyczasie nie wydarzyła się śmierć.

Spojrzał znowu w okno. Motocykl stał, ale dziewczyny już nie było. I nagle sobie uświadomił, że przez chwilę, dosłownie przez mgnienie oka, w jego sercu pojawiła się nadzieja, że to zjawisko w skórzanym kombinezonie wejdzie do niego do zakładu i poprosi, żeby jej uszył... Nieważne co. Uszyłyby jej wszystko.

No nic, zamiast zjawiska miał ten zdenerwowany kłębek kompleksów. I jakoś musiał sobie z nim poradzić.

– A co by mi pan doradził? – spytała kobieta nieśmiało.

Obrzucił ją uważnym spojrzeniem. Potem wziął za rękę i energicznie okręcił.

– Coś przy ciele, z dekoltem, który by wyeksponował pani wspaniałą biust.

– Nie, nie! – Aż się zarumieniła. – Nie znoszę dekoltów!

– Pani ich nie znosi, ale one panią kochają – zapewnił ją. – Proszę, niech mi pani zaufa!

Chwycił z biurka centymetr i podsunął kobiecie niski, stabilny taboret.

– Proszę tu stanąć – polecił. – Najpierw weźmiemy miarę... Gdyby mogła pani zdjąć sweter...

Tak, już sam ten sweter był obelgą. Luźny, zrobiony na drutach z grubej wełny, w fantazyjne, kolorowe wzory, wywoływał u Tymoteusza same najgorsze skojarzenia. Plus ta spódnica do tego. Za luźna w pasie, lejąca się, długa do kostek.

– Dlaczego pani maskuje takie piękne ciało? – zapytał, spisując na kartce jej wymiary.

– Piękne? – Spłoszyła się po raz kolejny. – Co pan opowiada? Przecież ja jestem gruba. Za gruba.

– A kto to pani powiedział? Lekarz dietetyk czy może reklamy w telewizji? – Zaczynał być na nią naprawdę zły. – Proporcje ma pani idealne. Proszę spojrzeć. – Stuknął palcem w zapisane liczby. – Wspaniałe biodra, fantastyczne piersi. Trzeba to pokazać! Wyeksponować! A nie chować w... namiocie!

– Naprawdę tak pan myśli? – spytała niepewnie.

Przewrócił oczami zamiast odpowiedzi.

– Dobrze. – Odetchnęła głęboko, jakby chciała dodać sobie odwagi. – To co mi pan proponuje?

ROZDZIAŁ 60

Ewelina od kilku dni nie mogła sobie znaleźć miejsca. W pracy wykonywała tylko niezbędne czynności, całą resztę pozostawiając sekretarce, a w domu oglądała Netflixa, wyszukując najgłupsze, najbardziej odmóżdżające filmy i seriale. Musiała czymś zająć głowę, inaczej cały czas rozmyślałaby o Monice. Czy raczej o jej śmierci. I o tym, na ile się do niej przyczyniła.

Bo czuła się winna. Gdyby nie zgodziła się na tę całą maskaradę, może Monika dalej by żyła. Co ją podkusiło, żeby wziąć w tym udział? Od początku miała wątpliwości, od początku wydawało jej się to za bardzo naciągane. Uważała, że takie środki po prostu nie są potrzebne, więcej – są ryzykowne. Choć ostatnie tomy serii z Polą Berg sprzedawały się gorzej niż pierwsze, to w dalszym ciągu Banach miała rzeszę wiernych fanów, a odpowiednia promocja nowej serii z pewnością wywindowałaby ją na podium sprzedażowych topek. W dodatku istniało niebezpieczeństwo, że kiedy czytelnicy zorientują się, że cała akcja z porwaniem była jednym wielkim oszustwem, rozczarowani odwrócą się od autorki. Tak, tego Ewelina bała się najbardziej.

Ale nie miała dość odwagi, żeby się Monice postawić. Klient nasz pan, jako agentka znanych postaci z show-biznesu już dawno sobie tę prawdę przyswoiła. Jeżeli Monika Banach miała taką fanaberię, żeby zniknąć na kilka dni i rozgrzać do czerwoności media społecznościowe, agentka nie zamierzała jej w tym przeszkadzać. Nie takie pomysły swoich artystów przerabiała.

Inna sprawa, że trochę ją ta akcja przerosła. Nie spodziewała się aż takich problemów. Policja co prawda jej nie zawiodła – opieszałość ich działań była Ewelinie jak najbardziej na rękę, ale zaangażowanie fanów, zalew wiadomości od nich, setki wpisów i dziesiątki telefonów przekroczyły jej wyobrażenie i z każdym kolejnym dniem budziły coraz więcej wątpliwości. „Jak my się z tego wytłumaczymy?“, pytała zdenerwowana, na co Monika wzruszała ramionami i mówiła: „Zostaw to mnie”.

A kiedy już wreszcie miały przerwać ten niesmaczny spektakl, Banach została zamordowana.

I choć nie było wiadomo, przez kogo ani z jakiego powodu, Ewelina czuła, że ta śmierć musi mieć coś wspólnego ze zniknięciem. Z medialną wrzawą. I z czymś, o czym Monika wspominała kilka razy ogólnikowo – z wielką niespodzianką.

Bo od jakiegoś czasu Banach zrobiła się dziwnie tajemnicza. Mówiła o wielkiej zmianie, o nowym otwarciu, nowej energii i – co ciekawe – o wyrównaniu rachunków, jakkolwiek by to dziwnie brzmiało. Twierdziła też, że szykuje dla wszystkich fantastyczną niespodziankę. Ewelina początkowo wiązała to „nowe” z nową serią, ale teraz, analizując od początku każde spotkanie z klientką, każdą rozmowę, aluzję i żart, zaczynała dochodzić do wniosku, że Monice musiało chodzić o coś więcej. Ale o co, nie potrafiła zgadnąć.

Tkwiała więc w tym trudnym, bolesnym stanie zawieszenia, licząc na to, że po pogrzebie coś się zmieni, chmury się rozproszą i będzie w stanie funkcjonować jak dawniej. Tyle że terminu pogrzebu ciągle nie wyznaczono.

Podejrzewała, że musi to mieć jakiś związek ze śledztwem. Kilka razy kusiło ją, żeby się skontaktować z policjantami, którzy ją przesłuchiwali pierwszego dnia, dali jej przecież wizytówkę i powiedzieli, żeby dzwoniła, gdyby cokolwiek jej się przypomniało. Ale nie mogła przemóc strachu. Czego się bała? Bała się odpowiedzi na pytanie, kto zamordował jej klientkę. Bo nie wierzyła, że zrobił to ktoś przypadkowy. Przeczyła temu ślubna suknia, którą Monika miała na sobie i która kojarzyła się Ewelinie z jakąś wielką, niespełnioną – a może właśnie spełnioną – miłością.

Tyle tylko że pisarka nie była zakochana. Bo gdyby była, Ewelina wiedziałaby o tym. A może to właśnie tego dotyczyła niespodzianka, o której z takim podekscytowaniem opowiadała?

Ewelina zdjęła z kolan koty, które praktycznie jej nie odstępowały, i zwlokła się z kanapy, żeby wziąć sobie coś do jedzenia. W tym momencie zadzwoniła komórka.

Nie zamierzała dzisiaj pracować, dlatego zresztą nie poszła do biura, ale kiedy zobaczyła na wyświetlaczu imię „Kamil”, niechętnie przeciągnęła zieloną słuchawkę. Akurat jego nie powinna zrzucić.

– Cześć – odezwała się niezbyt zachęcającym tonem. – Coś pilnego? Bo mam tu urwanie głowy – skłamała.

– Musimy dopiąć umowę na *Grę pozorów* – powiedział. – Plik już w redakcji, ruszyliśmy z okładką, zrobiłem trochę zmian w kalendarzu wydawniczym, przesunąłem to i owo, więc jak dobrze pójdzie, wypuścimy książkę na początku maja.

– To ekspresowo – przyznała Ewelina. – Tylko nie chciałabym, żeby ucierpiała na tym jakość.

– Jakością się nie zajmuj. Pod nazwiskiem Banach to by się teraz sprzedała nawet książka telefoniczna. Zaginięcie plus morderstwo daje nam jakieś siedemdziesiąt tysięcy nakładu. Minimum siedemdziesiąt tysięcy.

Agentce nie spodobało się to, co usłyszała.

– Ona nie żyje, Kamil – rzuciła ostro. – Włożyła w tę książkę mnóstwo pracy i serca. Chciałabym, żebyś ty też włożył. Ze względu na pamięć o niej. Normalnie pracowaliście nad tekstem trzy miesiące, więc mi nie wciskaj, że teraz wystarczą trzy tygodnie.

– Jak to dobrze, że nie masz wpływu na proces wydawniczy – zauważył z przekąsem. – Ale nie o tym chciałem rozmawiać, tylko o kwestiach prawnych. Mieliśmy z Moniką umowę na serię o Poli Berg, a to jest coś nowego. Musimy podpisać aneks, my oboje. Inaczej będę miał związane ręce.

– Dobrze, przygotowuję projekt – zgodziła się niechętnie.

– Na kiedy? – upomniał się.

– Na jutro – odpowiedziała na odczepnego.

Nie sądziła, żeby udało jej się jeszcze dzisiaj zmobilizować do pracy, ale Wójcicki nie musiał o tym wiedzieć.

Rozłączyła się i po chwili wahania zamiast do kuchni, skierowała się z powrotem na kanapę. Jakoś odechciało jej się jeść.

ROZDZIAŁ 61

– Zaparkowałaś przed jego pracownią? – zdziwiła się Gaja.

– Tak kontrolnie. – Klara wzruszyła ramionami. – Żeby sprawdzić, czy z Matyldą wszystko w porządku.

– I co?

– Nie wiem. Nic w środku nie widać.

Pracownia krawiecka znajdowała się na parterze piętrowego jednorodzinnego domu, stojącego przy jednej z bocznych ulic Raszyna. Ruch był tutaj niewielki – główna trasa komunikacyjna, czyli aleja Krakowska, biegła kilkadziesiąt metrów dalej i zasysała wszystko: pojazdy, sklepy, hurtownie i usługi. Mimo to zakład krawiecki Tymoteusza Kluge przyciągał sporo klientek, i to – sądząc po rejestracjach – głównie z Warszawy.

Poprzedniego dnia Gaja i Klara spędziły kilka godzin u pobliskiego fryzjera, gdyż było to jedyne miejsce, z którego mogły obserwować pracownię krawiecką, same nie rzucając się w oczy. Niestety, zakład fryzjerski to nie kawiarnia, więc żeby móc tam przebywać, musiały skorzystać z usług, jakie oferował lokal. Najpierw Gaja, pełna obaw, zażyczyła sobie kolor. Wybrała najbardziej zbliżony do swojego naturalnego i posłusznie odsiedziała dwie godziny, nie spuszczać wzroku z pracowni Tymoteusza Kluge. Później jej miejsce zajęła Klara, z którą był trochę większy kłopot. Odpadał kolor, spadało strzyżenie, w końcu zdecydowała się na zabieg o nazwie „sauna parowa na włosy”. Był najtańszy, najmniej ingerujący i – jak stwierdziła fryzjerka – mógł trwać do czterdziestu minut, a to już coś.

Wnioski z obserwacji poczyniły następujące: krawiec cieszył się sporą popularnością, klientki odwiedzały go praktycznie przez cały dzień, a jedna taka wizyta trwała mniej więcej pół godziny. Mieszkał w tym samym domu, w którym miał pracownię, a według fryzjerki, którą wypytały ostrożnie o niego, nie posiadał żadnego życia poza zawodowym. Żadnych przyjaciół, żadnej partnerki ani partnera... Dziwak po prostu.

Plan, który ułożyły naprędce, nie był zbyt skomplikowany. Postanowiły najpierw przeszukać dom, a jeżeli nie udałoby im się znaleźć nic, co by łączyło Kluge z Moniką Banach, w ostateczności użyłyby prowokacji. Nieśmiało sugestie Matyldy, że może lepiej zostawić takie działania policji, wysmiały.

– Policja, żeby zrobić w kogoś rewizję, musi mieć papier od prokuratora. Naprawdę myślisz, że prokurator wyda zgodę na przeszukanie na podstawie zdjęć ze spotkań autorskich?

Najpierw dokładnie obejrzały dom krawca, co nie było trudne, bo na jego tyłach biegła wąziutka uliczka, przeznaczona dla szambowozów. Potem wystarczyło już tylko wpisać w wyszukiwarce: „jak się włamać do domu”. Filmik, który im wyskoczył jako pierwszy, okazał się instruktażem idealnym. Gaja nigdy by na to nie wpadła, że drzwi tarasowych, uchylonych u góry w trybie wietrzenia, wcale nie trzeba wyważać, wystarczy tylko włożyć rękę w szparę i dosięgnąć klamki znajdującego się obok okna.

Dokładnie taką sytuację zastały na miejscu i dokładnie tak sobie poradziły – wejście do domu Tymoteusza Kluge zajęło im nie więcej niż pół minuty.

Salon, w którym się znalazły, umeblowany był solidnymi przedwojennymi meblami, na ścianach wisiały martwe natury, na podłodze leżał podniszczony wzorzysty dywan. Stojąca lampa, głęboki skórzany fotel, przeszklony kredens... To wewnątrz idealnie pasowało do eleganckiego mężczyzny, którego znały ze zdjęć.

Choć nie wiedziały, czego szukają, uznały, że w salonie raczej tego nie znajdą. Odpuściły też sobie kuchnię i ubikację, bo jeszcze te pomieszczenia znajdowały się w części mieszkalnej parteru, i ruszyły schodami na górę.

Sypialnia, tak jak salon, była urządzona antykami. Sam środek zajmowało ciężkie podwójne łóżko z rzeźbionym zagłówkiem, drugim dominującym meblem była trzydrzwiowa szafa z przydymionym ze starości lustrem. Klara podeszła do niej i zaczęła ją ostrożnie sprawdzać, Gaja zajęła się szafką nocną.

Wystarczyło pięć minut, żeby rozumiały, że tutaj również nic ciekawego się nie kryje.

Na piętrze była jeszcze łazienka, właściwie pokój kąpielowy, z wolno stojącą na środku wanną, wiklinową kanapą i palmą w donicy. Za to trzecie drzwi, znajdujące się w korytarzu, okazały się zamknięte.

Gaja zacisnęła palce na ramieniu Klary.

– Mieszka sam – szepnęła. – Dlaczego zamyka pokój na klucz?

– Cholera wie. – Klara nie była aż tak tym poruszona. – Może trzyma tam węża boa?

– Otwórzmy to!

Kiedy Gaja napała ramieniem na drzwi, poczuła, że lekko się wyginają. Nie przejmując się hałasem, uderzyła w nie ciałem z całej siły. Zamek ustąpił i wpadła z impetem do środka, nie przewracając się tylko dlatego, że przytrzymała się klamki.

W pokoju panował półmrok, zaciągnięte zasłony zatrzymywały światło dzienne. Klara odnalazła na ścianie włącznik i nacisnęła go. Pod sufitem zapaliła się żarówka, osłonięta prostym metalowym kloszem.

– O kurwa... – westchnęła Klara. – Ja pierdołę.

Gaja nie odezwała się ani słowem, nie była w stanie.

Pokój był niewielki i wyglądał jak pracownia krawiecka. Na środku stał czerwony manekin, obok, na dużym kwadratowym stole leżały belki przezrocznych materiałów, nożyce, papier do wykrojów, flizelina, taśmy, wstążki i kreda. Dalej, na specjalnym biurku zobaczyły nowoczesną maszynę do szycia, a na półkach i w otwartych szufladach – duże, profesjonalne szpulki nici. Nad biurkiem, na półce ozdobionej sztucznymi kwiatami, która sprawiała wrażenie ołtarzyka, stało dziewięć tomów serii o Poli Berg. Ale to nie to zrobiło na nich takie wrażenie.

Jedna ze ścian, ta naprzeciwko wejścia, była od góry do dołu wyklejona zdjęciami Moniki Banach. Większe i mniejsze, czarno-białe i kolorowe nakładały się na siebie, tworząc intrygujący i przerażający kolaż.

Kiedy Gaja i Klara, zafascynowane, podeszły bliżej, żeby przyjrzeć się zdjęciom, odkryły wśród nich coś jeszcze – umieszczone w różnych miejscach rysunki, właściwie projekty ubrań: sukienki w czarne grochy, która wyglądała jak z lat sześćdziesiątych, spodnicy w szkocką kratę, białej bluzki ze stojką zamiast kołnierza i wreszcie na samym środku, na honorowym miejscu, przypięty był największy i najbardziej dokładny szkic sukni ślubnej.

– Nie mam słów – jęknęła Gaja.

– Seryjni mordercy robią sobie właśnie takie wystawki, widziałam w jakimś serialu – wyszeptała Klara. – Myślisz, że on jest seryjnym?

Gaja na chwilę przestała oddychać. A potem odwróciła się powoli do Klary i powiedziała:

– Nie wiem. Ale Matylda jest z nim tam teraz sama...

Matylda, wchodząc do pracowni krawieckiej Tymoteusza Kluge, była tak przerażona, że nie mogła wydusić z siebie słowa. Choć mężczyzna nie sprawiał wrażenia groźnego, to przecież podejrzewały go o morderstwo. Gdyby się zorientował, że to podstęp... No cóż, przy jego wzroście i sile nie miałyby żadnych szans.

Bardzo szybko przekonała się, że oprócz zagrożenia życia w pracowni krawieckiej czyha na nią jeszcze jedno niebezpieczeństwo. Kluge był wyraźnie zdegradowany jej sposobem myślenia o sobie, jej sposobem ubierania się, jej brakiem wiary w siebie i negatywnym stosunkiem do własnego ciała. Mówił jej takie rzeczy, że w końcu sama zaczęła wątpić w to, czy dobrze się czuje w workowatych swetrach i luźnych spódnicach.

Bo tak naprawdę, wkładając je, czuła się jak tchórz.

A potem, kiedy już Kluge zdjął z niej miarę i nagadał tyle komplementów na temat jej figury, że chyba nigdy w życiu tyłu nie usłyszała, zaczęli projektować sukienkę, i tak ją to pochłonęło, że kompletnie zapomniała, dlaczego się tu tak naprawdę znalazła.

Kluge był najwyraźniej w swoim żywiole – podsuwał jej pomysły na dekolt, rękaw, sposób odcięcia spódnicy, aż w końcu Matylda zaczęła wierzyć, że taka sukienka powstanie. Każda kolejna uwaga mężczyzny sprawiała, że czuła się piękniejsza, bardziej kobieca. Dlatego kiedy nagle drzwi pracowni się otworzyły i do środka wtargnęły Gaja i Klara, Matylda przeżyła szok.

– Agencja Detektywistyczna Czajka! – krzyknęła Gaja, stając w rozkroku i chwytając się pod boki. – Proszę ją natychmiast zostawić!

– Jeżeli ją dotkniesz, dzwonię na policję! – dodała Klara, pokazując telefon komórkowy z numerem 997 na ekranie.

Kluge przyglądał się im, zaskoczony.

– Przepraszam, nie bardzo rozumiem, o co chodzi – powiedział spokojnie.

– Nie rozumiesz? – spytała Gaja. – No widzisz, a my rozumiemy.

I teatralnym gestem wyciągnęła przed siebie kartkę z projektem sukni ślubnej.

– To ty ją zabiłeś – oświadczyła oskarżycielskim tonem. – To ty zabiłeś Monikę Banach!

Kluge zmrugał oczy, jakby poraziło go światło, a potem z szybkością, której się po nim nie spodziewały, rzucił się w stronę Gai i Klary, odpechnął je na boki i wypadł na ulicę.

Matylda zeskoczyła z taboretu, podbiegła do okna i patrzyła, jak krawiec wsiada w pośpiechu do swojego samochodu zaparkowanego na chodniku przed pracownią i rusza z piskiem opon, o mało nie przejeżdżając Klary, biegnącej w stronę motocykla.

Dziewczyna dopadła suzuki bandit kilka sekund potem, wskoczyła na siodło i z rykiem silnika ruszyła w pościg za Klugem, a po kolejnych kilku sekundach z sąsiedniego parkingu wyskoczył land rover Gai i pomknął śladem motoru.

Matylda stała przy oknie, choć samochody i motocykl już dawno zniknęły jej z oczu. Nie mogła uwierzyć, że to wszystko dzieje się naprawdę.

Zaczęła powoli wyjmować szpilki, którymi Kluge pospinał materiał, chcąc jej pokazać, jak mogłaby wyglądać sukienka. Czy to normalne, żeby w tej sytuacji najbardziej żałowała, że ta sukienka nie

powstanie?

ROZDZIAŁ 62

Nie wiedział, dlaczego tak zareagował. Nie powinien uciekać. A już na pewno nie powinien uciekać przed kobietami, które ani nie były z policji, ani nie mogły mu tak naprawdę nic zrobić. Ale instynkt okazał się silniejszy.

Wyskoczył autem na aleję Krakowską i ruszył w prawo, w kierunku Janek. Przeskakiwał z pasa na pas swoim zgrabnym czerwonym renault captur, zastanawiając się, co dalej. Nie chciał palić za sobą mostów, ale chyba nie miał innego wyjścia. Kiedy policja wejdzie do jego domu, będzie mu bardzo trudno wytłumaczyć, że nic go nie łączy ze śmiercią pisarki. Zwłaszcza że czuł się za jej śmierć boleśnie odpowiedzialny.

Zbliżał się właśnie do zjazdu na Komorów, kiedy tuż obok niego przemknął motor. Nie musiał się przyglądać, żeby wiedzieć, kto nim jedzie. Motocykl wyprzedził go i zwolnił. Kluge odczekał, aż prawie minął odchodzącą w prawo drogę, i w ostatniej chwili gwałtownie skręcił. Jego samochód zatańczył niebezpiecznie na jezdni, ale jakoś udało mu się nie wypaść na pobocze. W ten sposób motor pojechał prosto, a on – w prawo. Ale nie łudził się, że go zgubił. Zwłaszcza że po chwili zobaczył we wstecznym lusterku wielkiego czerwonego land rovera, za którego kierownicą siedziała, no cóż, druga z kobiet, które zrobiły aferę w pracowni. Ta, która miała czelność tknąć jego projekt. Aż się zatrząsał z oburzenia. „Jak ona mogła?“, pomyślał, naciskając mocniej pedał gazu. Zero szacunku dla czyjejś pracy i czyichś uczuć.

Droga na Komorów była o tej porze bardzo ruchliwa, dlatego land rover nie miał warunków, żeby wyprzedzić renault. Ale dziewczyna na motocyklu, która pojawiła się znowu na wysokości Pęcic, nie miała żadnych skrpułów. Najpierw jechała tuż za nim, a kiedy tylko nadarzyła się okazja, wyskoczyła przed niego i gwałtownie zahamowała. Zrobiła to tuż przed ostrym skretem drogi, prawie kładąc motor na szosie. Kluge odruchowo też zahamował i dopiero wtedy zorientował się, że akurat w tym miejscu nawierzchnia jest wilgotna od mgły snującej się nad Utrą. Samochód zatańczył na jezdni jak bąk i zamiast wejść w zakręt, pojechał prosto, przedarł się przez rosnące na poboczu krzaki i wylądował na łące.

Jedynym, co poczuł Kluge, był ból ramienia od napinających się pasów. Auto przez chwilę toczyło się jeszcze po wyboistym, porośniętym trawą terenie, po czym stanęło gwałtownie, zatrzymane przez jakąś rachityczną brzoźkę. W tym momencie krawiec zrozumiał, że to już koniec. Oparł ramiona na kierownicy i zaczął płakać. Szloch wstrząsał jego ciałem. To wszystko było dla niego za trudne.

Gaja zjechała na pobocze, wyskoczyła z auta i podbiegła do samochodu Tymoteusza Kluge. Na widok jego głowy opartej czołem o kierownicę pomyślała, że mężczyzna nie żyje. Na szczęście sekundę później dostrzegła, że jego ramiona drżą i rozumiała, że Kluge po prostu płacze.

Szarpięciem otworzyła drzwiczki.

– Halo, nic panu nie jest? – upewniła się.

Popatrzył na nią zaczerwienionymi od płaczu oczami.

– Ja jej nie zabiłem! – wyrzucił z siebie. – Nie zabiłem jej! To przeze mnie zginęła, ale jej nie zabiłem!

Wyglądał tak nieszczęśliwie, tak tragicznie, że Gai zrobiło się go autentycznie żal.

– To co, dzwoniemy po policję? – Przy samochodzie pojawiła się Klara. Ona nie miała żadnych wątpliwości.

– A dzwońcie sobie. – Kluge machnął ręką lekceważąco. – Liczyłem się z tym, że policja będzie mnie chciała przesłuchać. Ale wiecie, że kiedy oni się tu pojawiają, natychmiast was stąd wyrzucą? Policja nie szanuje takich agencji jak wasza...

O tak, Gaja coś na ten temat wiedziała. Dlatego wcale jej się do wzywania policji nie spieszyło.

– Dobrze, na razie się wstrzymamy z telefonem – powiedziała. – Pod warunkiem że opowie nam pan wszystko, co wie na temat śmierci Banach.

– Zakochałem się w niej po przeczytaniu pierwszego tomu serii – rozpoczął swoją opowieść Tymoteusz Kluge.

Siedział na przednim siedzeniu samochodu, odwrócony w stronę Gai i Klary, które zajmowały tylną kanapę. Był bardzo smutny i bardzo wzruszony.

– Jeszcze nigdy żadna książka nie zrobiła na mnie takiego wrażenia. Niby zwykły kryminał, ale coś takiego tam odnalazłem, jakieś bardzo głębokie emocje, napięcie i oczyszczenie, że nie potrafiłem się z tą książką rozstać. Czytałem ją wiele razy. Urzekła mnie historia, urzekła mnie bohaterka. Bo Pola Berg była wspaniała. Taka trochę... nie z tej epoki. No i jeszcze coś – pani Monika tak umiejętnie opisywała jej stroje, że czułem, jakbym je widział, jakbym ich dotykał... To mnie zainspirowało.

Potańił dłońmi nieogolony policzek.

– Przyszedł mi do głowy taki pomysł, trochę szalony, że mógłbym któreś z tych ubrań uszyć. Na początku pierwszego tomu Pola Berg znajduje w szafie sukienkę po swojej matce i przymierza przed lustrem. Ta sukienka była biała w czarne grochy, w stylu lat sześćdziesiątych, spódnica z koła, rękaw trzy czwarte, urzekająca po prostu... Długo szukałem odpowiedniego materiału, takiego, żeby się naprawdę dobrze układał. A potem musiałem zdecydować, w jakim rozmiarze ją uszyć. Mogłem oczywiście wybrać rozmiar uniwersalny, ale pomyślałem, że tą sukienką oddam hołd autorce. Akurat zbliżały się targi książki w Warszawie, więc się na nie wybrałem. Wtedy jeszcze pani Monika nie była aż tak znana, w kolejce do niej stało dosłownie kilka osób... – Westchnął. – Poprosiłem ją o autograf i wspólne zdjęcie. To mi wystarczyło, żeby poznać jej wymiary.

– Science fiction – parsknęła Klara. – Pan ma w oczach skaner czy co?

Kluge popatrzył na nią z politowaniem.

– Pani wymiary to osiemdziesiąt siedem, sześćdziesiąt sześć, osiemdziesiąt dziewięć. Zgadza się?

Gaja popatrzyła na Klarę pytająco. Zaskoczona dziewczyna tylko skinęła głową.

Kluge uśmiechnął się skromnie.

– Jedyne, czego nie potrafię zmierzyć na oko, to iloraz inteligencji. A ta sukienka naprawdę mi się udało. Zdobyłem adres pani Moniki i pojechałem do niej do domu, żeby ją wręczyć, ale w ostatniej chwili stchórzyłem, to były zbyt duże emocje. Przerzuciłem paczkę przez płot i uciekłem jak dzieciak. A potem ukazał się drugi tom serii, a ja uszyłem spódnice, która została tam opisana...

– Wiedział pan, że ona tego nie nosi? – zainteresowała się Klara.

– Niestety, tak. Na którymś spotkaniu autorskim, na które przyjechałem, a starałem się bywać na wszystkich, powiedziała mi, że sobie takich prezentów nie życzy. Ale nie potrafiłem przestać. Czekałem

na każdą kolejną książkę i kiedy się tylko ukazywała, biegłem do księgarni, czytałem z wypiekami na twarzy, potem analizowałem treść i zawsze, za każdym razem znajdowałem coś, co mógłbym uszyć, opis tak dokładny, jakby dawała mi wykrój do ręki. Wydawało mi się nawet, że ona prowadzi ze mną jakąś grę... – Na moment zawiesił głos. – Przez te wszystkie lata czekałem, mając nadzieję, że pewnego dnia się przełamie i włoży jedną z moich rzeczy, że zobaczą ją w bluzce albo sukience, którą z takim oddaniem dla niej uszyłem.

Zamilkł. Gaja patrzyła na niego z mieszaniną podziwu i współczucia.

– No dobrze, a suknia ślubna? Czy ona też jest w którejs z książek?

– Hmm... suknia ślubna... Z nią było trochę inaczej. Przez wszystkie dziewięć tomów serii o Poli Berg gdzieś w tle krążył temat ślubu. Pola najpierw ma narzeczonego, policjanta, chce wyjść za niego za mąż, ale on ginie. Potem ona za nim tęskni, nie potrafi wejść w żadną relację, w końcu poznaje kogoś, na nowo się zakochuje i w dziewiątym tomie zaczynają się przygotowania do ślubu. W marcu pani Monika udzieliła wywiadu, w którym powiedziała, że jej najnowsza książka zaskoczy czytelników. I że wreszcie pozwoli swojej bohaterce na emocje, które od dawna chciała opisać. Przy czym nie zdradziła jeszcze wtedy, że to będzie zupełnie nowa bohaterka. Ale dla mnie to był wyraźny sygnał, że w nowej książce pojawi się ślub. I tym razem postanowiłem naprawdę panią Monikę zaskoczyć. Uszyć tę suknię, zanim ukaże się książka, i wręczyć ją osobiście. I błagać, żeby ją na siebie założyła. To było moje marzenie. Zobaczyć ją w sukni ślubnej mojego autorstwa... Więc zabrałem się do pracy. Włożyłem w ten projekt całe serce, pełnię umiejętności. Byłem już prawie gotowy, kiedy pojawił się komunikat o zaginięciu.

Tymoteusz Kluge westchnął głęboko, boleśnie.

– Nie mogłem tego zrozumieć. To znaczy: nie mogłem zrozumieć, co ta jej agentka opowiada. I jak to możliwe, że nie wie, gdzie się podziała Banach. Bo dla mnie było absolutnie oczywiste, że to nie jest żadne porwanie ani nic takiego. Obserwowałem panią Monikę przez wiele lat. Ona działała według schematów. Miała swoje zwyczaje, swoje rytuały. Jednym z nich był odpoczynek – zawsze po skończeniu kolejnej książki na kilka dni znikła. To znaczy wyjeżdżała z Milanówka i zaszywała się w letnim domku nad Zalewem Zegrzyńskim.

– Jak pan to odgadł?

– Och, to było banalne. We wpisach na Facebooku przestawała oznaczać Milanówek. Pojawiały się za to Rynia, Borki, Arciechów... Wystarczyło sprawdzić, gdzie leżą. A za którymś kolejnym razem na zdjęciu, które wrzuciła, zobaczyłem szyld „Zajazd Zielony Zakątek”. Napisała w tym poście, że wpadła po sąsiedzku na zimne piwo. Z ciekawości kiedyś się tam wybrałem, zacząłem podpytywać ludzi i w końcu zdobyłem informację, gdzie się zatrzymuje. Dlatego kiedy usłyszałem, że zniknęła, byłem pewny, że jest właśnie tam. Postanowiłem dokończyć sukienkę i do niej pojechać. I przy okazji dowiedzieć się, o co chodzi w tym całym zamieszaniu z zaginięciem. Naprawdę byłem ciekaw.

Gaja i Klara słuchały zafascynowane.

– To wszystko brzmi jak z filmu – powiedziała cicho Gaja. – I zobaczył się pan z nią?

Kluge uśmiechnął się smutno.

– Proszę sobie wyobrazić, że tak. – Zawiesił na chwilę głos, jakby się bał mówić dalej. – Długo się zastanawiałem, o jakiej porze ją odwiedzić, w końcu zdecydowałem, że najlepiej będzie pojechać do niej wczesnym wieczorem. O dziewiętnastej zadzwoniłem do drzwi. Serce mi waliło tak, że bałem się, że zemdleję, ale ten moment oczekiwania był najpiękniejszy. A potem mi otworzyła i... No i przestało

być pięknie, bo strasznie się na mój widok zdenerwowała. Zaczęła krzyczeć, że ją szpieguje, że to jest bezczelne z mojej strony i żebym się wynosił.

– Trochę jakby miała rację – zwróciła mu uwagę Klara. – I co pan zrobił?

– Przeczekałem to – odpowiedział ze skromnym uśmiechem krawiec. – W moim zawodzie trzeba umieć czytać kobiece emocje. Spokojnie wysłuchałem jej pretensji, po czym zasugerowałem, że jeżeli mnie wyrzuci, to – być może – informacja o tym, gdzie się teraz znajduje, w jakiś sposób dotrze do prasy.

Gaja patrzyła na niego z niegasnącą fascynacją.

– Czyli pan ją zwyczajnie zaszantażował?

– Och, nie używałbym tak mocnych słów. Zagrałem trochę *va banque*, ale się okazało, że rzeczywiście bardzo jej zależy na dyskrecji. I mnie wpuściła.

Poprawił się na siedzeniu.

– Dałem jej suknię. Była naprawdę zaskoczona tym, że się domyśliłem ślubu. Zaimponowałem jej. No i sama sukienka bardzo jej się spodobała. Powiedziałem, że moim największym marzeniem jest zobaczyć ją w tej sukni i jeżeli ją dla mnie włoży, już nigdy więcej nie będę dla niej szył, przestanę też przychodzić na spotkania. Nie wyobrażałem sobie, co prawda, jak będę mógł dalej bez niej żyć, ale chciałem udowodnić, że jestem gotów na poświęcenie. Co mogę powiedzieć? Było warto. Wyglądała w tej sukience przepięknie. Zjawiskowo. Nie mogłem się napatrzeć.

Nagle Gaja sobie uświadomiła, że urzeczona opowieścią krawca nie spytała o rzecz najważniejszą.

– Kiedy znaleziono Banach, miała na sobie tę sukienkę. Czy to znaczy, że był pan u niej...

Kługe skinął głową.

– Tak, byłem u niej w dniu morderstwa.

Zamilkł.

– Sukienka pasowała na nią idealnie, aż sam byłem zaskoczony. Chyba ją doceniła, bo zaczęła żartować, że teraz to już będzie musiała wyjść za mąż, żeby się nie zmarnowała. I wtedy na jej tablet przyszła wiadomość. Otworzyła ją i nagle zaczęło jej się spieszyć. Kazała mi zabrać pudło po sukni i wypchnęła mnie za drzwi. Dośćownie. – Roześmiał się gorzko. Powiedziała, że się spodziewa gościa i że to będzie bardzo ważna rozmowa, więc żebym zniknął.

– I zniknął pan? – zapytała Klara.

– Nie od razu. Jeszcze chwilę stałem na zewnątrz, przy oknie, i obserwowałem, jak się kręci po kuchni, przeciera stół, sypie kocią karmę do miski... A wszystko w mojej ślubnej sukni. Wyglądało to naprawdę abstrakcyjnie. Ale w końcu uznałem, że skoro ona się z naszej umowy wywiązała, ja też powinienem. Wsiadłem do samochodu i odjechałem. I właśnie tego nie mogę sobie wybaczyć. Bo osoba, na którą czekała, to musiał być morderca. Gdybym tam został chwilę dłużej, wszystko mogłoby się potoczyć inaczej.

Zapadła cisza.

– I nie wie pan, kto to był? Nie widział go pan? – zapytała po chwili Gaja.

Kługe odwrócił wzrok i patrząc przez okno na podmokłą, porośniętą turzycami łąkę, powiedział:

– Nie jestem pewien.

– Jak to nie jest pan pewien? – zdziwiła się Klara. – Nie rozumiem.

– Przy samym domku nie widziałem nikogo – wyjaśnił. – Ale kawałek dalej minąłem na drodze samochód, duży, terenowy. Przyszło mi do głowy, że to jakiś miłośnik off-roadu, choć przecież ta droga,

na której się mijaliśmy, była porządna, asfaltowa. Wtedy jakoś nie pomyślałem, że to właśnie może być ten gość pani Moniki. Zresztą wcale nie jestem pewien, czy to był on. Równie dobrze mógł jechać dalej, do Arciechowa...

– A jakiej to auto było marki? – zapytała zaintrygowana Gaja.

– Land rover, dokładnie taki jak pani, tyle że czarny. No i na dachu też miał taki rząd reflektorów jak ten pani.

Klara i Gaja spojrzały na siebie.

– Ale numer! – rzuciła Klara, podekscytowana. – Przecież myśmy niedawno widziały taki samochód!

ROZDZIAŁ 63

– Dziwię się, prawdę mówiąc, że nie pojechałyście prosto na komisariat – oświadczyła Matylda, posypując cienko pokrojone buraki serem feta. – Nie możecie zatajać tych informacji.

– Jakich informacji? – zainteresowała się Klara.

– Jakie „zatajać”? – obruszyła się Gaja.

Był późny wieczór. Wszystkie trzy siedziały w kuchni u Matyldy, czy raczej Klara i Gaja siedziały, a Matylda kręciła się, przygotowując kolację. Atmosfera w pomieszczeniu była napięta, i to nie tylko z powodu głodu. Nastąpił wyraźny podział na dwa obozy, a punktem spornym było to, co zwykle, czyli najogólniej rzecz ujmując – przestrzeganie litery prawa.

Matylda gdzieś w głębi duszy zawsze uważała, że od łapania przestępców jest policja. Angażowała się całym sercem w działania agencji – przecież to tylko dzięki niej trafiły na ślad Tymoteusza Kluge – ale morderstwo to nie przelewki. Kolejny raz została zmuszona, żeby brać udział w czymś w rodzaju zasadzki. To przecież u niej w domu nie dalej jak przed miesiącem został zatrzymany zabójca Justyny, licealistki. I choć cała akcja była koordynowana przez komisarza Lewina, to i tak Matylda nieźle najadła się strachu.

Dzisiaj znowu stanęła oko w oko z potencjalnym mordercą i bardzo to przeżyła. Co z tego, że okazał się niewinny? Kiedy przyszła do niego do pracowni, a potem pozwalała, żeby ją dotykał, jeszcze tej wiedzy nie miała.

Dłatego teraz, kiedy dziewczyny opowiedziały jej całą jego historię, zarazem okrutną i piękną, najpierw poczuła ulgę, a zaraz potem – znajomy skurcz lęku. Bo czym się ona kończyła? Tym, że Kluge, wracając od Banach, spotkał na drodze charakterystycznego land rovera, którego dziewczyny widziały przed siedzibą wydawnictwa Seryjne. I według Matyldy to był właśnie dokładnie ten moment, w którym powinny się ze sprawy wycofać. Pójść na policję, przekazać im wszystkie informacje i grzecznie czekać, aż sprawca zostanie aresztowany.

Ale nie, one oczywiście miały inne plany.

– Po pierwsze nie wiemy, czy ten land rover rzeczywiście należy do kogoś z wydawnictwa – zaczęła Matyldzie tłumaczyć Gaja. – Równie dobrze mógł tam parkować przypadkiem.

– Albo to w ogóle nie był ten samochód! – dopowiedziała Klara. – Więc umówmy się, to akurat nie jest pewna informacja.

– Poza tym nie ma żadnych dowodów, które by łączyły to auto ze zbrodnią – ciągnęła Gaja.

No cóż, ostatnie zdanie nie zabrzmiało przekonująco. Nie zabrzmiało nawet prawdziwie...

– Nic nie wiesz o dowodach – zirytowała się Matylda. – Czytałaś raport z sekcji? Ty nie masz nawet pojęcia, gdzie ją zabilo! I jak! I czy czasem policja nie dysponuje jakimiś istotnymi śladami, które mogą pomóc zidentyfikować zabójcę! Może gdybyście im przekazały, co wiecie, to coś by się z czymś połączyło! Ale nie. Zosie Samosie. I zaraz znowu będziecie próbowały mnie w coś wrobić!

– Tyśka, przecież jak nie chciałaś iść do Klugego, to trzeba było powiedzieć! – Gaja patrzyła na przyjaciółkę zaskoczona. – Skąd mogłam wiedzieć, że się boisz?

Matylda w odpowiedzi chwyciła łyżeczkę i zaczęła energicznie mieszać sos do sałatki. Doskonale wiedziała, do czego zmierza ta rozmowa. Zaraz znowu usłyszy wykład o asertywności. Że trzeba było zaprotestować, postawić się, bla, bla, bla. W teorii to wszystko wydawało się łatwe, niestety wprowadzanie tego w życie już takie proste nie było. Jak ma im wytłumaczyć, że lęk to jedno, a ogromna, gigantyczna wręcz potrzeba, żeby okazać się pomocnym, ba, najlepiej niezastąpionym, to drugie? I że z tą potrzebą walczyć się nie da?

– Dobra, zostawmy to – fuknęła. – Jaki macie plan?

Dwa razy przejechały wokół budynku wydawnictwa i nigdzie, na żadnym parkingu nie zauważyły czarnego land rovera.

– Może jest za wcześnie? – zastanawiała się na głos Klara.

– Wiem, że dla ciebie dziesiąta to świt, ale normalni ludzie o tej porze już drugą kawę piją.

– No dobra, czyli go jeszcze nie ma w pracy.

– Albo jej. No chyba, że tu w ogóle nie pracuje, tylko bywa. – Gaja się zamyśliła. – A kto nie pracuje w wydawnictwie, tylko w nim bywa?

– Autor? – rzuciła od niechcienia Klara, a Gaja natychmiast to podchwyciła.

– Autorka?

Na chwilę obie zamilkły, przetrawiając ten wniosek.

– Też o niej pomyślałaś? – spytała Gaja. – O Sośnickiej?

Klara skinęła głową.

– No pewnie, pierwsze skojarzenie. Co ona powiedziała wtedy? Że nienawidzi Banach? I że Banach ją upokorzyła? Musiały mieć ze sobą niezłą kosę. Tylko czy to byłby wystarczający motyw?

– Wiesz co, ja pracowałam trochę z artystami. Dla nich kwestie prestiżowe, ambicjonalne odgrywają olbrzymią rolę. Może Sośnicka chciała zrobić dla siebie miejsce? Wyciąć konkurencję? To, że była o nią zazdrosna, to pewnik. W końcu Banach była największą gwiazdą wydawnictwa.

– Trochę to naiwnie brzmi – stwierdziła szczerze Klara. – Gdyby się, powiedzmy, ścigały ze sobą o Bestseller Empiku, to jeszcze bym mogła zrozumieć. Ale jeżeli debiutantka na rynku kryminałów zamierza wycinać konkurencję w ten sposób, to będzie miała huk roboty.

– Och, przecież mogła mieć zupełnie inny motyw. – Gaja nie zamierzała się poddawać. – Przede wszystkim trzeba sprawdzić, czy to jej auto. Pójdziemy na górę i spytamy recepcjonistki, kto jeździ tym smokiem.

– Dzień dobry, to znowu my. – Klara oparła się łokciami o ladę.

Recepcjonistki ich widok nie zdziwił.

– Panie do szefa? – spytała.

– Tym razem tylko do pani. – Klara się uśmiechnęła. – Mamy taką delikatną sprawę... Koleżanka wyjaśni.

Klara odsunęła się, robiąc miejsce Gai.

– Chodzi o to, że kiedy tu ostatnim razem parkowałam, ktoś mi zarysował samochód. Nie jestem pewna, ale obok mnie stał taki duży, czarny land rover z reflektorami na dachu... – zawiesiła głos.

– I dopiero teraz się pani zorientowała? – Recepcjonistka spojrzała na nią nieufnie.

Gaja uśmiechnęła się do niej porozumiewawczo.

– Niestety, nie ja, tylko mój mąż. Strasznie się zdenerwował. I kazał mi załatwić sprawę. Wie pani, jak to jest z facetami.

Dziewczyna wiedziała. I natychmiast zaczęła Gai współczuć.

– Faktycznie głupia sytuacja. Ale na pewno da się to bez problemu załatwić. Naczelnym powinien być najdalej za pół godziny.

Gaja poczuła, że robi jej się sucho w ustach.

– Naczelnym? Przecież mówił, że jeździ skuterem!

– Bo jeździ. Ale czasami, jak gdzieś się po pracy wybiera w dalszą trasę, bierze auto. Ten land rover jest jego. To co, poczekają panie?

Gaja bez słowa ruszyła w kierunku dwóch foteli ustawionych po drugiej stronie korytarza, we wnące. Opadła na jeden z nich i patrzyła, jak Klara siada energicznie na drugim.

– Ale jaja – wyszeptwała, nachylając się do Gai. – Ale jaja...

– On? – Gaja nie mogła się otrząsnąć. – Przecież to bez sensu! Nikt nie zarzyna kury znoszącej złote jaja! Zarabiał na niej krocie! W dodatku zaczęła pisać nową serię, byłby idiotą, żeby się jej pozbywać!

– Kluge widział jego samochód. To jest bardzo mocny dowód. Więc nie kombinujmy, dlaczego miałby jej nie zabijać, tylko jak udowodnić, że to on – syknęła Klara.

– Rozmawialiśmy z nim, jak zniknęła! Wyglądał na przejętego! – Gai ciągle łatwiej było znaleźć argumenty przeciw.

– Nie na tyle, żeby dać kasę na okup – zwróciła jej uwagę Klara.

– Pamiętaj, to była wtedy sytuacja abstrakcyjna, nie padła żadna kwota. I chyba naprawdę nie wiedział, gdzie jest Banach. Agentka twierdziła, że nie zdradziły mu swojego planu, boby się sypnął. – Gaja czujnie zerknęła na drzwi. – Jak udowodnić, że tam był? Myśl! I to szybko, bo za chwilę będę musiała sama sobie porysować samochód!

– No przecież myślę! – zirytowała się Klara.

– Kiedy z nim rozmawialiśmy za pierwszym razem, Banach jeszcze żyła. Więc skupmy się na tym drugim spotkaniu. Pamiętasz, co on wtedy mówił? Halo?

Ale Klara nagle przestała słuchać, wpatrzona w jakiś punkt za jej plecami.

Gaja odwróciła się, żeby sprawdzić, czemu w takim napięciu przygląda się Klara. Korytarzem w ich stronę zbliżała się jakaś dziewczyna, przyciskając do piersi maszynopis. Z tej odległości widać było tylko, że jest gruby, nic więcej.

– O co chodzi? – zapytała szeptem Gaja.

Klara jakby się nagle ocknęła.

– Wydruk! – wyrzuciła z siebie, poruszona odkryciem. – Wydruk książki Banach!

– Jaśniej mów! – zdenerwowała się Gaja.

– Moment! – Klara poderwała się z fotela. – Ja do toalety! – rzuciła wyjaśniająco w stronę recepcjonistki i pobiegła korytarzem w głąb biura.

ROZDZIAŁ 64

Z każdym kolejnym dniem spędzonym w domu Ewelina czuła się gorzej. Przestała już nawet udawać, że pracuje. Na swojej skrzynce mejlowej ustawiła automatyczne powiadomienie: „Jestem na urlopie do 04.05. Pozdrawiam”. To samo kazała mówić przez telefon sekretarce. A sama snuła się po mieszkaniu, głaszcząc koty i starając się nie myśleć, ile pracy będzie na nią czekało po powrocie.

Nie przypuszczała, że ta historia tak mocno w nią uderzy. Jej organizm się zbuntował i odmówił współpracy, dlatego postanowiła być dla niego wyrozumiała. Jedyne, na czym jej zależało, to odciąć się od świata i przeżywać swój ból z szacunkiem, w samotności i w ciszy. Niestety, świat miał inne plany.

Przede wszystkim dobijał się do niej Kamil w sprawie umowy. A przynajmniej zakładała, że w tej sprawie, jednak nie potrafiła się zmusić, żeby odebrać telefon. Po ich ostatniej rozmowie poczuła dziwną niechęć do tego przedsięwzięcia. Wydawanie książki w takim pośpiechu było aż niesmaczne i Ewelina nie chciała przykładać do tego ręki. Problem w tym, że niestety musiała. Wiedziała, że Kamil jej nie odpuści. Gdyby była w lepszej formie, usiadłaby nad aneksem do umowy i tak go przygotowała, żeby opóźnić wydanie. No ale czuła się tak, jak się czuła. W tym stanie nie wypełniłaby nawet druku na polecony, więc o żadnych fikuśnych paragrafach nie mogło być mowy.

Świat zaatakował ją również na Facebooku. Co prawda, miała wyciszone powiadomienia, ale coś ją podkuśliło i akurat dziś rano otworzyła Messengera. Liczba wiadomości ją obezwładniła. W pierwszym odruchu chciała je wszystkie natychmiast wykasować, ale po chwili dotarło do niej, jak bardzo różnią się od tych, które przychodziły po zaginięciu Moniki. Tamte były albo wścibskie, albo agresywne, albo przemądrzałe. Teraz ci, którzy pisali, po prostu składali jej kondolencje i te ciepłe, życzliwe słowa bardzo ją poruszyły. Zaczęła więc po kolei przeglądać czaty i nagle trafiła na wiadomość inną niż wszystkie.

Była od Doroty Madejek, szefowej wydawnictwa Drogowskazy, i brzmiała następująco: „Cześć, tu Dorota. Przepraszam, że się kontaktuję tą drogą, ale nie mam twojego prywatnego numeru, a osoba w biurze twierdzi, że jesteś na urlopie i nie można ci przeszkadzać. Ja to absolutnie rozumiem, ale mam bardzo ważną sprawę, która dotyczy Moniki. Bardzo ważną, podkreślam. Odezwiw się proszę”. I dalej następował jej numer telefonu.

Ewelina przeczytała te kilka zdań jeszcze raz. O czym związanym z Moniką mogła chcieć rozmawiać Dorota? Zwłaszcza że ledwo się znały. Widywały się czasami na imprezach branżowych, festiwalach, targach, to wszystko.

Zaintrygowana, wybrała numer Madejek.

Kobieta odebrała prawie natychmiast.

– Nareszcie! – przywitała ją z wyraźną ulgą.

– Przepraszam, dopiero teraz otworzyłam czat – wytłumaczyła się Ewelina. – Co się dzieje?

Po drugiej stronie na chwilę zapadła cisza.

– Prawdę mówiąc, wolałabym nie przez telefon. Możemy się spotkać?

„Co ze śmiercią Banach ma wspólnego wydruk jej książki?”, zastanawiała się Gaja, czekając na powrót Klary.

Dziewczyna pojawiła się z powrotem po pięciu minutach i opadła na fotel. A potem rozejrzała się dyskretnie, czy nikt ich czasem nie obserwuje, i wyjęła spod kurtki plik kartek.

– Co to jest? – syknęła Gaja. – I skąd to masz?

– Kilka stron najnowszej książki Banach. Gwizdnęłam! – odpowiedziała z dumą.

– Ale po co?!

– Wszyscy twierdzą, że Banach miała swoje rytuały. Na przykład związane z pisaniem. Kończyła książkę, drukowała ją, nanosiła poprawki na papier i dopiero później wprowadzała do komputera. Dopóki nie skończyła, nikt nie mógł zobaczyć tekstu! – Klara mówiła szeptem, ale tak wyraźnie, że Gaja idealnie słyszała każde słowo. – Kiedy byliśmy tu ostatnio po zdjęcia, widziałam, że maszynistka przepisuje tekst książki Banach z wydruku. Wójcicki twierdził, że nie mają pliku, bo Banach nie zdążyła im go wysłać przed śmiercią, a policja zajęła jej sprzęt i nie wiadomo, kiedy uzyskają dostęp do wersji elektronicznej. Pytanie w takim razie, skąd miał wydruk?

Gaja wzruszyła ramionami.

– Mogła mu dać przed zniknięciem – zauważyła bez przekonania.

– Nie mogła, bo miała go ze sobą w domku!

Gaja pokręciła głową z powątpiewaniem.

– Mogło być więcej kopii.

– Agentka twierdzi, że Banach robiła zawsze tylko jedną, dla siebie do pracy! Czyli ta, z której korzystają tutaj, to jest ta sama, która była w domku! Czyli Wójcicki stamtąd ją wziął! Czyli musiał tam być! I wiem, jak to udowodnić!

W tym momencie przez jednostajny szum przepływających pod oknami wydawnictwa pojazdów przebił się charakterystyczny hałas potężnego silnika. Gaja poderwała się z fotela i podbiegła do okna. Na dole właśnie parkował wielki czarny land rover z zamontowanymi na dachu reflektorami.

– O cholera... – syknęła, po czym wróciła do Klary i rozkazała szeptem: – Zadzwoni do mnie!

Klara posłusznie wyciągnęła komórkę i wybrała numer szefowej. Telefon Gai się rozdzwonił, a recepcjonistka podniosła głowę i spojrzała kontrolnie w ich stronę.

Gaja natychmiast odebrała.

– Tak? Tak? O Boże! Już jadę!

Chwyciła Klarę za ramię i powiedziała głośno:

– Dzwonili ze szkoły! Helenka złamała rękę! Muszę natychmiast jechać!

Podeszła energicznym krokiem do lady.

– Pędzę do szkoły, córka miała wypadek. Proszę nie mówić panu Wójcickiemu, że byłam, dobrze? To jest jednak delikatna sprawa... Wolałabym sama z nim porozmawiać. Zwłaszcza że nie jestem do końca pewna, czy to faktycznie była jego wina...

Recepcjonistka przyjęła jej prośbę z wyraźną ulgą. Przekazywanie szefowi, że ktoś chce go ścigać za porysowanie auta, chyba nie było jej marzeniem.

Wypadły z Klarą z wydawnictwa i zamiast windą, ruszyły w dół schodami, mając nadzieję, że mężczyzna nie robi formy, pokonując piętra na piechotę. Akurat kiedy dotarły na parter, Wójcicki wszedł do budynku, cofnęły się więc w cień klatki schodowej.

– Czuję się jak w podstawówce – zachichotała Klara. – Może powinnyśmy się zaopatrzyć w proce?

Odczekały, aż wsiądzie do windy, a potem przemknęły przez hol i wypadły na zewnątrz.

– Jak? Jak chcesz udowodnić, że Wójcicki był u Banach nad zalewem i wziął od niej wydruk książki? – spytała Gaja, kiedy już znalazły się przy land roverze.

– Zaraz zobaczysz.

Wsiadły do auta. Klara wyjęła ukradzione z wydawnictwa kartki i sięgnęła po komórkę. Gaja patrzyła, jak dziewczyna fotografuje strony, jedną po drugiej, a potem wysyła zdjęcia esemesem.

– I co? – Gaja nie mogła wytrzymać z ciekawości.

– Czekamy, aż odpisze.

– Ale kto?

– Wojtek.

Zanim Gaja zdążyła jakoś to skomentować, telefon Klary kliknął powiadomieniem. Dziewczyna szybko otworzyła wiadomość i z radości aż się uderzyła dłonią w kolano.

– Jest! Mamy dowód!

– Jaki dowód? Mówżeż!

– Wojtek spędził z Banach noc przed jej śmiercią – tłumaczyła podekscytowana Klara. – Pozwoliła mu wtedy przeczytać *Grę pozorów*, a on naniósł na tekst swoje poprawki. Popatrz, widzisz to? – Puknęła palcem w odręczne notatki na wydruku. – Wojtek potwierdził, to jego pismo! Czyli na sto procent kopia, którą Wójcicki przyniósł do wydawnictwa, to ta sama, którą Banach miała ze sobą w letnim domu! Wójcicki musiał być u Banach tamtego wieczoru, kiedy zginęła! Mówię ci, to on ją zamordował!

ROZDZIAŁ 65

Przez ostatni miesiąc pracy w agencji Gaja nauczyła się, że niczego nie można być pewnym. Właściwie wszyscy, których spotykała, uprawiali, nomen omen, grę pozorów. Żony udawały silne i niezależne, mężowie – kochających i wiernych, policjanci – zaangażowanych profesjonalistów, a mordercy... No cóż. Mordercy po prostu udawali, że nimi nie są. Ale nawet jeżeli się tę oczywistą prawdę przyswoiło i przyjęło za pewnik, takie rozwiązania jak to, które właśnie miały przed sobą, nadal szokowały.

Gaja bardzo dobrze pamiętała ich pierwsze spotkanie. Wójcicki zrobił na niej wtedy wrażenie człowieka kompetentnego, rozsądnego, może trochę słabego... W każdym razie na pewno nie zdolnego do zabójstwa. Tylko czy w ogóle potrafiłaby to ocenić?

Klara uważała, że dowody, które zdobyła, są niezbite i świadczą jednoznacznie o winie mężczyzny. Ale Gaję, po chwili prawdziwej euforii, opadły wątpliwości. Wyobraziła sobie, jak idą na policję i przedstawiają im swoje argumenty.

Argument pierwszy: samochód naczelnego był widziany na szosie niedaleko domu, w którym przebywała Banach. Tylko skąd wiadomo, że to był rzeczywiście jego samochód? A nawet jeśli, to jak udowodnić, że właśnie on siedział za kierownicą?

Reasumując: argument numer jeden do kosza.

Teraz drugi: Wójcicki dysponował wydrukiem książki, który Banach wzięła ze sobą do letniego domu. Ale przecież to jeszcze nie świadczyło o tym, że ją zabił. Mógł ją odwiedzić tuż po wyjeździe Wojtka, a przed przyjazdem Tymoteusza Kluge.

Czyli argument numer dwa – nie do obronienia.

Trzeciego niestety nie miały.

I nagle poczuła odpływ sił. Cała energia, jaka w niej buzowała jeszcze rano, wyparowała z cichym sykiem. Świadomość, że wiedzą, kto zabił Monikę Banach, i jednocześnie nic nie mogą z tym zrobić, była dramatycznie frustrująca.

W każdym razie dla niej, bo nie dla Klary.

– Wróćmy tam! – nalegała dziewczyna. – Skonfrontujmy go z tym, co wiemy! Głowę daję, że pęknie!

Gaja popatrzyła na nią z politowaniem.

– Według mnie, owszem, pęknie, ale ze śmiechu. A potem nawet się nie obejrzymy, jak zwieje. Już raz tak miałyśmy. Z Głowackim.

Klara popatrzyła na Gaję zaskoczona.

– Co ty się nagle taka ostrożna zrobiłaś? Czekaj, czekaj... Lewin! Ty się przejęłaś tym, co on ci nagała!

Gaja wyprostowała się gwałtownie.

– Zwariowałaś? Mam go w nosie! To jest absolutnie ostatnia osoba, którą bym się mogła przejmować!

– W takim razie idziemy do Wójcickiego! – rzuciła Klara hardo.

– I spytamy, czy zabił Banach? A on powie: rozszyfrowałyście mnie! Tak, to ja jestem mordercą! I sam się zakuje w kajdanki! – Gaja naprawdę się zdenerwowała. – Mamy dwa wyjścia. Albo idziemy na policję, mówimy wszystko, co wiemy, i liczymy na to, że oni coś z tym zrobią sensownego, albo same musimy zdobyć dowód, że to on! Ale taki dowód, wiesz! Niepodważalny.

– Najbardziej niepodważalnym dowodem byłoby przyznanie się do winy, nie uważasz?

Siedziały obok siebie, złe i naburmuszone.

– Nie chcesz z nim rozmawiać? Dobrze, rozumiem. W takim razie pomyślmy nad tym dowodem – zgodziła się w końcu Klara. – Nie odpuszczajmy, to nie w naszym stylu. Na policję zawsze zdążymy pójść.

Co prawda, Gaja nie uważała, żeby miały jakiś własny styl, ale postanowiła jej posłuchać. Faktycznie, z pójściem na policję nie muszą się spieszyć.

– W takim razie powinniśmy zdobyć o nim jak najwięcej informacji. Zaczniemy od Eweliny. Myślę, że od niej sporo się dowiemy i o nim, i o jego relacji z Banach.

Wyjęła telefon i wybrała numer.

– Cześć! – rzuciła, przełączając rozmowę na głośnik.

– Gaja! Właśnie miałam do ciebie dzwonić! – W głosie Eweliny brzmiało napięcie. – Musimy się zobaczyć. I to jak najszybciej! Mam megaważną informację!

Gaja popatrzyła zdziwiona na Klarę.

– Świetnie się składa, bo my też coś mamy.

– To przyjedźcie do mnie, wyślę ci adres esemesem.

Mieszkanie agentki było przestronne, jasne i urządzone wyjątkowo starannie – proste meble, oszczędne dodatki, oryginalne kolory ścian i nowoczesne obrazy przyciągające wzrok intensywnymi barwami. Widać tu było rękę niezłego projektanta oraz pieniądze. Przy czym Gaja wiedziała doskonale, że tego typu wnętrza sprawdzają się dużo lepiej na zdjęciach w magazynach branżowych niż w codziennym użytkowaniu.

– Napijecie się czegoś? – spytała Ewelina, prowadząc je przez salon w stronę kuchni.

Między nogami przemknęło im jakieś szczupłe i zwinne zwierzę w kolorze czekoladowym.

– Fretka? – zdziwiła się Klara.

– Sfinks – wyjaśniła gospodyni. – Właściwie dwa. Kawy czy herbaty?

– Nic. Mów, co się stało.

Usiadły przy okrągłym stole zajmującym większą część kuchni. Na blacie leżała duża, wypchana koperta.

– Ta przesyłka przyszła wczoraj do wydawnictwa Drogowskazy – zaczęła Ewelina. – W środku był wydruk nowej książki Moniki i list.

Ewelina wyjęła z koperty zwykłą kartkę w kratkę zapisaną eleganckim, równym pismem i zaczęła czytać:

– „Kochana Dorotko! Kiedy dostaniesz tę przesyłkę, ja pewnie jeszcze będę »zaginiona«, ale nie przejmuj się, nic mi nie jest. Moje zniknięcie to chwyt marketingowy na użytek nowej książki. W ten sposób chcę ją wypromować. I pytam nieśmiało: co byś powiedziała, gdybym wydała ją u ciebie? Nie martw się, udźwigniecie temat bez problemu! Przede wszystkim nie chcę żadnej zaliczki, a jeśli chodzi o nakład, to będziemy dodrukowywać sukcesywnie w takich ilościach, na jakie was będzie stać.

Załączam projekt umowy i tekst książki. Ja nad nim jeszcze ciągle trochę pracuję, ale nie mogłam się już doczekać, żeby ci go wysłać. Mam nadzieję, że ci się spodoba. Odezwę się, jak tylko odkręcę ten cały cyrk. Przemyśl to sobie, ale wydaje mi się, że to jest bardzo dobra propozycja. PS Kamil na razie nie wie, że od niego odchodzę, Ewelinie też jeszcze nie powiedziałam, dlatego bardzo cię proszę o dyskrecję. Ściskam. Monia”.

Gaja i Klara patrzyły na nią z niedowierzaniem.

– Czyli Monika Banach chciała wydać *Grę pozorów* w Drogowskazach? Nie w Seryjnym? – wydusiła z siebie Gaja.

– Tak – potwierdziła Ewelina.

– Ale numer – westchnęła Klara. – Ale numer!

– Sprawdziłaś to? – upewniła się Gaja. – To nie jest żart? Albo próba oszustwa?

Ewelina pokręciła przecząco głową.

– Nie. List na pewno napisała Monika, tekst książki wydaje się autentyczny, przejrzałam też umowę. Jest bardzo korzystna dla wydawnictwa. Bardzo. Gdyby tego nie wzięli, byłiby głupi. Nawet kopertę sprawdziłam. Na znaczku jest stempel z Arciechowa, to poczta najbliższej domku. Ona naprawdę chciała wydać tę książkę u Doroty.

– Ale dlaczego? – Klara była zdezorientowana. – Skąd jej się to wzięło?

– Myślę, że musiała czuć jakiś rodzaj wyrzutów sumienia – odpowiedziała Ewelina. – Że kiedyś przeszła do Kamila.

– No właśnie, Kamil. – Gaja odchrząknęła. – To on ją zabił.

Ewelina gwałtownie zbladła.

– Niemożliwe – wydusiła z siebie. – Skąd wiecie?

Więc opowiedziały jej szczegółowo całą historię z krawcem, suknią ślubną, wizytą tajemniczego gościa, land roverem i wydrukiem książki. Ewelina słuchała zafascynowana.

– Tyle tylko że nie mamy dowodu. Ze wszystkiego może się bez problemu wywinąć – zakończyła Gaja. – Nawet jeżeli to połączymy z tym ruchem Moniki ze zmianą wydawcy. Nie mamy jak udowodnić, że on wiedział.

Na stół wskoczył jeden z kotów i zaczął się łaścić do Klary.

– Dante! – Ewelina zdjęła go delikatnie i postawiła na podłodze, ale w tym momencie na stole pojawił się drugi kot.

– Devil, idź sobie!

Ale kot ani myślał.

Ewelina wyjęła więc z szafki torbę suchej karmy i zaczęła wsypywać granulki do dwóch białych ceramicznych misek, a koty w sekundę się przy nich znalazły.

– Pomyśleć, że karmienie kota było jedną z ostatnich rzeczy, jakie zrobiła w swoim życiu Monika Banach – zauważyła smutno Klara.

Ewelina odwróciła się do niej i spytała zdziwiona:

– Jakiego kota?

Teraz zdziwiła się Klara.

– Nie wiem jakiego. Tego, co tam był. Krawiec widział przez okno, jak Monika wsypuje kocie żarcie do miski.

– To niemożliwe – zaprzeczyła Ewelina. – Owszem, tam koło domku kręci się kot, ale Monika nigdy go nie wpuszczala do środka. Miała alergię na kocią sierść.

– Nie sądzę, żeby Kluge się mylił – powiedziała powoli Gaja. – Opisywał tę scenę bardzo dokładnie. Mówił, że to było takie abstrakcyjne, ta suknia ślubna i kocie żarcie. – Zamilkła na chwilę, analizując w głowie tę sytuację. – Nie myślicie, że to dziwne? – spytała nagle. – Wyobraźcie sobie, że dostajecie informację, że ktoś, na kogo bardzo czekacie, zaraz u was będzie. I zamiast się przebrać, bo macie na sobie suknię ślubną, idziecie do kuchni i karmicie kota?

– A może – odezwała się po chwili namysłu Klara – skoro tam nie było kota, to wcale nie chodziło o karmienie?

– Tylko o co?

– O napełnianie miski...

– Napełnianie miski? – zdziwiła się Ewelina. – Ale po co?

– Ja chyba wiem po co! – Gaja poderwała się z miejsca. – Ewelina, potrzebujemy kluczy do domku. Musimy coś sprawdzić.

– Żadne potrzebujemy. Jadę z wami.

ROZDZIAŁ 66

Dom wyglądał dokładnie tak samo jak wtedy, kiedy były tutaj poprzednio, tylko trawa, przeciskająca się przez ażurowe betonowe płyty podjazdu, bardziej urosła. Nie zauważyły też kota.

Ewelina wyjęła z kieszeni džinsów klucz, podeszła do drzwi i otworzyła je. W środku oprócz chemicznego zapachu środków do konserwacji drewna poczuły też kwaśną woń fermentacji. Jej źródło znajdowało się na stole w kuchni, gdzie w wiklinowym koszyku dokonywały żywota trzy pokryte brązowymi plamami jabłka.

Spora ceramiczna miska, po brzegi wypełniona suchą karmą, stała sobie spokojnie na podłodze w kącie pomieszczenia. Granulki zdążyły złapać z otoczenia trochę wilgoci i ściemnieć, ale nadal zachowywały swój kształt. Gaja schyliła się, podniosła miskę i postawiła ją ostrożnie na kuchennym blacie. Patrzyły na nią w napięciu, jak saperzy na bombę.

– Dobra, miejmy to za sobą! – Gaja wsadziła palec w chrupki i zaczęła w nich grzebać. Nagle na jej twarzy pojawiło się niedowierzanie.

– O cholera – wyszeptła. – Jest!

I spod kociej karmy wyciągnęła profesjonalny, cyfrowy dyktafon marki Sony.

Odsłuchiwanie nagrania w miejscu, w którym Monika Banach spędziła swoje ostatnie chwile, było dla nich zbyt trudne, więc postanowiły w tym celu wrócić do Warszawy. Gaja jeszcze znad zalewu zadzwoniła do Matyldy.

– Wiemy, kto jest mordercą, i prawdopodobnie mamy w rękę dowód. Dzięki tobie – powiedziała.

– Jak to dzięki mnie? – zdziwiła się Matylda.

– Nie wpadłybyśmy na to, gdyby nie Kluge. A to ty go odnalazłaś.

– Cieszę się... – Matylda była wyraźnie wzruszona. – Co to za dowód?

– Pamiętasz, Banach wyprosiła krawca, bo spodziewała się wizyty. Ta wizyta była dla niej na tyle ważna, że ją nagrała. Właśnie znalazłyśmy dyktafon i jedziemy przesłuchać nagranie. Gdyby udało ci się zostawić dzieci...

– Będę za pół godziny!

I faktycznie, kiedy podjechały pod dom Eweliny, Matylda już na nie czekała. Wyściskały się tak, jakby nie widziały się ze dwa lata, i weszły do mieszkania.

Klara szybko wymieniła baterie w dyktafonie na dwie nowe, kupione po drodze, a potem usiadły w eleganckim salonie Eweliny i pozostało im już tylko włączyć odtwarzanie.

Najpierw z głośnika wydobył się głośny stukot opadających na mikrofon granulek, potem na chwilę zapadła cisza, przerywana jakimiś niezidentyfikowanymi odgłosami, wreszcie usłyszały stłumione pukanie do drzwi.

– *Szybko przyjechałeś...* – Głos Moniki był ledwo słyszalny, ale miały nadzieję, że jakość nagrania poprawi się, kiedy Banach i jej gość przejdą do kuchni.

– *Ja o czymś nie wiem? Bierzesz ślub?*

Matylda popatrzyła na nie zaskoczona.

– Kto to? – spytała ściszym głosem.

– Kamil Wójcicki, redaktor naczelny i właściciel wydawnictwa Seryjne – odpowiedziała Ewelina. – Do końca miałam nadzieję, że to jednak nie będzie on.

Słuchały dalej.

– *Może biore, może nie. Tobie nic do tego* – odpowiedziała Monika ostro.

Odgłos kroków narastał.

– *Ładne to miejsce, bardzo je lubię* – odezwał się Wójcicki. – *Nic się nie zmieniło od tamtej pory.*

– Jakiej pory? – zdziwiła się Ewelina. – Przecież on tam nigdy nie był...

– *Wiesz co, zostawmy niemiłe wspomnienia.* – Banach brzmiała tak, jakby żałowała, że wpuściła Wójcickiego do środka.

– *Dla mnie bardzo miłe. Nie wychodziliśmy z łóżka przez dwa dni.*

– A to skurwysyn! – wyrwało się Ewelinie.

– *Zaprosiłam cię tutaj w związku z moją nową książką.*

– *Tak myślałem, prawdę mówiąc. Powiem ci, że ten numer z zaginięciem wykurwisty. Sam bym lepszego nie wymyślił. Ta książka będzie się rozchodzić jak ciepłe bułeczki, mówię ci.*

– *Bardzo możliwe. A plotka o ekranizacji też jej raczej nie zaszkodzi.*

– *Czekaj, czyli to też była ściema? Nikt nie wykupił opcji?*

– *Jeszcze nie, choć myślę, że to tylko kwestia czasu.*

– *No, moja droga, chapeau bas! Po takim wstępie to już nie trzeba robić żadnej kampanii promocyjnej, pięćdziesiąt tysięcy pięknie w pierwszy miesiąc. Jestem z ciebie naprawdę dumny.*

– *Nie dotykaj mnie, proszę.*

– *A ja sobie tak pomyślałem, że może byśmy powtórzyli tamten weekend?*

– *To było pięć lat temu! Nic nie będziemy powtarzać. Po pierwsze nie mam ochoty, a po drugie ciekawe, co by na to powiedziała Kasia Sośnicka?*

– *Dlaczego akurat ona?*

– *Bo z nią sypiasz. I tak jak kiedyś mnie, jej też robisz wodę z mózgu. Pierdolisz o miłości, a potem się okazuje, że chodziło ci tylko o to, żeby podpisała niekorzystną dla siebie umowę. Żalodne.*

– *Hej, jaką niekorzystną umowę? W co ty pogrywasz?* – W głosie Wójcickiego pojawiły się ostre nuty. – *Czy ty czasem nie chcesz mnie w coś wrobić?*

Rozległy się jakieś stuki, szurania i szelesty.

– *Czego ty, Kamil, szukasz?*

– *Jak to czego? Tego twojego cholernego dyktafonu. Przecież ty zawsze wszystko nagrywasz.*

Z głośnika dobiegł śmiech pisarki.

– *A ty jak zwykle czujny, ostrożny. Ale tym razem masz szczęście, zapomniałam wziąć go ze sobą z domu. Może lepiej przejrzyj tekst?*

Na nagraniu na chwilę zapadła cisza.

– *No, poszalałaś* – usłyszały w końcu głos Wójcickiego. – *Ile tu jest stron?*

– *Dwieście pięćdziesiąt.*

– *To będzie w druku ponad czterysta. Na pierwszy tom idealnie, następne mogą być spokojnie cieńsze.*

– *Czytasz czy nie?*

– Czytam, czytam.

Spodziewały się dłuższej przerwy, ale po jakiejś minucie z głośnika dyktafonu znowu dobiegł głos męzczyzny:

– *Sluchaj, jeżeli cały tekst jest na tym poziomie, co pierwszy rozdział, to się zapowiada petarda! Sto razy lepsze od wszystkiego, co do tej pory napisałaś. Z całym szacunkiem dla Poli Berg.*

– Szybko mu poszło to czytanie – zdziwiła się Klara.

– Ten dyktafon aktywuje się głosem – wyjaśniła Ewelina. – Kiedy nie rozmawiali, nie nagrywał.

– *Świetne stylistycznie, dynamiczne, i zagadka kryminalna zapowiada się bardzo ciekawie. Ależ to będzie hit! Jeszcze po tej akcji z twoim zaginięciem i bajeczce o scenariuszu... Monika, my zarobimy kokosy!!!* – W głosie Kamila brzmiał entuzjazm.

– *Nie my, tylko ja.*

– *Nie rozumiem* – odezwał się Wójcicki.

– *Nie wydam tej książki u ciebie. Zaprosiłam cię tutaj po to, żeby ci to powiedzieć.*

– *Odbiło ci? Przecież mamy umowę!*

– *Tak. Na serię z Polą Berg. A to jest zupełnie nowa seria. I mogę z nią iść, do kogo zechcę.*

– *O, ciekawe. A do kogo zechcesz?*

– *Do Drogowskazów.*

Z głośnika dobiegł huk, można się było domyślić, że to Wójcicki uderzył pięścią w stół.

– *Ty oszalałaś. Naprawdę oszalałaś! Do Drogowskazów? Przecież oni ledwo przedą! Jaki, myślisz, ci nakład wydrukują? Pięćset egzemplarzy? Tysiąc? Dziewczyno, weź się ogarnij!*

– *No właśnie się ogarniam! Tak, są małym wydawnictwem. Tak, nie radzą sobie zbyt dobrze. A dlaczego? Bo im mnie podkradłeś. Naopowiadałeś mi różnych głupot, że mnie kochasz, że jesteśmy dla siebie stworzeni, że tworzymy duet idealny, a ja, kretynka, ci uwierzyłam. Ale jak tylko do ciebie przeszłam, to się okazało, że ta miłość jednak nie była do grobowej deski, a procent od sprzedanego egzemplarza dostałam taki, że gdybym powiedziała komukolwiek z branży, toby dostał czkawki ze śmiechu. Oszukałeś mnie, Kamil. Oszukałeś, i to potężnie. Mogłabym ci wytoczyć proces, ale to długo trwa i kosztuje sporo nerwów. Więc pomyślałam, że załatwię to po mojemu. Tylko żałuję, że tak późno otworzyły mi się oczy.*

– *Jesteś niesprawiedliwa!*

– *Niesprawiedliwa to ja byłam, odchodząc z Drogowskazów. Ale mam nadzieję, że tą książką im się odwdzięczę.*

– *Błagam, zastanów się! Przecież oni ci tego nie wypromują! Nie mają kasy, umiejętności, zaplecza!*

– *Ależ oni nie muszą nawet palcem kiwnąć przy promocji. Sam powiedziałeś przed chwilą: zaginięcie autorki, prawa do ekranizacji i świetny tekst. Bestseller muiowany.*

– *Monika, proszę cię, przemyśl to. Zrobiłem z ciebie gwiazdę...*

– *To raczej ja z ciebie zrobiłam gwiazdę. A moją decyzję przemyślałam bardzo dobrze.*

Na chwilę oboje umilkli.

– *Monika... Nie zabieraj mi jej.* – Tym razem w głosie Wójcickiego pojawiły się skamlące nuty.

– *Ja ci jej nie zabieram. Ja ci jej po prostu nie daję. Pogódź się z tym.*

– *Nie rozumiesz. Ta książka jest dla mnie bardzo ważna.*

– *No, niestety, na twoje urażone ego nic nie poradzę.*

– *Nie chodzi o ego.*

– U ciebie zawsze chodzi o ego.
– Mam kłopoty finansowe.
– Ty czy wydawnictwo?
– I ja, i wydawnictwo. Trochę przeinwestowaliśmy.
– To może nie trzeba było wykupywać tylu billboardów dla Ściemiska? I reklamować tego baracha w metrze?

– Ha! – prawie krzyknął Wójcicki. – No i nareszcie wiem, o co ci chodzi! Ty zazdrosna jesteś! Że też na to nie wpadłem od razu! Jesteś zazdrosna o Kaśkę!

– Teraz widzę, tobie odwala.
– Zazdrościsz jej tego, że z nią sypiam!
– Tego to ja jej mogę jedynie współczuć.

Na nagraniu dały się słyszeć odgłosy, które mogły oznaczać, że Wójcicki krąży nerwowo po kuchni.

– A może tobie chodzi o pozycję? – odezwał się po chwili. – Że ona zajęła twoje miejsce, co?
– Może trochę... – Monika zaśmiała się beztrudnie. – Ale wiem, że jak minie miesiąc miodowy i ludzie się przekonają, ile jest warta ta jej książeczka, to przestanie być tak słodko.

– Ja uważam, że ta dziewczyna ma potencjał.
– A mnie szlag trafia, jak widzę, co robisz z pieniędzmi, które na mnie zarobiłeś! Ale dobra, trudno. Twój cyrk, twoje małpy. Idź już. Jestem zmęczona.

– Ostatni raz cię proszę! Daj mi tę książkę!
– Jutro stąd wyjeżdżam. Idę prosto do Drogowskazów i podpisuję umowę.
– Zobaczysz, będziesz tego żałować.
– Nie sądzę.
– Monia...
– Nie dotykaj mnie. Słyszysz?
– Kochanie, nie niszczy nas z powodu jakichś głupich sentymentów.
– Zostaw! Zabieraj te łapy! Idź sobie! Rzygać mi się chce, jak na ciebie patrzę...

– To ty taka jesteś? Będziesz się teraz ze mną przepychać?
– Kamil! Bo wezwę policję!
– A wzywaj sobie. Ucieszą się, że się znalazłaś!
– Jezu... Nie żartuj! To boli! Nie mogę oddychać!
– Ty pierdolona idiotko... Naprawdę myślałaś, że możesz sobie ot tak po prostu odejść ode mnie? Zabrać swoje zabawki z mojej piaskownicy? I to jeszcze w dodatku do Drogowskazów! Bardziej mnie nie mogłaś upokorzyć.

W tle cały czas słychać było różne niepokojące dźwięki. Ewelina objęła ramionami kolana i kiwała się w przód i w tył, jakby nagle dostała choroby sierocej.

– Boże... – szeptała. – O Boże...

– Kaaamilll... – Głos Moniki Banach był coraz słabszy i cichszy. – Kaa... – Zakrzuszyła się i po chwili zaczęła charczeć.

Ewelina wyciągnęła rękę, żeby wyłączyć dyktafon, ale zanim to zrobiła, usłyszały jeszcze pełne nienawiści i odrazy słowa, które wypowiedział Wójcicki.

– Wiesz, co jest najśmieszniejsze? Że nic tak nie wypromuje tej książki jak twoja śmierć.

ROZDZIAŁ 67

Choć od powrotu Heleny z weekendu spędzonego z ojcem minęło już kilka dni, atmosfera w domu ciągle była napięta. Dziewczynka odzywała się do Gai półsłówkami i jak mogła, starała się jej unikać. Właściwie widywały się tylko przy posiłkach i podczas drogi do szkoły.

Gaja wiedziała, że czeka je poważna rozmowa, więc kiedy tylko zamknęły sprawę Moniki Banach, uznała, że nadszedł czas, żeby ją przeprowadzić.

Tego dnia, w porze powrotu Heleny ze szkoły, usiadła na schodkach ganku i lekko zdenerwowana czekała na córkę. Bruna na ten czas zamknęła w kupionej kilka dni wcześniej klatce kennelowej, żeby im nie przeszkadzał. Dziewczynka pojawiła się w domu kwadrans później, niż powinna. Na widok Gai zaczęła się niechętnie tłumaczyć.

– Pani od historii nas zatrzymała. Robiliśmy gazetkę z okazji Trzeciego Maja.

– Usiądziesz? – Gaja poklepała dłonią schodek obok siebie.

– Zawsze mówisz, że od siadania na zimnym można dostać wilka – zastrzegła.

– Bo mnie tak powtarzała moja mama Ale jak posiedzimy pięć minut, to raczej nic się nie stanie.

Helena posłusznie klapnęła na schody obok matki.

– Proszę. – Gaja wręczyła córce plik kolorowych kartek.

– Co to? – zdziwiła się dziewczynka.

– Folder milanowskiego Społecznego Liceum Ogólnokształcącego na Herberta – poinformowała Gaja poważnym tonem.

Helena, zaskoczona, zaczęła przeglądać ulotki.

– Mamo, nie rozumiem...

Gaja wzięła córkę za rękę i zajrzała jej głęboko w oczy.

– Przepraszam – powiedziała cicho. – Miałś rację, przemyślałam to. Liceum w Warszawie oznacza co najmniej trzy godziny dojazdów dziennie, czyli zmęczenie, stres i niewyspanie. Oznacza też olbrzymią zmianę. A tych zmian to może już nam wystarczy, prawda? Ale z drugiej strony bardzo bym chciała, żebyś była w dobrej szkole, która pozwoli ci się rozwijać, da jak największe możliwości. To społeczne liceum właśnie takie jest. I masz do niego na piechotę kwadrans.

Helena patrzyła na matkę wzruszona.

– Tylko mamo, ono kosztuje – powiedziała ostrożnie. – Nie wiem, czy nas teraz stać.

– Damy radę. – Gaja objęła córkę i przyciągnęła do siebie. – Ale wiesz, że tam mają bardzo wysokie progi punktowe? I że będziesz się musiała porządnie przyłożyć?

– Pewnie, że wiem. – Helena uśmiechnęła się do matki. – Dam radę.

I po chwili dodała:

– Dziękuję!

Siedziały tak obok siebie jeszcze przez jakiś czas, delektując się na nowo odzyskaną bliskością, a Gaja poczuła – po raz pierwszy od momentu, kiedy odkryła zdradę męża – że pewne rzeczy zaczynają

się w jej życiu układać.

Kiedy Helena weszła do domu, Gaja sięgnęła po komórkę i wybrała numer Pawła. Nie widzieli się od tamtej nocy, którą u niego spędziła, i choć starała się trzymać emocje na wodzy, powoli zaczynała uwierać ją tęsknota. Krótka rozmowa z nim powinna ją rozładować...

Ale Paweł nie odebrał telefonu. Ani w tym momencie, ani wieczorem, kiedy znowu spróbowała się do niego dodzwonić. I choć obiektywnie nie było w tym nic niepokojącego, Gaja poczuła zaciskający się w żołądku węzeł strachu. Tak jak raz uderzony pies kuli się na widok kija, tak jej organizm zareagował na sytuację, która niepokojąco przypominała tę, w jakiej znalazła się przed ponad dwudziestu laty. Wtedy również dzwoniła do niego. A on nie odbierał.

I nagle do Gai dotarło, że tak będzie zawsze. Nawet jeżeli rozsądek i logika będą jej podpowiadać inaczej, ona zawsze gdzieś w najgłębszym zakamarku serca będzie się bała, że Paweł ją zostawi. Jak wtedy.

„Nie warto”, pomyślała.

I ogarnął ją wielki smutek.

EPILOG

Stolik miały zarezerwowany na dwudziestą. Gaja i Matylda przyjechały uberem w tym samym momencie, w którym Damian przywiózł na motorze Klarę, obejrzały go więc sobie dokładnie.

– Fajny! – powiedziała z uznaniem Matylda.

– Fajniejszy niż Peszek – zaryzykowała Gaja. – Podoba mi się.

– Tak się do niego za bardzo nie przywiązujcie. Niby narzeczony, ale wiecie, może być różnie – uprzedziła je Klara i dopiero mówiąc to, dostrzegła, co ma na sobie Matylda. – Wow! Nie mogę! Wyglądasz szalowo! Co to jest?

– Sukienka – roześmiała się Matylda, odrobinę speszona.

– No, to widzę – prychnęła Klara. – Ale ona ma dekolt! I jest obcisła!

– Dostałam w prezencie od Klugego. I przyznam się wam... – zawiesiła głos – ...że bardzo się w niej sobie podobam.

Zamówiły butelkę białego wina, a kiedy kelner rozlał je do kieliszków, Gaja wzniosła toast.

– Za Czajkę!

Stuknęły się kieliszkami.

– I kolejny spektakularny sukces! – dodała Matylda.

– Udało nam się z tym dyktafonem – przyznała Klara. – Podaliśmy Wójcickiego policji na tacy.

– Że też ona wpadła na pomysł, żeby go nagrać... – Gaja pokręciła głową. – Cud.

– Nie cud, tylko reporterski nawyk – wyjaśniła Matylda. – Pamiętam, jak nagrywała nasz wywiad. Prawdopodobnie chciała się zabezpieczyć na wypadek, gdyby Wójcicki mimo wszystko próbował ją oszukać.

– O tak, ona lubiła być do wszystkiego przygotowana. – Gaja upiła łyk wina. – Planując zniknięcie, nawet książki czytała pod tym kątem. Na szafce nocnej miała biografię Christie i *Co do grosza*. To jest taka przeurocza książka, w której czterech facetów, naciąganych przez sprytnego oszusta, postanawia odebrać mu swoje pieniądze. Co do grosza. Banach też chciała wyrównać rachunki z wydawcą.

– Jak to dobrze, że zdecydowała się wysłać umowę do Drogowskazów – zauważyła Matylda. – Ewelina mówiła, że gdyby nie to, nie wiadomo, czy książka nie ukazałaby się jednak w Seryjnym.

Klara zaczęła rozglądać się za kelnerem.

– Słuchajcie, głodna jestem jak wilk – zakomunikowała. – Zaraz będziemy dalej gadać, ale najpierw zamówmy.

Gaja rozejrzała się po sali i przypomniała sobie, jak siedzieli tutaj z Arturem i jak przedstawiała mu dowody na to, że ją zdradza. Tak, to tutaj tak naprawdę narodziła się Czajka. Bo bez rozstania z mężem agencji by nie było.

– Myślisz o Arturze? – zapytała Klara, nie podnosząc oczu znad menu.

– Owszem. Zadzwoniłam wczoraj do mojej pani mecenas i poprosiłam, żeby przyspieszyła mediację. Chcę już wreszcie ten etap zamknąć.

W tym momencie zabręczczała komórka Klary.

– Nie wyłączyłaś telefonu? – skarciła ją natychmiast Gaja.

Dziewczyna popatrzyła na numer na wyświetlaczu i zrobiła zdziwioną minę.

– Sorry – powiedziała. – Zaraz wracam.

Poderwała się od stołu i wyszła na zewnątrz.

– No cześć, Anita! Dawno się nie słyszałyśmy.

Kiedy Klara pracowała jako modelka, Anita była jej agentką. Rozstały się w niezbyt przyjemnych okolicznościach. Mówiąc wprost – Anita zerwała współpracę z Klarą, bo już z nią nie mogła wytrzymać.

– No dawno, dawno. Co tam u ciebie?

– Wspaniale, jak zwykle. Z czym dzwonicz?

– Wpadła mi tu w ręce oferta, bardzo ciekawa, z Francji, porządna agencja, świetnie płacą. Idealnie byś się nadawała.

Klara oparła się bokiem o latarnię.

– Kto by nie chciał jechać do Francji na taką fuchę – stwierdziła ostrożnie. – Gdzie tu haczyk?

– Nie wiem, czy haczyk, ale kontrakt jest na pół roku...

Latarnia nagle zamrugała i zgasła.

– Wiesz co, prześlij mi na mejla szczegóły, poczytam sobie. W sumie kto wie, może bym i była zainteresowana?

Rozłączyła się i wróciła do środka. A kiedy tylko usiadła, dla odmiany zadzwonił telefon Gai.

Klara parsknęła śmiechem.

– Nie wyłączyłaś telefonu? No naprawdę...

– Ja muszę być w kontakcie z dzieckiem – wyjaśniła Gaja, biorąc komórkę do ręki. – Ty ze swoim kotem niekoniecznie.

Klara zajrzała jej przez ramię.

– Nie mogę! – parsknęła. – Lewin! Ciekawe, dlaczego tak późno...

Gaja położyła palec na ustach i odebrała telefon.

– Dzwonię w tej sprawie, o którą mnie pani prosiła – wyjaśnił komendant.

– I co?

– Chwilę to trwało, jak pani widzi, ale w końcu dzisiaj dostałem informację. Pani ojciec nigdy nie zgłaszał kradzieży prawa jazdy i nie występował o duplikat.

– Słucham? – Gaja poczuła, że kręci jej się w głowie.

– Nie było żadnego duplikatu. Nie ma po nim śladu w dokumentach.

Gaja nie mogła wydobyć z siebie słowa, więc się po prostu rozłączyła.

– Kochana, co się stało? – zainteresowała się z troską Matylda. – Co on ci powiedział?

Gaja otrząsnęła się błyskawicznie.

– Nie, nic ważnego. – Uśmiechnęła się do przyjaciółek. – To na czym skończyłyśmy?

KONIEC

Projekt okładki
Alicja Beryt

Redakcja
Zbigniew Kowerczyk

Redaktorka inicjująca
Dorota Gruszka

Redaktorka prowadząca
Aleksandra Pietrzyńska

Opieka redakcyjna
Paulina Gwóźdź

Adiustacja
Aurelia Hołubowska

Korekta
Katarzyna Onderka
Marta Tyczyńska-Lewicka

Copyright © by Katarzyna Stachowicz-Gacek
Copyright © for this edition by SIW Znak sp. z o.o., 2023

ISBN 978-83-240-6709-1

znak

Książki z dobrej strony: www.znak.com.pl

Więcej o naszych autorach i książkach: www.wydawnictwoznak.pl
Społeczny Instytut Wydawniczy Znak, ul. Kościuszki 37, 30-105 Kraków

Dział sprzedaży: tel. [12 61 99 569](tel:126199569), e-mail: czytelnicy@znak.com.pl

Wydanie I, 2023

Na zlecenie Woblink

woblink

woblink.com

plik przygotowała Katarzyna Ossowska

Spis treści

Karta tytułowa

Prolog

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25

Rozdział 26

Rozdział 27

Rozdział 28

Rozdział 29

Rozdział 30

Rozdział 31

Rozdział 32

Rozdział 33

Rozdział 34

Rozdział 35

[Rozdział 36](#)

[Rozdział 37](#)

[Rozdział 38](#)

[Rozdział 39](#)

[Rozdział 40](#)

[Rozdział 41](#)

[Rozdział 42](#)

[Rozdział 43](#)

[Rozdział 44](#)

[Rozdział 45](#)

[Rozdział 46](#)

[Rozdział 47](#)

[Rozdział 48](#)

[Rozdział 49](#)

[Rozdział 50](#)

[Rozdział 51](#)

[Rozdział 52](#)

[Rozdział 53](#)

[Rozdział 54](#)

[Rozdział 55](#)

[Rozdział 56](#)

[Rozdział 57](#)

[Rozdział 58](#)

[Rozdział 59](#)

[Rozdział 60](#)

[Rozdział 61](#)

[Rozdział 62](#)

[Rozdział 63](#)

[Rozdział 64](#)

[Rozdział 65](#)

[Rozdział 66](#)

[Rozdział 67](#)

[Epilog](#)

[Karta redakcyjna](#)